

# Jules Verne

## HECTOR SERVADAC

Podróż wśród gwiazd i planet Układu słonecznego

*Spolszczył Włodzimierz Topoliński*

*Ilustracje*

*P. Philippoteaux*

*Księżnica - Atlas*

*Lwów - Warszawa, 1931*

### SPIS TREŚCI

#### CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział I, w którym poznajemy Hectora Servadac'a i jego rywala.

Rozdział II, który maluje fizyczne i moralne oblicze kapitana Servadac'a i jego ordynansa Ben-Zouf'a.

Rozdział III, w którym poetyckim wenię kapitana Servadac'a rozprasza niepojęty wstrząs.

Rozdział IV, w którym niema końca zdziwieniu i domyślnikom.

Rozdział V, w którym jest mowa o dziwnych zmianach, zaobserwowanych w porządku wszechświata. 17

Rozdział VI, w którym czytelnik towarzyszy kapitanowi Servadac w jego pierwszej wycieczce po nowym terytorium.

Rozdział VII, w którym Ben-Zouf uskarża się na opieszałość gubernatora.

Rozdział VIII, w którym jest mowa o Wenus i Merkury, jako o planetach.

Rozdział IX, w którym szereg pytań kapitana Servadac'a pozostaje bez odpowiedzi.

Rozdział X, w którym z lunetą przy oku i sondą w ręce poszukuje się śladów dawnego Algeru.

Rozdział XI, w którym kapitan Servadac odkrywa ocaloną wysepkę, bledną, jednakże tylko grobowcem.

Rozdział XII, w którym po próbach walki z żywiołem, porucznik Prokop oddaje wszystko w ręce Boga.

Rozdział XIII, w którym jest mowa o brygadjerze Murphy, majorze Oliphant, kapralu Pimie i o pocisku znikającym poza linię horyzontu.

Rozdział XIV, daje wyraz napięciu stosunków międzynarodowych i prowadzi ku nieporozumieniom geograficznym.

Rozdział XV, w którym drogą dyskusji dochodzi się do odkrycia, bliskiej już, być może, prawdy.

Rozdział XVI, w którym Hector Servadac obejmuje jedną szczyt rozległego kontynentu.

Rozdział XVII, który może nabyć cenniejszą tytułową: „Ten sam – tym samym”.

Rozdział XVIII, który mówi o przyjęciu zgotowanym gubernatorowi wysepki i o wypadkach, które zaszły w czasie jego nieobecności.

Rozdział XIX, w którym kapitan Servadac zostaje jednogłośnie obrany generalnym gubernatorem Galji.

Rozdział XX, w którym baczne oko obserwatora dostrzega pierwszy punkcik na horyzoncie.

Rozdział XXI, w którym przekonamy się, jak, wspaniała niespodzianką natura przygotowała mieszkańcom Galji.

Rozdział XXII, który kończy się ciekawym eksperymentem z dziedziny fizyki rozrywkowej.

Rozdział XXIII, omawia ważne wydarzenia, które wzbudziły popioły w całej kolonii Galijskiej.

Rozdział XXIV, w którym kapitan Servadac i porucznik Prokop rozwijają wreszcie kosmiczną zagadkę.

## CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział I, w którym poznajemy trzydziestego szóstego mieszkańca sferoidy „Galja”.

Rozdział II, którego ostatnie słowa wyjątku czytelnikowi to, czego się zapewne sam już domyśli.

Rozdział III, który wyjaśnia zagadkę, dlaczego Palmyrin Rosette jest tak zachwycony swym losem.

Rozdział IV, w którym Palmyrin Rosette znęca się nad dawnym swym uczniem Servadac’em.

Rozdział V, w którym Palmyrin Rosette uznaje urządzenia kolonii za niedostateczne.

Rozdział VII, w którym profesor i jego uczniowie „ogłuszą” sekstylionami, kwintylionami i innymi wielokrotnościami miliardów.

Rozdział VIII, w którym okaże się jasno, że lepiej aniżeli na Galji, handlować było na Ziemi.

Rozdział IX, w którym oświeceni Galijscy wybiegają myślą w nieskończoność.

Rozdział X, Jak obchodzono na Galji dzień 1-y stycznia i co się zdarzyło pod koniec uroczystości.

Rozdział XI, w którym kapitan Servadac i jego towarzysze tak sobie radzą, jak tego wymagają, okoliczności.

Rozdział XII, który stwierdza, że ludzie nie są stworzeni do grawitowania w odległości dwustu dwudziestu milionów mil od słońca.

Rozdział XIII, w którym mowa jest o jedynej w swoim rodzaju scenie między Palmyrin Rosette’em a Izaakiem Hakhabutem.

Rozdział XIV, w którym kapitan Servadac i Ben-Zouf wyruszają w podróż i wracają, z niej jak niepyszni.

Rozdział XV, w którym omawiana jest sprawa powrotu na Ziemię i cenniejsza propozycja porucznika Prokopa.

Rozdział XVI, w którym Galijscy przygotowują się do obserwacji swej asteroidy z balonu.

Rozdział XVII, w którym pasażerowie balonu notują swoje uczucia i wrażenia. 273

# CZĘŚĆ PIERWSZA

## Rozdział I,

*w którym poznajemy Hectora Servadac'a i jego rywala.*

Oficerowie wysłuchali w poważnym skupieniu Servadac'a, pragnącego w nich widzieć swoich sekundantów, nie mogli się jednak powstrzymać od ironicznych półuśmiechów, gdy przyjaciel jako powód pojedynku podał sprzeczkę wynikłą pomiędzy nim i hrabią Timaszewem, na temat różnicy w upodobaniach muzycznych.

A możeby się dało sprawę załatwić polubownie? – zauważył komendant 2-go pułku strzelców.

O tem prosić nawet nie wspominać – brzmiała twarda odpowiedź Hectora Servadac'a.

Przy obustronnej dobrej woli i drobnych ustępstwach... – podjął kapitan artylerji.

Nie może być mowy o kompromisie pomiędzy Wagnerem i Rossinim – odparł poważnie oficer sztabowy. – Trzeba się wyraźnie wypowiedzieć za jednym lub za drugim. W danym wypadku obrażono Rossiniego. Ten warjat Wagner napisał o nim stek idiotyzmów, postanowił więc pomóc Rossini'ego.

Należy przytem zważyć – cięgnął komendant – że cięcie szablą nie zawsze jest śmiertelne.

Zwłaszcza, gdy nie pozwolę, by tknęło mnie jej ostrze – odciął z pewnością Servadac.

Po tem oświadczeniu obaj oficerowie udali się do sztabu, gdzie punktualnie o godzinie drugiej mieli spotkanie sekundantów hrabiego Timaszewa.

Należy tu zaznaczyć, że ani komendant strzelców, ani kapitan artylerji nie byli przekonani przez swego przyjaciela co do motywów pojedynku. Podejrzewali oni, być może, istotną przyczynę, ale nie chcąc urazić kapitana, udawali, że wierzą jego wywodom.

Po up³ywie dwóch godzin byli ju¿ zpowrotem, ustalwszy ze œwiadkami przeciwnika warunki pojedynku. Hrabia Timaszew zgodzi³ siê biaæ na szable, broñ ¿o³nierska.

Przeciwnicy mieli siê spotkaæ nazajutrz, dnia 1-go stycznia o godzinie 9-ej rano na terenie ska³ nadmorskich, odleg³ych o jakieœ trzy kilometry od ujœcia Szeliwu.

A zatem do jutra, z punktualnoœci¹ wojskow¹ – rzek³ komendant.

Najpunktualniej w œwiecie – odpar³ Hector Servadac.

Poczem obaj oficerowie uœcisnêli serdecznie d³oñ przyjaciela.

Kapitan Servadac wspi¹³ konia ostrog¹ i niezw³ocznie opuœci³ mury miasta. Od dwóch tygodni ju¿ nie zagl¹da³ do swego mieszkania na Placu Broni. Maj¹c powierzon¹ sobie powa¿n¹ pracê topograficzn¹ w okolicy Mostaganem, zamieszkiwa³ chatê arabsk¹ u ujœcia rzeki Szeliw. Za jedynego i wy³icznego towarzysza mia³ ordynansa, i postronny obserwator móg³by pos¹dziaæ pustelnika kapitana o odbywanie jakiejœ pokuty lub kary.

## Rozdzia³ II,

*który maluje fizyczne i moralne oblicze kapitana Servadac'a i jego ordynansa Ben-Zouf'a.*

S³u¿bowe wykazy Ministerstwa Wojny notowa³y owego roku pod wiadom¹ dat¹, co nastêpuje:

Servadac (Hector), urodzony 19-go lipca 18... w Saint Trelody, departament Girondy.

Stan maj¹tkowy: tysi¹c dwieœcie franków renty.

Czas s³u¿by: 14 lat, 3 miesi¹ce i 5 dni.

Szczegó³y dotycz¹ce s³u¿by wojskowej i wypraw wojennych: szko³a w Saint-Cyr 2 lata, wy¿sza szko³a wojskowa 2 lata i 87 pu³k liniowy 2 lata; 3 pu³k strzelców 2 lata, Alger 7 lat. Bra³ udzia³ w wyprawach kolonialnych do Sudanu. Stanowisko: Kapitan sztabowy w Mostaganem.

Odnaczenia: Kawaler Legji Honorowej z dnia 13 marca 18...

Hector Servadac miał trzydzieści lat. Sierota bez rodziny i majątku, był dumny, bystry i pełny odwagi. Zapaleniec i nawet, rzecz można, zawadziak, obdarzony bystrym i żywym umysłem, cięty, zaczepny, odważny i buńczuczny, miał czyste i wrażliwe serce. Jak przystało na potomka walecznego rodu, był cała dusza ogniem. Mimo licznych, zawsze szczęśliwie kończących się przygód i awantur, nie miał w sobie nic z pyszałka lub pozera. Urodził się snając pod szczęśliwą gwiazdą i sama natura przeznaczyła go do nadzwyczajnych przeżyć, dając jednocześnie najkryjniejszą opiekę.

Zewnątrz Hector Servadac był czarującym oficerem: piękne stopy i szczupła sylwetka, wysmukły, zręczny, proporcjonalnej budowy, na górnej wardze miał krępy podkręcony zlekka w łuk i niebieskie, czyste i jasno patrzące na świat oczy, które podobały się bardzo i zjednywały mu powszechną sympatię zarówno w sferach wojskowych, jak i towarzyskich.

Trzeba tu przyznać gwoździ sprawiedliwości, czego zresztą i sam zainteresowany nie ukrywał, że kapitan Servadac nie bardzo był uczony i wiedzy posiadał tylko tyle, ile tego wymagała konieczna potrzeba. – „Nie lubimy się przepracowywać, nie pchamy się gwałtem do nauki” – mawiał oficerowie kawalerji. Kapitan Servadac nie wiele różnił się od towarzyszy broni, ale był zdolny i sprytny, ukończył szkołę z dobrym wynikiem i dostał się do sztabu generalnego w randze kapitana. Rysował zresztą, wcale dobrze, a zwłaszcza pysznie trzymał się na koniu, niebawem też zyskał sobie sławę niezwykłego mistrza jazdy.

Powszechnie ceniono w nim odwagę i odwagę, podziwiał jednocześnie jego szczęśliwą gwiazdę.

Opowiadano np. tak historję:

Pewnego dnia kapitan Servadac prowadził przez głęboki okop pieszy oddział strzelców. W pewnym miejscu grzbiet nasypu, podziurawiony nieprzyjacielskimi granatami, osunął się i nie był już dość wysoki, aby osłonić ogniem przed bezustannym ogniem kartaczy. Strzelcy zawahali się. Wówczas Hector Servadac wstąpił na krawędź nasypu, położył się na niej, podnosząc w ten sposób poziom przykrycia, i zawołał:

„Naprzód, marsz!”

I oddział przeszedł pod gradem kul, z których ani jedna nie tknęła dzielnego dowódcy.

Od czasu wyjścia z wyższej szkoły wojskowej Hector Servadac, poza udziałem w kilku wyprawach kolonialnych, pełnił służbę stale w Algierze. W tej chwili piastował urząd sztabowego oficera komendy w Mostaganem. Mając powierzony sobie pracę topograficzną na odcinku pomiędzy Tener i ujściem Szeliwu, zamieszkiwał małą arabską chatynkę, która nie tylko nie zapewniała wykwintu ale nawet wygody. Kapitan nie przejmował się takimi brzydotkami. Lubił on żyć pełną piersią i korzystał ze wszystkich prerogatyw swobody i wolności stanu oficerskiego. Przemierzał stokrotnie w pieszych wędrówkach piaski wybrzeża, lub wspinał się konno po skalistych zboczach, zace z powierzony sobie pracę nie opieszywał się zbytnio.

Lubił to niezależne prawie życie. Mógł absorbuje zajęcia pozwalające mu wyrwać się ze dwa, trzy razy w tygodniu do Oranu na przyjęcia u generała, lub na uroczyste zebrania u gubernatora Algieru.

Przy takiej to wrażliwości sposobności poznał panią de L... Była to wdowa po pułkowniku, młoda, bardzo piękna, dumna i nieprzystępna kobieta, która nie widziała lub nie chciała widzieć skądanych sobie hołdów. Z tego powodu kapitan Servadac nie miał odwagi wyrazić jej swych uczuć. Wiedziała poza tem, że ma rywali, a najgroźniejszym z nich był hrabia Timaszew. Rywalizacja ta wrażliwości wywołała pojedynek, o którym zresztą nic nie wiedziała Bogu ducha winna dama. Zresztą, jak wiadomo, nazwisko jej nie zostało wymienione.

Mała chatka arabska zamieszkiwana wraz z kapitanem Servadac'em jego ordynans Ben-Zouf.

Ben-Zouf duszą i ciałem oddany był swemu władcy i panu. Nie zamieniłby swej służby przy boku kapitana na najszczytniejsze stanowisko, odrzuciłby zapewne bez wahania propozycję zostania adjutantem generalnego gubernatora Algieru. Pozbawiony zupełnie ambicji osobistej kariery, ogromnie był czuły na punkcie wcielenia nowych zaszczytów dla swego pana i codziennie zrana sprawdzał, czy mundur kapitana nie zdobi jeszcze pułkownikowskie szlify.

Słyszyc z imienia mógłaby przypuścić, że Ben-Zouf był Algierczykiem. Opinia ta jednak byłaby mylna. Imię to bowiem było tylko przydomkiem. Był on czystej krwi Francuzem i urodził się w Paryżu, w dzielnicy Montmartre. Do gniazda ojczyznośnego wzdychał i wspominał je z rozrzewnieniem. Montmartre skupiał dlań w sobie wszystkie cudowności i uroki świata i był niezaprzeczalnie najwspanialszą górą na ziemi. W podróżyach swych widywał naprawdę niejednokrotnie wyniosłości potężniejsze, żadna z nich jednakże nie wydała mu się równie malowniczą. Ben-Zouf dałby się raczej posiekać w kawałki, zanimby przyznał, że ukochany Montmartre ma mniej niż pięć tysięcy metrów wysokości!

W najcięższych opresjach ratował życie kapitanowi, kapitan zace odpłacił mu w stosownej chwili tem samem serdecznem przywileżaniem.

Zna<sup>3</sup> on wartość swego ordynansa i ceni<sup>3</sup> go sobie bardzo. Przebacza<sup>3</sup> mu też chętnie jego, niewinne zreszt<sup>1</sup>, dziwactwa i przemawia<sup>3</sup> doń w sposób, który przywi<sup>1</sup>zuje s<sup>3</sup>ugę do zwierchnika.

## Rozdzia<sup>3</sup> III,

*w którym poetyck<sup>1</sup> wenê kapitana Servadac'a rozprasza niepojêty wstrz<sup>1</sup>s.*

Chata arabska jest rodzajem namiotu z dachem krytym s<sup>3</sup>om<sup>1</sup>; jest ona nieco wygodniejsza od namiotów koczuj<sup>1</sup>cych plemion arabskich, ale nie da siê nawet przyrównaæ do budynków z kamienia i ceg<sup>3</sup>y.

Chata zamieszкана przez kapitana Servadac'a by<sup>3</sup>a zwyk<sup>31</sup> sobie lepiank<sup>1</sup>, która nie zaspokoi<sup>3</sup>aby potrzeb lokatorów, gdyby nie przylega<sup>3</sup> do niej kamienny budynek, daj<sup>1</sup>cy schronienie Ben-Zoufowi i obu wierzchowcom. W domku tym, zajêtym poprzednio przez oddzia<sup>3</sup> pionierów, poniewiera<sup>3</sup>y siê jeszcze przeró<sup>1</sup>ne narzędzia, w rodzaju motyk, kilofów i <sup>3</sup>opat.

Mieszkanie to pozostawia<sup>3</sup>o, rzecz prosta, wiele do <sup>1</sup>yczenia, ale kapitan i jego ordynans nie wymagali w zakresie pomieszczenia i <sup>1</sup>ywności luksusu.

Ze zdrowym <sup>1</sup>o<sup>31</sup>dkiem i filozoficznym pogl<sup>1</sup>dem na œwiat mo<sup>1</sup>na urz<sup>1</sup>dziaæ siê wszêdzie – mawia<sup>3</sup> zawsze pogodny i weso<sup>3</sup>y kapitan.

Z filozofj<sup>1</sup> ma siê rzecz, jak z drobnymi w kieszeni Gaskończyka, nie zabraknie jej nigdy. Co zaœ do <sup>1</sup>o<sup>31</sup>dka Hectora Servadac'a, to nie zaszkodzi<sup>3</sup>oby mu nawet wch<sup>3</sup>oniêcie wszystkich wód Garonny.

Ben-Zouf ze swej strony by<sup>3</sup> chyba – uwzglêdniamy tu teorjê reinkarnacji<sup>1</sup>

w poprzednim swem <sup>1</sup>yciu strusiem, i z dawnego wcielenia zachowa<sup>3</sup> po dzieæ dzieñ <sup>1</sup>elazne jelita i <sup>1</sup>o<sup>31</sup>dek, trawi<sup>1</sup>cy z równ<sup>1</sup> <sup>3</sup>atwoœci<sup>1</sup> kamienie, jak kotlety z pulardy.

Nale<sup>1</sup>zy tu zaznaczyæ, <sup>1</sup>e przygodni goœcie biednej lepianki zaopatrzeni byli w <sup>1</sup>ywnoœæ na przeci<sup>1</sup>g miesi<sup>1</sup>ca, ogromna cysterna dostarcza<sup>3</sup>a im poddostatkiem wody do picia, obrok dla koni wype<sup>3</sup>nia<sup>3</sup> a<sup>1</sup> po stropy strych stajni, ponadto okolica, w której obozowali, by<sup>3</sup>a wyj<sup>1</sup>tkowo <sup>1</sup>yzna i obfitowa<sup>3</sup>a w zwierzynê.

Powróciwszy do domu, kapitan Servadac zasiad<sup>3</sup> z wilczym apetytem do sto<sup>3</sup>u. Ben-Zouf by<sup>3</sup> wyœmienitym kucharzem. Soli<sup>3</sup>, pieprzy<sup>3</sup> i zaprawia<sup>3</sup> octem, iœcie po <sup>1</sup>o<sup>3</sup>niersku. Ale obaj sto<sup>3</sup>ownicy znosili œwietnie te pal<sup>1</sup>ce i gryz<sup>1</sup>ce pikanterje, obce im bowiem by<sup>3</sup>o uczucie niestrawnoœci.

Po obiedzie, podczas gdy ordynans chowa<sup>3</sup> starannie resztki libacji, Hector Servadac z papierosem w ustach uda<sup>3</sup> się na przybrzeżne ska<sup>3</sup>y zaczerpn<sup>1</sup>æ powietrza.

Dzień mia<sup>3</sup> się ku schy<sup>3</sup>kowi. S<sup>3</sup>ońce, ukryte za gęstemi chmurami, znik<sup>3</sup>o za lini<sup>1</sup> horyzontu. Ciemności nocy spowi<sup>3</sup>y ziemię. Niebo tylko by<sup>3</sup>o jakieś dziwne i widok jego bezwzględnie zastanowi<sup>3</sup>by każdego badacza zjawisk kosmicznych. Od strony północy widać by<sup>3</sup>o, mimo że wzrok ludzki sięga<sup>3</sup> w ciemności tylko na odleg<sup>3</sup>ość pół kilometra, czerwone oświet<sup>3</sup>o, które blaskiem swym nasyca<sup>3</sup>o ciężkie mg<sup>3</sup>y rozsnu<sup>3</sup>te w powietrzu. Meteorolog by<sup>3</sup>by w wielką kłopot<sup>3</sup>ie, do jakiej kategorii zjawisk zaliczy<sup>æ</sup> dziwne oświet<sup>3</sup>a tej ostatniej w roku nocy.

Ale kapitan Servadac nie by<sup>3</sup> meteorologiem i od czasów szkolnych nie tkn<sup>13</sup> z pewnością kosmografii. Zreszt<sup>1</sup>, dzisiejszego wieczora nie by<sup>3</sup> usposobiony do zg<sup>3</sup>ębienia tajemników niebieskiego firmamentu. W<sup>3</sup>óczy<sup>3</sup> się bez celu i pali<sup>3</sup> papierosy. Czy<sup>1</sup>by poch<sup>3</sup>ania<sup>3</sup>a go tak myś<sup>1</sup> bliskiego pojedynku z hrabi<sup>1</sup> Timaszewem. Jeżeli wraca<sup>3</sup> nawet myś<sup>1</sup> do tej sprawy, to w każdym razie by<sup>3</sup>y to niewinne refleksje, które nie podsyca<sup>3</sup>y w nim nienawiści do rywala. Obaj przeciwnicy bowiem nie byli względem siebie wrogo usposobieni. Chodzi<sup>3</sup>o im tylko o wyjaśnienie sytuacji, w której obecność jednego z nich by<sup>3</sup>a zbędna. Hector Servadac uważa<sup>3</sup> hrabiego za urodzonego gentlemana, hrabia zaś ze swej strony żywi<sup>3</sup> dla kapitana najg<sup>3</sup>ębszy szacunek.

Oko<sup>3</sup>o godziny ósmej kapitan powróci<sup>3</sup> do swej izdebki, w której sta<sup>3</sup>o 3<sup>3</sup>ółko, ma<sup>3</sup>y pulpit do pracy i kilka waliz, specjalnych role szuflad i szaf. Przygotowania kulinarne odbywa<sup>3</sup>y się w sąsiednim budynku, tam też sypia<sup>3</sup> Ben-Zouf, któremu twardy jak kamień tapczan nie przeszkadza<sup>3</sup> bynajmniej spać po dwanaście godzin na dobę.

Kapitana nie ci<sup>1</sup>gnę<sup>3</sup>o jeszcze 3<sup>3</sup>ółko. Siad<sup>3</sup> więc przy stole zarzuconym przyborami do pracy. Machinalnie wzi<sup>13</sup> do ręki czerwono-niebieski o<sup>3</sup>ówek, w drug<sup>1</sup> zaś d<sup>3</sup>oń uj<sup>13</sup> kompas. Na roz<sup>3</sup>ożonym papierze pocz<sup>13</sup> kreśli<sup>æ</sup> jakieś esy i floresy, które w niczem nie przypominają systematycznych kreśleń z dziedziny topografii.

W tym czasie Ben-Zouf, który nie otrzyma<sup>3</sup> jeszcze rozkazu udania się na spoczynek, wyci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> się w k<sup>1</sup>cie pokoju na pod<sup>3</sup>odze i usi<sup>3</sup>owa<sup>3</sup> drzemać. Dziwne podniecenie jego pana spędza<sup>3</sup>o mu jednak sen z powiek.

Wypada stwierdzić, że w danym momencie przy stole pracy zasiad<sup>3</sup> nie oficer sztabowy, lecz poeta-Gaskończyk. Tak jest! Hector Servadac robi<sup>3</sup> nieludzkie wysi<sup>3</sup>ki. Zapali<sup>3</sup> się do ody, chciał<sup>3</sup> tworzyć za wszelk<sup>1</sup> cenę, ale brak<sup>3</sup>o mu natchnienia i nie wiedzia<sup>3</sup> co czynić, aby je zdobyć.

W każdym razie pracowa<sup>3</sup> ciężko.

A, do kroęset! – zakl<sup>13</sup> siarczyście. – Czemuż wybra<sup>3</sup>em tę formę wiersza, która mnie zmusza do uganiania się wzi<sup>1</sup>ż za temi samemi rymami, jak za zbiegami w czasie bitwy. – Ale nie ust<sup>1</sup>pię! Będę walczy<sup>3</sup> do upad<sup>3</sup>ego! I pokaż<sup>1</sup>ę, że oficer francuski nie ulęknie się trudności rymotwórstwa. Każda strofka jest wygran<sup>1</sup> walk<sup>1</sup>!

Cóż tam tak mruży mój kapitan – myś<sup>1</sup>la<sup>3</sup>, przewracaj<sup>1</sup>c się z boku na bok, Ben-Zouf. – Oto już od godziny miota się, jak mucha w ukropie! Z pewnością pisze wiersze – zakonkludowa<sup>3</sup> Ben-Zouf,



podnosz<sup>1</sup>c siê z legowiska.

Có¿ za niespokojne rzemios<sup>3</sup>o! Nie sposób siê tu zdrzemn<sup>1</sup>æ!

I westchn<sup>13</sup> bolećnie.

Co ci siê sta<sup>3</sup>o, Ben-Zouf? – zagadn<sup>13</sup> kapitan.

Nic, kapitanie. Mia<sup>3</sup>em mêcz<sup>1</sup>ce sny!

Bodaj ciê djabli!...

Bardzobym tego pragn<sup>13</sup> i by<sup>3</sup>bym nawet rad porwaniu, byleby djabe<sup>3</sup> nie by<sup>3</sup> poet<sup>1</sup>!

Ten cio<sup>3</sup>ek przerwa<sup>3</sup> mi wenê! – jêkn<sup>13</sup> strapiony oficer. – Ben Zouf!

S<sup>3</sup>ucham, kapitanie, – odpar<sup>3</sup> ordynans, staj<sup>1</sup>c w postawie na bacznocæ.

Stój, nie ruszaj siê, nie drgnij nawet! Jestem w<sup>3</sup>acenie w natchnieniu!

Nie zd<sup>1</sup>¿y<sup>3</sup> wypowiedzieæ tych s<sup>3</sup>ów, gdy jakæ tajemnicza si<sup>3</sup>a rzuci<sup>3</sup>a go gwa<sup>3</sup>townie o ziemiê.  
Ten sam los spotka<sup>3</sup> Ben-Zoufa.

## Rozdzia<sup>3</sup> IV,

*w którym niema koñca zdziwieniu i domyœlnikom.*

Dlaczego w tej samej chwili zmieni<sup>3</sup>a siê do tego stopnia linja horyzontu, ¿e najwprawniejsze oko marynarza nie rozpozna<sup>3</sup>oby linii granicznej morza i nieba?

Czemu fale wznosi<sup>3</sup>y siê do wysokoœci, o jakiej nie œnili poeci!

Dlaczego pêka<sup>3</sup>a skorupa ziemska? Sk<sup>1</sup>d ten og<sup>3</sup>uszaj<sup>1</sup>cy huk, w którym s<sup>3</sup>ychaæ by<sup>3</sup>o <sup>3</sup>oskot krusz<sup>1</sup>cych siê ska<sup>3</sup>, szum wód do g<sup>3</sup>êbin wzburzonych, œwist wichru, potê¿nego jak w czasie cyklonu?

Sk<sup>1</sup>d w przestworzach ten blask oœlepiaj<sup>1</sup>cy, silniejszy od b<sup>3</sup>yskawic i od zorzy pó<sup>3</sup>nocnej, który w jednej chwili zaemi<sup>3</sup> wszystkie bez wyj<sup>1</sup>tku gwiazdy? Czemu morze cofnê<sup>3</sup>o siê i znik<sup>3</sup>o, aby w nastêpnej ju¿ chwili spienione fale wœciekle uderza<sup>3</sup>y o nadbrze¿ne ska<sup>3</sup>y?

Czemu tarcza ksiê¿yca wzros<sup>3</sup>a nagle niepomiernie, jakgdyby jej odleg<sup>3</sup>ocæ od Ziemi wielokrotnie siê zmniejszy<sup>3</sup>a?

Czemu wreszcie jakæ olbrzymia, nieznaną dot<sup>1</sup>d kosmografom, kula ognista

ukaza³a siê na niebie, aby po chwili ju¿ znikn¹æ za gêstemi warstwami chmur?

Wreszcie, jaki¿ to dziwny fenomen wywo³a³ ten kataklizm, który wstrz¹sn¹³ do g³êbin morzem, niebem i ca³em przestworzem?

Któ¿ znajdzie na to odpowiedŸ i czy istnieje wogóle taka istota ziemska, która potrafi³aby te zjawiska wyt³umaczyæ?...

## Rozdzia³ V,

*w którym jest mowa o dziwnych zmianach, zaobserwowanych w porz¹dku wszechwiata.*

W czêœci Algieru, zamkniêtej na zachodzie prawym brzegiem rzeki Szeliw i przylegaj¹cej na pó³nocy do morza Cêródziemnego, zmiany terytorjalne nie rzuca³y siê w oczy. Chocia¿ wstrz¹s by³ bardzo gwa³towny, nic, ani kapryœna linja przybrze¿nych ska³, ani nadmiernie wzburzone morze, ani nawet zlekka sfa³dowana równina, nie mówi³y o kataklizmie. Kamienna przybudówka zarysowa³a siê w kilku miejscach, opar³a siê jednak zupe³nemu zniszczeniu. Chata natomiast, jak domek z kart, rozp³aszczy³a siê na ziemi, zaœ dwaj jej mieszkañcy le¿eli bez ruchu pod zniszczonym s³omianym dachem.

Po up³ywie dwóch godzin dopiero kapitan Servadac odzyska³ przytomnoœæ. Trudno mu by³o narazie zebraæ myœli i zorjentowaæ siê w sytuacji. Pierwsze s³owa, które wymówi³, by³y dokoñczeniem wiersza, który zamar³ mu przedtem na ustach.

Poczem zawo³a³:

Có¿ to siê sta³o, do djab³a?!

Na to pytanie skierowane do siebie nie mó³g³, niestety, odpowiedzieæ. Wówczas podniós³ siê i wysun¹³ g³owê na œwiat bo¿y.

Rozejrza³ siê z ciekawoœci¹, woko³o.

Chata zrównana z ziemi¹ – zawo³a³ – widocznie jakœ tr¹ba powietrzna przeci¹gnê³a nad nami. – Zacz¹³ siê obmacywaæ. Stwierdzi³ sprawnoœæ stawów i miêœni. – adnego zwichniêcia, nie by³o nawet zadraœniêæ.

U licha! A gdzie¿ mój ordynans! – uniós³ siê i doby³ g³osu.

Ben-Zouf! – rykn<sup>13</sup> na ca<sup>3</sup>e gard<sup>3</sup>o.

Na dŸwiêk znajomego g<sup>3</sup>osu, druga g<sup>3</sup>owa wydoby<sup>3</sup>a siê z pod s<sup>3</sup>omy.

Jestem – odpowiedzia<sup>3</sup> Ben-Zouf.

Zdawa<sup>3</sup>oby siê, ¿e ordynans czeka<sup>3</sup> tylko tego wezwania.

Czy wiesz, co siê tu w<sup>3</sup>aœciwie dzieje? – spyta<sup>3</sup> Hector Servadac.

Wiem, kapitanie, ¿e wybi<sup>3</sup>a nasza ostatnia godzina.

Przesadzasz. Przeci<sup>1</sup>gnê<sup>3</sup>a nad nami gwa<sup>3</sup>towna burza, zwyk<sup>3</sup>a tr<sup>1</sup>ba powietrzna.

Mogê siê i na to zgodziæ – odpar<sup>3</sup> filozoficznie Ben-Zouf. – Czy wszystkie cz<sup>3</sup>onki pana kapitana s<sup>1</sup> w nale¿ytm porz<sup>1</sup>dku?

W najzupe<sup>3</sup>niejszym.

Po chwili obaj byli ju¿ na nogach. Uprz<sup>1</sup>tnêli smutne szcz<sup>1</sup>tki lepianki i w gruzach odnaleŸli ca<sup>31</sup> sw<sup>1</sup> chudobê: sprzêty, narzêdzia, dokumenty, bron i ubranie.

Która¿ to bêdzie godzina? – spyta<sup>3</sup> kapitan.

Conajmniej ósma – odpar<sup>3</sup> Ben-Zouf, patrz<sup>1</sup>c na s<sup>3</sup>oñce, bêd<sup>1</sup>ce ju¿ doœæ wysoko ponad linj<sup>1</sup> horyzontu.

ósma!

Conajmniej!

Czy¿ to mo¿liwe?

Z najwiêksz<sup>1</sup> pewnoœci<sup>1</sup>. I czas nam ju¿ ruszyæ w drogê.

W drogê?

Oczywiêcie. Mamy przecie¿ pojedynek!

Pojedynek!! Z kim!

Z hrabi<sup>1</sup>...

A, do kroæset! By<sup>3</sup>bym zapomnia<sup>3</sup>!...

I wyci<sup>1</sup>gaj<sup>1</sup>c zegarek, rzek<sup>3</sup>:

G<sup>3</sup>upstwa gadasz, Ben-Zouf. Najwidoczniej oszala<sup>3</sup>eœ! Jest zaledwie godzina druga.

Druga w po<sup>3</sup>udnie, czy w nocy? – pyta<sup>3</sup> Ben-Zouf, spojieraj<sup>1</sup>c na s<sup>3</sup>oñce.

Hector Servadac zbli<sup>3</sup>y<sup>3</sup> zegarek do ucha.

Chodzi... – skonstatowa<sup>3</sup>.

I s<sup>3</sup>oñce nie stoi w miejscu – upiera<sup>3</sup> siê ordynans.

Hector Servadac.

Istotnie, s<sup>1</sup>dz<sup>1</sup>c z po<sup>3</sup>o<sup>3</sup>lenia na niebie... Ale<sup>3</sup> do licha, to nie do wiary!...

Có<sup>3</sup> siê sta<sup>3</sup>o, kapitanie?

Czy<sup>3</sup>by by<sup>3</sup>a godzina ósma wieczorem?

Wieczorem?

Tak, s<sup>3</sup>oñce jest na zachodzie i najpewniej za chwilê zajdzie.

Ale<sup>3</sup> nic podobnego, kapitanie – protestowa<sup>3</sup> Ben-Zouf. – W<sup>3</sup>acenie wstaje piêkne i zdrowe, jak rekrut na odg<sup>3</sup>os pobudki. I proszê, od chwili jak rozmawiamy, ju<sup>3</sup> siê znacznie podnios<sup>3</sup>o na niebie.

A zatem s<sup>3</sup>oñce wschodzi<sup>3</sup>oby teraz na zachodzie – szepta<sup>3</sup> kapitan Servadac – na Boga! Ale<sup>3</sup> to niemo<sup>3</sup>liwe!...

Fakt jednak by<sup>3</sup> faktem i nie da<sup>3</sup> siê zaprzeczyæ! Promienieja gwiazda jaenia<sup>3</sup>a nad wodami Szeliwu, rozpoczyna<sup>3</sup>a po niebie sw<sup>1</sup> dzienn<sup>1</sup> wêdrówkê. Hector Servadac poj<sup>13</sup>, <sup>3</sup>e zaszed<sup>3</sup> jakie nies<sup>3</sup>ychany, a nadewszystko niezrozumia<sup>3</sup>y fenomen natury, który zmieni<sup>3</sup> kierunek obrotu ziemi doko<sup>3</sup>a jej osi.

By<sup>3</sup>o to nie do wiary! Czy<sup>3</sup> istotnie mog<sup>3</sup>y siê dziaæ podobne rzeczy? Gdyby Hector Servadac mia<sup>3</sup> pod rêk<sup>1</sup> ktoregoœ z cz<sup>3</sup>onków towarzystwa geograficznego, niew<sup>1</sup>tpliwie za<sup>3</sup>da<sup>3</sup>by od niego wyjaœnienie! Ale pozostawiony w<sup>3</sup>asnym tylko domys<sup>3</sup>om, powtarza<sup>3</sup> wkó<sup>3</sup>ko:

To niemo<sup>3</sup>liwe... to zadziwiaj<sup>1</sup>ce. No, poczekajmy, zobaczymy, co napisz<sup>1</sup> dzienniki.

Poczem, nie trudz<sup>1</sup>c siê ju<sup>3</sup> d<sup>3</sup>u<sup>3</sup>ej rozwi<sup>1</sup>zaniem tajemniczych zagadek, zwróci<sup>3</sup> siê do ordynansa:

W drogê! – rozkaza<sup>3</sup>. – Cokolwiek siê stanie, jeżeli nawet ca<sup>3</sup>a kula ziemiska w proch siê rozsypie, pragnê byæ pierwszy na stanowisku, by powitaæ hrabiego Timaszewa.

I przebiaæ go szpad<sup>1</sup> nawylot! – dokoñczy<sup>3</sup> Ben-Zouf.

Gdyby Hector Servadac i jego ordynans obserwowali zjawiska fizyczne, jakie zasz<sup>3</sup>y

niespodziewanie w nocy z dnia 31 grudnia na 1-y stycznia, zauważyliby niechybnie gruntown<sup>1</sup> zmianę warunków atmosferycznych. Istotnie, pewne rzucaj<sup>1</sup>ce się w oczy objawy, powinny być zwrócić ich uwagę: oddychali z pewnym trudem, jak to ma miejsce na wycieczkach wysokogórskich, gdy otaczaj<sup>1</sup>ce powietrze staje się coraz rzadsze i coraz mniej zawiera tlenu. Poza tym głosy ich stały się cichsze. Należa<sup>3</sup>o więc przypuścić jedno z dwojga, częściow<sup>1</sup> utratę słuchu, lub też zmianę składu powietrza, co musia<sup>3</sup>oby wpłynąć ujemnie na przenoszenie dźwięków. Zmiany te nie zaprzętały jednakże w tej chwili uwagi oficera, ani jego ordynansa, zmierzających spokojnie urwist<sup>1</sup> ościeżki ku rzece Szeliw.

Nie było już śladu wczorajszej mglistej i przykrew pogody. Równomiernie zabarwione i pokryte niskimi chmurami niebo nie pozwalało śledzić drogi słonecznej. W powietrzu wisiała groźba ulewnego deszczu albo potężnej burzy.

Morze, jak okiem sięgnąć, zdawało się bezbrzeżną pustynią. Żadnego śladu dymu na szarej powierzchni wody i nieba. Linja horyzontu, czyżby to było zniekształcenie optyczne, przybliżyła się znacznie, zarówno od strony morza jak i lądu. Można by śmiało zaniknąć bezkresne dale, jakgdyby kula ziemską zmalała.

Kapitan Servadac i Ben-Zouf w szybkim tempie posuwali się naprzód. W milczeniu przebyli pięciokilometrową przestrzeń, dzieląc chatę od umówionego miejsca spotkania. W czasie drogi obu zafrapowała dziwna lekkość ich ciała; czuli się tak, jakgdyby przygotowano im skrzydła.

Ordynans przypisywał to działaniu jakiejś czarodziejskiej siły, która nie potrafiła w nim jednak zabić uczucia głodu, coraz dotkliwiej dającego się we znaki. Istotnie, nie przełknął nawet kęsa chleba, przeoczenia zaś tego rodzaju nie leżą bynajmniej w naturze dzielnego żołnierza.

Nagle, z lewej strony ościeżki, doszło ich uszu jakieś nieprzyjemne szczekanie. W tej samej chwili z gęstwiny wyłonił się szakal. Jest to specyficzny okaz fauny afrykańskiej, o szerokiej gęsto nakrapianej czarnymi plamami i czarnej przedzie przebiegającej wzdłuż piersi.

Szakal bywa niebezpieczny w gromadzie, w czasie nocnych wypraw po żer. Pojedynczo nie jest groźniejszy od psa. To też Hector Servadac nie przeraził się zwierzęciem, ale Ben-Zouf nie lubił szakali, być może z tej prostej przyczyny, że nie widywał nigdy podobnych stworzeń na Montmartre.

Zwierzę, wypadłszy z gęstwiny, zatrzymało się u podnóża dosyć wysokiej, może dziesięciometrowej skały, śledząc z widocznym lękiem przechodniów. Ben-Zouf udawał, że bierze je na cel. Ten groźny gest wystarczył, aby szakal zerwał się jak oparzony i, ku najwyższemu zdziwieniu kapitana i jego ordynansa, skoczył aż na sam szczyt skały.

Istotnie – zamyślił się kapitan – nigdy jeszcze nic podobnego nie widziałem!

Szakal przyglądał im się drwiłco z wierzchołka skały i dopiero rzucony przez Ben-Zoufa duży kamień zmusił go do ucieczki.

Kamień był znacznych rozmiarów, a jednak w ręce ordynansa ważył nie więcej, niż kawałek pumeksu.

Cios chybi<sup>3</sup>, jednakże sp<sup>3</sup>oszy<sup>3</sup> zwierzę, które w gigantycznych, godnych gumowego kangura, susach przesadza<sup>3</sup> o szpalery drzew i wy<sup>3</sup>omy skalne, dopóki nie znik<sup>3</sup> o z oczu patrz<sup>1</sup>cych.

Kamień, chybiwszy celu, opisa<sup>3</sup> wielki <sup>3</sup>uk w powietrzu i, ku najwyższemu zdumieniu Ben-Zoufa, pad<sup>3</sup> w odleg<sup>3</sup>ooci pięciuset kroków za ska<sup>31</sup>.

W imię Ojca i Syna! – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>. – Niewiele brakuje i sam stanę siê kul<sup>1</sup> armatni<sup>1</sup>.

Ben-Zouf, który wyprzedzi<sup>3</sup> o kilka metrów kapitana, znalaz<sup>3</sup> siê teraz przed nape<sup>3</sup>nionym wod<sup>1</sup>rowem, który należa<sup>3</sup>o przesadziæ. Nabra<sup>3</sup> wiêc rozmachu i skoczy<sup>3</sup> z zaciêciem wprawnego gimnastyka.

Ben-Zouf, cóż ty wyprawiasz! Co ci siê sta<sup>3</sup>o? Sforsujesz sobie lédŸwie, durniu jeden! – wo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> kapitan, przerażony widokiem, wznosz<sup>1</sup>cego siê w powietrze na wysokoœæ czterdziestu stóp od ziemi, ordynansa.

Hector Servadac, poch<sup>3</sup>onięty ca<sup>3</sup>kowicie myœl<sup>1</sup> o niebezpieczeństwie, zagrażaj<sup>1</sup>cem ordynansowi przy spadaniu, sam zkolei przesadza<sup>3</sup> rów. I, o dziwo! Drobnym wysi<sup>3</sup>ek miêceni wzniós<sup>3</sup> go na wysokoœæ kilkudziesięciu stóp. Wznosz<sup>1</sup>c siê wgórê, min<sup>13</sup> nawet opadaj<sup>1</sup>cego juŸ Ben-Zoufa. Poczem, zgodnie z odwiecznymi prawami grawitacji, opuœci<sup>3</sup> siê z coraz to wzrastaj<sup>1</sup>c<sup>1</sup> szybkoœci<sup>1</sup> na ziemi, nie doznaj<sup>1</sup>c jednakże silniejszego wstrz<sup>1</sup>su, niŸ przy upadku z wysokoœci trzech do czterech stóp.

Patrzcie państwo – wo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> rozbawiony Ben-Zouf – oto na stare lata zostaliœmy akrobatami.

Hector Servadac zamyœli<sup>3</sup> siê g<sup>3</sup>ęboko, poczem, zbliŸywszy siê do ordynansa, po<sup>3</sup>o<sup>3</sup>y<sup>3</sup> mu d<sup>3</sup>oñ na ramieniu i przemówi<sup>3</sup>:

Nie fruwał Ben-Zoufie i przyjrzyj mi siê uważnie! Nie jestem jeszcze rozbudzony. ObudŸ mnie, proszę! Szczyp mnie do krwi, jeżeli to jest potrzebne: Twierdzê, że zwarzowaliœmy, albo teŸ ocenimy jeszcze!

Faktem jest, kapitanie – odpar<sup>3</sup> Ben-Zouf – że podobne rzeczy przeŸywa<sup>3</sup>em dot<sup>1</sup>d tylko we œnie, kiedy przedzierzga<sup>3</sup>em siê w jaskó<sup>3</sup>kê i lata<sup>3</sup>em ponad szczytem Montmartre! Dziej<sup>1</sup> siê jakieœ dziwne rzeczy! Doznajemy wrzêñ, jakich napewno nikt jeszcze nigdy nie doznawa<sup>3</sup>. Ciekawym, czy dzieje siê to tylko na wybrzeŸu Algeru?

Hector Servadac oniemia<sup>3</sup> z nadmiaru wrzêñ.

Prostu moŸna oszaleæ – irytowa<sup>3</sup> siê – jesteœmy nibyto rozbudzeni, a jednak ocenimy!

Ale kapitan nie mia<sup>3</sup> zwyczaju zatrzymywaæ siê d<sup>3</sup>uŸej nad zagadnieniami trudnymi do rozwi<sup>1</sup>zania, postanowi<sup>3</sup> zatem nie dziwiæ siê juŸ niczemu i zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>:

Niech siê dzieje wola nieba, z ni<sup>1</sup> siê zawsze zgodziæ trzeba.

S<sup>3</sup>usznie, kapitanie – zawyrokowa<sup>3</sup> Ben-Zouf – ale przedewszystkiem kończmy nasze sprawy z

hrabi<sup>1</sup> Timaszewem.

Poza rowem ci<sup>1</sup>gnê<sup>3</sup>a siê niewielka, us<sup>3</sup>ana miêkk<sup>1</sup> traw<sup>1</sup> i wonnem kwieciem, <sup>3</sup>1ka. Okala<sup>3</sup>y j<sup>1</sup> piêædziesiêcioletnie drzewa, zielone dêby, palmy, drzewa œwiêtojañskie, klony, gdzie niegdzie nawet kaktusy i aloesy, wœród których królowa<sup>3</sup>y dwa, lub trzy wynios<sup>3</sup>e eukaliptusy.

Na tej w<sup>3</sup>acenie ukrytej wœród drzew <sup>3</sup>1ce mieli siê ranka dzisiejszego zmierzyæ przeciwnicy.

Kapitan Servadac obrzuci<sup>3</sup> teren bystrem spojrzeniem, nie dojrzawszy zacc nikogo, rzek<sup>3</sup>:

Pomimo wszystko przybylicemy pierwsi!

Albo ostatni – skorygowa<sup>3</sup> Ben-Zouf.

Jako ostatni! Przecie¿ niema jeszcze dziewi<sup>1</sup>tej – odpar<sup>3</sup> Hector Servadac, spozieraj<sup>1</sup>c na zegarek, który przed wyruszeniem w drogê regulowa<sup>3</sup> pod<sup>3</sup>ug s<sup>3</sup>oñca.

Czy nie dostrzegasz, kapitanie – replikowa<sup>3</sup> dalej ordynans – przes<sup>3</sup>oniêtej chmur<sup>1</sup> œwietlistej kuli?

Widzê – brzmia<sup>3</sup>a odpowiedŸ – zamglony kr<sup>1</sup>g, który w tej chwili osi<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> punkt najwy¿szy.

A wiêc – podj<sup>13</sup> Ben-Zouf – ta kula nie mo¿e byæ niczem innym, jak s<sup>3</sup>oñcem, lub... jego zastêpc<sup>1</sup>.

S<sup>3</sup>oñce w zenicie! W styczniu! Na trzydziestym dziewi<sup>1</sup>tym stopniu pó<sup>3</sup>nocnej szerokoœci?! – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> Hector Servadac.

A jednak to ono i w<sup>3</sup>acenie wskazuje po<sup>3</sup>udnie. Widocznie œpieszy siê dzieæ bardzo. Dam g<sup>3</sup>owê, ¿e przed up<sup>3</sup>ywem trzech godzin doczekamy siê zachodu.

Hector Servadac sta<sup>3</sup> nieruchomy ze skrzy¿owanymi na piersiach rêkoma. Poczem zacz<sup>13</sup> siê zwolna obracaæ i obserwowaaæ ró¿ne punkty na horyzoncie.

Zasadnicza zmiana prawa powszechnego ci<sup>1</sup>¿enia! – mruca<sup>3</sup> pod nosem. – Przesuniêcie kardynalnych punktów na niebie, d<sup>3</sup>ugoœæ dnia skrócona o po<sup>3</sup>owê!... Oto, co opóŸni<sup>3</sup>o moje spotkanie z hrabiã Timaszewem. Coœ dziwnego siê dzieje! Bo przecie¿ nie zwarjowalicemy obaj jednoczenie. Zmiany, które konstatujê, nie s<sup>1</sup> chyba wytworem chorej wyobraŸni!

Ben-Zouf, któremu niezwyk<sup>3</sup>e fenomeny natury nie wydar<sup>3</sup>y nawet okrzyku zdumienia z gard<sup>3</sup>a, przygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> siê oficerowi ze spokojem i obojêtnoœci<sup>1</sup>.

Ben-Zouf! – szarpn<sup>13</sup> go za ramiê kapitan.

Kapitanie!

Czy i ty nie widzisz nikogo!

Nie widzê nikogo, nasz przeciwnik ju¿ odszed<sup>3</sup>.

Przypuœciwszy nawet, ¿e by<sup>3</sup> i odjecha<sup>3</sup>, nie rozumiem nieobecnoœci moich sekundantów, którzy byliby przecie¿ czekali, lub wyszliby nam naprzeciw.

I ja tak s<sup>1</sup>dzê, kapitanie.

Wnoszê zatem, ¿e wcale ich tu nie by<sup>3</sup>o.

A jeœli ich tu nie by<sup>3</sup>o!...

Znaczy, ¿e przybyæ nie mogli. Co zaœ do hrabiego Timaszewa...

Nie koñcz<sup>1</sup>c zdania, kapitan Servadac zbli¿y<sup>3</sup> siê do skalistego wybrze¿a i szuka<sup>3</sup> na zatoce wzrokiem *Dobryny*. Mo¿liwe wszak by<sup>3</sup>o, ¿e hrabia Timaszew obra<sup>3</sup> drogê wodn<sup>1</sup>.

Ale morze by<sup>3</sup>o puste. Jak okiem siêgn<sup>1</sup>æ nie widaæ na niem by<sup>3</sup>o statku, ani <sup>3</sup>ódki. W powietrzu panowa<sup>3</sup>a cisza, nie czu<sup>3</sup>o siê najl¿ejszego powiewu, mimo to morze by<sup>3</sup>o niezwykle wzburzone, coe siê w niem kot<sup>3</sup>owa<sup>3</sup>o i burzy<sup>3</sup>o, jak woda w garnku postawionym na du¿ym ogniu. Rzecz prosta, ma<sup>3</sup>y jachcik nie móg<sup>3</sup>by siê utrzymaæ na powierzchni tych spienionych wód.

Niezale¿nie od tego Hector Servadac zauwa¿y<sup>3</sup>, ¿e <sup>3</sup>uk, wzd<sup>3</sup>u¿ którego niebo zdaje siê <sup>31</sup>czyæ z ziemia, zmala<sup>3</sup> niepomiernie.

Istotnie, obserwator, patrz<sup>1</sup>cy z wysokiego wybrze¿a, widzia<sup>3</sup> linje horyzontu rysuj<sup>1</sup>ce siê w odleg<sup>3</sup>oœci zaledwie kilkunastu kilometrów, jakgdyby w przeci<sup>1</sup>gu kilku ostatnich godzin nast<sup>1</sup>pi<sup>3</sup> nag<sup>3</sup>y skurcz kuli ziemskiej.

Wszystko to jest a¿ nazbyt dziwne! – szepn<sup>13</sup> oficer sztabu generalnego.

W tym czasie Ben-Zouf, ze zrêcznoœci<sup>1</sup> najzwinniejszego z czworonogów, wdrapa<sup>3</sup> siê na szczyt eukaliptusa. Z tego wynios<sup>3</sup>ego punktu móg<sup>3</sup> zbadaæ teren we wszystkich kierunkach. Znalaz<sup>3</sup>szy siê zpowrotem na ziemi, zapewni<sup>3</sup> kapitana, ¿e ca<sup>3</sup>a równina sprawia wra¿enie opustosza<sup>3</sup>ej.

Na mi<sup>3</sup>oœæ Bosk<sup>1</sup>! – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> Servadac. – IdŸmy dalej w stronê rzeki. Tam mo¿e siê czegoœ dowiemy!

A zatem w drogê, do Szeliwu! – odpar<sup>3</sup> Ben-Zouf.

Najwy¿ej trzy kilometry oddziela<sup>3</sup>y <sup>31</sup>kê od rzeki, do której skierowa<sup>3</sup> siê kapitan Servadac, zamierzaj<sup>1</sup>c w dalszym ci<sup>1</sup>gu udaæ siê do Mostaganem. Nale¿a<sup>3</sup>o siê œpieszyæ, aby dojœæ do miasta przed schy<sup>3</sup>kiem dnia. Poprzez zbit<sup>1</sup> masê chmur przeziera<sup>3</sup>o chyl<sup>1</sup>ce siê w szybkim tempie ku zachodowi s<sup>3</sup>oñce. Do wszystkich dziwów dnia tego dodaæ nale¿y jeszcze i tê okolicznoœæ, ¿e zamiast sun<sup>1</sup>æ po zwyk<sup>3</sup>ej krzywej, w<sup>3</sup>œeciwej zimowej porze i szerokoœci geograficznej Algeru, s<sup>3</sup>oñce pada<sup>3</sup>o pionowo ku linii horyzontu. Posuwaj<sup>1</sup>c siê wci<sup>1</sup>¿ naprzód, kapitan Servadac rozmyœla<sup>3</sup>. Jeœli wskutek jakiegoœ niezrozumia<sup>3</sup>ego kataklizmu obrót ziemi uleg<sup>3</sup> zmianom, jeœli nawet, wzi<sup>1</sup>wszy pod uwagê, ¿e s<sup>3</sup>oñce znajduje siê teraz w zenicie, przypuœciæ, ¿e wybrze¿e



algerijskie jakimœ cudownym sposobem przeniesiono w strefê równika, to zjawiska te stosunkowo ma<sup>31</sup> krzywdê wyrz<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>y Ziemi, przynajmniej tej czêœci l<sup>1</sup>du afrykañskiego, na której przebywa<sup>3</sup>. Teren by<sup>3</sup>, jak zwykle, lekko sfalowany.

Jak daleko wzrok siêga<sup>3</sup>, ¿adna deformacja nie rzuca<sup>3</sup>a siê w oczy. Wszystko by<sup>3</sup>o jak dawniej, po stronie lewej po<sup>3</sup>udniowej, a raczej po tej, któr<sup>1</sup> kapitan Servadac w dalszym ci<sup>1</sup>gu mianowa<sup>3</sup> po<sup>3</sup>udniow<sup>1</sup>, w odleg<sup>3</sup>oœci trzech mniej wiêcej mil angielskich rysowa<sup>3</sup>y siê na niebie szczyty górskie.

W tej chwili s<sup>3</sup>oñce wyrwa<sup>3</sup>o siê z za chmur i ostatnimi promieniami ¿egna<sup>3</sup>o ziemiê. By<sup>3</sup>o oczywiste, ¿e gwiazda promienna, która wzesz<sup>3</sup>a na zachodzie, zachodzi na wschodzie.

Ciekaw jestem – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> kapitan Servadac – co o tem wszystkim myœl<sup>1</sup> w Mostaganem? Co powie minister wojny, dowiedziawszy siê z depesz o dezorganizacji w prowincjach po<sup>3</sup>udniowej Afryki?

Ca<sup>31</sup> kolonjê afrykañsk<sup>1</sup> – odpowiedzia<sup>3</sup> spokojnie Ben-Zouf – ka¿<sup>1</sup> osadziæ w areszcie.

A wschód i zachód, które ocemiel<sup>3</sup>y siê sprzeciwiaæ wojskowym rozkazom?

Wys<sup>3</sup>ane zostan<sup>1</sup> do oddzia<sup>3</sup>ów dyscyplinarnych!

A ¿e w miesi<sup>1</sup>cu styczniu promienie s<sup>3</sup>oneczne padaj<sup>1</sup> na mnie prostopadle?

Padaj<sup>1</sup> na oficera?! Zastrzeliaæ s<sup>3</sup>oñce!

Tymczasem obaj œpieszyli siê bardzo. Dziêki niezwyk<sup>3</sup>ej lekkoœci, która sta<sup>3</sup>a siê ju¿ ich drug<sup>1</sup> natur<sup>1</sup>, sunêli w skok, jak sp<sup>3</sup>oszone gazy. Nie posuwali siê ju¿ œcie¿k<sup>1</sup>, która wi<sup>3</sup>a siê wœród przybrze¿nych ska<sup>3</sup>, ta droga wyda<sup>3</sup>a im siê za d<sup>3</sup>uga, gnali na prze<sup>3</sup>aj, byle dalej! Byle prêdziej! Przesadzali rowy i strumienie, przeskakowali kêpy drzew, w locie mijali pagórki. Obaj mieli jedn<sup>1</sup> tylko troskê, przybyæ czem prêdziej do miasta! Nie dotykali prawie stopami ziemi, która wyda<sup>3</sup>a im siê elastyczn<sup>1</sup> trampolin<sup>1</sup>. Fruwali poprostu, posuwali siê lotem ptaka wzd<sup>3</sup>u¿ linii powietrznej!

Wreszcie ujrzeli wody Szeliwu i w kilku susach dotarli do prawego wybrze¿a.

Tu jednak zmuszeni byli siê zatrzymaæ. Ani œladu mostu, widocznie zosta<sup>3</sup> zerwany.

Gdzie¿ jest most? – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> kapitan Servadac. – Tu musia<sup>3</sup>a byæ powódŸ, nowy potop!

Mo¿e... – odpar<sup>3</sup> obojêtnie Ben-Zouf.

A jednak by<sup>3</sup>o czemu siê dziwiaæ.

W<sup>3</sup>oœciwie Szeliw znikn<sup>13</sup>. Nie widaæ by<sup>3</sup>o œladu lewego wybrze¿a. Prawy brzeg, który jeszcze wczoraj rysowa<sup>3</sup> siê wyraŸnie na tle ¿yznej równiny, sta<sup>3</sup> siê brzegiem morza. Na zachodzie, zamiast ¿ó<sup>3</sup>tych, szemrz<sup>1</sup>cych wód spokojnej rzeki, pieni<sup>3</sup>y siê wzburzone sine fale. Mia<sup>3</sup>o siê wra¿enie, ¿e rzeka rozp<sup>3</sup>ynê<sup>3</sup>a siê w morzu.

Woda zala³a tereny Mostaganem.

Hector Servadac chocia³ rzecz zbadaæ dok³adnie. Zbli¿y³ siê do wybrze¿a, poroœniêtego kêpami wawrzynów, zaczerpn¹³ rêk¹ wody i podniós³ j¹ do ust.

S³ona! – wyszepta³. – Morze w przeci¹gu kilku godzin poch³onê³o ca³¹ zachodni¹ czêœæ Algeru.

A zatem, kapitanie – wtr¹ci³ Ben-Zouf – awantura ta potrwa pewno d³u¿ej ni¿ zwyk³a powódŸ?

Rozumie siê! Ca³y œwiat siê zmieni³ – odpar³ pochyłony wci¹¿ jeszcze kapitan – ten kataklizm mo¿e poci¹gn¹æ za sob¹ zupe³nie nieobliczalne zmiany! Co te¿ siê sta³o z moimi przyjació³mi i towarzyszami broni!

Ben-Zouf po raz pierwszy widzia³ tak podnieconego kapitana. I uzna³ za stosowne dostroiaæ siê do tonu swego pana, nietylko ze wzglêdów s³u¿bowych, ale i z serca p³yn¹cego sentymentu.

Nowe wybrze¿e morskie, bêd¹ce dawnym prawym brzegiem Szeliwu, ci¹gnê³o siê w kierunku po³udniowym i pó³nocnym linj¹ zlekką wygiêt¹. Nic nie zdradza³o wstrz¹sów i nag³ych zmian, jakim uleg³a ta w³œcienie czêœæ l¹du afrykañskiego. Na kapryœnie sfalowanym brzegu widnia³y, jak dawniej, p³aty zielonych ³¹k i kêpy odwiecznych, zda siê, drzew. Tylko ¿e by³ to ju¿ nie brzeg rzeki, lecz wybrze¿e nieznanego morza.

Kapitan Servadac zaledwie przez chwilê przygl¹da³ siê zmienionemu krajobrazowi, gdy kontemplacje jego przerwa³ nag³y zachód s³oñca. Promienna gwiazda, ukazawszy siê na horyzoncie od strony wschodu, wpad³a nagle jak kula do morza. Przypuszczalnie w okolicach podzwrotnikowych, w dniu 21-ym marca i 21-ym wrzeœnia, t. j. w czasie, gdy s³oñce przecina ekliptykê, zmiana nocy na dzieñ i dnia na noc nie odbywa siê równie szybko.

Tego wieczora nie by³o zupe³nie zmroku i nale¿a³o siê spodziewaaæ, ¿e nastêpny ranek pozbawiony bêdzie œwitu.

Ziemiê, niebo i morze spowi³y w jednej chwili nieprzeniknione ciemnoœci.

## Rozdzia³ VI,

*w którym czytelnik towarzyszy kapitanowi Servadac w jego pierwszej wycieczce po nowem terytorjum.*

Znaj¹c awanturnicze, ¿¹dne przygód usposobienie kapitana Servadac³a, ³atwo poj¹æ, ¿e niezwyk³e wypadki ostatniej doby nie zgasi³y jego wybuja³ej fantazji. Ale mniej obojêtny od Ben-Zoufa, pragn¹³ poznaæ Ÿród³o tych wszystkich zjawisk. Interesowa³y go przyczyny, skutkami nie przejmowa³ siê zbytnio. Taki ju¿ dziwny by³ jego stosunek do otaczaj¹cego œwiata. Poœwiêciwszy zatem tyle czasu, ile na to

pozwala<sup>3</sup> bujny jego temperament, obserwacji skutków przewrotu, zaj<sup>13</sup> siê zkolei wy<sup>31</sup>cznie badaniem przyczyn przeżywanego fenomenu natury.

U licha! – zawo<sup>3a3</sup>, gdy znienacka otoczy<sup>3y</sup> go zupe<sup>3nie</sup> ciemnoœci. – Chcia<sup>3bym</sup> rozejrzeæ siê w tem wszystkim za bia<sup>3ego</sup> dnia... przewiduj<sup>1c</sup> oczywiœcie, ¿e jak ongiœ bywa<sup>3o</sup>, i po tej nocy nastanie dzieñ, bo niech mnie djabli wezm<sup>1</sup>, je¿eli rozumiem, gdzie w<sup>3aœciwie</sup> podzia<sup>3o</sup> siê s<sup>3oñce</sup>!

I có¿ poczniemy teraz, kapitanie?

Pozostaniemy tu do jutra i, jeœli to jutro wogóle nadejdzie, rozejrzemy siê po okolicy, poczem wrócimy do siebie. Przedewszystkiem nale¿y sobie zdaæ sprawê z tego, gdzie jesteœmy i co siê w<sup>3aœciwie</sup> sta<sup>3o</sup>. Zwiedziwszy wiêc wybrze¿e zachodnie i po<sup>3udniowe</sup>...

O ile bêdzie jeszcze istnia<sup>3o</sup> jakieœ wybrze¿e – wtr<sup>1ci3</sup> Ben-Zouf.

I jakieœ po<sup>3udnie</sup>! – dorzuci<sup>3</sup> kapitan Servadac.

Wiêc mo¿na siê wyci<sup>1gn1æ</sup> i spaæ?

Mo¿na siê wyci<sup>1gn1æ</sup> i spaæ, o ile mo¿na.

Ben-Zouf nie da<sup>3</sup> sobie tego dwa razy powtórzyæ. Niewzruszony prze¿yciami dnia, po<sup>3o¿y3</sup> siê w zacisznym k<sup>1ciku</sup>, zas<sup>3oni3</sup> twarz rêkoma i zasn<sup>13</sup> snem prostaczka, zazwyczaj mocniejszym od snu filozofa.

Kapitan Servadac b<sup>31dzi3</sup> samotnie po nowem wybrze¿u w labiryncie niewyjaœnionych i tajemniczych znaków zapytania.

Jakie s<sup>1</sup> rozmiary katastrofy? Czy objê<sup>3a</sup> ona tylko pewn<sup>1</sup> okreœlon<sup>1</sup> czêœæ Afryki? Czy pobliskie miasta, a w tej chwili jak¿e dalekie: Alger, Oran, Mostaganem zosta<sup>3y</sup> oszczêdzone? Czy wszystkich przyjació<sup>3</sup> i towarzyszó<sup>3</sup> broni poch<sup>3onê3a</sup> woda, czy te¿ morze Œródziemne zajê<sup>3o</sup> tylko deltê Szeliwu. Wyst<sup>1</sup>pienie morza z brzegów mo¿na ostatecznie wyt<sup>3umaczyæ</sup> trzêsieniem ziemi, ale có¿ oznaczaj<sup>1</sup> te liczne zaobserwowane zjawiska kosmiczne?

Inna hipoteza. A mo¿e rzeczony obszary afrykañskie zosta<sup>3y</sup> nagle przeniesione w strefê równika? To przypuszczenie wyjaœni<sup>3oby</sup> coprawda nowy <sup>3uk</sup> dzienny, zakreœlony przez s<sup>3oñce</sup>, oraz zupe<sup>3ny</sup> zanik wieczornego zmroku, nie dawa<sup>3oby</sup> jednak odpowiedzi na szecio zamiast dwunastogodzinny dzieñ, ani nie t<sup>3umaczy3oby</sup>,

dłaczego s<sup>3</sup>ońce wschodzi na zachódzie i zachodzi na wschodzie.

A jednak nie ulega najmniejszej w<sup>1</sup>tpliwoœci – rozumowa<sup>3</sup> kapitan Servadac – ¿e dzieñ dzisiejszy trwa<sup>3</sup> zaledwie szeœæ godzin i ¿e porz<sup>1</sup>dek œwiata wywróci<sup>3</sup> siê do góry nogami, a w ka¿dym razie wschód i zachód zamieni<sup>3</sup>y swe role. Sprawdzimy to zreszt<sup>1</sup> jutro, gdy s<sup>3</sup>ońce wzejdzie, o ile wogóle bêdzie jeszcze wschodzi<sup>3</sup>o!

Kapitan Servadac sta<sup>3</sup> siê nieufny i podejrzliwy.

Z<sup>3</sup>oœci<sup>3</sup>y go niepomiernie panuj<sup>1</sup>ce wokó<sup>3</sup> ciemnoœci i zupe<sup>3</sup>ny brak gwiazd na niebie. chocia¿ niebardzo obznajomiony by<sup>3</sup> z kosmografj<sup>1</sup>, orjentowa<sup>3</sup> siê jednak w uk<sup>3</sup>adzie zasadniczych konstelacyj niebieskich, móg<sup>3</sup>by wiêc sprawdziæ, czy np. gwiazda polarna jest na w<sup>3</sup>œœciwem miejscu, czy te¿ zastêpuje j<sup>1</sup> gwiazda inna, co znów œwiadczy<sup>3</sup>oby wymownie o zmianie a nawet odwróceniu obrotu ziemi dooko<sup>3</sup>a osi i t<sup>3</sup>umaczy<sup>3</sup>oby pewne niejasne dot<sup>1</sup>d zjawiska. Ale niebo pokrywa<sup>3</sup>y gête o<sup>3</sup>owiane chmury i ani jedna gwiazda nie ukaza<sup>3</sup>a siê oczom chciwego obserwatora.

Ksiê¿yc zaœ by<sup>3</sup> w tej porze miesi<sup>1</sup>ca na nowiu, jasnym wiêc by<sup>3</sup>o, ¿e znikn<sup>13</sup> wraz ze s<sup>3</sup>oñcem za linj<sup>1</sup> horyzontu i zbyteczne by<sup>3</sup>o nañ oczekiwaæ.

Jakie¿ by<sup>3</sup>o zdziwienie kapitana Servadac'a, gdy po pó<sup>3</sup>toragodzinnej przechadzce zauwa¿y<sup>3</sup> powy¿ej horyzontu silny blask, przeœwiecaj<sup>1</sup>cy poprzez ¿ó<sup>3</sup>t<sup>1</sup> masê chmur.

Ksiê¿yc! – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>. – Ale¿ nie, to nie mo¿e byæ ksiê¿yc! Œwiat<sup>3</sup>o ksiê¿yca nie jest tak silne, chyba... ¿e siê niepomiernie zbli¿y<sup>3</sup> do Ziemi.

Istotnie, œwiat<sup>3</sup>o by<sup>3</sup>o tak silne, ¿e zupe<sup>3</sup>na jasnoœæ rozla<sup>3</sup>a siê po okolicy.

Czy¿by to by<sup>3</sup>o s<sup>3</sup>oñce? – zapytywa<sup>3</sup> sam siebie oficer. – Ale¿ up<sup>3</sup>ynê<sup>3</sup>o zaledwie pó<sup>3</sup>tovej godziny od chwili, gdy zasz<sup>3</sup>o na wschodzie! Jeœli zaœ przypuœciæ, ¿e to nie jest ani s<sup>3</sup>oñce, ani ksiê¿yc, w takim razie có¿by to byæ mog<sup>3</sup>o! Jakæ kula ognista, olbrzymi meteor! O, Bo¿e! Te sk<sup>3</sup>êbione chmury nie rozejd<sup>1</sup> siê chyba nigdy!

Poczem, zmieniaj<sup>1</sup>c nagle kierunek myœli:

Czy nie zrobi<sup>3</sup>bym lepiej – wyrzuca<sup>3</sup> sam sobie – poœwiêcaj<sup>1</sup>c czêœæ tak g<sup>3</sup>upio zmarnowanego czasu w przesz<sup>3</sup>oœci astronomji? Kto wie? Mo¿e zjawiska, nad któremi <sup>3</sup>amiê sobie bezskutecznie g<sup>3</sup>owê, s<sup>1</sup> zupe<sup>3</sup>nie proste i zrozumia<sup>3</sup>e?

Nieprzeniknione by<sup>3</sup>y tajniki nowego firmamentu. Olbrzymia <sup>3</sup>una, rzucona najwidoczniej przez œwietln<sup>1</sup> tarczê gigantycznych rozmiarów, oœwietla<sup>3</sup>a swemi

promieniami ponur<sup>1</sup> kopu<sup>3</sup>ê chmur w przeci<sup>1</sup>gu ca<sup>3</sup>ej godziny. Poczem, szczegó<sup>3</sup> godny zanotowania, œwietlny ten kr<sup>1</sup>g, zamiast opisaæ, zgodnie z odwiecznymi prawami mechaniki niebieskiej, <sup>3</sup>uk na niebie i znikn<sup>1</sup>æ po przeciwleg<sup>3</sup>ej stronie horyzontu, posuwa<sup>3</sup> siê wzdu<sup>3</sup> linji prostej a<sup>3</sup> zgin<sup>13</sup>, unosz<sup>1</sup>c z sob<sup>1</sup> tajemnicz<sup>1</sup> jasnoœæ, która wlewa<sup>3</sup>a otuchê w serce Servadac'a.

Wszystko ogarnê<sup>3</sup>y na nowo ciemnoœci, w g<sup>3</sup>owie zaœ kapitana Servadac'a panowa<sup>3</sup> równie<sup>3</sup> mrok beznadziejny. Nie rozumia<sup>3</sup> absolutnie nic. Zachwiane zosta<sup>3</sup>y najelementarniejsze zasady mechaniki, strop niebieski podobny by<sup>3</sup> do zegara, którego g<sup>3</sup>ówna sprê<sup>3</sup>yna odmówi<sup>3</sup>a nagle pos<sup>3</sup>uszeñstwa i wyprawia<sup>3</sup>a najdziksze brewerje, planety wy<sup>3</sup>amywa<sup>3</sup>y siê z odwiecznych praw powszechnego ci<sup>1</sup>zenia i nie by<sup>3</sup>o ju<sup>3</sup> adnego powodu przypuszczaæ, æ s<sup>3</sup>oñce jeszcze wogóle kiedykolwiek promieniami swemi œwietli kulê ziemsk<sup>1</sup>.

W trzy godziny pó<sup>3</sup>niej jednak<sup>3</sup>e na zachodzie zajaœnia<sup>3</sup>a nagle promienna gwiazda dnia, rozproszy<sup>3</sup>a masy chmur i po nocy, która, jak to stwierdzi<sup>3</sup> kapitan Servadac, trwa<sup>3</sup>a równo szeœæ godzin, nast<sup>1</sup>pi<sup>3</sup> dzieñ.

Szeœæ godzin snu nie wystarcza<sup>3</sup>o Ben-Zoufowi, który wci<sup>1</sup>æ jeszcze chrapa<sup>3</sup> zawziêcie. Trzeba by<sup>3</sup>o obudziæ œpiocha.

Hector Servadac potrz<sup>1</sup>sn<sup>13</sup> nim z ca<sup>3</sup>ych si<sup>3</sup>.

Dalej! Wstawaj, w drogê! – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>.

Ale<sup>3</sup>, kapitanie – mamrota<sup>3</sup> Ben-Zouf, przecieraj<sup>1</sup>c oczy – zmêczony jestem, dopiero co zasn<sup>13</sup>em!

Spa<sup>3</sup>œæ ca<sup>3</sup>a noc!

To by<sup>3</sup>a noc?...

Noc szeœciogodzinna, musisz siê z tym faktem pogodziæ.

Trudna rada, zgadzam siê.

W drogê! Nie mamy czasu do stracenia. Wracamy czem prêdziej do naszej chaty i sprawdzimy, co porabiaj<sup>1</sup> konie.

Dziwi<sup>1</sup> siê pewnie, æ o nich zapomniano – odpar<sup>3</sup> ordynans – zaraz te<sup>3</sup> siê do nich wezmê, kapitanie.

Dobrze, dobrze, tylko poœpieszaj. Osiod<sup>3</sup>asz konie i ruszymy z wywiadem, bo dotychczas przecie<sup>3</sup> nie wiemy, co siê sta<sup>3</sup>o z Algierem.

A potem?

A potem, jeżeli nie dostaniemy się do miasta od południa, spróbujemy drogi przez Tenez od wschodu.

Kapitan Servadac i jego ordynans znaleźli się ponownie na skalistej ościeżce, mającej ich zaprowadzić do celu. Ponieważ gódy dawa się im już porządnie we znaki, zrywali po drodze zwisające z drzew figi, daktyle i pomarańcze. Na tym opuszczonym zupełnie terenie, zamienionym przez ludzkich w rozległy, wspaniały sad, nie mieli się czego obawiać, nie był groźny pokrzywdzony właściciel. Jedli więc do woli i do syta.

Po blisko półtoragodzinnym marszu przyszli do chaty. Tu nic się nie zmieniło. Nikt w czasie ich nieobecności nie zajrzał do tego zakątka. Najwidoczniej wschodnia połacie terenu była równie pusta i bezлюдna, jak zachodnia, którą już przemierzali w lasami nogami.

Szybko uwinęli się z przygotowaniami do drogi. Ben-Zouf wyciągnął sakwy w siodłach zapasami żywności, wziął kilka puszek konserw i suchary. O napoje się nie troszczył, wody było jednak pod dostatkiem. Liczne wąskie strumyki przecinały równinę. Dawne dopływy rzeki, usamodzielnione obecnie, wpadały wprost do morza Śródziemnego.

Zefir, koń kapitana Servadac'a i Galette, szkap Ben-Zoufa, osiodłane zostały w mgnieniu oka. Dwaj jeźdźcy dosiedli rumaków i pogalopowali w kierunku Szeliwu.

Jednocześnie okazało się, że lekkość ciała i wzrost się również zwierzętom, które w tym samym, co i ludzie, stosunku odczuły nagłą zmianę. Nie były to już zwykłe wierzchowce, ale jakiegoś latającego gryfy, których nogi zaledwie dotykały ziemi. Na szczęście Hector Servadac i Ben-Zouf byli świetnymi jeźdźcami, nie tylko nie hamowali, ale raczej podniecali jeszcze konie do szybszego biegu. Mknęli zaiste lotem strzały.

W niespełna dwadzieścia minut przebyli osiem kilometrów, dzieląc ich od ujścia Szeliwu i, zwolniwszy nieco biegu, posuwali się wzdłuż brzoego prawego wybrzeża w kierunku południowo-wschodnim.

Tu krajobraz nie zmienił się zupełnie. Jak okiem sięgnąć, a już po linii horyzontu, widoczna była tylko woda i woda... A zatem wszystkie tereny prowincji Oranu położone w górę od Mostaganem, a przynajmniej ta ich część, której granicę określała linia horyzontu, pochłonięte zostały w nocy z 31-go grudnia na 1-go stycznia przez morze.

Kapitan Servadac znał doskonale cały ten kraj, był to jednak teren jego badań i prac naukowych. Niedawno dopiero przemierza go wszędzie i wzdłuż, orjentował się więc wyciemienicie. Postanowił sobie po możliwie najdokładniejszym wywiadzie złożyć raport, lecz komu, gdzie i kiedy, tego nie wiedział.

W czasie pozostałych czterech godzin dnia obaj jeźdźcy przebyli jeszcze około trzydziestu pięciu kilometrów. Noc obozowali pod gołębem niebem, w miejscu, gdzie wczoraj jeszcze wpadała do rzeki dopływ Mina, dzieło już pochłonięty przez nowopowstałe, wszystko ogarniające morze.

Podczas ca<sup>3</sup>ej wycieczki nie spotkali żywej duszy, co by<sup>3</sup>o nietylko zastanawiaj<sup>1</sup>ce, ale i przykre.

Ben-Zouf urz<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup> nocleg, jak tylko mógł<sup>3</sup> najwygodniej. Konie spêta<sup>3</sup>, pozwalaj<sup>1</sup>c im skubaæ dowolni puszyst<sup>1</sup> trawê. Noc minê<sup>3</sup>a bez przygód.

Nastêpnego dnia, 2-go stycznia, a w<sup>3</sup>œciwie w chwili, w której wed<sup>3</sup>ug dawnego kalendarza ziemskiego rozpoczyna<sup>3</sup>aby siê noc z 1-go na 2-gi stycznia, kapitan Servadac i jego ordynans ponownie dosiedli rumaków, udaj<sup>1</sup>c siê na dalsze zwiady. Wyruszyli o wschodzie s<sup>3</sup>oñca i w ci<sup>1</sup>gu szeœciogodzinnego dnia przebyli przestrzeñ siedmdziesiêciu kilometrów.

Linjê graniczn<sup>1</sup> l<sup>1</sup>du stanowi<sup>3</sup> wci<sup>1</sup>¿ jeszcze dawny prawy brzeg rzeki. Jednak¿e w odleg<sup>3</sup>oœci dwudziestu kilometrów od dawnego dop<sup>3</sup>ywu Szeliwu brzeg siê urywa<sup>3</sup> i wraz z nim znik<sup>3</sup>a miejscowoœæ Swikel-mitton z jej oœmiuset mieszkañcami. Czy podobnemu losowi nie uleg<sup>3</sup>y i inne, wiêksze miasta, jak Mazagran, Mostaganem, Orleansville, to niepokoj<sup>1</sup>ce pytanie zadawa<sup>3</sup> sobie kapitan.

Okr<sup>1</sup>¿aj<sup>1</sup>c ma<sup>31</sup> nowopowsta<sup>31</sup> zatoczkê, wpadli na stromy, skalisty brzeg rzeki, gdzie wczoraj jeszcze wznosi<sup>3</sup> siê ratusz. Nic nie zdradza<sup>3</sup>o istnienia wspania<sup>3</sup>ej budowli; nawet góruj<sup>1</sup>cy nad nim szczyt skalny Mankoura, wznosz<sup>1</sup>cy siê na tysi<sup>1</sup>c sto dwadzieœcia szeœæ metrów nad poziom morza, zgin<sup>13</sup> bez œladu.

Wieczorem nasi wêdrowcy rozbili obóz w miejscu, gdzie spodziewali siê odnaleŹæ wielk<sup>1</sup> osadê Memounturroy. I tu zastali pustkê, wszystko jakgdyby siê zapad<sup>3</sup>o pod ziemiê.

A ja naiwny s<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>em, ¿e bêdê dzieæ wieczerza<sup>3</sup> i spa<sup>3</sup> w Orleansville! – przerwa<sup>3</sup> milczenie kapitan Servadac, wpatruj<sup>1</sup>c siê w ponure fale morskie, roztaczaj<sup>1</sup>ce siê przed ich oczami.

To jest nieziszczalne, kapitanie – odpar<sup>3</sup> Ben-Zouf – chyba, ¿ebyœmy tam pop<sup>3</sup>ynêli statkiem!

Czy wiesz, Ben-Zoufie, ¿e swoj<sup>1</sup> drog<sup>1</sup> mamy jakieœ piekielne szczêœcie, rêka Opatrznoœci czuwa nad nami.

Có¿ w tem dziwnego! Wszak los sprzyja nam nie od dzisiaj! I pewny jestem, ¿e znajdziemy sposób przep<sup>3</sup>yniêcia morza i dotrzemy wkoñcu do Mostaganem!

Hm... Jeœli, jak siê tego nale¿y spodziewaæ, jesteœmy na pó<sup>3</sup>wyspie, dostaniemy siê raczej do Teneru! I tam zasiêgniemy jêzyka...

Lub te¿, przeciwnie, przyniesiemy masê nowin – oponowa<sup>3</sup> z brawur<sup>1</sup> Ben-Zouf.

Po up<sup>3</sup>ywie szeœciu godzin, gdy s<sup>3</sup>oñce znów ukaza<sup>3</sup>o siê na firmamencie, kapitana Servadac'a zajê<sup>3</sup>y dalsze studja nad nowem ukszta<sup>3</sup>towaniem powierzchni.

Na pó<sup>3</sup>noc i po<sup>3</sup>udnie ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> siê, jak okiem siêgn<sup>1</sup>æ, brzeg morski. G<sup>3</sup>êbokie pêkniêcia terenu oddziela<sup>3</sup>y go ca<sup>3</sup>kowicie od dawnej równiny. Szczelina ta poch<sup>3</sup>onê<sup>3</sup>a najwidoczniej osadê Memounturroy. Daremnie wysilali wzrok, staraj<sup>1</sup>c siê przedrzeæ przez linjê horyzontu, nawet Ben-Zouf, który wdrapa<sup>3</sup> siê na doœæ wysokie, przybrze¿ne wzgórze, nie widzia<sup>3</sup> nic prócz wody.

adnych  elad ow l'du,  adnego wspomnienia Orleansville, kt ore powinno si  by o znajdowa e w odleg ooci dziesi ciu kilometr ow na po udnio-wsch od.

Posuwali si  wi c wzd u nowego brzegu, w er od obsuwaj'cej si  ziemi, w er od zniszczonych rozkopanych p ol, drzew powyrywanych z korzeniami i chyl'cych konary swe ku wodzie. Patrzyli z przera eniem na stare, zwalone tu i tam drzewa oliwne, jakgdyby podci te siekier'.

Posuwali si  coraz wolniej, albowiem postrz piony, pe en wyboj ow i zapadlin teren, zmusza  ich do ci'g'ych zboce ni i wymija ni.

W ten spos ob o zachodzie s o ca, po przebyciu trzydziestu pi ciu kilometr ow, znale li si  u st p g ory Merjejah, kt ora przed katastrof' zamyka a  a cuch ma ego Atlasu.

W tem miejscu pasmo g rskie urywa o si  gwa townie i strom'  ecian' spada o ku wodzie.

Nazajutrz rano, przebywszy konno w'w oz g rski, kapitan Servadac i Ben-Zouf wdrapali si  na jeden z najwy szych szczyt ow i nareszcie rozejrzeli si  dok adnie po tej niewielkiej cz ooci Algeru, kt orej byli, jak si  zdawa o, jedynymi mieszka cami.

Na przestrzeni trzydziestu kilometr ow, poczynaj'c od st p Merjejah, a ko cz'c na odleg'ych wybrze ach morza  er dziemnego, rozci'ga  si  zupe nie nowy, nieznanym dot'd krajobraz. Ani  eladu cieociny, kt oraby  czy a ten nowy l'd z terytorjum dawnego Teneru. W drowcy nasi znajdowali si  zatem nie na p wyspie, jak sk onni byli przypuszczaa  pocz'tkowo, ale na typowej i prawid owej wyspie. Dzi ki wynios ooci, na kt orej stali, mogli skonstatowa e,  e, jak daleko wzrok si ga, nie by o poza wspomnian' wysp'  adnego l'du, wok o niepodzielnie panowa a woda.

Wyspa ta mia a kszt'a nieregularnego czworoboku, prawie tr jk'ta, o obwodzie oko o 300-u kilometr ow. Tak przynajmniej oblicza  na oko kapitan Servadac. Jeden z jej bok ow, d ugooci oko o stu dwudziestu kilometr ow, bieg' wzd u dawnego wybrze a Szeliwu, drugi, o wymiarze najwy ej trzydziestu do czterdziestu kilometr ow, szed' z po udnia na p noc w kierunku  a cucha Ma ego Atlasu, trzeci kr t' linj' na przestrzeni trzydziestu kilometr ow bieg' brzegiem morza, czwarty wreszcie, stukilometrowy, mia  kierunek dawnego algeryjskiego wybrze a morza  er dziemnego.

Wszystko to bardzo pi knie – rzek' oficer – ale na co si  to komu zda o!

Ba! Na nic! – odpar' Ben-Zouf. – Tak jest, bo widocznie tak by  musi. Skoro Ojciec Niebieski tak zarz'dzi', kapitanie, musimy si  podda e Jego woli. Niema innej rady!

Poczem obaj zeszli z pag rka i dosiedli koni, kt ore najspokojniej skuba'y traw . Pragn li dotrze  do miasteczka Montenotte, kt ore jednak e uleg'  osowi Teneru, i  aden domek,  adna ruina domostwa, nawet nie wskazywa ,  e tu mieszkali kiedy  ludzie.

Nazajutrz, 5-go stycznia, posuwali si  w szybkim tempie wzd u dawnego wybrze a morskiego. I tej okolicy nie omin a kl ska. Cztery wioski, Cailaat, Agniss, Marabout i Pointe-Basse znik'y z powierzchni ziemi. Przyl'dki, na kt orych by'y zbudowane, na skutek wstrz'su, oderwa'y si  od l'du. Je d cy nasi stwierdzili,  e byli jedynymi mieszka cami wyspy. Pr cz nich tylko osierocone stada



byd<sup>3</sup>a ugania<sup>3</sup>y siê po równinie.

Kapitan Servadac i jego ordynans stracili piêæ dni (wed<sup>3</sup>ug nowego kalendarza) na ca<sup>3</sup>kowity objazd wyspy. Dopiero po szeœædziesiêciu godzinach wrócili na próg swej chatynki.

I co bêdzie dalej, kapitanie? – spyta<sup>3</sup> Ben-Zouf.

A czy ja wiem?

Sta<sup>3</sup> siê pan gubernatorem Algeru!

Algeru, pozbawionego mieszkañców!

Jakto, a czy¿ ja siê nie liczê?

Wiêc, ty bêdziesz...

Ludnoœci<sup>1</sup>, kapitanie, ludnoœci<sup>1</sup>!

A mój poemat? – wyrzeka<sup>3</sup> kapitan, udaj<sup>1</sup>c siê na spoczynek. – Czy warto by<sup>3</sup>o tak siê nad nim truziaê?

## 1

Reinkarnacja – wcielenie siê duszy po œmierci w inny organizm ludzki lub zwierzêcy. Tak<sup>1</sup> wiarê w wêdrówkê duszy po œmierci mieli staro¿ytni Egipcjanie. (Przyp. t<sup>3</sup>um.).

## Rozdzia<sup>3</sup> VII,

*w którym Ben-Zouf uskar¿a siê na opiesza<sup>3</sup>oœæ gubernatora.*

Po up<sup>3</sup>ywie dziesiêciu minut gubernator i ludnoœæ spali snem kamiennym w jednym z pokojów murowanego budynku, gdy¿ przewiewnej chaty nie zdo<sup>3</sup>ali jeszcze doprowadziæ do stanu u¿ywalnoœci. Oficer spa<sup>3</sup> niespokojnie, nurtowa<sup>3</sup>a go ci<sup>1</sup>gle myœl, ¿e nieznanne mu s<sup>1</sup> jednak¿e przyczyny wszystkich zaobserwowanych zjawisk. Przypomnia<sup>3</sup> sobie dawno ju¿ zapomniane podstawy kosmografji. I pyta<sup>3</sup> sam siebie, czy czasem zmiana nachylenia osi ziemskiej wobec ekliptyki nie wywo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>a przewrotu? Zmiana ta, t<sup>3</sup>umacz<sup>1</sup>c do pewnego stopnia przegrupowanie mórz i l<sup>1</sup>dów, a nawet przesuniêcie biegunów, nie wyjacenia<sup>3</sup>aby jednak¿e skrócenia dnia i nocy, ani zmniejszenia ciê¿aru cia<sup>3</sup> na powierzchni ziemi. Hipotezê tê trzeba wiêc by<sup>3</sup>o odrzuciæ,

i Hectora Servadac'a, wyczerpanego już do ostateczności, dręczyły wciąż te same myśli i zagadnienia. Pociesza się nadzieją, że śmiech osobliwości nie jest jeszcze zamknięty i że dalsze wypadki pozwolą mu zgłębiać niepokojącą tajemnicę.

Ben-Zouf spał smacznie całą noc. Pierwszym jego zajęciem następnego ranka było przygotowanie dobrego śniadania. Trzeba wszak było pokrzepić wyczerpany organizm. Odczuwał głód w zastępstwie całej trzymiljonowej ludności! Przygotował wspaniałą posiłek z dwunastu jaj, które cudem ocalały. Piec znalazł się w murowanej, rundelek miedziany owiecz na odległość, owiecz wody było poddostatkiem, i czegoś więcej brak do szczęścia? Trochę tylko cierpliwości. Tyle ile jej potrzeba na zagotowanie wody i wrzucenie do wrzółtku na kilka minut jajek.

Byłkawicznie rozpał ogień i, jak zwykle, zaintonował jakąś piosenkę ońską.

Kapitan Servadac, mierzwiąc nerwowym krokiem pokój, patrzył ukradkiem na te przygotowania kulinarne. W oczekiwaniu nowego fenomenu, wszędzie spodziewał się osobliwości. Czy piec będzie działał jak zwykle? Czy powietrze, o składzie zmienionym, dostarczy potrzebnej ilości tlenu! Owszem, piec się zapalił i ogień rozdmuchany przez zżajanego Ben-Zoufa, podtrzymywany mieszaniną gęzi i kawałków węgla, buchnęło wesołym promieniem. W tej dziedzinie zatem nic nadzwyczajnego.

Rundelek napełniony wodą postawiono na piecu i Ben-Zouf czekał z niecierpliwością na moment zagotowania wody, pilno mu było bowiem ugotować w niej jajka, które cięgle wydawały mu się puste, tak mało wagi w ręku.

Woda zagotowała się w niespełna dwie minuty.

Djabło prędko! Doskonale się rozpałło! – zawołał Ben-Zouf.

To nie ogień grzeje lepiej – odparł po chwili namysłu kapitan Servadac – to woda gotuje się pręcej.

I biorąc stustopniowy termometr ze ociany, zanurzył go we wrzółtku.

Ręce zatrzymała się na 66-ym stopniu.

Otoż to wacenie! – krzyknęło w podnieceniu. – Woda gotuje się przy sześćdziesięciu sześciu, zamiast przy stu stopniach.

Cóż z tego, kapitanie?

To, ¿e radzê ci twoje jajka dobry kwadrans potrzymaæ na ogniu i jeszcze nie rêczê, czy bêd¹ ugotowane!

Ale¿ bêd¹ twarde, jak kamienie!

Kapitan Servadac mia³ racjê. S³up powietrza, unosz¹cy siê nad powierzchni¹ Ziemi, zmniejszy³ siê o jedn¹ trzeci¹ w przybli¿eniu, i dlatego woda, poddana mniejszemu ciœnieniu, gotowa³a siê przy szeœædziesiêciu szeœæciu, zamiast przy stu stopniach. Gdyby kapitan Servadac wzi¹³ do rêki termometr ju¿ wczesniej, przekona³by siê o znacznym zmniejszeniu s³upa atmosfery. To samo zjawisko wywo³a³o u niego i Ben-Zoufa os³abienie g³osu, szybsze oddychanie i rozszerzenie naczyñ krwionoœnych, do czego jednak ju¿ siê przyzwyczaili.

A jednak nie wydaje mi siê prawdopodobnym, abyœmy zostali wzniesieni na tak¹ wysokoœæ, skoro morze, tak jak dawniej li¿e stopy tych samych ska³.

Chocia¿ wnioski wyci¹gane przez Hectora Servadac'a by³y s³uszne, przyczyny zjawisk wci¹¿ jeszcze okrywa³a tajemnica.

Tymczasem jajka by³y ju¿ prawie ugotowane. Ben-Zouf zauwa¿y³, ¿e na przysz³oœæ trzeba bêdzie rozpoczynaæ zabiegi kulinarne o godzinê wczesniej, chc¹c wyd¹¿yæ na czas, i poda³ jedzenie kapitanowi.

Podczas gdy Servadac zajada³ smacznie, naprzekór wszelkim trapi¹cym go sprawom, Ben-Zouf wyst¹pi³ ze zwyk³ym swem pytaniem:

No i có¿, kapitanie, co teraz zrobimy?

Bêdziemy czekaæ.

Czekaæ?

A¿ siê ktoœ po nas zg³osi.

Którêdy, morzem?

Morzem, oczywiœcie, z chwil¹, gdy jesteœmy internowani na wyspie.

Wiêc przypuszcza pan, kapitanie, ¿e nasi towarzysze...

Myœlê, a przynajmniej spodziewam siê, ¿e katastrofa oszczêdzi³a niektóre okolice wybrze¿a algeryjskiego i ¿e nasi towarzysze s¹ cali i zdrowi.

Tak jest, panie kapitanie, nie traæmy nadziei!

Nie ulega przecie¿ najmniejszej w¹tpliwoœci, ¿e genera³ gubernator zaj¹³ siê ca³¹ t¹ awantur¹ i wys³a³ z Algeru specjaln¹ ekspedycjê dla zbadania okolicy. Nie w¹tpiê, ¿e i o nas nie zapomniano. Obserwuj tylko morze, Ben-Zoufie. Gdy na horyzoncie dojrzysz statek, przeœlemy mu sygna³y.

A jeceli okrêt nie przybêdzie?

Wtedy sami zbudujemy sobie żaglowiec i pop³yniemy ku tym, którzy nie chc¹ przybyæ do nas.

Œwietnie! Czy pan kapitan jest marynarzem?

Jest siê zawsze marynarzem, gdy wymaga tego koniecznoœæ – pad³a stanowcza odpowiedŸ oficera sztabowego.

Od tej chwili w przeci¹gu kilku dni nastêpnych Ben-Zouf, uzbrojony w lunetê polow¹, uporczywie bada³ horyzont. Ale przez ca³y ten czas w polu widzenia lunety nie ukaza³ siê żagiel.

CóŸ u czorta! – denerwowa³ siê wreszcie. – Pan genera³ gubernator widaæ nie bardzo interesuje siê nasz¹ prowincj¹.

Do dnia 6-go stycznia nic nie zmieni³o po³ożenia wyspiarzy. Data 6-go stycznia by³a dat¹ w³aœciw¹, obliczan¹ wed³ug dawnego kalendarza, zanim jeszcze doba ziemska skróci³a siê o po³owê. Kapitan Servadac nie bez s³usznoci, dla lepszej orjentacji, wola³ siê trzymac dawnego kalendarza. PoniewaŸ od pó³nocy pamiêtnego dnia 1-go stycznia s³oñce wschodzi³o i zachodzi³o 12 razy, kapitan Servadac ustali³ na dzieñ omawiany datê 6-go stycznia. Zegarek dopomaga³ mu wyœmieniecie w notowaniu minionego czasu.

Rzecz oczywista, Ÿe wskutek zmiany si³y ciêŸkoœci, wahad³owy zegar œcienny wskazywa³by godziny niedok³adnie, ale mechanizm sprêŸynowego zegarka kieszonkowego uniezaleŸniony od przyci¹gania ziemskiego, powinien by³ wskazywaæ godzinê dok³adn¹ i chodziæ regularnie, pomimo niedawnych wstrz¹sów natury fizycznej.

Do kata, kapitanie – zawo³a³ Ben-Zouf, dumny ze swej znajomoci literatury – zdaje mi siê, Ÿe bêdziemy musieli zabawiæ siê w Robinsona i Piêtaszka! Tylko, czy ja czasem nie sta³em siê murzynem!!...

Nie, Ben-Zoufie, – odpar³ kapitan Servadac – jesteœ zdecydowanie bia³y... nieco moŸe opalony.

Bia³y Piêtaszek, to nie jest dok³adne – medytowa³ Ben-Zouf – wolê jednak, Ÿe nie jest inaczej.

6-go stycznia zatem, nie spodziejaj¹c siê juŸ znik¹d pomocy, kapitan Servadac postanowi³ zrobiæ to, co robili wszyscy Robinsonowie przed nim, a mianowicie zinwentaryzowaæ ca³y swój dobytek, t. j. wszystkie roœlinne, jak i zwierzêce œrodki Ÿywnoœciowe, któremi móg³ rozporz¹dzaæ.

Wyspa, któr¹ nazwa³ Ostoj¹, mia³a oko³o trzech tysiêcy kilometrów kwadratowych przestrzeni. Wo³ów, krów, kóz z baranami by³o na niej poddostatkiem, liczba ich nie dawa³a siê jednakŸe dok³adnie okreœliæ. Wystarcza³a jednak œwiadomoœæ, Ÿe byd³a jest duŸo i Ÿe musi ono pozostaæ na wyspie. ZbóŸ i roœlin wszelkiego gatunku by³a obfitoœæ. Za trzy miesi¹ce bêdzie moŸna juŸ zwieŸæ pszenicê, kukurydzê i ryŸ. A zatem Ÿywnoœæ dla genera³-gubernatora, „ludnoœci” i dwu koni by³a zapewniona. Gdyby nawet jacyœ nowi mieszkañcy œci¹gnêli na wyspê, nie zginêliby g³odow¹ œmierci¹.

Od dnia 6-go do 13-go stycznia la<sup>3</sup>o jak z cebra. Niebo by<sup>3</sup>o bez przerwy pokryte ciê<sup>3</sup>łkami, o<sup>3</sup>owianemi chmurami. Nawet kilka potê<sup>3</sup>nych burz przeci<sup>3</sup>gnê<sup>3</sup>o nad wysp<sup>1</sup>, zjawisko o tej porze roku docæ<sup>3</sup> rzadkie. Nie usz<sup>3</sup>o jednak uwagi Hectora Servadac'a, æ<sup>3</sup>e temperatura mia<sup>3</sup>a anormalne tendencje zwyk<sup>3</sup>owe. Lato rozpoczyna<sup>3</sup>o siê w styczniu! Fakt godny uwagi, i<sup>3</sup> wzrost temperatury by<sup>3</sup>o nietylko sta<sup>3</sup>y ale i progresywny, jakgdyby kula ziemsa, w sposób regularny i ci<sup>3</sup>g<sup>3</sup>y zbli<sup>3</sup>ã<sup>3</sup>a siê do s<sup>3</sup>oñca.

Nietylko ciep<sup>3</sup>o, lecz i natê<sup>3</sup>enie œwiat<sup>3</sup>a by<sup>3</sup>o coraz to silniejsze i, gdyby nie gê<sup>3</sup>sta, pomiê<sup>3</sup>dy niebem i ziemi<sup>1</sup> zawieszona zas<sup>3</sup>ona chmur, promienie s<sup>3</sup>oneczne razi<sup>3</sup>yby wyspê z nieznan<sup>1</sup> przedtem si<sup>3</sup>l.

Ustawiczna mg<sup>3</sup>a, niepozwalaj<sup>1</sup>ca na obserwacjê s<sup>3</sup>oñca, ksiê<sup>3</sup>ycyca i gwiazd, szczególnie denerwowa<sup>3</sup>a Servadac'a, gdy<sup>3</sup> wyobra<sup>3</sup>ã<sup>3</sup> sobie, æ<sup>3</sup>e studjowanie niebieskiego firmamentu zbli<sup>3</sup>y<sup>3</sup>oby go do rozwi<sup>1</sup>zania zagadki. Ben-Zouf stara<sup>3</sup> siê kilkakrotnie sk<sup>3</sup>oniaæ go do rezygnacji, któr<sup>1</sup> sam posuwa<sup>3</sup> do zupe<sup>3</sup>nej obojêtnoœci, ale wszelkie wysi<sup>3</sup>ki ordynansa by<sup>3</sup>y Ÿ<sup>3</sup>le widziane. Dlatego te<sup>3</sup> Ben-Zouf da<sup>3</sup> za wygran<sup>1</sup> i zaj<sup>13</sup> siê wy<sup>3</sup>cznie swemi obowi<sup>1</sup>zkami wartownika. Pomimo deszczu, wichru i burz sta<sup>3</sup> wytrwale dzieñ i noc na szczycie przybrze<sup>3</sup>nych ska<sup>3</sup>, pilnie bacz<sup>1</sup>c na okolicê. Na sen poœwiêca<sup>3</sup> zaledwie kilka godzin. Daremnie jednak przebiega<sup>3</sup> oczyma zawsze pusty horyzont. Zreszt<sup>1</sup>, jaki<sup>3</sup> statek utrzyma<sup>3</sup>by siê na morzu, przy tak fenomenalnej, wietrznej i s<sup>3</sup>otnej pogodzie? Fale wznosi<sup>3</sup>y siê do niezwyk<sup>3</sup>ej wysokoœci, huragan szala<sup>3</sup> z si<sup>3</sup>l nieokie<sup>3</sup>zan<sup>1</sup>. Z pewnoœci<sup>1</sup> w epoce dyluwjalnej wody, paruj<sup>1</sup>ce pod wp<sup>3</sup>ywem wewnê<sup>3</sup>trznego æ<sup>3</sup>aru Ziemi, nie spada<sup>3</sup>y zpowrotem w postaci deszczu z wiê<sup>3</sup>szym impetem. Deszcz la<sup>3</sup> strumieniem.

13-go stycznia, jak za dotkniêciem czarodziejskiej ról<sup>3</sup>ki, potop usta<sup>3</sup>. Ostatnie podmuchy wiatru rozpê<sup>3</sup>dzi<sup>3</sup>y w nocy z 13-go na 14-y resztki chmur. Hector Servadac po szeœciodniowym areście domowym, wyszed<sup>3</sup> na dwór, gdy tylko deszcz przesta<sup>3</sup> padaæ i wiatr nieco siê uspokoi<sup>3</sup>. Pobie<sup>3</sup> na szczyt wynios<sup>3</sup>oœci. Czy wyczyta coœ w gwiazdach? Czy ujrzy raz jeszcze wielk<sup>1</sup> tarczê, widzian<sup>1</sup> w nocy z 31-go grudnia na 1-y stycznia? Czy ods<sup>3</sup>oniona bê<sup>3</sup>dzie mu tajemnica przeznaczenia?

Czystego usianego gwiazdami nieba nie przes<sup>3</sup>ania<sup>3</sup>a najlê<sup>3</sup>jsza mgie<sup>3</sup>ka. Tu i ówdzie go<sup>3</sup>em okiem mo<sup>3</sup>na by<sup>3</sup>o dojrzeæ mg<sup>3</sup>awice gwiazd, widoczne dawniej tylko przez teleskop.

Pierwszem staraniem oficera by<sup>3</sup>o odnalezienie gwiazdy polarnej, gdy<sup>3</sup> myœla<sup>3</sup>, nie bez s<sup>3</sup>usznœci, æ<sup>3</sup>e ustaliwszy jej po<sup>3</sup>o<sup>3</sup>enie, dalsze badania ju<sup>3</sup> atwo przeprowadzi.

Tymczasem znalaz<sup>3</sup> gwiazdê polarn<sup>1</sup>, umieszczon<sup>1</sup> na horyzoncie znacznie ni<sup>3</sup>ej, ni<sup>3</sup> zazwyczaj, przypuszczalnie wiê<sup>3</sup>c nie by<sup>3</sup>a ju<sup>3</sup> punktem centralnym ca<sup>3</sup>ego uk<sup>3</sup>adu. Innemi s<sup>3</sup>owy, nieskoñczenie wyd<sup>3</sup>u<sup>3</sup>ona œ<sup>3</sup>e ziemi nie przechodzi<sup>3</sup>a ju<sup>3</sup> przez punkt sta<sup>3</sup>y, który gwiazda ta, ongiœ, zajmowa<sup>3</sup>a w przestrzeni. I rzeczywicie, w niespe<sup>3</sup>na godzinê, obni<sup>3</sup>y<sup>3</sup>a siê ju<sup>3</sup> do tego stopnia na horyzoncie, jakgdyby nale<sup>3</sup>ã<sup>3</sup>a do konstelacji Zodiaku.

Nale<sup>3</sup>ã<sup>3</sup>o wiê<sup>3</sup>c ustaliæ, która gwiazda j<sup>1</sup> zastêpuje, czyli przez jaki punkt nieba przechodzi obecnie przed<sup>3</sup>u<sup>3</sup>ona œ<sup>3</sup>e Ziemi. To zajêcie poch<sup>3</sup>onê<sup>3</sup>o Hectora Servadac'a na przeci<sup>1</sup>g kilku godzin.

Nowa gwiazda polarna powinna być nieruchoma, jak i dawna, umieszczona pośrodku innych gwiazd, które w swym pozornym ruchu dookoła niej w rzeczywistości dokonywują swego dziennego obrotu.

Kapitan Servadac odkrył wkrótce w północnej części horyzontu taką gwiazdę, która spełniała te warunki i zdawała się być stała w stosunku do innych. Była to Waga w konstelacji Liry, ta sama, która na skutek precesji punktów równonocnych, za dwanaście tysięcy lat miała zastąpić gwiazdę polarną. Ponieważ jednak niemożliwością było, aby w ciągu tygodnia upłynęło dwanaście tysięcy lat, należało przypuścić, że oś ziemską gwałtownie zmieniła kierunek.

I nie tylko – zauważył kapitan – oś ziemską została przesunięta, ale skoro przechodzi ona przez punkt położony tak nisko na horyzoncie, to najwidoczniej morze Śródziemne zbliżyło się do równika.

I pogryzł się w otchłani domysłów, podczas gdy oczy jego błądziły od Wielkiej Niedźwiedzicy, która stała się konstelacją zodiakalną, do nowych obserwowanych po raz pierwszy gwiazd południowej półkuli.

Okrzyk Ben-Zoufa obudził go z zadumy.

Księżyc! – zawołał ordynans.

Księżyc?

Tak jest, księżyc – powtórzył Ben-Zouf, szczęśliwy, że ogląda „towarzysza nocy ziemskich”, jak mawiał poeci.

I wskazał tarczę, ukazującą się nawprost miejsca, w którym powinno być w tej chwili znajdować się słońce.

Czy był to księżyc, czy może jakaś inna planeta późniejszego gatunku, powiększona przez zbliżenie! Kapitan Servadac byłby w kłopocie, gdyby kazano mu się wypowiedzieć w tej sprawie. Wziął silną lunetę, którą posługiwał się zwykle przy swych pracach pomiarowych i skierował ją na sygnalizowaną gwiazdę.

Jeżeli to jest księżyc – powiedziała – to trzeba przyznać, że bardzo oddalił się od nas! Już teraz nie na tysiące, ale na miliony mil trzeba by obliczać jego odległość od nas!

Po krótkiej obserwacji był już prawie pewny, że to nie księżyc. Nie odnajdywał bowiem na tej bladej tarczy zwykłej gry cęwiatła i cieni, która jej nadaje pozory twarzy ludzkiej. Nie odnajdywał celadów równin, ani mórz, ani aureoli, opromieniającej wspaniałą górę Tycho.

Nie, to nie jest księżyc – zapewniał.

Dlaczego nie księżyc? – upierał się Ben-Zouf, który dumny był ze swego odkrycia.

Dlatego, że gwiazda ta posiada swój własny mały księżyc, który jest jej satelitą!

Istotnie, w polu widzenia lunety ukaza<sup>3</sup> siê drobny punkt œwieltny, mniej wiêcej o natêżeniu satelitów Jowisza, widzialnych przy pomocy œredniej si<sup>3</sup>y teleskopu.

Ale jeceli to nie ksiêżyc, to cóż to jest do kroæset – wola<sup>3</sup> kapitan Servadac, przestêpuj<sup>1</sup>c z niecierpliwocci<sup>1</sup> z nogi na nogê. – Nie jest to Wenus, ani Merkury, poniewa¿ obie te planety nie maj<sup>1</sup> satelitów. A jednak droga tej planety mieœci siê w orbicie ziemskiej, gdy¿ towarzyszy ona s<sup>3</sup>oñcu w jego pozornym ruchu! Jeceli to nie Wenus, ani Merkury, w takim razie musi to byæ ksiêżyc, gdzie u licha dosta<sup>3</sup> tego satelitê?!

## Rozdzia<sup>3</sup> VIII,

*w którym jest mowa o Wenus i Merkurym, jako o planetach.*

Wkrótce zajacenia<sup>3</sup>o s<sup>3</sup>oñce i gwiazdy pogas<sup>3</sup>y. Wszelkie obserwacje zosta<sup>3</sup>y si<sup>31</sup> rzeczy przerwane. Nale¿a<sup>3</sup>o je od<sup>3</sup>o¿yæ do nastêpnej nocy, o ile stan nieba na nie pozwoli.

Kapitan Servadac jeszcze czas jakœ daremnie szuka<sup>3</sup> na niebie œladów œwieltniej tarczy, której blask przed chwila rozœwietla<sup>3</sup> kopu<sup>3</sup>ê nieba.

Pogoda by<sup>3</sup>a piêkna. Wiatr usta<sup>3</sup> ca<sup>3</sup>kowicie. S<sup>3</sup>oñce z niezmienna punktualnocci<sup>1</sup> wschodzi<sup>3</sup>o ponad now<sup>1</sup> lini<sup>1</sup> horyzontu, aby po up<sup>3</sup>ywie szeœciu godzin na przeciwnym krañcu pochyliæ siê ku zachodowi.

Temperatura stale wzrasta<sup>3</sup>a. Kapitan Servadac, który kilka razy dziennie bada<sup>3</sup> termometr, zawieszony w pokoju na œcianie, dnia 15-go stycznia skonstatowa<sup>3</sup> temperaturê 50 stopni w cieniu.

Oficer z ordynansem w miarê mo¿nocci wyporz<sup>1</sup>dzili najwiêksz<sup>1</sup> izbê posterunku. Kamienne mury budynku, które opar<sup>3</sup>y siê ulewom równym potopowi, teraz chroni<sup>3</sup>y przed ¿arem s<sup>3</sup>oñca. Upa<sup>3</sup> stawa<sup>3</sup> siê ju¿ nieznoceny; najlêjsza chmurka nie przes<sup>3</sup>ania<sup>3</sup>a rozpalonej tarczy s<sup>3</sup>onecznej. Zapewne podobna fala gor<sup>1</sup>ca nigdy nie nawiedza<sup>3</sup>a nawet Senegalu lub okolic podzwrotnikowych Afryki. W razie przed<sup>3</sup>u¿ania siê takiego stanu rzeczy, ca<sup>3</sup>a roœlinnoœæ wyspy spali siê na popió<sup>3</sup>.

Wierny swoim zasadam Ben-Zouf stara<sup>3</sup> siê niepomiernie wysok<sup>1</sup> temperaturê uznaæ za rzecz normaln<sup>1</sup>, ale pot, który sp<sup>3</sup>ywa<sup>3</sup> po nim ciê¿kimi kroplami, wymownie przeczy<sup>3</sup> jego obojêtnocci. Mimo to i wbrew wyraŹnym zaleceniom kapitana, nie opuszcza<sup>3</sup> swej placówki na przybrze¿nych ska<sup>3</sup>ach. Tam, obserwuj<sup>1</sup>c wci<sup>1</sup>¿ puste i ju¿ spokojne, jak jezioro, morze œródziemne, piek<sup>3</sup> siê i pra¿y<sup>3</sup> na s<sup>3</sup>oñcu. Widocznie mia<sup>3</sup> podwójn<sup>1</sup> skórê i opancerzon<sup>1</sup> czaszkê, ¿e znosi<sup>3</sup> tak bezkarnie

prostopad³e promienie po³udniowego s³oñca.

Kapitan Servadac, obserwuj¹c go kt³oregoœ dnia, zapyta³:

Widocznie urodzi³eœ siê na równiku?

O nie, kapitanie, nie rezygnujê ze swego Montmartre'u.

Z chwil¹ gdy dzielny Ben-Zouf zgodzi³ siê z faktem, ¿e na ulubionym jego Montmartre panuje temperatura okolic podzwrotnikowych, nie by³o ju¿ o czym dyskutowaæ.

Gwa³towny skok temperatury odbi³ siê, rzecz prosta, i na wegetacji roœlin. Ca³a przyroda musia³a zareagowaæ na tak powa¿ne zmiany klimatyczne. Upa³ przyœpieszy³ kie³kowanie i dojrzewanie. W zdumiewaj¹co kr³otkim czasie wszystkie drzewa zazieleni³y siê, zakwit³y i poczê³y owocowaæ. To samo dzia³o siê ze zbo¿em i z warzywami. W mgnieniu oka wyrasta³y k³osy zbó¿ i kukurydzy, a ³¹ki pokrywa³y siê bujnym dywanem traw. Siano¿êcie, ¿niwa i zbiórka owoców wypad³y prawie równoczenie. Lato i jesieñ zla³y siê w jedn¹ porê roku.

Jeœli oœ ziemi zmieni³a kierunek i tworzy, jak ca³okszta³t zjawisk zdaje siê na to wskazywaæ, k¹t prosty z równikiem, filozofowa³ Servadac, w takim razie sprawy u³o¿¹ siê u nas, jak na Jowiszu. Zaniknie pojêcie p³o roku, powstan¹ natomiast pewne niezmienné strefy, w kt³orych wieczyœcie bêdzie panowa³a zima, wiosna, lato lub jesieñ.

Po chwili doda³:

Có¿ jednak, u licha, spowodowa³o tê nag³¹ zmianê?

Szalone tempo wegetacji i dojrzewania w niema³y k³opot wprawia³y kapitana i jego ordynansa. Widoczne by³o, ¿e nie podo³aj¹ pracy, zw³aszcza, ¿e ¿ar j¹ uniemo¿liwia³. W ka¿dym razie ¿yli spokojnie i dostatnio. Zapasów ¿ywnoœci mieli poddostatkiem, a spokojne morze i cudowna pogoda zdawa³y siê wró¿yæ rych³e zjawienie siê okrêtu-wybawcy.

W czasach normalnych w tej czêœci morza œródziemnego panowa³ bardzo o¿ywiony ruch, zarówno pasa¿erski, jak i towarowy.

Teraz jednak¿e cicho i pusto by³o woko³o. Na nic siê nie zda³o ci¹g³e wyczekiwanie, bezcelowe by³o wartowanie biednego Ben-Zoufa.



Kapitan Servadac w tym czasie ci<sup>1</sup>gle  $\zeta y^3$  wspomnieniami szko<sup>3</sup>y, staraj<sup>1</sup>c si<sup>ê</sup> od<sup>o</sup>ewie<sup>z</sup>ya<sup>e</sup> w pami<sup>e</sup>ci zaczerpni<sup>ê</sup>t<sup>1</sup> tam wiedz<sup>ê</sup>. Robi<sup>3</sup> jakie<sup>o</sup>e szalone obliczenia, stara<sup>3</sup> si<sup>ê</sup> uj<sup>1</sup>a<sup>e</sup> w nowe formu<sup>3</sup>y matematyczne nowe po<sup>3</sup>o<sup>z</sup>enie kuli ziemskiej, ale wszystko to nie dawa<sup>3</sup>o wielkich rezultat<sup>o</sup>w.

Nie m<sup>o</sup>g<sup>3</sup> wpa<sup>o</sup>a<sup>e</sup> na to,  $\zeta e$  skoro Ziemia zmieni<sup>3</sup>a obr<sup>o</sup>t wok<sup>o</sup>3 w<sup>3</sup>asnej osi, musia<sup>3</sup> te<sup>z</sup> ulec zmianie jej obr<sup>o</sup>t wok<sup>o</sup>3 s<sup>3</sup>o<sup>n</sup>ca, a tem samem i d<sup>3</sup>ugo<sup>o</sup>a<sup>e</sup> roku musia<sup>3</sup>a si<sup>ê</sup> zmienia<sup>e</sup>...

Tymczasem najwidoczniej Ziemia zbli<sup>z</sup>a<sup>3</sup>a si<sup>ê</sup> do swej gwiazdy dziennej, na co, poza sta<sup>3</sup>ym i gwa<sup>3</sup>townym zwrotem temperatury, wskazywa<sup>3</sup>y i inne jeszcze zjawiska.

Widoczna go<sup>3</sup>em okiem tarcza s<sup>3</sup>oneczna mia<sup>3</sup>a o<sup>e</sup>rednic<sup>e</sup> dwa razy wi<sup>ê</sup>ksz<sup>1</sup>, ni<sup>z</sup> dawniej... Tak<sup>1</sup> j<sup>1</sup> widzie<sup>e</sup> musieli obserwatorzy, umieszczeni na planecie Venus, znajduj<sup>1</sup>cej si<sup>ê</sup>, jak wiadomo,, w odleg<sup>3</sup>o<sup>e</sup>ci dwudziestu pi<sup>e</sup>ciu milion<sup>o</sup>w mil od s<sup>3</sup>o<sup>n</sup>ca. St<sup>1</sup>d wniosek prosty,  $\zeta e$  i odleg<sup>3</sup>o<sup>e</sup>a<sup>e</sup> Ziemi od s<sup>3</sup>o<sup>n</sup>ca wynosi<sup>3</sup>a obecnie, zamiast dawnych trzydziestu o<sup>e</sup>miu, tylko dwadzie<sup>o</sup>cia pi<sup>e</sup>a milion<sup>o</sup>w mil. Gdyby odleg<sup>3</sup>o<sup>e</sup>a<sup>e</sup> ta zmniejsza<sup>3</sup>a si<sup>ê</sup> w dalszym ci<sup>1</sup>gu, nale<sup>z</sup>a<sup>3</sup>o przypu<sup>o</sup>ecia<sup>e</sup>,  $\zeta e$  nieprzeparta jak<sup>o</sup>e si<sup>3</sup>a zachwia<sup>3</sup>a r<sup>o</sup>wnowag<sup>e</sup> ziemsk<sup>1</sup> i pcha planet<sup>e</sup> nasz<sup>1</sup> ku s<sup>3</sup>o<sup>n</sup>cu. By<sup>3</sup>oby to r<sup>o</sup>wnoznaczne z zag<sup>3</sup>ad<sup>1</sup> Ziemi.

O ile pi<sup>e</sup>kne dni u<sup>3</sup>atwia<sup>3</sup>y obserwacj<sup>e</sup> s<sup>3</sup>o<sup>n</sup>ca, o tyle pi<sup>e</sup>kniejsze jeszcze noce dawa<sup>3</sup>y kapitanowi mo<sup>z</sup>no<sup>o</sup>a<sup>e</sup> rozejrzenia si<sup>ê</sup> w uk<sup>3</sup>adzie cia<sup>3</sup> niebieskich. Gwiazdy i planety le<sup>z</sup>a<sup>3</sup>y jak na d<sup>3</sup>oni, jak wielkie wyra<sup>z</sup>ne litery niebieskiego alfabetu. Kapitan Servadac jednak umia<sup>3</sup> tylko sylabizowa<sup>e</sup>. Gwiazdy, naskutek swego zbyt wielkiego oddalenia, nie mog<sup>3</sup>y by<sup>e</sup>  $\zeta$ adnym wska<sup>z</sup>nikiem. Natomiast planety, te zw<sup>3</sup>aszcza, kt<sup>o</sup>rych drogi przebiegaj<sup>1</sup> wewn<sup>1</sup>trz orbity ziemskiej, niejedno mog<sup>3</sup>y wyja<sup>o</sup>enia<sup>e</sup>. Dwie takie planety s<sup>1</sup> nam znane: Venus i Merkury. Pierwsza z nich grawituje z odleg<sup>3</sup>o<sup>e</sup>ci dwudziestu siedmiu, a druga pi<sup>e</sup>tnastu milion<sup>o</sup>w mil do s<sup>3</sup>o<sup>n</sup>ca. Droga Venus otacza zatem drog<sup>e</sup> Merkurego, a obie one znajduj<sup>1</sup> si<sup>ê</sup> wewn<sup>1</sup>trz orbity ziemskiej. Po d<sup>3</sup>ugich obserwacjach i g<sup>3</sup>êbokich rozwa<sup>z</sup>aniach kapitan Servadac doszed<sup>3</sup> do wniosku,  $\zeta e$  ilo<sup>o</sup>a<sup>e</sup> ciep<sup>3</sup>a i o<sup>e</sup>wiat<sup>3</sup>a odbieranego obecnie przez Ziemi<sup>e</sup> wzros<sup>3</sup>a w dw<sup>o</sup>jnas<sup>o</sup>b i odpowiada ilo<sup>o</sup>ci ciep<sup>3</sup>a otrzymywanego dawniej przez Venus. St<sup>1</sup>d wniosek,  $\zeta e$  Ziemia znacznie zbli<sup>z</sup>y<sup>3</sup>a si<sup>ê</sup> do s<sup>3</sup>o<sup>n</sup>ca, na co wskazywa<sup>3</sup>y te<sup>z</sup> olbrzymie stosunkowo rozmiary Venus. Sprawia<sup>3</sup>a ona wra<sup>z</sup>enie ma<sup>3</sup>ego ksi<sup>e</sup>z<sup>e</sup>yca i doskonale go<sup>3</sup>em okiem mo<sup>z</sup>na by<sup>3</sup>o odr<sup>o</sup>z<sup>n</sup>ia<sup>e</sup> jej fazy, pe<sup>3</sup>ni<sup>e</sup>, kwadr<sup>e</sup> i t. d. Wykr<sup>o</sup>j jej sierpa pozwala<sup>3</sup> stwierdza<sup>e</sup>,  $\zeta e$  promienie s<sup>3</sup>oneczne odbite w jej atmosferze przenika<sup>3</sup>y do stref, dla kt<sup>o</sup>rych powinny by<sup>3</sup>y ju<sup>z</sup> zachodzia<sup>e</sup>.

Po licznych obserwacjach kapitan Servadac uwa<sup>z</sup>a<sup>3</sup> si<sup>ê</sup> za uprawnionego do stwierdzenia,  $\zeta e$  Venus znajduje si<sup>ê</sup> nie dalej jak w odleg<sup>3</sup>o<sup>e</sup>ci dw<sup>o</sup>ch milion<sup>o</sup>w mil od Ziemi. Opinj<sup>1</sup> swoj<sup>1</sup> podzieli<sup>3</sup> si<sup>ê</sup> z Ben-Zoufem.

No i c<sup>o</sup>z, kapitanie, uwa<sup>z</sup>am,  $\zeta e$  to jeszcze poka<sup>z</sup>na odleg<sup>3</sup>o<sup>e</sup>a<sup>e</sup> – odpar<sup>3</sup> ordynans.

Dla dw<sup>o</sup>ch armij nieprzyjacielskich by<sup>3</sup>aby to du<sup>z</sup>a odleg<sup>3</sup>o<sup>e</sup>a<sup>e</sup> – biada<sup>3</sup> kapitan – ale dla dw<sup>o</sup>ch planet jest to zero.

Co wi<sup>e</sup>c mo<sup>z</sup>e si<sup>ê</sup> sta<sup>e</sup>?

To,  $\zeta e$  spadniemy na Venus!

Ho, ho! kapitanie, a czy jest tam czym oddychać?

Owszem, jest powietrze.

I woda?

Oczywiście.

A więc doskonale! Będziemy podziwiał Venus!

Ale wstrz!s będzie szalony! Obie planety poruszaj<sup>1</sup> się, o ile mi wiadomo, w kierunkach przeciwnych, a ponieważ masy ich s<sup>1</sup> prawie jednakowe, więc starcie będzie okropne w skutkach dla jednej, jak i dla drugiej.

Cóż, zderzenie dwóch poci<sup>1</sup>gów! – odpar<sup>3</sup> filozoficznie z w<sup>3</sup>acęciw<sup>1</sup> sobie flegm<sup>1</sup> Ben-Zouf.

Dwóch poci<sup>1</sup>gów, idjoto! – wo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>, pieni<sup>1</sup>c się ze z<sup>3</sup>oęci, kapitan. – Ale dwóch poci<sup>1</sup>gów pędz<sup>1</sup>cych tysi<sup>1</sup>c razy szybciej od najszybszego ekspresu, co musi wywo<sup>3</sup>ać zmiażdżenie obu, a co najmniej jednej z planet! I zobaczymy, co wówczas pozostanie z twojego umi<sup>3</sup>owanego Montmartre<sup>3</sup>u, cęmiesznej bry<sup>3</sup>ki ziemi.

To dotknę<sup>3</sup>o Ben-Zoufa do żywego. Zagryz<sup>3</sup> usta, cęcisn<sup>13</sup> kurczowo d<sup>3</sup>onie, ale pohamowa<sup>3</sup> się i po kilku chwilach, w których trawi<sup>3</sup> po cichu s<sup>3</sup>owa „bry<sup>3</sup>ka ziemi – Montmartre!””, odezwa<sup>3</sup> się już zupe<sup>3</sup>nie spokojnie:

Kapitanie, jestem do us<sup>3</sup>ug!... Rozkazuj!... Jeżeli jest możliwość uniknięcia spotkania...

Niema takiej możliwości, ba<sup>3</sup>wanie, i id<sup>3</sup> do stu par djab<sup>3</sup>ów!

Po tej odpowiedzi skonfundowany Ben-Zouf da<sup>3</sup> za wygran<sup>1</sup> i nie odezwa<sup>3</sup> się już ani s<sup>3</sup>ówkiem.

Z dnia na dzień przestrzeń dziel<sup>1</sup>ca obie planety zmniejsza<sup>3</sup>a się coraz bardziej i by<sup>3</sup>o jasne, że nowa orbita Ziemi przetnie drogę Venus. W tym samym czasie Ziemia zbliży<sup>3</sup>a się bardzo również do Merkurego. Planeta ta, widoczna go<sup>3</sup>em okiem tylko przy swych największych wschodnich i zachodnich odchyleniach, jaęnia<sup>3</sup>a teraz w ca<sup>3</sup>ym blasku. Lecz nie Merkury zagraża<sup>3</sup> Ziemi, niebezpieczeństwo grozi<sup>3</sup>o ze strony Venus. Dnia 18-go stycznia odleg<sup>3</sup>ość obu planet wynosi<sup>3</sup>a już tylko milion mil. Kapitan mógł<sup>3</sup> zaobserwować, że obrót Venus wokó<sup>3</sup> w<sup>3</sup>asnej osi trwa<sup>3</sup> dwadzieęcia trzy godziny i dwadzieęcia jeden minut, co wskazywa<sup>3</sup>o, że d<sup>3</sup>ugość dnia na „gwie<sup>3</sup>dzie porannej” nie uleg<sup>3</sup>a zmianie. Wyra<sup>3</sup>nie na jej tarczy zarysowa<sup>3</sup>y się pręgi przesyconych par<sup>1</sup> chmur. Z ca<sup>31</sup> dok<sup>3</sup>adnoęci<sup>1</sup> wyst<sup>1</sup>pi<sup>3</sup>o siedem plam, które wed<sup>3</sup>ug dawnego orzeczenia Bianchini<sup>3</sup>ego by<sup>3</sup>y najprawdziwszemi, po<sup>31</sup>czonemi ze sob<sup>1</sup> morzami. Wreszcie wspania<sup>3</sup>a planeta sta<sup>3</sup>a się widoczna w bia<sup>3</sup>y dzień, co jednakże znacznie mniej sprawi<sup>3</sup>o przyjemności kapitanowi Servadac, niż w swoim czasie genera<sup>3</sup>owi Bonaparte, który ujrzawszy Venus w po<sup>3</sup>udnie, nazwa<sup>3</sup> j<sup>1</sup> „swoj<sup>1</sup> gwiazd<sup>13</sup>”.

20-go stycznia „przepisowa” odleg<sup>3</sup>ość między cia<sup>3</sup>ami niebieskimi zmniejszy<sup>3</sup>a się jeszcze bardziej.

W jakimże strachu musz<sup>1</sup> być nasi towarzysze afrykańscy, przyjaciele we Francji i wogóle wszyscy mieszkańcy obu kontynentów! – biada<sup>3</sup> kapitan Servadac. – Jakże artyku<sup>3</sup>y drukuj<sup>1</sup> gazety! Jakże t<sup>3</sup>umy zalegaj<sup>1</sup> koćcio<sup>3</sup>y! W przededniu końca ęwiata! Nigdy jeszcze nie byliemy tak bliscy końca! A ja w tych okolicznoćciach jeszcze się dziwiê, że żaden statek nie przybywa na nasz ratunek! Czyż genera<sup>3</sup>-gubernator, lub minister wojny maj<sup>1</sup> teraz czas interesować się nami? W niespe<sup>3</sup>na dwa dni Ziemia rozpryćnie się na tysi<sup>1</sup>c czêćci, od<sup>3</sup>amki jej swobodnie bêd<sup>1</sup> kr<sup>1</sup>żyć w przestworzach!

Inne jednakże by<sup>3</sup>y wyroki Opatrznoćci. Od tego dnia bowiem, groŹne planety poczê<sup>3</sup>y się wolno oddalać od siebie. Szczêćliwym zbiegiem okolicznoćci orbity Wenus i Ziemi nie zetknê<sup>3</sup>y się ze sob<sup>1</sup> i dziêki temu unikniêto fatalnego zderzenia. Ben-Zouf odetchn<sup>13</sup> z ulg<sup>1</sup>, gdy mu kapitan obwiećci<sup>3</sup> radosn<sup>1</sup> nowinê.

25-go stycznia odleg<sup>3</sup>oćć miêdzy planetami by<sup>3</sup>a juŹ tak wielka, że rozwia<sup>3</sup>a wszelki niepokój.

W kaŹdym razie – rzek<sup>3</sup> kapitan Servadac – zbliŹenie to pomog<sup>3</sup>o nam stwierdzić, że Wenus nie ma ksiê<sup>1</sup>życy.

Niektórzy znani i cenieni astronomowie, jak: Dominique, Cassini, Short, Montaigne de Limoges i Montbarron powaŹnie myćleli o istnieniu takiego satelity.

Nawet mnie to z<sup>3</sup>oćci – przerwa<sup>3</sup> kapitan – gdyŹ ksiê<sup>1</sup>życ taki moglibyemy mimochodem zagarn<sup>1</sup>ć i mielibyemy wtedy dwa na us<sup>3</sup>ugi Ziemi. Ale u licha! Wcale mi to wszystko nie wyjaćenia zagadki powik<sup>3</sup>añ niebieskiego mechanizmu!

Kapitanie! – odezwa<sup>3</sup> się Ben-Zouf.

Czego chcesz?

Czy w ParyŹu, niedaleko ogrodu Luxemburskiego, niema domu z wielk<sup>1</sup> kul<sup>1</sup> na szczycie?

Obserwatorium?

A w<sup>3</sup>acenie. OtóŹ, czy wyjaćnienie wszystkiego nie jest obowi<sup>1</sup>zkiem siedz<sup>1</sup>cych tam panów?

Oczywićcie.

A wiêc oczekujmy spokojnie ich wyjaćnień i b<sup>1</sup>dŹmy filozofami.

Obawiam się tylko, Ben-Zoufie, czy wiesz, co to znaczy być filozofem?

Rzecz prosta, skoro jestem Źo<sup>3</sup>nierzem.

Wiêc cóŹ to znaczy wed<sup>3</sup>ug ciebie?

To znaczy poddać się, gdy nie moŹna inaczej.

Hector Servadac nie odpowiedzia³ ordynansowi, ale pozornie przynajmniej przesta³ siê biedziæ nad rozwi¹zaniem, przerastaj¹cej jego si³y, zagadki.

Zreszt¹ zdarzy³ siê zupe³nie niespodziewany wypadek, który poci¹gn¹³ za sob¹ powa¿ne nastêpstwa.

27-go stycznia oko³o godziny dziewi¹tej rano Ben-Zouf wszed³ spokojnie do pokoju oficera.

Kapitanie! – odezwa³ siê z flegm¹.

Co takiego? – zapyta³ oficer.

Statek.

Ociele skoñczony! Oznajmiasz to, jak podanie zupy!

Skoro jesteœmy filozofami! – brzmia³a spokojna odpowiedŹ Ben-Zoufa.

## Rozdzia³ IX,

*w którym szereg pytañ kapitana Servadac'a pozostaje bez odpowiedzi.*

Hector Servadac wyskoczy³ z izby, jak szalony, i co tchu w piersiach pobieg³ na szczyt wynios³oœci.

W odleg³oœci jakichœ dziesiêciu kilometrów od wyspy widaæ by³o okrêt. Chocia¿ nie wychyli³ siê jeszcze z poza linii horyzontu i widoczne by³y tylko maszty, mo¿na by³o stwierdziæ, ¿e by³ to rodzaj spacerowego jachtu.

Kapitan Servadac, uzbrojony w lunetê, nie spuszcza³ statku z oka. Po dwugodzinnej obserwacji móg³ ju¿ zaopinjowaæ z ca³¹ pewnoœci¹:

*Dobryna!*

*Dobryna?! – odpar³ Ben-Zouf – to niemo¿liwe. Nie widaæ wcale dymu.*

Bo ma rozpiête ¿agle – obstawa³ przy swoim kapitan – nie ulega jednak najmniejszej w¹tpliwoœci, ¿e jest to jacht hrabiego Timaszewa.

Istotnie by³a to *Dobryna* i, jeœli hrabia by³ na jej pok³adzie, najdziwaczniejszy z przypadków stawi³by go przed oblicze rywala.

Rzecz oczywista, ¿e kapitan Servadac nie ¿ywi³ w tej chwili ¿adnej urazy do hrabiego i nie myœla³ nawet o niedosz³em spotkaniu. Okolicznoœci tak siê zmieni³y, ¿e pragn¹³ tylko ca³¹ dusz¹ porozmawiaæ z hrabi¹ o niezwyk³ych wydarzeniach ostatniej doby. *Dobryna* w ci¹gu tych dwudziestu siedmiu dni mog³a zbadaæ okolice Algeru, dobrnê³a, byæ mo¿e, do brzegów Hiszpanji, W³och, a

może i Francji i mia³a wiele ciekawych rzeczy do opowiedzenia. Można bédzie dowiedziaæ siê wreszcie nietylko o rozmiarach katastrofy, ale i poznaæ przyczyny, które j¹ wywo³a³y. Poza tem hr. Timaszew by³ gentlemanem i bédzie sobie uwa¿a³ za obowi¹zek zawieŸæ obu rozbitków do ojczyzny.

Ale dok¹d jacht zawinie? – zapyta³ Ben-Zouf. – Przecie¿ ujœcie Szeliwu wraz z portem zniknê³o!

Wcale nie zawinie – odpar³ kapitan – hrabia przyœle po nas ³ódkê.

Wiatr jednak *Dobrynie* nie sprzyja³, bo zbli¿a³a siê bardzo powoli. Dziwne nawet by³o, ¿e nie puszczano w ruch motoru, chocia¿ spieszno zapewne by³o pasa¿erom zapoznaæ siê z now¹ wysp¹, widoczn¹ na horyzoncie. Mo¿e brak³o paliwa? Na szczêœcie po krótkotrwa³em zachmurzeniu niebo wyjaœni³o siê znowu, wiatr zmieni³ kierunek, morze uspokoi³o siê i jacht zdawa³ siê nie napotykaæ ju¿ ¿adnych przeszkód.

Hector Servadac pomyœla³, ¿e dobrzeby by³o znaleŸæ miejsce odpowiednie do zarzucenia kotwicy, i znalaz³szy je, sygnalizowaæ. Bo có¿, jeœli hr. Timaszew nie zamierza wcale zatrzymywaæ siê u brzegów nieznaney wyspy?

Po chwili jednak widoczne ju¿ by³o, ¿e *Dobryna* kieruje siê ku dawnej przystani. Kapitan Servadac zdecydowa³ siê szybko. Osiod³ano w mig konie i, dosiad³szy ich, obaj jeŸdŸcy galopem udali siê ku najbardziej na zachód wysuniêtej czêœci wyspy.

Po dwudziestu minutach oficer sztabowy i jego ordynans zeskoczyli z koni i badali teren. Hector Servadac zauwa¿y³ u nasady przyl¹dka ma³¹ os³oniêta przystań, w której niewielki statek doskona³e mó³³ znaleŸæ schronienie. Przystań ta naje¿ona by³a podwodnemi ska³ami, miêdzy którymi tylko w¹ski kana³ nadawa³ siê do ¿eglugi. Nawet podczas potê¿nych burz musia³o tu byæ spokojnie. Badaj¹c dok³adniej przybrze¿ne ska³y, kapitan Servadac dostrzeg³ œlady silnego przyp³ywu, pod postaci¹ masy wyrzuconych wodorostów.

Patrzcie no, mamy teraz na morzu Œródziemnym prawdziwe przyp³ywy!

Jeszcze jedna osobliwoœæ przyby³a w szeregu tylu innych, gdy¿ dotychczas odp³ywy i przyp³ywy na morzu Œródziemnym by³y nieznanne.

W ka¿dym razie widoczne by³o, ¿e od czasu najsilniejszego przyp³ywu, maj¹cego miejsce przypuszczalnie w nocy z dnia 31-go grudnia na 1-y stycznia, przybór wód mala³ stopniowo i wraca³ powoli do normalnego stanu.

Poprzestaj¹c narazie na tem spostrze¿eniu, kapitan Servadac zaj¹³ siê wy³¹cznie *Dobryn¹*.

Jacht znajdowa³ siê w odleg³oœci najwy¿ej dwóch do trzech kilometrów od brzegu. Sygna³y dawane z l¹du musia³y byæ ju¿ dostrze¿one i zrozumiane. Istotnie, *Dobryna* zmieni³a zlekka kierunek i poczê³a zwi¼aæ ¿agle. Sternik kierowa³ wyraŸnie w stronê kana³u, który oficer sztabowy wskazywa³ rêk¹. Po up³ywie kilku minut kotwica wry³a siê w piach zatoczki, na wodê spuszczone ³ódkê i hrabia

Timaszew wkrótce znalazł się na lądzie.

Kapitan Servadac pośpieszył na jego spotkanie.

Hrabio! – zawołał, zamiast wszelkich wyjaśnień. – Cóż to się wacie stało?

Hrabia Timaszew, człowiek opanowany i zimny, którego niewzruszony spokój stanowił kontrast z żywością francuskiego oficera, skłonił się zlekka i rzekł z wyraźnym rosyjskim akcentem:

Zapewniam pana, kapitanie, że niespodziewany jest dla mnie zaszczyt tego spotkania. Pozostawię pana na statku, a odnajdę na wyspie...

Chociaż nie ruszam się z miejsca.

Wiem o tym, kapitanie, i proszę mi wybaczyć, że nie stawiam się w terminie, ale...

Ale, hrabio – przerwał żywością kapitan Servadac – o tem, jeżeli pan pozwoli, pomówimy kiedy indziej.

Będę zawsze do pańskiej dyspozycji.

I ja do pańskiej. Chciałbym tylko raz jeszcze powtórzyć pytanie: co się wacie stało?

Pragnę spytać pana o to samo, kapitanie.

Jakto, nic pan nie wie?

Nic absolutnie.

I nie może pan wyjaśnić, skutkiem jakiego kataklizmu ta część lądu afrykańskiego stała się wyspą?

Nie mogę.

Ani jakie są granice katastrofy?

Wiem tylko tyle, co i pan, kapitanie.

Ale może pan powie przynajmniej, czy północne brzegi morza Śródziemnego...

Więc wciąż jeszcze jesteśmy na morzu Śródziemnym? – zapytał z kolei hrabia.

Powinien pan to wiedzieć lepiej ode mnie, skoro pan przybywa z morza.

Wcale go nie przepłynęłam.

Nigdzie pan nie lądował?

Nie mia<sup>3</sup>em nawet poczucia istnienia jakiegoś l<sup>1</sup>du.

Kapitan Servadac z najwy<sup>3</sup>szem zdziwieniem przygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> się swemu rozmówcy.

Ale zauwa<sup>3</sup>y<sup>3</sup> pan przynajmniej, że od dnia 1-go stycznia wschód i zachód zmieni<sup>3</sup>y kierunek!

To zauwa<sup>3</sup>y<sup>3</sup>em.

— e dzień trwa tylko sze<sup>3</sup>ceæ godzin?

Tak jest, istotnie.

— e si<sup>3</sup>a ciê<sup>3</sup>koeci zmala<sup>3</sup>a?

Zupe<sup>3</sup>nie s<sup>3</sup>usznie.

— e zgin<sup>13</sup> gdzieś nasz ksiê<sup>3</sup>yc?

Racja.

— e o ma<sup>3</sup>o nie rozbilicemy się o Wenus?

Istotnie.

I że wskutek tego obrót i ruch Ziemi uleg<sup>3</sup>y zmianie?

Jest to pewnik niezaprzeczalny.

Hrabio — rzek<sup>3</sup> wreszcie kapitan Servadac — proszę wybaczyć moje zdziwienie, ale spodziewa<sup>3</sup>em się wszelkich wyjaśnień od pana.

Wiem tylko tyle, kapitanie, że w nocy z dnia 31-go grudnia na 1-y stycznia, podczas gdy udawa<sup>3</sup>em się na nasze spotkanie, jacht mój porwa<sup>3</sup>a nagle potê<sup>3</sup>na fala i podnios<sup>3</sup>a go do nieprawdopodobnej wysokości. Jakąś nieznaną nam si<sup>3</sup>a rozpêta<sup>3</sup>a żywio<sup>3</sup>y. Od tej chwili b<sup>3</sup>dzilicemy wśród rozhukanych fal, zdani na <sup>3</sup>askê silnie uszkodzonego statku. Cudem tylko *Dobryna* ocala<sup>3</sup>a, znalaz<sup>3</sup>szy się widocznie w samym centrum cyklonu. Nie widzieliśmy dot<sup>1</sup>d żadnego l<sup>1</sup>du. Ta wyspa jest pierwsz<sup>1</sup>, któr<sup>1</sup> napotkalicemy.

Ależ w takim razie, hrabio, — zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> kapitan Servadac — trzeba wsi<sup>1</sup>oæ na statek, przep<sup>3</sup>yn<sup>1</sup>æ morze i zbadaæ, jak daleko sięga klêska.

Jestem tego samego zdania.

Czy zabierze mnie pan ze sob<sup>1</sup>?

Tak jest, kapitanie, nawet na koniec œwiata, jeżeli podró<sup>3</sup> ta oka<sup>3</sup>e się nam potrzebna.

O, wystarczy mi żegluga wzd<sup>3</sup>u<sup>3</sup> brzegów morza Œródziemnego!

Któż nas zapewni – odpar<sup>3</sup>, pochylaj<sup>1</sup>c w zadumie g<sup>3</sup>owê hrabia Timaszew – że okr<sup>1</sup>żenie morza Eródziemnego nie bêdzie podró<sup>1</sup> naoko<sup>3</sup>o œwiata!

Kapitan Servadac nic nie odpowiedzia<sup>3</sup> i zamyceli<sup>3</sup> siê g<sup>3</sup>êboko.

Narazie nie pozostawa<sup>3</sup>o nic innego do zrobienia, jak zbadaæ resztê ziem afrykañskich, dowiedzieæ siê w Algerze o losach œwiata, w razie zaœ gdyby po<sup>3</sup>udniowa czêœæ wybrze<sup>1</sup>y morza Eródziemnego zniknê<sup>3</sup>a zupe<sup>3</sup>nie z powierzchni Ziemi, udaæ siê na pó<sup>3</sup>noc i zasiêgn<sup>1</sup>æ jêzyka w Europie, u mieszkañców francuskiego lub w<sup>3</sup>oskiego wybrze<sup>1</sup>a:

W ka<sup>1</sup>dy razie nale<sup>1</sup>za<sup>3</sup>o przede wszystkim naprawiaæ uszkodzony motor *Dobryny*. Jazda na <sup>1</sup>aglach by<sup>3</sup>a powolna i zarazem trudna, zw<sup>3</sup>aszcza w razie nieprzychylnych wiatrów i wzburzonego morza. Zreszt<sup>1</sup> *Dobryna*, przygotowana do dalekiej podró<sup>1</sup>y na wschód, mia<sup>3</sup>a jeszcze na dwa miesi<sup>1</sup>ce zapasów wêgla. S<sup>3</sup>uszniej by<sup>3</sup>o zatem, u<sup>1</sup>zywaj<sup>1</sup>c tego paliwa, przyepiesz<sup>1</sup>æ termin podró<sup>1</sup>y i w pierwszym napotkanym porcie zaopatrzyæ siê na nowo. Co do tego nie by<sup>3</sup>o dwóch zdañ.

Na szczêœcie uszkodzenia da<sup>3</sup>y siê <sup>3</sup>atwo naprawiaæ. Na jachcie znalaz<sup>3</sup>y siê nowe cylindry, którymi zast<sup>1</sup>piono stare, niezdatne ju<sup>1</sup> do u<sup>1</sup>ytku, i po up<sup>3</sup>ywie trzech dni motor *Dobryny* funkcjonowa<sup>3</sup> prawid<sup>3</sup>owo.

W ci<sup>1</sup>gu trzydniowego postoju na wyspie Hector Servadac wtajemniczy<sup>3</sup> hrabiego Timaszewa w obserwacje poczynione na swej placówce. Dosiad<sup>3</sup>szy wierzchowców przemierzali wszere i wzd<sup>3</sup>u<sup>1</sup>y wysepkê i, po szczegó<sup>3</sup>owej inspekcji, doszli do wniosku, że czas najwy<sup>1</sup>szy wyruszyæ, aby na morzu szukaæ przyczyn niepo<sup>1</sup>jêtej katastrofy.

Dnia 31 stycznia jacht by<sup>3</sup> gotów do drogi. Termometr wskazywa<sup>3</sup> lekki spadek temperatury. Czy<sup>1</sup>by to mia<sup>3</sup>o oznaczaæ, że droga Ziemi wokó<sup>3</sup> s<sup>3</sup>oñca zmieni<sup>3</sup>a siê ponownie? Odpowied<sup>1</sup>Y twierdz<sup>1</sup>ca na to pytanie by<sup>3</sup>aby przedwczesna.

Pogoda nadal by<sup>3</sup>a piêkna, jakkolwiek zmniejszaj<sup>1</sup>cy siê s<sup>3</sup>upek rtêci w termometrze œwiadczy<sup>3</sup> o gromadzeniu siê oparów w powietrzu. Nie zmieni<sup>3</sup>o to jednak decyzji podró<sup>1</sup>ników.

Pozostawa<sup>3</sup>o stwierdzaæ, czy Ben-Zouf zamierza towarzyszyæ swemu panu, czy te<sup>1</sup> zostanie na miejscu. Jeden wzgl<sup>1</sup>d zw<sup>3</sup>aszcza, w powodzi innych mniej znacznych, nie pozwala<sup>3</sup> mu opuszczaæ wyspy. *Dobryna* w <sup>1</sup>adnym razie nie mog<sup>3</sup>a zabraæ obu koni, a Ben-Zouf za nic w œwiecie nie rozsta<sup>3</sup>by siê z niemi. Poza tem uwa<sup>1</sup>za<sup>3</sup> za swój obowi<sup>1</sup>zek nadzór nad now<sup>1</sup> posiad<sup>3</sup>oœci<sup>1</sup>, liczy<sup>3</sup> siê z mo<sup>1</sup>liwoœci<sup>1</sup> odwiedzin wyspy przez cudzoziemców, wierzy<sup>3</sup> w przybycie armji wybawców i t. p. Wzglêdy te przekona<sup>3</sup>y i kapitana Servadac'a, który, jakkolwiek z <sup>1</sup>alem, postanowi<sup>3</sup> rozstaæ siê z ordynansem. Nie przypuszcza<sup>3</sup> zreszt<sup>1</sup>, aby mu na wyspie grozi<sup>3</sup>o jakiegokolwiek niebezpieczeñstwo. Po zbadaniu przyczyn i rozmiaru katastrofy postanowiono wróciæ po Ben-Zoufa i odstawiæ go do ojczyzny.

Dnia 31 stycznia ordynans, wyposa<sup>1</sup>ony w w<sup>3</sup>adzê gubernatora wyspy, z g<sup>3</sup>êbokiœm wzruszeniem <sup>1</sup>egna<sup>3</sup> kapitana Servadac'a. Prosi<sup>3</sup>, aby pan jego w razie dotarcia a<sup>1</sup> do stóp Montmartre'u sprawdzi<sup>3</sup>, czy ukochane wzgórze nie ucierpia<sup>3</sup>o wskutek katastrofy. *Dobryna* tymczasem puœci<sup>3</sup>a w ruch motor i z w<sup>1</sup>skiego kana<sup>3</sup>u wyp<sup>3</sup>ynê<sup>3</sup>a na pe<sup>3</sup>ne morze.



## Rozdział X,

w którym z lunet<sup>1</sup> przy oku i sond<sup>1</sup> w ręce poszukuje się celadów dawnego Algeru.

*Dobryna*, zbudowana i wykończona z ca<sup>31</sup> staranności<sup>1</sup> w angielskich dokach, mia<sup>3</sup>a pojemności dwustu tonn, co stawia<sup>3</sup>o ją w rzędzie okrętów oceanicznych. Kolumb i Magellan nie mieli nawet w przybliżeniu tak pewnych i dużych statków, a jednak odważyli się przepłynąć oceany Atlantycki i Spokojny. Kuchnia okrętowa *Dobryny* zawierała zapasy żywności na okres kilkomiesięczny, co pozwalało na objazd morza Śródziemnego bez potrzeby ponownego zaopatrzenia się w drodze. Dodać też należy, że podczas postoju u wybrzeży wyspy nie było potrzeby zwiększenia balastu. Choć statek, jak wszystkie przedmioty, od czasu katastrofy ważył mniej, ale i woda straciła na wadze. Wzajemny stosunek obu ciężarów pozostał więc ten sam i te same prawa utrzymywały w równowadze *Dobrynę* na wodzie.

Wobec tego, że hrabia Timaszew nie był marynarzem, kierownictwo jachtu spoczywało w rękach porucznika Prokopa. Był to mężczyzna trzydziestoletni, urodzony w dobrach hrabiego, jako syn jednego z drobnych dzierżawców, duszą i ciałem oddany był swemu panu. Znany ten marynarz, który kształcił się na statkach wojennych i handlowych, uzyskał stopień oficerski, wstąpił na pokład *Dobryny*. Hrabia Timaszew większą część roku spędzał na wodzie, zimno na lazurach fal morza Śródziemnego, latem na ciepłych morzach Północy. Porucznik Prokop posiadał rozległą wiedzę nie tylko w swoim zawodzie. Trudno wprost było oddać *Dobrynę* w lepsze ręce. Cała jej załoga zresztą nie pozostawiała nic do życzenia. Składała się z mechanika i czterech marynarzy.

Przeżywany kataklizm przyrody nie wyprowadzał marynarzy z równowagi, dopóki ich pan dzielił z nimi niepewności losu. *Dobryna* cała się parzyła i żagle pędziły na wschód. Wiatr był pomyślny i gdyby nie wysokie fale, które piętrzyły się na morzu, pędziłyby z szybkością strzały. Szłyby, pogodny wietrzyk zachodni nie tłumaczył groźnego rozkołysania się wód. Stan ten w nowych warunkach był jednak zupełnie zrozumiały. Mniej ważne, na skutek mniejszej siły przyciągania Ziemi, cząsteczki wody przy najłagodniejszym ruchu wahadłowym podnosiły się do niebywałej wysokości. Jakże zdziwiłby się Arago, który ustalił w swoim czasie maksymalną granicę wysokości fal na siedem do ośmiu metrów, na widok bańwanów wznoszących się do sześćdziesięciu stóp i więcej. *Dobryna*, straciwszy również na wadze, wznosiła się z większą łatwością i jak piłka skakała na grzbietach fal. Człowiek skłonny do morskiej choroby, w tych warunkach czułby się okropnie. Na szczęście kapitan Servadac był odporny i z tej strony nic mu nie groziło.

Jacht posuwał się w odległości dwóch do trzech kilometrów od dawnych wybrzeży Algeru. Od strony południowej nie było widać żadnych celadów lądu. Chociaż porucznik Prokop nie był już w stanie określić położenia *Dobryny* na podstawie mapy nieba, drogę jej i kierunek można było zupełnie łatwo określić przy pomocy busoli.

Na szczęście igła busoli ani na chwilę nie była wyprowadzona z równowagi, fenomeny kosmiczne nie miały na nią żadnego wpływu, wskazywała stale północny biegun magnetyczny w

odleg³oœci jakichœ dwudziestu dwóch stopni od bieguna ziemskiego. Chocia¿ s³oñce wstawa³o teraz na zachodzie i na wschodzie uk³ada³o siê do snu, bieguny pó³nocny i pó³udniowy pozostawa³y niezmiennie na swoich miejscach.

W ci¹gu pierwszych kilku dni podró¿y porucznik Prokop, biegleszy w tych wszystkich sprawach od kapitana, chêtnie udziela³ wyjaœnienia. Rozmowa toczy³a siê, rzecz prosta, ko³o fenomenów natury, których przyczyny dla porucznika Prokopa, zarówno jak i dla kapitana Servadac'a, pozostawa³y nadal zagadk¹. G³ównie zastanawiano siê nad now¹ drog¹ Ziemi w uk³adzie s³onecznym.

Wszak jasne jest, kapitanie – mówi³ porucznik Prokop – ¿e Ziemia nie kr¹¿y ju¿ dawn¹ drog¹ dooko³a s³oñca, do którego nieznan¹ si³a znacznie j¹ przybli¿y³a.

Jestem tego pewien – odpar³ kapitan Servadac – nale¿a³oby tylko stwierdziæ, czy po przeciêciu orbity Wenus, przetniemy te¿ zkolei orbitê Merkurego?...

By opacæ wreszcie i zczecz¹æ na s³oñcu? – wtr¹ci³ hrabia Timaszew.

By³by to kataklizm niebywa³y! – zawo³a³ kapitan Servadac.

Nie – przeczy³ porucznik Prokop – jestem przekonany, ¿e ¿aden upadek nie grozi obecnie Ziemi! Ziemia wcale nie zd¹¿a ku s³oñcu, tylko obiega wokó³ niego now¹, nieznan¹ nam jeszcze drogê!

Czy masz jakieœ dowód na poparcie tej hipotezy? – zapyta³ hrabia Timaszew.

Owszem – brzmia³a odpowiedŸ porucznika – i to dowód, który panom napewno trafi do przekonania.

Gdyby naprawdê Ziemia mia³a zgin¹æ w przestworzach, katastrofa ta dope³ni³aby siê znacznie szybciej i bylibyœmy ju¿ w najbli¿szym s¹siedztwie s³oñca, tej centralnej si³y przyci¹gaj¹cej. Gdyby to by³ upadek, w takim razie si³a ci¹¿enia, która zmusza planety do kr¹¿enia po linii eliptycznej, zniknê³aby nagle i wówczas w ci¹gu szeœædziesiêciu czterech i pó³ dnia Ziemia znalaz³aby siê na s³oñcu.

I st¹d pan wyci¹ga wniosek?... – nagli³ kapitan Servadac.

– Nie ma mowy o upadku – odpar³ porucznik Prokop. – Ju¿ przesz³o od miesi¹ca orbita Ziemi uleg³a zmianie, a jednak dotychczas przekroczyliœmy zaledwie drogê Wenus. Przybli¿yliœmy siê w tym czasie o jedenacæcie milionów mil do s³oñca, co nie jest odleg³oœci¹ nadzwyczajn¹, zwa¿ywszy, ¿e promieñ orbity ziemskiej ma trzydzieœci osiem milionów mil d³ugoœci. Mam wiêc prawo twierdziæ, ¿e nie z upadkiem mamy tu do czynienia, i uwa¿am to za okolicznoœæ bardzo szczêeliw¹. Poza tem œciem przypuszczaæ, ¿e zaczynamy siê ju¿ oddalaæ od s³oñca, gdy¿ temperatura regularnie spada, na opuszczonej zaœ przez nas wyspie nie panuj¹ wiêksze upa³y jak w ca³ym Algerze, o ile Alger le¿y jeszcze na trzydziestym szóstym równole¿niku.

S³uszne s¹ pana przypuszczenia, poruczniku – zakonkludowa³ kapitan Servadac. – Podzielam je w zupe³noœci. Ziemia nie pêdzi ku s³oñcu, ale wci¹¿ jeszcze obraca siê dooko³a niego.

Niemniej pewne jest – ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> porucznik Prokop – że na skutek kataklizmu, którego Ÿród<sup>3</sup>a s<sup>1</sup> dla nas zagadk<sup>1</sup>, morze Œródziemne wraz z ca<sup>3</sup>em wybrzeżem afrykańskim zosta<sup>3</sup>o nagle przeniesione w strefę równika.

Jeżeli może być jeszcze mowa o jakimś wybrzeżu afrykańskim... – dorzuci<sup>3</sup> kapitan Servadac.

I o morzu Œródziemnym – doda<sup>3</sup> hrabia Timaszew.

Tyle by<sup>3</sup>o zagadek do rozwizania! W każdym razie jedno zdawa<sup>3</sup>o się już nie ulegać w<sup>1</sup>tpliwości: Ziemia oddala<sup>3</sup>a się powoli od s<sup>3</sup>ońca i straszliwy upadek na ognist<sup>1</sup> tarczę już jej nie zagraża<sup>3</sup>.

Ale co się sta<sup>3</sup>o z l<sup>1</sup>dem afrykańskim, którego szcz<sup>1</sup>tków dot<sup>1</sup>d daremnie poszukiwa<sup>3</sup>a za<sup>3</sup>oga *Dobryny*?

W dwadzieścia cztery godziny po opuszczeniu wysepki, jacht mija<sup>3</sup> okolice dawnych miast: Tener, Cherchell, Koleah, Sidi-Ferruch. Tymczasem ani jedno z tych miast nie by<sup>3</sup>o widoczne przez lunetę. Morze ci<sup>1</sup>gnę<sup>3</sup>o się w nieskończoność, gdzie doniedawna jeszcze l<sup>1</sup>d rozbija<sup>3</sup> napór jego fal.

Porucznik Prokop nie mógł się też pomylić w kierunku. Orjentuj<sup>1</sup>c się pod<sup>3</sup>ug busoli, wiatrów i szybkości jachtu, ustali<sup>3</sup>, że 2 lutego znajdowa<sup>3</sup> się pod 36° 47' szerokości i 0°44' d<sup>3</sup>ugości geograficznej, to znaczy w miejscu, które powinna być a zajmować stolica Algeru. Tymczasem Alger, podobnie jak Tener, Cherchell, Koleah i Sidi-Ferruch, znikn<sup>13</sup> z powierzchni ziemi. Kapitan Servadac oci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> brwi, zagryz<sup>3</sup> usta i dzikim jakimś wzrokiem rozgl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> się po bezkresnym morzu. Serce wali<sup>3</sup>o mu jak m<sup>3</sup>otem. Przesuwa<sup>3</sup>y mu się przed oczyma duszy cienie kolegów i przyjaciół<sup>3</sup>, z którymi spędzi<sup>3</sup> ostatnich lat kilka, a którzy już bezpowrotnie zginęli. Wspomnia<sup>3</sup> Francjê-Ojczyznę i pyta<sup>3</sup> sam siebie, czy okrutny kataklizm dotkn<sup>13</sup> i j<sup>1</sup> także? PóŸniej stara<sup>3</sup> się przenikn<sup>1</sup>æ g<sup>3</sup>ębiny morskie, szukaj<sup>1</sup>c na dnie œladów dawnej stolicy.

Nie! – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> wreszcie. – Taka katastrofa jest niemożliwa! Olbrzymie miasto nie znika tak ca<sup>3</sup>kowicie z powierzchni! By<sup>3</sup>yby jakieś œlady! Wysokie wieże wynurza<sup>3</sup>yby się z wody! I jeżeli ziemia nie poch<sup>3</sup>onę<sup>3</sup>a ca<sup>3</sup>ej Afryki, z ponad fal by<sup>3</sup>yby widoczne chociażby szczyty Casbah, lub fortu Cesarza, maj<sup>1</sup>cego sto piędziesi<sup>1</sup>t metrów wysokości.

Istotnie, by<sup>3</sup>a to okoliczność conajmniej zadziwiająca, że żadne œlady na powierzchni wody nie zdradza<sup>3</sup>y istniejącego tu tak niedawno miasta, na falach nie unosi<sup>3</sup>y się nawet ga<sup>3</sup>ęzie drzew, jakieś szcz<sup>1</sup>tki budowli, które obsunę<sup>3</sup>y się do zatoki, <sup>31</sup>cz<sup>1</sup>cej miesi<sup>1</sup>c temu przył<sup>1</sup>dki Matifou i Pescade. Ale jeżeli oko ludzkie œlizga<sup>3</sup>o się po powierzchni, nie mog<sup>1</sup>c dotrzeć do dna, od czegoż by<sup>3</sup>y sondy?

Hrabia Timaszew pragn<sup>13</sup> rozwiązać wszelkie w<sup>1</sup>tpliwości kapitana Servadac'a i da<sup>3</sup> rozkaz zapuszczenia sondy.

Ku najwyższemu zdumieniu wszystkich, a zwłaszcza porucznika Prokopa, sonda odmierza<sup>3</sup>a sta<sup>31</sup> prawie g<sup>3</sup>ębokość trzydziestu do trzydziestu pięciu stóp. W przeci<sup>1</sup>gu dwóch godzin na dużym obszarze morskim sonda ani razu nie wykaza<sup>3</sup>a różnic poziomu, jakie musia<sup>3</sup>oby dać spoczywaj<sup>1</sup>ce na

dnie amfiteatralnie zbudowane miasto Alger. Czyż należało przypuszczać, że pochłonęły olbrzymie miasto, wody natychmiast zniwelowały i wyrównały dno?

To wydawało się nieprawdopodobne.

Z drugiej zaś strony dno morskie nie było pokryte ani mułem, ani piaskiem, ani muszlami. Sonda wyciągała rodzaj metalicznego piasku o złotym połysku, niewiadomego pochodzenia. Nie było to w każdym razie to, co zazwyczaj sondowano z dna morza Śródziemnego.

Widzi pan, poruczniku – rzekł Hector Servadac – jesteśmy dużo dalej od wybrzeży algeryjskich, niż pan przypuszcza.

Gdybyśmy byli dalej – odparł, pochylając głowę porucznik Prokop – mielibyśmy nie trzydzieści, lecz dwieście lub trzysta stóp głębokości.

A więc?... – zapytał hrabia Timaszew.

Sam nie wiem, co o tym myśleć.

Hrabio – odezwał się kapitan Servadac – proszę jak oświadczyć, posuńmy się nieco na południe, może tam znajdziemy to, czego tu daremnie szukamy!

Hrabia Timaszew porozumiał się z porucznikiem Prokopem i wreszcie postanowiono przez trzydzieści sześć godzin jeszcze posuwać się na południe. Odpowiednie polecenie wydano sternikowi.

Podczas trzydziestu sześciu godzin z największą skrupulatnością prowadzono poszukiwania. Nie ograniczono się do sondy, która wskazywała niezmiennie dno na trzydzieści do czterdziestu stóp pod poziomem wody, ale badano dno drągami, które nie napotkały nigdy ostrego kamienia, kawałka metalu, pozostałości skały, ani nawet żadnego wodorostu, którymi zwykle usiane jest dno morskie. Skądże wziąć się to dno w morzu Śródziemnym.

Jacht dopłynął aż do trzydziestego szóstego stopnia szerokości geograficznej. Było to według mapy miejsce, na którym dawniej rozciągały się gęste zarosła Sahelu, oddzielające morze od wspaniałych równin Mitidja, w miejscu, gdzie czterysta metrów ponad poziomem górował ongiś szczyt Bouzareah! W razie zagłady całej okolicy, jeszcze szczyt ten jako wyspa powinienby górować nad wodą.

*Dobryna*

posuwała się coraz dalej, aż poza Douera, największą osadę Sahelu, poza Boufarick, miasto o pięknych, szerokich, ocienionych platanami ulicach.

Porucznik Prokop obawiał się zagłębiać dalej w te strony, zupełnie nieznaną, i proponował zwrot ku północy, lub wschodowi. Kapitan Servadac jednak upierał się wciąż przy kierunku południowym.

P<sup>3</sup>ynêli wiêc dalej, a<sub>z</sub> ku górom Mouzaia, do grot legendarnych, zamieszka<sup>3</sup>nych niegdyc przez Kabylów. Najwy<sub>z</sub>szy ich szczyt, który siedem tygodni temu stercza<sup>3</sup> dumnie pomiêdzy Bou-Roumi i Chiffa, znik<sup>3</sup> ca<sup>3</sup>kowicie, mimo swej tysi<sup>1</sup>ca szeœæset metrów siêgaj<sup>1</sup>cej wysokoœci!... G<sup>3</sup>adka zupe<sup>3</sup>nie by<sup>3</sup>a tafla wód, <sub>z</sub>adna te<sub>z</sub> wynios<sup>3</sup>oœæ nie rysowa<sup>3</sup>a siê na horyzoncie.

Trzeba by<sup>3</sup>o ostatecznie zawróciæ ku pó<sup>3</sup>nocy. Po jakim czasie *Dobryna* znalaz<sup>3</sup>a siê znów na wodach dawnego morza Êródziemnego, nie odszukawszy <sub>z</sub>adnego œladu tak niedawno opuszczonego Algeru.

## Rozdzia<sup>3</sup> XI,

*w którym kapitan Servadac odkrywa ocalon<sup>1</sup> wysep<sub>kê</sub>, béd<sup>1</sup>c<sup>1</sup>, jednak<sub>z</sub>e tylko grobowcem.*

Nie ulega<sup>3</sup>o ju<sub>z</sub> najmniejszej w<sup>1</sup>tpliwoci, <sub>z</sub>e morze poch<sup>3</sup>onê<sup>3</sup>o ogromn<sup>1</sup> czêœæ terytorjum Algeru. By<sup>3</sup>o to jednak coœ wiêcej, ni<sub>z</sub> zwyk<sup>3</sup>e znikniêcie l<sup>1</sup>dów w g<sup>3</sup>êbinach wód. Zdawa<sup>3</sup>o siê, <sub>z</sub>e wnêtrze ziemi rozwar<sup>3</sup>o siê na chwilê, by zniszczyæ kraj ogromny, pogr<sup>1</sup>zaj<sup>1</sup>c go w swoich bezdennych czeluœciach. Istotnie, skaliste fundamenty Algeru przepad<sup>3</sup>y bez œladu, piaszczyste zaœ dno morskie zast<sup>1</sup>pi<sup>3</sup> grunt nowy i nieznan.

Przyczyny przera<sub>z</sub>aj<sup>1</sup>cej katastrofy w dalszym ci<sup>1</sup>gu by<sup>3</sup>y zagadk<sup>1</sup>. Podró<sub>z</sub>ni nasi postanowili narazie zbadaæ, jakie s<sup>1</sup> rozmiary klêski, znale<sup>3</sup>æ granicê dokonanych przemian.

Po wszechstronnem rozwa<sub>z</sub>eniu sprawy zdecydowano posuwaæ siê w dalszym ci<sup>1</sup>gu na wschód, wzd<sup>3</sup>u<sub>z</sub> linji dawnego l<sup>1</sup>du afrykañskiego. W<sup>1</sup>egluga odbywa<sup>3</sup>a siê <sup>3</sup>atwo, nale<sub>z</sub>a<sup>3</sup>o wiêc korzystaæ, póki siê da, z piêknej pogody i sprzyjaj<sup>1</sup>cych wiatrów.

Na przestrzeni od dawnego przyl<sup>1</sup>dka Matifou a<sub>z</sub> do granic Tunisu nie napotkano jednak nic na bezkresnym obszarze wód: ani zbudowanego amfiteatralnie portowego miasta Dellys, ani œladu <sup>3</sup>añcucha górskiego Jurjura, którego szczyt najwy<sub>z</sub>szy mia<sup>3</sup> a<sub>z</sub> dwa tysi<sup>1</sup>ce trzysta metrów wysokoœci, ani miasta Bougie, ani spadzistych zboczy Gouraya, góry Adrar i Didjela, ani <sup>3</sup>añcucha Ma<sup>3</sup>ego Kabylu na tysi<sup>1</sup>c sto metrów wznosz<sup>1</sup>cego siê nad poziom morza, ani Collo, dawnego portu Konstancji, ani Stora, nowego portu Philippeville, ani Bone, po<sup>3</sup>o<sub>z</sub>onego nad niewielk<sup>1</sup> zatok<sup>1</sup>, ani przyl<sup>1</sup>dków Garde i Rose, ani grzbietu górskiego d'Edough, ani piaszczystych diun, ani s<sup>3</sup>ynnych z przemys<sup>3</sup>u koralowego miast Mafrag i Calle. Sonda zapuszczona po raz setny na dno nie z<sup>3</sup>owi<sup>3</sup>a ani jednego okazu pospolitych „frutti di mare” morza Êródziemnego.[1](#)

Hrabia Timaszew zdecydowa<sup>3</sup> wówczas posun<sup>1</sup>æ siê a<sub>z</sub> do Cap Blanc, to znaczy do najbardziej

na pó<sup>3</sup>noc wysuniêtego przyl<sup>1</sup>dka Afryki, po<sup>3</sup>o<sup>3</sup>onego nawprost Sycylji.

### *Dobryna*

utrzymywa<sup>3</sup>a siê wci<sup>1</sup> na linii trzydziestego siódmego równole<sup>3</sup>znika i dnia 7-go lutego przekroczy<sup>3</sup>a siódmy stopie<sup>3</sup>ń d<sup>3</sup>ugoœci geograficznej.

Nie szczêdzono paliwa i ca<sup>31</sup> si<sup>31</sup> pary pêdzono w stronê Cap Blanc, nie napotyka<sup>1</sup>c jednak po drodze ani przyl<sup>1</sup>dka Negro, ani przyl<sup>1</sup>dka Serrat. Na wysokoœci piêknego wschodniego miasta Bizerty nie by<sup>3</sup>o œladu jeziora, ci<sup>1</sup>gn<sup>1</sup>cego siê po drugiej stronie wjazdu do portu, ani wspania<sup>3</sup>ych okazów marabutów, mieszkaj<sup>1</sup>cych w cieniu palm. Sonda zapuszczona w g<sup>3</sup>b przezroczystej wody natrafi<sup>3</sup>a na to samo równe i ja<sup>3</sup>owe dno, jak w okolicach Algeru.

Przyl<sup>1</sup>dek Blanc, œciœlej mówi<sup>1</sup>c, miejsce, które piêæ tygodni temu zajmowa<sup>3</sup> przyl<sup>1</sup>dek, op<sup>3</sup>yniêto w ci<sup>1</sup>gu dnia 3 lutego. Jacht pru<sup>3</sup> w owym czasie wody, które nale<sup>3</sup>æ mia<sup>3</sup>y do zatoki tuniskiej. Nie by<sup>3</sup>o jednak œladu piêknej zatoki ani miasta zbudowanego amfiteatralnie, ani fortu de l'Arsenal, ani dwóch wierzcho<sup>3</sup>ków Bou-Kournein. Cypel Bon, najbardziej ku Sycylji wysuniêty punkt Afryki, zosta<sup>3</sup> wraz z l<sup>1</sup>dem porwany i wraz z nim zgin<sup>13</sup> w tajemniczych otch<sup>3</sup>aniach ziemi.

Dawniej, przed katastrof<sup>1</sup>, dno morskie wznosi<sup>3</sup>o siê w tem miejscu bardzo wyraŹnie, zamykaj<sup>1</sup>c cieœninê Libye, której g<sup>3</sup>êbokoœæ wynosi<sup>3</sup>a najwy<sup>3</sup>ej siedemnaœcie metrów. Z obu zaœ stron nasypu g<sup>3</sup>êbia siêga<sup>3</sup>a stu siedemdziesiêciu metrów. Przypuszczalnie, w odleg<sup>3</sup>ych epokach formacyj geologicznych przyl<sup>1</sup>dek afryka<sup>3</sup>ski Bon i sycylijski Furina by<sup>3</sup>y po<sup>31</sup>czone, jak to mia<sup>3</sup>o miejsce prawdopodobnie z Ceut<sup>1</sup> i Gibraltarem.

Szczegó<sup>3</sup>y te nie mog<sup>3</sup>y ujœæ uwadze wytrawnego i dok<sup>3</sup>adnie z morzem œródziemnym obznajmionego marynarza, jakim by<sup>3</sup> porucznik Prokop.

Hrabia Timaszew, kapitan Servadac i porucznik, wszyscy asystowali przy sondowaniu.

Na dany rozkaz marynarz zapuœci<sup>3</sup> sondê.

Wiele stóp! – zapyta<sup>3</sup> porucznik Prokop.

Dwadzieœcia piêæ – odpar<sup>3</sup> marynarz.

A dno?

P<sup>3</sup>askie.

Pozostawa<sup>3</sup>o zbadaæ g<sup>3</sup>êbokoœæ wklêceniêæ po obu stronach podwodnego nasypu. *Dobryna* odp<sup>3</sup>ynê<sup>3</sup>a wiêc pó<sup>3</sup> mili na prawo, potem znów na lewo, sonduj<sup>1</sup>c bez przerwy.

Niezmiennie 25 stóp! Wszêdzie i zawsze! Dno uparcie p<sup>3</sup>askie! Cyfra niewzruszona! ła<sup>3</sup>ncuch podwodny <sup>31</sup>cz<sup>1</sup>cy przyl<sup>1</sup>dki Bon i Furina nie istnia<sup>3</sup> wiêcej. By<sup>3</sup>o wiêc oczywiste, <sup>3</sup>e dno morza œródziemnego zosta<sup>3</sup>o ca<sup>3</sup>kowicie zniwelowane. Sk<sup>3</sup>ad tego dna ci<sup>1</sup>gle by<sup>3</sup> ten sam: py<sup>3</sup>ek metaliczny i zwi<sup>1</sup>zki nieznanne. Ani œladu g<sup>1</sup>bek, ma<sup>3</sup>¿ów, miêczaków, lub muszli, które dawniej pokrywa<sup>3</sup>y

podwodne ska<sup>3</sup>y.

*Dobryna*

zawróci<sup>3</sup>a ku pó<sup>3</sup>nocy, nie poniechawszy poszukiwań.

Wśród osobliwości tej podróży należą też podkreślenia, że morze niezmiennie by<sup>3</sup>o bezludne i puste. Jak okiem sięgn<sup>1</sup>æ nigdzie nie rysowa<sup>3</sup> się kształt masztu, ku któremu mógłnaby się skierowaæ po nowiny.

Po opustosza<sup>3</sup>em morzu samotnie p<sup>3</sup>ynê<sup>3</sup>a *Dobryna* i pasażerowie jej nie mogli oprzeæ się myśli, że jachcik ten w chwili obecnej jest może jedynym zamieszkanym punktem na kuli ziemskiej, now<sup>1</sup> ark<sup>1</sup> Noego, która wiezie jedynych ocalonych podczas katastrofy ludzi.

9-go lutego *Dobryna* przep<sup>3</sup>ynê<sup>3</sup>a nad miejscem, w którym wznosi<sup>3</sup>o się miasto Didona, starożytna Byrsa, bardziej obecnie zniszczona, niż punicka Kartagina przez Scypjona afrykańskiego.

Wieczorem, gdy s<sup>3</sup>ońce chyli<sup>3</sup>o się ku wschodowi, to znaczy zachodzi<sup>3</sup>o, kapitan Servadac, oparty o burtę tylnego pok<sup>3</sup>adu, zamyśli<sup>3</sup> się g<sup>3</sup>ęboko. Wzrok jego b<sup>3</sup>1dzi<sup>3</sup> po gwiazdach widocznych na firmamencie, po przejrzystych ruchomych oparach, po morzu, które rozko<sup>3</sup>ysa<sup>3</sup> zlekka s<sup>3</sup>aby powiew wiatru.

Nag<sup>3</sup>e uderzy<sup>3</sup> go gdzieś woddali, na odleg<sup>3</sup>em po<sup>3</sup>udniu, jakiego s<sup>3</sup>aby punkt świetlny. Narazie przypuszcza<sup>3</sup>, że to z<sup>3</sup>udzenie optyczne, i zacz<sup>13</sup> rzecz badaæ uważniej.

Okaza<sup>3</sup>o się, iż istotnie woddali migota<sup>3</sup>o s<sup>3</sup>abe świetelko, co stwierdzi<sup>3</sup> też wezwany, jako ekspert, marynarz.

O odkryciu tem powiadomiono niezw<sup>3</sup>ocznie hrabiego i porucznika Prokopa.

Czy to ład?... – zapyta<sup>3</sup> kapitan Servadac.

Czy nie statek raczej? – zagadn<sup>13</sup> hrabia Timaszew.

Za niespe<sup>3</sup>na godzinę będziemy już wiedzieli, czego się trzymaæ! – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> kapitan Servadac.

Nie dowiemy się wcześniej, jak jutro, kapitanie – zaprotestowa<sup>3</sup> porucznik Prokop.

Nie masz zatem zamiaru skierowaæ jachtu wprost ku temu świetelku? – pyta<sup>3</sup> zdumiony hrabia Timaszew.

Tak jest. Chcê przeczekaæ na ma<sup>3</sup>ych żaglach do bia<sup>3</sup>ego dnia. Nie chcia<sup>3</sup>bym ryzykowaæ przybijania noc<sup>1</sup> do nieznanym brzegów.

Hrabia skin<sup>13</sup> g<sup>3</sup>owa na znak zgody. *Dobryna* zwinê<sup>3</sup>a cze<sup>3</sup>æ żagli. Ciemna noc spowi<sup>3</sup>a morze i prawie nieruchomy na niem jachcik.

Noc sześciogodzinna jest krótka, ta jednakże zdawa³a siê trwaaæ wieki. Servadac³a, który ani na chwilê nie opuœci³ kapitañskiego mostku, drêczy³y obawy, aby nik³e œwiata³ko nie zgas³o. Œwiata³ko jednak jaœnia³o we mgle, jak migoœce b³êdny ognik gdzieœ w bezkresnej dali.

I stale w tem samym miejscu – zauwa¿y³ porucznik Prokop. – Mo¿na wiêc z du¿ym prawdopodobieñstwem wnioskowaæ, ¿e mamy przed sob¹ lad, a nie statek.

O wschodzie s³oñca wszystkie lunety skierowa³y siê w stronê punktu œwietlnego. Œwiat³o znik³o w pierwszych blaskach dnia, a na jego miejsce pojawi³a siê w odleg³oœci szeœciu mil od *Dobryny* dziwnie postrzêpiona ska³a, rodzaj samotnej wyspy na opustosza³em morzu.

Jest to poprostu ska³a – odezwa³ siê hrabia Timaszew – a raczej szczyt zatopionej góry.

W ka¿dym b¹dŹ razie nale¿a³o zbadaæ tê ska³ê, choæby ze wzglêdów na bezpieczeñstwo przysz³ej ¿eglugi.

Skierowano wiêc jacht ku nieznaney wyspie i w niespe³na trzy dwadranse *Dobrynê* dzieli³y ju¿ najwy¿ej dwie d³ugoœci liny kotwicznej od ska³y. By³ to strzêp góry, go³y, urwisty, wznosz¹cy siê conajmniej na czterdzieœci stóp ponad poziom morza. Tadne rafy podwodne nie broni³y do niej dostêpu, co nasuwa³o przypuszczenie, ¿e góra zapada³a siê powoli, stopniowo, a¿ nowa jakaœ niewyt³umaczona si³a zatrzyma³a ja na pewnym poziomie.

Ale¿ wyspa ta jest zamieszkana! – zawo³a³ kapitan Servadac, badaj¹c przez lunetê ka¿dy szczeg³³. – Mo¿e nawet znajdziemy tu ludzi?

Tej hipotezie porucznik Prokop zaprzeczy³ stanowczym ruchem g³owy. Wyspa robi³a wra¿enie odludnej i istotnie wystrza³ armatni nie zwabi³ nikogo na brzeg.

Faktem jednak¿e by³o, ¿e na najwy¿szej czêœci wyspy wznosi³ siê rodzaj budowli z kamienia. Gmach ten przypomina³ arabsk¹ œwi¹tyniê. Łódk¹ spuszczon¹ z jachtu czterej marynarze powieŹli do brzegu kapitana Servadac³a, hrabiego Timaszewa i porucznika Prokopa.

Po kilku chwilach podró¿nicy nasi stanêli ju¿ na l¹dzie i nie zwlekaj¹c ani chwili poczêli siê wspinaæ ku budowli.

Na wstêpie zaraz zatrzyma³ ich mur prze³adowany antycznymi ozdobami w ksztacie waz, kolumn i pos¹gów. Hrabia Timaszew i dwaj jego towarzysze obeszli mur dooko³a i znaleŹli siê przed ma³emi uchylonemi drzwiami. Minêli je i po chwili natknêli siê na drugie drzwi równie¿ otwarte. Teraz znaleŹli siê ju¿ wewn¹trz budynku. Œciany jego by³y rzeŹbione na mod³ê arabsk¹, ale rzeŹby te nie przedstawia³y ¿adnej wartoœci artystycznej.

W œrodku jedynej sali wznosi³ siê skromny grobowiec. Nad nim wisia³a olbrzymia srebrna lampa, w kt³orej pali³a siê oliwa.

Œwiat³o tej lampy w³acenie noc¹ zwróci³o uwagê kapitana Servadac³a.

Meczecik by³ zamieszkaný. Dozorca – o ile taki istnia³ kiedykolwiek – uciek³ prawdopodobnie



w czasie katastrofy. ZagnieŹdzi<sup>3</sup>o siê tu kilka sów, które sp<sup>3</sup>oszone przez wêdrowców wylecia<sup>3</sup>y przez okno.

Na grobowcu leŹa<sup>3</sup> wielki modlitewnik. Ksi<sup>1</sup>Źka ta, pisana w jêzyku francuskim, otwarta by<sup>3</sup>a na modlitwie zwi<sup>1</sup>zanej z obchodem rocznicy 25-go sierpnia.

Rozjaceni<sup>3</sup>o siê nagle w umyœle kapitana Servadac'a. Miejsce, które zajmowa<sup>3</sup>a wysepka na morzu Œródziemnym, grób opuszczony, otwarta strona ksi<sup>1</sup>Źki, wszystko to uprzytomni<sup>3</sup>o mu, gdzie siê w tej chwili znajduje.

Grób œwiêtego Ludwika, proszê panów – powiedzia<sup>3</sup>.

Istotnie, by<sup>3</sup>o to miejsce œmierci króla Francji, czczone od szczœciu wieków przez naród francuski.

Kapitan Servadac pochyli<sup>3</sup> siê bogobojnie nad sarkofagiem a dwaj jego towarzysze poszli za jego przyk<sup>3</sup>adem.

Lampa p<sup>3</sup>on<sup>1</sup>ca nad grobem œwiêtego by<sup>3</sup>a zapewne jedyn<sup>1</sup> latarni<sup>1</sup> na morzu Œródziemnym, a i ona wkrótce mia<sup>3</sup>a zagasn<sup>1</sup>æ!

Trzej podróŹni opuœcili œwi<sup>1</sup>tyniê a niebawem i wyspê samotn<sup>1</sup>. Œodzi<sup>1</sup> dostali siê na pok<sup>3</sup>ad *Dobryny*, poczem skierowali siê na po<sup>3</sup>udnie i rych<sup>3</sup>o stracili z oczu grobowiec króla Ludwika IX, jedyn<sup>1</sup> ocalon<sup>1</sup> podczas katastrofy pozosta<sup>3</sup>oœæ Tunisu.

## Rozdzia<sup>3</sup> XII,

*w którym po próbach walki z Źywio<sup>3</sup>em, porucznik Prokop oddaje wszystko w rêce Boga.*

Rozczarowani wêdrowcy d<sup>1</sup>Źyli na po<sup>3</sup>udnie, licz<sup>1</sup>c, Źe w tej stronie najprêdziej znajd<sup>1</sup> jakœ l<sup>1</sup>d zamieszkany.

W kilka godzin po opuszczeniu wysepki *Dobryna* znalaz<sup>3</sup>a siê na nowych wodach, pokrywaj<sup>1</sup>cych p<sup>3</sup>yt<sup>1</sup> warstw<sup>1</sup> dawny pó<sup>3</sup>wysep Dakhul, oddzielaj<sup>1</sup>cy ongiê zatokê tunisk<sup>1</sup> od zatoki H'Amamat.

W dwa dni póŹniej, po bezowocnej podróŹy do dawnych okolic Sahel'u, osi<sup>1</sup>gniêto trzydziesty czwarty równoleŹnik, który powinien by<sup>3</sup> w tem miejscu przecinaæ zatokê Gabes.

OtôŹ dnia tego, 11-go lutego, rozleg<sup>3</sup> siê z pok<sup>3</sup>adu jachtu okrzyk „ziemia”, i istotnie woddali zamajaczy<sup>3</sup> l<sup>1</sup>d, w miejscu, gdzie wed<sup>3</sup>ug mapy nie naleŹa<sup>3</sup>o go siê wcale spodziewaæ.

Nie mog³o to byæ p³askie wybrze¿e trypolitañskie, bo nie dojrza³oby go siê z takiej odleg³oœci. Poza tem ziemia ta le¿a³a o dwa stopnie bardziej na po³udnie.

Nowy, wybitnie falisty ten l¹d ci¹gn¹³ siê szerokim pasem z zachodu na wschód i zamyka³ ca³kowicie horyzont po³udniowy. Na lewo przecina³ zatokê Gabes i zas³ania³ sob¹, po³o¿on¹ u szczytu zatoki, wyspê Djerba.

Tak wiêc – zauwa¿y³ kapitan Servadac – dot¹d napotykalicemy morze Œródziemne tam wszêdzie, gdzie kiedyœ by³ l¹d, a teraz zaskoczy³ nas l¹d tam, gdzie powinno byæ morze Œródziemne.

W ca³ej okolicy – doda³ porucznik Prokop – nie widaæ owych pospolitych tubylczych ³odzi.

Nale¿y zdecydowaæ – wtr¹ci³ hrabia Timaszew – czy wzd³u¿ tego l¹du bêdziemy p³ynêli w kierunku wschodnim, czy te¿ zachodnim.

W zachodnim, je¿eli pan pozwoli, hrabio – zaopiniowa³ szybko Servadac.

Chcia³bym przynajmniej zbadaæ, czy po drugiej stronie Szeliwu nie zosta³o nic z naszych kolonij w Algerze. Mo¿emy po drodze zabraæ mego towarzysza, którego zostawi³em na wyspie. Pop³yniemy a¿ do Gibraltaru, gdzie, byæ mo¿e, zdobêdziemy ju¿ jakieœ wiadomoœci z Europy!

Kapitanie, – odpar³ hrabia Timaszew z w³aceniwym sobie spokojem – jacht jest do pañskiej dyspozycji. Prokop, wydaj odpowiednie zarz¹dzenia!

Chcia³bym podzieliæ siê z panem pewnem spostrze¿eniem – odpar³ porucznik po chwili namys³u.

Mów.

Wiatr jest zachodni i zdaje siê wzmagaa – zacz¹³ porucznik Prokop. – Mamy wprowadzie motor, ale bêdzie nas to kosztowa³o wiele paliwa. P³yn¹c natomiast na wschód, ³¹czn¹ si³¹ ¿agli i pary za kilka dni staniemy w Egipcie i w Aleksandrji, czy te¿ gdzie indziej, zasiêgniemy jêzyka równie dobrze, jak w Gibraltarze.

S³yszy pan, kapitanie! – rzek³ hrabia Timaszew, zwracaj¹c siê do Hectora Servadac’a.

Kapitan, mimo chêci zbli¿enia siê do prowincji Oranu i ujrzenia Ben-Zoufa, uzna³

s<sup>3</sup>usznocæ wywodów porucznika. Wiatr wzmaga<sup>3</sup> siê i walcz<sup>1</sup>c z nim *Dobryna* posuwa<sup>3</sup>aby siê bardzo wolno naprzód, natomiast p<sup>3</sup>yn<sup>1</sup>c z wiatrem stanie wkrótce u brzegów Egiptu.

Skierowano siê wiêc na wschód. Wiatr d<sup>13</sup> z wielk<sup>1</sup> si<sup>31</sup>. Na szczêœcie d<sup>3</sup>ugie fale posuwa<sup>3</sup>y siê w tym samym kierunku, co *Dobryna*, i nie zalewa<sup>3</sup>y pok<sup>3</sup>adu.

Od dwóch tygodni dawa<sup>3</sup> siê zauwa¿yæ regularny spadek temperatury i termometr wskazywa<sup>3</sup> ju¿ najwy¿ej 15–20 stopni ponad zero. Spadek ten dawa<sup>3</sup> siê wyt<sup>3</sup>umaczyæ rosn<sup>1</sup>c<sup>1</sup> odleg<sup>3</sup>oœci<sup>1</sup> od s<sup>3</sup>oñca Ziemi, obiegaj<sup>1</sup>cej po nowej elipsie. To by<sup>3</sup>o jasne. Ziemia, która zbli¿a<sup>3</sup>a siê do s<sup>3</sup>oñca a¿ do chwili przekroczenia orbity Wenus, oddala<sup>3</sup>a siê teraz odeñ coraz wiêcej.

Wed<sup>3</sup>ug obliczeñ Ziemia znalaz<sup>3</sup>a siê 1-go lutego w tej samej pozycji co i 1-go stycznia, to znaczy w odleg<sup>3</sup>oœci trzydziestu oœmiu milionów mil od s<sup>3</sup>oñca, a od tego czasu odleg<sup>3</sup>oœæ ta wzros<sup>3</sup>a mniej wiêcej o jedn<sup>1</sup> trzeci<sup>1</sup>. Wynika<sup>3</sup>o to nietylko ze spadku temperatury, ale i z wielkoœci tarczy s<sup>3</sup>onecznej, widzianej go<sup>3</sup>em okiem. Tych samych wra¿eñ musia<sup>3</sup>by doznawaæ obserwator umieszczony na Marsie. St<sup>1</sup>d wniosek, i¿ Ziemia zbli¿a<sup>3</sup>a siê do orbity tej planety, której budowa fizyczna tak bardzo do budowy Ziemi jest zbli¿ona. A zatem nowa droga, wyznaczona Ziemi w uk<sup>3</sup>adzie s<sup>3</sup>onecznym, musia<sup>3</sup>a mieæ kszta<sup>3</sup>t bardzo wyd<sup>3</sup>u¿onej elipsy.

Pasa¿erowie *Dobryny* ma<sup>3</sup>o jednak¿e poœwiêcali czasu zjawiskom kosmicznym. Nie interesowali siê ju¿ chaotycznymi ruchami Ziemi w przestworzach, lecz tylko niepojętymi zmianami, zachodz<sup>1</sup>cemi na jej powierzchni.

Jachcik p<sup>3</sup>yn<sup>13</sup> wzd<sup>3</sup>u¿ nowego l<sup>1</sup>du w odleg<sup>3</sup>oœci dwóch mil, gdy¿ wiêksze zbli¿enie by<sup>3</sup>o niebezpieczne.

Nieznany brzeg nie posiada<sup>3</sup> ¿adnej zatoczki, ¿adnego schronienia dla statku, by<sup>3</sup> nieprzystêpny, urwisty i wznosi<sup>3</sup> siê na wysokoœæ dwustu do trzystu stóp. Ska<sup>3</sup>a by<sup>3</sup>a tak g<sup>3</sup>adka i oœlizg<sup>3</sup>a, ¿e nie by<sup>3</sup>o mowy, aby noga ludzka znalaz<sup>3</sup>a na niej dla siebie jakiegokolwiek oparcie. Wy¿ej rysowa<sup>3</sup> siê las nieprzebytych zwa<sup>3</sup>ów skalnych, wznosz<sup>1</sup>cych siê na wysokoœæ oko<sup>3</sup>o tysi<sup>1</sup>ca stóp.

Bardziej od dziwaczego wygl<sup>1</sup>du olbrzymiego tego masywu uderzy<sup>3</sup> podró¿ników fakt, ¿e sprawia<sup>3</sup> on wra¿enie zupe<sup>3</sup>nie „nowego”. Barwa, czystoœæ kszta<sup>3</sup>tów i linii nie nosi<sup>3</sup>y na sobie jeszcze œladów wp<sup>3</sup>ywów atmosferycznych. Ca<sup>3</sup>oœæ rysowa<sup>3</sup>a siê na tle nieba niebywa<sup>31</sup> ostroœci<sup>1</sup> konturów. Wszystkie sk<sup>3</sup>adaj<sup>1</sup>ce j<sup>1</sup> bloki by<sup>3</sup>y tak g<sup>3</sup>adkie i læni<sup>1</sup>ce, jakby œwie¿o odlane z formy. Ich metaliczny blask przypomina<sup>3</sup>

piryty.

Zachodzi³o pytanie, czy to nie ten sam pierwiastek metaliczny, który w stanie sproszkowanym wyci¹ga³a z morskiej g³êbi sonda, by³ zasadniczym sk³adnikiem tego olbrzyma, wyrzuconego z otch³ani na powierzchniê wód.

Inny jeszcze wzgl¹d potwierdza³ to przypuszczenie. Naogó³ powierzchnia najbardziej nawet g³adkich i ja³owych z³omów skalnych pokryta bywa cieniutkimi wilgotnymi w³ókienkami. Niema tak ogo³oconej ska³y, na której nie trzyma³yby siê jakieœ choæby najmniej wybredne roœliny, na której nie szuka³yby schronienia kêpy ma³o wymagaj¹cych mchów.

Tu nie by³o nic, najniklejszej krystalicznej ¿y³ki, ani œladu w¹t³ej zieleni. Āaden ptak nie o¿ywia³ surowego obrazu. Nic tu nie ¿y³o, nic siê nie rozwija³o, zarówno w œwiecie roœlinnym, jak i zwierzêcym.

Za³oga *Dobryny* nie dziwi³a siê te¿ wcale, ¿e morskie ptaki, jak albatrosy, mewy i go³êbie skalne szuka³y schronienia na jachcie. Āadna si³a nie mog³a ich zmusiæ do odlotu, uczepi³y siê masztu i tak trwa³y dzieñ i noc. Rzuca³y siê tylko ³apczywie na okruchy, wysypywane na pomost, po³ykaj¹c je chciwie i ¿ar³ocznie. Wyg³odzone te stworzenia œwiadczy³y wymownie o ja³owoœci okolicy. Nigdzie tu nie mo¿na by³o zdobyæ po¿ywienia, a zw³aszcza na pozbawionym roœlinnoœci i wody skalistym pasie l¹du.

Tak przedstawia³o siê to dziwne wybrze¿e, wzd³u¿ którego ju¿ dni kilka p³ynê³a *Dobryna*. Profil l¹du zmienia³ siê czasami, ci¹gn¹c siê na przestrzeni kilku kilometrów, jak jeden ostro zarysowany, rzek³byœe misternie wykuty, grzbiet. Potem znów pojawia³a siê gmatwanina grani i zwa³ów skalnych. Ale ani razu u stóp wybrze¿a nie pojawi³a siê piaszczysta diuna, lub te¿ rafa podwodna, któremi normalnie usiane bywa dno nieg³êbokich wód. Gdzie niegdzie tylko widoczne by³y w¹skie, niedostêpne szczeliny, nie by³o jednak takiego miejsca, w którym statek móg³by siê zatrzymaæ i zaopatrzaæ w wodê.

Po przep³yniêciu blisko czterystu kilometrów *Dobrynê* zaskoczy³o nag³e wygiêcie l¹du. Porucznik Prokop, który oznacza³ na mapie kontury nowego l¹du, stwierdzi³, ¿e biegnie on teraz z po³udnia na pó³noc. L¹d zamyka³ wiêc w tym miejscu morze Œródziemne na wysokoœci dwunastego po³udnika. Czy zapora ta ci¹gnie siê a¿ do W³och, po sam¹ Sycyliê, nie mo¿na by³o jeszcze orzec; jeœliby tak by³o istotnie, w takim razie olbrzymi basen, którego wody obmywa³y brzegi Europy, Azji i Afryki, zmniejszy³ siê do po³owy.

Jacht, który bada³ krok za krokiem zarysy nowego l¹du, zawróci³ na pó³noc, zmierzaj¹c wprost ku wybrze¿om Europy. Posuwaj¹c siê w tym kierunku, powinien przedewszystkiem dotrzeæ do Malty i przekonaæ siê, czy katastrofa oszczêdzi³a choæ tê star¹ wyspê, któr¹ w³adali kolejno Fenicjanie, Kartagiñczycy, Sycylijczycy, Rzymianie, Wandalowie, Grecy, Arabowie i Kawalerowie Maltañscy.

Nie spotkali jednak Malty na swej drodze.

Spuszczona zaœ dnia 14-go lutego na dno sonda wyci¹gnê³a zawsze ten sam metaliczny namu³ o nieznanym sk³adzie.

Spustoszenie siêgnê³o i poza Afrykê – zauwa¿y³ w³owczas hrabia Timaszew.

Tak – odpar³ porucznik Prokop – my zaœ nie mo¿emy sobie wytworzyæ nawet przybli¿onego obrazu rozmiarów katastrofy! Jakiej s¹ twoje dalsze plany, hrabio? Do którego z krajów europejskich kierowaæ *Dobrynê*?

Ku Sycylii, do W³och, do Francji – wo³a³ kapitan Servadac – tam gdzie siê wreszcie dowiemy...

Czy pasażerowie *Dobryny* nie s¹ jedynymi mieszkañcami Ziemi – dokoñczy³ z powag¹ hrabia Timaszew.

Kapitan Servadac nie odezwa³ siê s³ówkiem, bo i jego drêczy³y smutne przeczucia. Tymczasem jacht przep³yn¹³ punkt przeciecia równole¿nika i po³udnika, pod którym le¿a³a zaginiona Malta.

L¹d ci¹gn¹³ siê wci¹¿ jeszcze z po³udnia na p³noc i tamowa³ dostêp do zatoki Sydry, dawniejszej Wielkiej Syrty, która ci¹gnê³a siê a¿ do ziem Egiptu. Jasnym te¿ siê sta³o, ¿e zamkniêta równiej by³a droga do wybrze¿y greckich i portów ottomañskich. Nie mog³o wiêc byæ mowy o kierowaniu siê przez archipelag Dardanelski, morze Marmara, Bosfor i morze Czarne ku po³udniowej granicy Rosji. Jacht nie mia³ przed sob¹ innej drogi, tylko na zachód.

W tym te¿ kierunku zwrócono siê 16-go lutego, jednak sn¹æ wszystkie ¿ywio³y sprzysie¿y siê przeciw *Dobrynie*, gdy¿ wiatr i fale we wspólnym wysi³ku tamowa³y jej ruchy. Zerwa³a siê szalona burza, z któr¹ trudno by³o walczyæ jachtowi o pojemnoœci dwustu zaledwie tonn. Niebezpieczeñstwo stawa³o siê gro¿ne, gdy¿ wiatr d¹³ z boku.

Porucznik Prokop nie ukrywa³ swego niepokoju. Zmuszony by³ zwin¹æ wszystkie ¿agle, zdj¹æ maszty, przy pomocy zaœ wy³¹cznie motoru trudno by³o oprzeæ siê ¿ywio³om. Potê¿ne fale podrzuca³y jacht na wysokoœæ do stu stóp, aby go po chwili zanurzyæ w morskiej otch³ani. Œeruba, uderzaj¹c wci¹¿ w pró¿niê, obraca³a siê bez widocznego rezultatu. Pracowa³a ca³¹ si³¹ pary, i mimo to jacht, zamiast posuwaæ siê naprzód, ustawicznie siê cofa³ pod naporem wiatru.

Gdzie mo¿na by³o znaleŹæ schronienie! Nieprzystêpny brzeg nie nêci³ ¿adn¹ przystani¹! W przypadku katastrofy na pe³nem morzu, co siê stanie z rozbitkami, przypuœciwszy nawet, ¿e dop³yn¹ do urwistego brzegu? Czegó¿ mogli siê spodziewaæ na tej ja³owej, nieurodzajnej ziemi! Gdy zapasy siê wyczerpi¹, gdzie zaopatr¹ siê na nowo! Czy mo¿na liczyæ, ¿e poza tym niedostêpnym brzegiem istnieje zachowane w ca³oœci obszary dawnego l¹du?

*Dobryna* usi³owa³a stawiaæ czo³o burzy, a oddana jej bohaterska za³oga pracowa³a w pocie czo³a, nie w¹tpi¹c ani na chwilê w zwycieñstwo. Wszyscy marynarze œlepo ufali porucznikowi i wierzyli w wytrzyma³oœæ *Dobryny*. Mimo wszystko maszyny odmawia³y ju¿ pos³uszeñstwa. Niepodobna by³o rozwin¹æ ¿agli, gdy¿ wicher natychmiast porwa³by je na strzêpy. Ostatecznie ódŹ porwana zosta³a ku brzegowi.

Ca<sup>3</sup>a za<sup>3</sup>oga znalaz<sup>3</sup>a siê na pok<sup>3</sup>adzie, wszyscy rozumieli grozê po<sup>3</sup>ożenia. L<sup>1</sup>d by<sup>3</sup> już nie dalej, jak o cztery mile morskie, i *Dobryna* zmierza<sup>3</sup>a ku niemu z szybkości<sup>1</sup>, która nie wróży<sup>3</sup>a nic dobrego.

Hrabio! – rzek<sup>3</sup> z rezygnacj<sup>1</sup> porucznik Prokop. – Możnoœæ ludzka jest ograniczona. Nie mam si<sup>3</sup>y oprzeæ siê pr<sup>1</sup>dowi, który nas porywa.

Czy wyczerpa<sup>3</sup>œœe już wszystkie œrodki ratunku? – zapyta<sup>3</sup> z niewzruszonym spokojem hrabia Timaszew.

Wszystkie – brzmia<sup>3</sup>a odpowiedŸ. – Mimo to przed up<sup>3</sup>ywem godziny <sup>3</sup>ódy<sup>3</sup> nasza rozbije siê o ska<sup>3</sup>y.

Przed up<sup>3</sup>ywem godziny... – powtórzy<sup>3</sup> hrabia i doda<sup>3</sup> na g<sup>3</sup>os, aby go wszyscy s<sup>3</sup>yszeli. – Może nas Bóg ocali.

Chyba żeby brzeg siê rozst<sup>1</sup>pi<sup>3</sup> i da<sup>3</sup> przejœcie *Dobrynie*.

Jesteœmy w rêkach Wszechmocnego! – odpar<sup>3</sup> hrabia Timaszew, obnażaj<sup>1</sup>c g<sup>3</sup>owê.

Hector Servadac, porucznik Prokop, wszyscy marynarze zrobili w milczeniu to samo.

Porucznik Prokop, godz<sup>1</sup>c siê już z losem, stara<sup>3</sup> siê tylko o l<sup>1</sup>dowanie w możliwie najlepszych warunkach. Myœla<sup>3</sup> o tem, by rozbitkowie, którym ewentualnie uda siê wyratowaæ, nie zostali przez pierwszych parê dni pobytu na nowym l<sup>1</sup>dzie bez żywności. Kaza<sup>3</sup> wynieœæ na pok<sup>3</sup>ad skrzynki z zapasami i beczki ze s<sup>3</sup>odk<sup>1</sup> wod<sup>1</sup>, które, przywi<sup>1</sup>zane do pustych bary<sup>3</sup>ek, mog<sup>3</sup>yby siê utrzymaæ na wodzie w razie rozbicia statku. Jednym s<sup>3</sup>owem okaza<sup>3</sup> należyt<sup>1</sup> przezornoœæ i przedsiêwzi<sup>13</sup> wszystkie możliwe œrodki ostrożności.

Faktycznie nie mia<sup>3</sup> już najs<sup>3</sup>abszej nadziei ratunku. Na stokach olbrzymiej skalistej œciany, nie rysowa<sup>3</sup>a siê żadna wnêka, lub zatoczka, w której moźnaby szukaæ schronienia. *Dobryne* mog<sup>3</sup>a uratowaæ tylko nag<sup>3</sup>a zmiana kierunku wiatru, któryby j<sup>1</sup> rzuci<sup>3</sup> na pe<sup>3</sup>ne morze, lub teź, jak to zauważy<sup>3</sup> porucznik Prokop, cudowne rozst<sup>1</sup>pienie skalistych z<sup>3</sup>omów.

Ale wiatr siê nie zmienia<sup>3</sup> i wcale siê na to nie zanosio.

Wkrótce już tylko mila dzieli<sup>3</sup>a jacht od brzegu. Olbrzymie ska<sup>3</sup>y ros<sup>3</sup>y w oczach i mia<sup>3</sup>o siê wraźenie, że to one z nieprzewart<sup>1</sup> stanowczoœci<sup>1</sup> sun<sup>1</sup> ku *Dobrynie*, aby j<sup>1</sup> zgnieœæ i zniszczyæ. Po kilku chwilach odleg<sup>3</sup>oœæ zmala<sup>3</sup>a do kilkuset metrów. Wszyscy już byli pewni, że wybi<sup>3</sup>a ostatnia godzina.

– egnaj, hrabio! – rzek<sup>3</sup> kapitan Servadac, wyci<sup>1</sup>gaj<sup>1</sup>c d<sup>3</sup>oñ do towarzysza.

– egnaj, kapitanie! – odpar<sup>3</sup> hrabia Timaszew, wznosz<sup>1</sup>c oczy ku niebu.

Zdawa<sup>3</sup>o siê, że w tej w<sup>3</sup>acenie chwili *Dobryna*, podrzucona przez gigantyczne fale, rozbije siê o brzeg. Wtem odezwa<sup>3</sup> siê g<sup>3</sup>os:

A teraz razem, ch<sup>3</sup>opcy! Podnieo<sup>3</sup>cie górn<sup>3</sup>y żagiel. Ster na prawo.

To stoj<sup>1</sup>cy na przodzie *Dobryny* porucznik Prokop wydawa<sup>3</sup> rozkazy. Spe<sup>3</sup>niono je natychmiast, chocia<sup>3</sup> by<sup>3</sup>y tak nieoczekiwane. Tymczasem porucznik cofn<sup>13</sup> siê na ty<sup>3</sup> jachtu i sam uj<sup>13</sup> ster w rêce.

Czegó<sup>3</sup> w<sup>3</sup>oeciwi<sup>3</sup>e chcia<sup>3</sup> porucznik Prokop? Mo<sup>3</sup>że próbowa<sup>3</sup> wyp<sup>3</sup>yn<sup>1</sup>æ na pe<sup>3</sup>ne morze?

Uwaga! – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> jeszcze. – Pilnujcie żagla!

W tej chwili wszyscy wydali okrzyk. Nie by<sup>3</sup> to jednak okrzyk zgrozy.

Miêdzy dwiema skalistemi oecianami ukaza<sup>3</sup>a siê wyrwa oko<sup>3</sup>o czterdziestu stóp szeroka. By<sup>3</sup>a ona jeeli nie ratunkiem, to w ka<sup>3</sup>dy<sup>3</sup>m razie schronieniem. *Dobryna* kierowana wpraw<sup>1</sup> d<sup>3</sup>oni<sup>1</sup> porucznika Prokopa, pchana przez wiatr i fale, wcisnê<sup>3</sup>a siê w zbawcz<sup>1</sup> szczelinê...

Kto wie, czy uda jej siê stamt<sup>1</sup>d wydostaæ?

## 1

Frutti di mare – owoce morza. Tak nazywaj<sup>1</sup> W<sup>3</sup>osi bogat<sup>1</sup> faunê i florê dna morskiego w morzu Eródziemnem. (Przyp. t<sup>3</sup>um.).

## Rozdzia<sup>3</sup> XIII,

*w którym jest mowa o brygadjerze Murphy, majorze Oliphant, kapralu Pimie i o pocisku znikaj<sup>1</sup>cym poza linj<sup>1</sup> horyzontu.*

Biorê pañskiego laufra! – rzek<sup>3</sup> brygadjer Murphy, decyduj<sup>1</sup>c siê wreszcie po dwóch dniach wahania na ten oemia<sup>3</sup>y krok.

Trudno. Nie mogê temu, niestety, przeszkodziæ – odpar<sup>3</sup> major Oliphant, wpatrzony w szachownicê.

Dzia<sup>3</sup>o siê to, wed<sup>3</sup>ug dawnego kalendarza, rankiem 17-go lutego, i ca<sup>3</sup>y dzieñ up<sup>3</sup>yn<sup>13</sup> zanim major Oliphant odpowiedzia<sup>3</sup> na cios brygadjera Murphy.

Nale<sup>3</sup>y zaznaczyæ, że ta partja szachów ci<sup>1</sup>gnê<sup>3</sup>a siê ju<sup>3</sup> cztery miesi<sup>1</sup>ce i że w ci<sup>1</sup>gu tego czasu przeciwnicy wymienili zaledwie dwadzieoecia posuniêæ. Obaj zreszt<sup>1</sup> nale<sup>3</sup>eli do szko<sup>3</sup>y oewiat<sup>3</sup>ego Philidora, wed<sup>3</sup>ug którego dobry gracz rozumie, że dusz<sup>1</sup> gry s<sup>1</sup> pionki i o te w<sup>1</sup>t<sup>3</sup>e pionki gotów jest kopjê kruszyæ. To te<sup>3</sup> o ka<sup>3</sup>dy pionek toczy<sup>3</sup>a siê walka zaciêta.

Zarówno brygadjer Murphy, jak i major Oliphant, nie nale<sup>3</sup>eli do ludzi

lekkomyślnych. Postępowanie ich cechowa<sup>3</sup> stale umiar i g<sup>3</sup>ębsza refleksja. Byli to czcigodni oficerowie angielscy, którzy spotkawszy się przypadkowo na odleg<sup>3</sup>ej placówce, skracali sobie czas gr<sup>1</sup> w szachy. M<sup>1</sup>ęczy<sup>3</sup>ni czterdziestoletni, rudzi, starannie wygoleni, zawsze w mundurach, obaj flegmatyczni, obaj dumni ze swego pochodzenia i wrogo usposobieni względem wszystkiego, co nie by<sup>3</sup>o angielskie. Twierdzili z uporem, że rasa anglosaska z innej, niż pozosta<sup>3</sup>e narody, ulepiona jest gliny. By<sup>3</sup>y to by<sup>æ</sup> może żywe manekiny, ale w ka<sup>3</sup>dy razie manekiny, wywi<sup>1</sup>zuj<sup>1</sup>ce się <sup>æ</sup>wietnie ze swych obowi<sup>1</sup>zków. Anglicy tego pokroju czuj<sup>1</sup> się wsz<sup>æ</sup>dzie jak u siebie, nawet gdy los rzuci ich na tysi<sup>1</sup>ce mil od kraju. Kolonizacja jest ich specjalno<sup>æ</sup>ci<sup>1</sup> i osiedlili by się nawet na ksi<sup>1</sup>ęcy, gdyby tylko mieli mo<sup>3</sup>no<sup>æ</sup>æ zatkni<sup>1</sup>cia tam swego sztandaru narodowego.

Kataklyzm, który odczu<sup>3</sup>a tak dotkliwie cz<sup>æ</sup>æ globu ziemskiego, nie wyprowadzi<sup>3</sup> z równowagi majora Oliphanta, ani jego przyjaciela, brygadjera Murphy. Znale<sup>3</sup>li się w okamgnieniu odci<sup>1</sup>ci od garnizonu, na malutkiej oderwanej od skalistego l<sup>1</sup>du wysepce. Z kilkuset oficerów i <sup>3</sup>o<sup>3</sup>nierzy na posterunku pozostali tylko we dwóch na czele jedenastu <sup>3</sup>o<sup>3</sup>nierzy.

Och! – westchn<sup>13</sup> major. – Oto naprawdę sytuacja wyj<sup>1</sup>tkowa.

Wyj<sup>1</sup>tkowa, istotnie! Zgodzi<sup>3</sup> się brygadjer.

Ale Anglja nie zgin<sup>13</sup>a!

Rzecz prosta!

I wy<sup>æ</sup>le po nas swoje okr<sup>1</sup>ty?

Niew<sup>1</sup>tpliwie!

A zatem trwajmy na naszej placówce.

Yes!

Zreszt<sup>1</sup> innego wyj<sup>æ</sup>cia nie by<sup>3</sup>o. Trudno bowiem my<sup>æ</sup>le<sup>æ</sup> o opuszczeniu wysepki, gdy się rozporz<sup>1</sup>dza tylko jedn<sup>1</sup> <sup>3</sup>ódk<sup>1</sup> na wios<sup>3</sup>a. Oczekiwali zatem z najwięks<sup>1</sup> flegm<sup>1</sup>, wraz z dziesi<sup>1</sup>ciu <sup>3</sup>o<sup>3</sup>nierzami i s<sup>3</sup>u<sup>1</sup>cy<sup>1</sup>m Kirke, nowin z ojczyzny.

W żywno<sup>æ</sup>æ byli zaopatrzeni obficie. Dla trzynastu <sup>3</sup>o<sup>3</sup>dków, zwa<sup>3</sup>wszy nawet, że by<sup>3</sup>y to <sup>3</sup>o<sup>3</sup>dki angielskie, starczy<sup>3</sup>oby jad<sup>3</sup>a na dziesi<sup>1</sup>æ lat zgór<sup>1</sup>.



A gdy solona wieprzowina, mocne piwo i brandy s<sup>1</sup> na miejscu, Anglicy mówią „all-right” i s<sup>1</sup> zadowoleni.

Fenomeny fizyczne, jako to zmiany stron  wiata, zmniejszenie si<sup>3</sup>y ci koci, odchylenie osi obrotu, skr cone dzień i noc, nowa orbita naszej planety we wszech wiecie nie zaprz<sup>1</sup>ta<sup>3</sup>y zbytnio ich umys<sup>3</sup> w. Poprzestali na skonstatowaniu fakt w.

Brygadjer i major ustawili na szachownicy poprzewracane wskutek wstrz<sup>1</sup>su pionki i zasiedli z flegm<sup>1</sup> do trwaj<sup>1</sup>cej ju  d<sup>3</sup>ugie tygodnie gry.

Z obawy, by l ejsze obecnie lafiry, konie i pionki, a zw<sup>3</sup>aszcza chwiejni z powodu swej wysoko ci kr lowie i kr lowe, nie wywraca<sup>3</sup>y si  na szachownicy, zabezpieczyli jak najstaranniej sw<sup>1</sup> ma<sup>3</sup>1 armj  z kocci s<sup>3</sup>oniowej.

Wspomnieli my wy ej, i   aden z dziesi ciu  o<sup>3</sup>nierzy nie interesowa<sup>3</sup> si  zbytnio kosmicznymi fenomenami. Gwoli sprawiedliwo ci doda  jednak e nale y, i  jeden z tych fenomen w wywo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> protesty z ich strony.

W trzy dni po katastrofie kapral Pim, jako wys<sup>3</sup>annik og 3u, prosi<sup>3</sup> oficer w o pos<sup>3</sup>uchanie.

Uzyskawszy audjencj , weszli do pokoju brygadjera Murphy. Salutuj<sup>1</sup>c s<sup>3</sup>u biociec, wyci<sup>1</sup>gni ty jak struna, Pim czeka<sup>3</sup> wpatrzony w prze<sup>3</sup>o onych.

Oficerowie przerwali partj .

Czego chce kapral Pim? – zapyta<sup>3</sup> brygadjer Murphy, unosz<sup>1</sup>c z godno ci<sup>1</sup> g<sup>3</sup>ow  z nad szachownicy.

Pragn  zwr ci  uwag  panu brygadjerowi na spraw   o<sup>3</sup>du moich ludzi – odpowiedzia<sup>3</sup> kapral Pim – panu majorowi za  na ich wy ywienie.

M w – zgodzi<sup>3</sup> si  Murphy, przytakuj<sup>1</sup>c skinieniem g<sup>3</sup>owy.

Chcia<sup>3</sup>bym zapyta , czy teraz, gdy dzień sta<sup>3</sup> si  o po<sup>3</sup>ow  kr tszy,  o<sup>3</sup>d nasz zostanie zmniejszony o po<sup>3</sup>ow ?

Brygadjer Murphy, zaskoczony znieacka, zastanowi<sup>3</sup> si  chwil , ale wyraz jego twarzy zdawa<sup>3</sup> si   wiadczy ,  e uwa a<sup>3</sup> uwag  kaprala za s<sup>3</sup>uszn<sup>1</sup>. Poczem, zamieniwszy spojrzenie z majorem Oliphant, rzek<sup>3</sup>:

Kapralu Pim,  o<sup>3</sup>d wasz jest kalkulowany niezale nie od ilo ci godzin, jakie up<sup>3</sup>ywaj<sup>1</sup> mi dzy

wschodem i zachodem s<sup>3</sup>ońca i zostanie takim, jakim by<sup>3</sup> dawniej. Angljê staa jeszcze na to, aby op<sup>3</sup>acaæ swych ðo<sup>3</sup>nierzy!

By<sup>3</sup> to, zdaniem brygadjera, bardzo zrêczny komplement pod adresem armji i honoru Anglji.

Dziesiêæ g<sup>3</sup>osów odpowiedzia<sup>3</sup>o „hurrah”, co w sumie jednak nie wypad<sup>3</sup>o g<sup>3</sup>oœniej od zwyk<sup>3</sup>ego „dziêkujê”.

Kapral Pim zwróci<sup>3</sup> siê zkolei w stronê majora Oliphant.

Niech kapral przyst<sup>1</sup>pi do drugiej sprawy – rzek<sup>3</sup> major, przygl<sup>1</sup>daj<sup>1</sup>c siê podw<sup>3</sup>adnemu.

Chcia<sup>3</sup>em zapytaæ pana majora, czy mamy prawo, jak dawniej, do czterech posi<sup>3</sup>ków dziennie, czy te¿ tylko do dwóch!

Major pomyœla<sup>3</sup> chwileczkê, spojrze<sup>3</sup> na brygadjera, a wzrok jego wyra¿a<sup>3</sup> uznanie dla logiki i zdrowego rozs<sup>1</sup>dku kaprala.

Kapralu – rzek<sup>3</sup> – fenomeny fizyczne nie s<sup>1</sup> w stanie zmieniaæ wojskowego regulaminu. Nale¿y, jak dawniej, wydzielaaæ po cztery posi<sup>3</sup>ki dziennie w przerwach pó<sup>3</sup>toragodzinnych. Angljê staa na dostosowanie praw wszechœwiata do regulaminu – doda<sup>3</sup> z uk<sup>3</sup>onem w stronê brygadjera Murphy, szczêœliwy, i¿ uda<sup>3</sup>o mu siê tak zrêcznie pójœæ w jego m<sup>1</sup>dre œlady.

Hurrah! – odpowiedzieli ðo<sup>3</sup>nierze, akcentuj<sup>1</sup>c nieco silniej tê powtór<sup>1</sup> manifestacjê radoœci.

Poczem, odwróciwszy siê na piêtach, opuœcili, prowadzeni przez kaprala Pima, pokój oficerów, którzy natychmiast przyst<sup>1</sup>pili do przerwanej gry.

Ludzie ci mieli racjê, licz<sup>1</sup>c na sw<sup>1</sup> ojczyznê, gdy¿ Anglja nie zapomina nigdy o swych obywatelach. Tym razem jednak widocznie zajêta by<sup>3</sup>a czem innym, gdy¿ tak cierpliwie wygl<sup>1</sup>dana pomoc wci<sup>1</sup>¿ jeszcze nie przybywa<sup>3</sup>a. Byæ mo¿e zreszt<sup>1</sup>, ¿e w pó<sup>3</sup>nocnej Europie nie wiedz<sup>1</sup> nic o tem, co siê sta<sup>3</sup>o na po<sup>3</sup>udniu.

Tymczasem od owej pamiêtnej nocy 31-go grudnia up<sup>3</sup>ynê<sup>3</sup>o czterdzieœci dziewiêæ dawnych 24-godzinnych dni i ¿aden statek nie ukaza<sup>3</sup> siê dot<sup>1</sup>d na horyzoncie. Ta dawniej tak uczêszczana czêœæ morza by<sup>3</sup>a niezmiernie pusta i wyludniona. Ale oficerowie i ðo<sup>3</sup>nierze, pe<sup>3</sup>ni ufnoœci i dobrej wiary, nie byli zniecierpliwieni, ani nawet zdziwieni. Spe<sup>3</sup>niali swe obowi<sup>1</sup>zki jak dawniej, warty zmienia<sup>3</sup>y siê regularnie. Regularnie równie¿ brygadjer z majorem odbywali przegl<sup>1</sup>d „wojsk”. ðo<sup>3</sup>nierze tyli z dnia na dzieñ, a jeœli oficerowie uniknêli ich losu, to sta<sup>3</sup>o siê to tylko przez wzgl<sup>1</sup>d na mundury, których nie chcieli kompromitowaæ zbyt<sup>1</sup> rozlewnoœci<sup>1</sup> kszta<sup>3</sup>tów.

Tych wszystkich, którzy zginêli, wspominali z ¿alem, ale i z iœcie brytyjskim spokojem. Wiedz<sup>1</sup>c, i¿ z tysi<sup>1</sup>ca œemiset dziewiêædziesiêciu piêciu ludzi pozosta<sup>3</sup>o tylko trzynastu, z <sup>3</sup>atwoœci<sup>1</sup> obliczyli, i¿ brakuje tysi<sup>1</sup>ca œemiset osiemdziesiêciu dwóch, co te¿ zosta<sup>3</sup>o uwzglêdnione w raporcie.

Powiedziano w nim, i¿ zajêta przez trzynastu Anglików wysepka, pozosta<sup>3</sup>oœæ olbrzymiego

skalistego l'du, wznoszącego się do wysokości dwustu tysięcy czterystu metrów ponad poziom morza, jest jedynym stałym punktem na bezkresnym obszarze wód. Była to wiadomość niecierpiąca. W odległości bowiem dwudziestu kilometrów na południe wznosiła się inna wysepka, bardzo do niej podobna. I ona ocalała podczas katastrofy i osiadła na morzu, jako pozostałość ściana górskiego.

Między dwoma posunięciami figur na szachownicy oficerowie angielscy usiłowali rozwiązać zagadkę, czy druga wysepka jest opuszczona, czy też schronili się na niej jacyś ocaleni w czasie katastrofy rozbitkowie? Wyświetlenie tej sprawy wydało im się tak ważne, iż któregoś dnia, korzystając z pięknej pogody, dosiedli łódki, przebyli przestrzeń dzielącą obie wysypki i wrócili dopiero po trzydziestu sześciu godzinach.

Czy kierowało nimi uczucie czysto ludzkie? Czy też jakieś interes odmiennej natury? Nie podzielili się z nikim wrażeniami z wycieczki, nie dowiedziało się niczego nawet kapral Pim. Czy wyspa była zamieszkała, tego kapral nie wiedział. W każdym razie oficerowie jak pojechali, tak wrócili sami. Milczenie ich było widoczne, gdyż kapral Pim wywnioskował, że byli zadowoleni z wyprawy. Major Oliphant przygotował wielką kopertę z podpisem brygadiera Murphy i pieczęcią 33-go pułku, zaadresowaną do admirała Fairfasa, pierwszego lorda Admiralicji Zjednoczonego Królestwa.

Koperta ta miała być doręczona na pokład pierwszego dojrzanego okrętu.

Niestety jednak, żaden okręt się nie zjawiał i wciąż jeszcze brak było nici porozumienia między metropolją i wysypką. Tak nadszedł dzień 18-ty lutego.

Tego dnia rano budzić się brygadiera Murphy zwrócił się do majora Oliphanta.

Dzień dzisiejszy świętują wszyscy prawdziwi Anglicy.

I słusznie, gdyż jest to dzień wielkiego narodowego święta – odpór major.

Przypuszczani – podjął na nowo brygadiera – że wyjątkowe okoliczności nie powinny nam przeszkadzać w obchodzie królewskiej rocznicy.

I ja jestem tego zdania – brzmiała zgodna odpowiedź majora.

Widocznie Jej Wysokość nie uważa za właściwe porozumieć się z nami, skoro nie uczyni tego do tej pory.

Zapewne.

Szklaneczkę portera, majorze?

Z przyjemnością, brygadiera.

A teraz – dodał brygadiera, napiwszy się ulubionego trunku – przystąpimy do obchodu zgodnie z tradycją i regulaminem.

Œciœle wed³ug regulaminu! – odpar³ major Oliphant.

Wezwano kaprala Pinia, który zjawi³ siê niezw³ocznie, oblizuj¹c siê jeszcze po dopiero co spo¿ytej porcji brandy.

Kapralu Pim – rzek³ uroczyœcie brygadjer – mamy dzieœ wed³ug dawnego brytyjskiego kalendarza 18-tego lutego.

Tak jest, panie brygadjerze – odpar³ kapral – jest to dzieñ królewskich urodzin.

Kapralu Pim – ci¹gn¹³ brygadjer – dacie dwadzieœcia jeden przepisowych strza³ów armatnich.

Rozkaz, panie brygadjerze!

Pilnujcie, w miarê mo¿noœci – doda³ jeszcze brygadjer – aby nie by³o jakiegoœ wypadku.

W miarê mo¿noœci – powtórzy³ kapral, nie chc¹c siê anga¿owaæ wiêcej, ni¿ by³o konieczne.

Z licznych dzia³, broni¹cych ongiœ fortu, pozosta³a tylko jedna, wielka dwudziestosiemciometrowa haubica. By³a to olbrzymia machina, ale w braku mniejszej trzeba by³o jej u¿yæ do strzelania na wiwat.

Uprzedziwszy ¿o³nierzy, kapral Pim uda³ siê do miejsca, gdzie zamkniête wœród ska³ sta³o opancerzone dzia³o. Sprowadzi³ potrzebn¹ iloœæ nabo¿ów; strzelaa miano, rzecz prosta, œlepemi nabo¿ami.

Brygadjer Murphy i major Oliphant w galowych mundurach i kapeluszach z piórami mieli asystowaæ przy wiwatach.

Niebawem potê¿ne detonacje rozleg³y siê wœród ska³.

Kapral Pim postêpowa³ z ca³¹ ostro¿noœci¹, aby unikn¹æ wypadku.

Dodaæ nale¿y, ¿e na skutek mniejszej gêstoœci powietrza, wstrz¹sy powodowane wystrza³ami by³y s³abe, a co zatem idzie w detonacji nie tak og³uszaj¹ce, jak szeœæ tygodni temu.

Fakt ten dra¿ni³ oficerów. Ani œladu echa, które suchy trzask strza³u zmienia³o w huk grzmotu, ani œladu majestatycznych odg³osów, rozchodz¹cych siê drog¹ powietrzn¹ w odleg³e bardzo strony. Ka¿dy zrozumie, ¿e ambicja obu Anglików, pragn¹cych uczciæ swego monarchê, by³a nieco podra¿niona.

Dano ju¿ dwadzieœcia wystrza³ów.

W chwili, gdy³adowano po raz dwudziesty pierwszy œlepy nabój, brygadjer Murphy zatrzyma³ gestem obs³ugê dzia³a.

Za³ó¿cie prawdziwy pocisk – powiedzia³ – ciekaw jestem, jaka jest obecnie noœnoœæ armaty.

Niepodobna by<sup>3</sup>o nawet przy pomocy lunety stwierdza<sup>æ</sup> miejsca upadku pocisku. Zgin<sup>13</sup> on daleko za linj<sup>1</sup> horyzontu.

Przesz<sup>3</sup>o trzy mile – rzek<sup>3</sup> brygadjer.

Przesz<sup>3</sup>o... tak jest... naturalnie! – odpar<sup>3</sup> major. – I... czy<sup>3</sup>by to by<sup>3</sup>o z<sup>3</sup>udzeniem! Dzia<sup>3</sup>u angielskiemu odpowiedzia<sup>3</sup>o s<sup>3</sup>abe echo z oddali.

Obaj oficerowie i <sup>3</sup>o<sup>3</sup>nierze nadstawili uszu, nie chc<sup>1</sup>c stracia<sup>æ</sup> ani jednego d<sup>3</sup>wiêku.

Odg<sup>3</sup>osy trzech kolejnych strza<sup>3</sup>ów rozleg<sup>3</sup>y siê z tej samej strony.

Statek! – rzek<sup>3</sup> wreszcie brygadjer. – A jeœli statek, to napewno angielski.

Po up<sup>3</sup>ywie p<sup>3</sup> godziny dwa maszty okrêtowe zamajaczy<sup>3</sup>y na horyzoncie.

Anglja odnajduje swych synów! – rzek<sup>3</sup> brygadjer Murphy, nieomylnym tonem cz<sup>3</sup>owieka, który przewidzia<sup>3</sup> wszystkie okolicznoœci.

Pozna<sup>3</sup>a odg<sup>3</sup>os naszego dzia<sup>3</sup>a – doda<sup>3</sup> major Oliphant.

Byleby tylko nasze dzia<sup>3</sup>o nie dosiêg<sup>3</sup>o okrêtu – mruca<sup>3</sup> na stronie kapral Pim.

W p<sup>3</sup> godziny p<sup>3</sup>niej kad<sup>3</sup>ub statku widoczny by<sup>3</sup> ju<sup>3</sup> go<sup>3</sup>em okiem.

D<sup>3</sup>uga smuga czarnego dymu wskazywa<sup>3</sup>a, <sup>3</sup>e by<sup>3</sup> to parowiec. Wkrótce rozpoznano jachcik parowy, zmierzaj<sup>1</sup>cy wyra<sup>3</sup>nie w stronê wyspy. Flaga powiewa<sup>3</sup>a na dziobie stateczku, ale trudno jeszcze by<sup>3</sup>o odr<sup>3</sup>niæ jej barwy. Murphy i Oliphant nie spuszcza<sup>3</sup>li jachtu z oczu, pragnêli czem prêdziej pozna<sup>æ</sup> jego banderê.

Wtem jednoczeœnie, i rzec mo<sup>3</sup>na automatycznie, obie rêce trzymaj<sup>1</sup>ce lunety opad<sup>3</sup>y, a oficerowie, patrz<sup>1</sup>c na siebie pe<sup>3</sup>nemi zdumienia oczami, rzekli:

Rosyjska flaga!...

Istotnie, na dziobie powiewa<sup>3</sup>a rosyjska bandera, na bia<sup>3</sup>em tle niebieski krzy<sup>3</sup>.

## Rozdzia<sup>3</sup> XIV,

*daje wyraz naprê<sup>3</sup>eniu stosunków miêdzynarodowych i prowadzi ku nieporozumieniom geograficznym.*

Jachcik zbli<sup>3</sup>a<sup>3</sup> siê szybko ku wyspie i Anglicy odczytali ju<sup>3</sup> na jego dziobie napis *Dobryna*.

W po<sup>3</sup>udniowej czêœci wybrze<sup>3</sup>a, wœród za<sup>3</sup>amów ska<sup>3</sup>, by<sup>3</sup>a ma<sup>3</sup>a zatoczka,

wystarczaj<sup>1</sup>ca jednak dla *Dobryny*. W niej jachcik zarzuci<sup>3</sup> kotwicę i wkrótce <sup>3</sup>ód<sup>3</sup> na dwie pary wiosł<sup>3</sup> przywioz<sup>3</sup>a do brzegu hrabiego Timaszewa i Hectora Servadac'a.

Z powag<sup>1</sup> i namaszczeniem oczekiwali ich sztywni oficerowie angielscy.

Pierwszy odezwa<sup>3</sup> się impetyczny z natury Hector Servadac.

Witajcie! – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>. – Chwa<sup>3</sup>a Bogu, że i wy, panowie, ocaleliście w czasie katastrofy! Czujemy się szczęśliwi, mog<sup>1</sup>c uocisn<sup>1</sup>æ wasze prawice!

Brygadjer Murphy i major Oliphant nie post<sup>1</sup>pili ani kroku naprzód, nie wykonali nawet żadnego zachęcaj<sup>1</sup>cego gestu.

Czy macie, panowie – ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> Hector Servadac, nie dostrzegaj<sup>1</sup>c nawet ich wspania<sup>3</sup>ej powagi – wiadomości z Francji, Rosji, Anglii, z ca<sup>3</sup>ej wogóle Europy! Czy komunikujecie się z krajem? Czy macie...

Z kim mamy zaszczyt mówić! – zapyta<sup>3</sup> brygadjer Murphy, zwracaj<sup>1</sup>c się zlekka w stronę przyby<sup>3</sup>ych.

To prawda – rzek<sup>3</sup> kapitan Servadac, wzruszaj<sup>1</sup>c zlekka ramionami – zapomnieliśmy o wzajemnej prezentacji.

Poczem, zwracaj<sup>1</sup>c się do swego towarzysza, którego powoeci<sup>1</sup>gliwość równa<sup>3</sup>a się prawie angielskiemu spokojowi oficerów, rzek<sup>3</sup>:

Hrabia Wasyl Timaszew.

Major John Tempie Oliphant – przedstawi<sup>3</sup> brygadjer swego kolegę.

Rosjanin i Anglik zamienili uk<sup>3</sup>ony.

Kapitan sztabu generalnego, Hector Servadac – powiedzia<sup>3</sup> zkolei hrabia Timaszew.

Brygadjer Hénage Finch Murphy – sprezentowa<sup>3</sup> z powag<sup>1</sup> major Oliphant.

Ponowna wymiana uk<sup>3</sup>onów. Prawom etykiety sta<sup>3</sup>o się zadość. Teraz już można by<sup>3</sup>o rozmawiać. Rzecz prosta, iż ca<sup>3</sup>a powyższa wymiana słów odby<sup>3</sup>a się w języku francuskim, którym w<sup>3</sup>adali zarówno Anglicy, jak Rosjanie. Brygadjer Murphy skin<sup>13</sup> ręk<sup>1</sup> i poprowadzi<sup>3</sup> ca<sup>3</sup>e towarzystwo do pokoju, który zajmowa<sup>3</sup> wraz z zamykaj<sup>1</sup>cym w tej chwili pochod majorem Oliphant. Pokój urz<sup>1</sup>dzony by<sup>3</sup> wygodnie a nawet z pewnym komfortem, chociaż by<sup>3</sup> to w<sup>3</sup>aciewie rodzaj kazamaty, wydr<sup>1</sup>żonej w skale. Wszyscy zajęli miejsca i teraz dopiero rozmowa mia<sup>3</sup>a się potoczyć normalnym torem.

Hector Servadac rozdrażniony tyłu ceremonjami ust<sup>1</sup>pi<sup>3</sup> g<sup>3</sup>osu hrabiemu, który domyśla<sup>1</sup>c się nie bez s<sup>3</sup>usznocęci, że Anglicy zignorowali pytania zadane przed prezentacj<sup>1</sup>, rozpocz<sup>13</sup> rzecz ab ovo.

Niew<sup>1</sup>tpliwie wiedz<sup>1</sup> panowie – zacz<sup>13</sup> – że w nocy z 31-go grudnia na 1-y stycznia wstrz<sup>1</sup>sn<sup>13</sup> ościem kataklizm, którego rozmiar i przyczyny nie s<sup>1</sup> nam jeszcze znane. S<sup>1</sup>dz<sup>1</sup>c z niewielkiej wysepki, która pozosta<sup>3</sup>a z ca<sup>3</sup>ego znanego panom terenu, musieliście katastrofê tê odczuæ dotkliwie na w<sup>3</sup>asnej skórze.

Obaj Anglicy sk<sup>3</sup>onili zlekka g<sup>3</sup>owy na znak aprobaty.

Mój towarzysz, kapitan Servadac – ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> hrabia – srodze ucierpia<sup>3</sup> z tego tytu<sup>3</sup>u. Pracowa<sup>3</sup> on jako oficer sztabu generalnego w Algerze...

Kolonja francuska, o ile mnie pamięæ nie myli! – spyta<sup>3</sup> major Oliphant, przymykaj<sup>1</sup>c oczy.

Kraj rdzennie francuski – pad<sup>3</sup>a sucha odpowiedŹ kapitana Servadac'a.

Mia<sup>3</sup> stanowisko przy ujœciu rzeki Szeliw – kontynuowa<sup>3</sup> z flegm<sup>1</sup> hrabia. – Tam to, owej nocy tragicznej, czêœæ l<sup>1</sup>du afrykańskiego przekszta<sup>3</sup>ci<sup>3</sup>a się w wyspê, reszta zaœ zginê<sup>3</sup>a zupe<sup>3</sup>nie z powierzchni ziemi.

Hm! – zdoby<sup>3</sup> się na s<sup>3</sup>aby wyraz zdziwienia brygadjer Murphy.

Czy wolno zapytaæ – wtr<sup>1</sup>ci<sup>3</sup> major Oliphant – gdzie pan hrabia przebywa<sup>3</sup> owej fatalnej nocy?

Na morzu, na pok<sup>3</sup>adzie mego jachtu, i poczytujê to za cud, że wyszliœmy z tej awantury zdrowi na duchu i ciele.

Zechce pan przyj<sup>1</sup>æ nasze szczere gratulacje, hrabio – wtr<sup>1</sup>ci<sup>3</sup> brygadjer Murphy.

Hrabia ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> dalej swe opowiadanie:

Przypadek skierowa<sup>3</sup> mnie ku wybrzeżom Algeru, gdzie spotka<sup>3</sup>em na nowoutworzonej wysepce kapitana Servadac'a i jego ordynansa Ben-Zoufa.

Ben...? – powtórzy<sup>3</sup> major Oliphant.

Zouf! – hukn<sup>13</sup> na ca<sup>3</sup>e gard<sup>3</sup>o Hector Servadac, jakgdyby chcia<sup>3</sup> sobie ul<sup>1</sup>ya tym okrzykiem.

Kapitan Servadac – podj<sup>13</sup> hrabia – spragniony by<sup>3</sup> nowin, siad<sup>3</sup> wiêc na pok<sup>3</sup>ad *Dobryny*. Skierowaliœmy się na wschód celem zbadania, co pozosta<sup>3</sup>o z kolonji Algeru... Niestety, nie pozosta<sup>3</sup>o nic.

Brygadjer Murphy wyd<sup>13</sup> z lekceważeniem wargi, jakgdyby chcia<sup>3</sup> powiedzieæ, że kolonja, przez to samo, że by<sup>3</sup>a kolonj<sup>1</sup> francusk<sup>1</sup>, nie mog<sup>3</sup>a byæ trwa<sup>3</sup>a.

Hector Servadac zerwa<sup>3</sup> się już z miejsca, aby cios odparowaæ, ale w porê się pohamowa<sup>3</sup>.

Panowie – rzek<sup>3</sup> hrabia Timaszew – rozmiary klêski s<sup>1</sup> olbrzymie. Na ca<sup>3</sup>ym po<sup>3</sup>udniowym obszarze morza Ćródziemnego nie spotkalicemy œladu dawnych terytorjów. Alger i Tunis zniknê<sup>3</sup>y z powierzchni ziemi. Natrafiliœmy tylko na ska<sup>3</sup>ê z grobowcem króla Francji...

Ludwik IX, o ile mi siê zdaje – zagadn<sup>13</sup> brygadjer.

Bardziej znany pod nazw<sup>1</sup> Ludwika Ćwiêtego – odci<sup>13</sup> kapitan Servadac, na co brygadjer Murphy ucemiechn<sup>13</sup> siê pob<sup>3</sup>a¿liwie.

Hrabia Timaszew opowiedzia<sup>3</sup> w dalszym ci<sup>1</sup>gu o podró¿y na po<sup>3</sup>udnie a¿ po zatokê Gabes i o nowym l<sup>1</sup>dzie, ci<sup>1</sup>gn<sup>1</sup>cym siê na pó<sup>3</sup>noc, a¿ po dawn<sup>1</sup> Maltê.

I ta wyspa angielska Malta – poœpieszy<sup>3</sup> dodaæ kapitan Servadac – z miastem, fortami, ¿o<sup>3</sup>nierzami, oficerami i gubernatorem posz<sup>3</sup>a wœlad za Algerem i zginê<sup>3</sup>a w niezg<sup>3</sup>êbionych czeluœciach ziemi.

Czo<sup>3</sup>a oficerów angielskich zachmurzy<sup>3</sup>y siê na mgnienie, ale po chwili ju¿ rozpogodzi<sup>3</sup>y siê, a w oczach zamigota<sup>3</sup>a nieufnoœæ.

To istny potop, to nie do wiary! – zauwa¿y<sup>3</sup> brygadjer Murphy.

Dlaczego? – zapyta<sup>3</sup> kapitan Servadac.

Malta jest wysp<sup>1</sup> angielsk<sup>1</sup>... – odpar<sup>3</sup> major Oliphant – i jako taka...

Zginê<sup>3</sup>a równie dobrze, jakgdyby by<sup>3</sup>a chiñsk<sup>1</sup>! – wyci<sup>13</sup> kapitan Servadac.

Mo¿e pomylili siê panowie co do po<sup>3</sup>o¿enia geograficznego?

Nie, panowie – rzek<sup>3</sup> hrabia Timaszew – wszelkie pomy<sup>3</sup>ki s<sup>1</sup> wykluczone, musimy uznaæ fakty i uwierzyæ, ¿e katastrofa nie oszczêdzi<sup>3</sup>a i Anglji. Znikniêcie Malty to tylko szczegó<sup>3</sup>, ale czy uwierzycie, panowie, ¿e nowy kontynent zamkn<sup>13</sup> od pó<sup>3</sup>nocy dostêp do morza Ćródziemnego? Gdyby nie jedna jedyna szczelina wœród ska<sup>3</sup>, nigdy nie dotarlibyœmy do was. Jest wiêc, niestety, stwierdzone, ¿e nietylko z Malty, ale i z pozostaj<sup>1</sup>cych od pewnego czasu pod protektoratem Anglji wysp Joñskich niewiele pozosta<sup>3</sup>o.

I przypuszczam – dorzuci<sup>3</sup> kapitan Servadac – ¿e wysoki komisarz, a zwierzchnik panów, który tam rezydowa<sup>3</sup>, bynajmniej nie jest zadowolony z wyników katastrofy.

Wysoki komisarz, nasz szef? – powtórzy<sup>3</sup> brygadjer Murphy, z min<sup>1</sup> cz<sup>3</sup>owieka nierozumiej<sup>1</sup>cego, co do niego mówi<sup>1</sup>.

Podobnie i los Korfu nie nastrêcza powodu do powinszowañ – ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> kapitan Servadac.

Korfu?.. – powtórzy<sup>3</sup> major Oliphant. – Czy pan kapitan powiedzia<sup>3</sup> istotnie Korfu?

Tak jest! Kor-fu – odpar<sup>3</sup> Servadac.



Oficerowie angielscy zaniemówili ze zdziwienia. Ale zdumienie ich doszło do zenitu, kiedy hrabia Timaszew zapytał<sup>3</sup>, czy mieli ostatnio jak<sup>1</sup> wiadomości z Anglii, b<sup>1</sup>d<sup>1</sup> przez statek, b<sup>1</sup>d<sup>1</sup> drog<sup>1</sup> kablów<sup>1</sup>.

Nie, hrabio, kable s<sup>1</sup> zerwane – wyjaśni<sup>3</sup> brygadjer Murphy.

A czy nie starali się panowie porozumieć zapomoc<sup>1</sup> telegrafu w<sup>3</sup>oskiego!

W<sup>3</sup>oskiego? – zdziwi<sup>3</sup> się major Oliphant – chciał<sup>3</sup> pan pewnie powiedzieć hiszpańskiego!

Wszystko jedno, w<sup>3</sup>oski, czy hiszpański – gor<sup>1</sup>czkował<sup>3</sup> się kapitan Servadac – chodzi o to, czy komunikuj<sup>1</sup> się panowie z metropolj<sup>1</sup>?

Nie mamy żadnych wiadomości – odpar<sup>3</sup> brygadjer Murphy. Ale jesteśmy zupełnie spokojni, sytuacja ta nie może trwać zbyt długo. Wszak na l<sup>1</sup>dzie tym powiewa chor<sup>1</sup>giew angielska.

Bah! – wy<sup>13</sup> wargi kapitan Servadac. – Ponieważ po katastrofie podoba<sup>3</sup>o wam się zatkn<sup>1</sup>æ tu chor<sup>1</sup>giew.

By<sup>3</sup>a tu i przedtem.

Na dowód zwierzchnictwa, a nie w<sup>3</sup>asności.

Zwierzchnictwa? – krzyknęli chórem oficerowie.

Panowie – mówi<sup>3</sup>, tupi<sup>1</sup>c nog<sup>1</sup>, Hector Servadac – ta ska<sup>3</sup>a jest jedyn<sup>1</sup> pozosta<sup>3</sup>ości<sup>1</sup> wyspy, b<sup>1</sup>d<sup>1</sup>cej tylko pod protektoratem Anglii!

Wyspy?! – zaoponował<sup>3</sup> poruszony do żywego brygadjer Murphy, chc<sup>1</sup>c wzrokiem zmiażdżyć przeciwnika.

A i ten protektorat – ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> kapitan Servadac – dziesięciokrotnie tracony i zyskiwany na nowo, jest natury dość problematycznej. Przyw<sup>3</sup>aszczyliście sobie nies<sup>3</sup>uszenie prawo zwierzchnictwa nad wyspami Jońskimi!

Nad wyspami Jońskimi... – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> major Oliphant.

I tu, na Korfu!...

Korfu?!

Os<sup>3</sup>upienie obu Anglików było tak wielkie, że niebior<sup>1</sup>cy dotychczas udziału w dyskusji hrabia postanowi<sup>3</sup>, chociaż podziela<sup>3</sup> w zupełności zdanie oficera sztabu generalnego, swój<sup>1</sup> interwencj<sup>1</sup> spór za<sup>3</sup>agodzić. Wpad<sup>3</sup> mu jednak w s<sup>3</sup>owo brygadjer Murphy, który znacznie już spokojniej zwróci<sup>3</sup> się do kapitana Servadac<sup>3</sup>a.

Jest pan w b<sup>3</sup>ędzie, panie kapitanie – mówi<sup>3</sup> – dlatego też postaram się czem prędzej wyjaśnić,

na czym nasze nieporozumienie polega. Jesteśmy tu na terytorjum, które od roku 1704-go należy prawnie do Anglii. Prawo to potwierdza traktat utrechcki. Prawd<sup>1</sup> jest, że kilkakrotnie w latach 1727, 1779 i 1782 Francja i Hiszpanja stara<sup>3</sup>y się, bezskutecznie jednak<sup>2</sup>e, prawo to obalić. Ska<sup>3</sup>a, na której jesteśmy, jest więc równie angielska, jak plac Trafalgar w Londynie.

Czyż nie jesteśmy na Korfu? – pyta<sup>3</sup> zdziwiony niepomiernie hrabia.

Nie, proszę panów – odpar<sup>3</sup> brygadjer Murphy – jesteśmy w Gibraltarze.

Gibraltar! To s<sup>3</sup>owo, jak grom z jasnego nieba, og<sup>3</sup>uszy<sup>3</sup>o hrabiego i kapitana Servadac<sup>3</sup>a. Byli pewni, że s<sup>1</sup> na Korfu, wschodnim krańcu morza Śródziemnego, a tymczasem okaza<sup>3</sup>o się, że zabrnęli na kraniec zachodni, do Gibraltaru, chociaż *Dobryna* w ci<sup>1</sup>gu ca<sup>3</sup>ej podróży nie cofa<sup>3</sup>a się ani razu.

Stali więc przed now<sup>1</sup>, wymagaj<sup>1</sup>ca rozwizania zagadk<sup>1</sup>. Hrabia Timaszew rozpocz<sup>13</sup> w<sup>3</sup>acenie analizę tego donios<sup>3</sup>ego i zagadkowego wypadku, gdy wtem jakiegoś krzyki skierowa<sup>3</sup>y jego uwagę w inn<sup>1</sup> stronę. Odwróci<sup>3</sup> się i ku najwięszemu zdumieniu ujrza<sup>3</sup> za<sup>3</sup>ogę *Dobryny*, zmagaj<sup>1</sup>c<sup>1</sup> się z angielskimi żo<sup>3</sup>nierzami.

Powodem zatargu by<sup>3</sup>a gor<sup>1</sup>ca wymiana zdań między marynarzem Panefk<sup>1</sup> i kapralem Pimem na temat wystrzelonego z dzia<sup>3</sup>a granatu, który zdruzgotawszy maszt jachtu, przetr<sup>1</sup>ci<sup>3</sup> jednocześnie fajkę i zadrasn<sup>13</sup> przyd<sup>3</sup>ugi nos Panefki.

Podczas więc, gdy hrabia Timaszew i Hector Servadac nie mogli dojść do porozumienia z oficerami angielskimi, marynarze z *Dobryny* omal nie pobili się z za<sup>3</sup>og<sup>1</sup> wyspy.

Major Oliphant tłumaczy<sup>3</sup> kapitanowi, który, rzecz prosta, uj<sup>13</sup> się za Panefk<sup>1</sup>, iż Anglja nie odpowiada za te pociski, że ca<sup>3</sup>a wina spada na marynarza rosyjskiego, który podczas strza<sup>3</sup>u sta<sup>3</sup> w niew<sup>3</sup>aciewem miejscu, że wreszcie, gdyby mia<sup>3</sup> nos krótszy, nicby mu się nie sta<sup>3</sup>o i t. d. i t. d.

Spokojny dot<sup>1</sup>d hrabia Timaszew rozgniewa<sup>3</sup> się nie na żarty i, wymieniwszy kilka ostrych s<sup>3</sup>ów z oficerami angielskimi, kaza<sup>3</sup> za<sup>3</sup>odze natychmiast wracać na pok<sup>3</sup>ad.

Mam nadzieję, że spotkamy się jeszcze – żegna<sup>3</sup> Hector Servadac Anglików.

Zawsze do us<sup>3</sup>ug – odpar<sup>3</sup> major Oliphant.

Wobec nowego fenomenu geograficznego, który lokowa<sup>3</sup> Gibraltar tam, gdzie powinno by<sup>3</sup>o znajdować się Korfu, hrabiemu i kapitanowi zacieci<sup>3</sup>a nadzieja dotarcia do Europy, i, co zatem idzie, do krajów ojczytych.

Dlatego też *Dobryna* zaczę<sup>3</sup>a się natychmiast szykować do drogi, po up<sup>3</sup>ywie zaś dwóch godzin pasażerom jej zniknę<sup>3</sup>y zupełnie z oczu szcz<sup>1</sup>tki dawnego Gibraltaru.

## Rozdzia<sup>3</sup> XV,

w którym drog<sup>1</sup> dyskusji dochodzi się do odkrycia, bliskiej już, być może, prawdy.

Przez pierwszych kilka godzin podróży rozprawiano wy³ecznie na temat mo¿liwych nastêpstw œwie¿o odkrytego zjawiska. Hrabia, kapitan i porucznik Prokop mimo usi³owañ nie byli w mo¿noœci przejœæ do porz¹dku nad t¹ now¹ zagadk¹. C³o¿ w istocie wiedzieli pewnego? – e *Dobryna*, opuszczaj¹c wyspê, nazwan¹ przez rozbitków Ostoj¹, dotar³a do nowego l¹du dopiero przy trzynastym stopniu d³ugoœci wschodniej. Przeby³a wiêc przestrzeñ piêtnastu stopni. Dodaj¹c do tego d³ugoœæ cieœniny, która umo¿liwia³a przedarcie siê przez nieznan¹ l¹d, oko³o trzech i pó³ stopnia, nastêpnie odleg³oœæ drugiego krañca cieœniny od Gibraltaru, wynosz¹c¹ w przybli¿eniu cztery stopnie i wreszcie siedem stopni przestrzeni, dziel¹cej Gibraltar od opuszczonej wyspy, otrzymamy ³¹czn¹ przestrzeñ dwudziestu dziewiêciu stopni.

A zatem *Dobryna*, opisawszy krzyw¹ zamkniêt¹, wraca³a po przebyciu dwudziestu dziewiêciu stopni do miejsca, z którego wyruszy³a.

Licz¹c po osiemdziesi¹t kilometrów na stopieñ. przeby³a ³¹czn¹ przestrzeñ dwóch tysiêcy trzystu dwudziestu kilometrów.

A wiêc – rzek³ kapitan Servadac – poniewa¿ *Dobryna*, nie zmieniaj¹c kierunku powróci³a do tego samego miejsca, z którego wyruszy³a, nale¿y przypuœciæ, ¿e kula ziemiska ma teraz tylko dwa tysi¹ce trzysta dwadzieœcia kilometrów w obwodzie.

Tak jest – odpar³ porucznik Prokop – daje to œrednicê d³ugoœci siedmiuset czterdziestu kilometrów. Czyli ¿e dawna œrednica, wynosz¹ca, jak wiadomo, dwanaœcie tysiêcy siedemset dziewiêædziesi¹t dwa kilometry, zmala³a szesnaœcie razy. Twierdzê bowiem z ca³¹ stanowczoœci¹, i¿ odbylicemy podró¿ naoko³o tego, co zosta³o z dawnego œwiata!

Takie stanowisko wyjaœni³oby nam wiele szczególnych, a dot¹d niewyjaœnionych zjawisk – wtr¹ci³ hrabia Timaszew. – Na kuli tak niewielkich rozmiarów musia³a os³abn¹æ si³a przyci¹gania, równie ³atwo t³umaczy siê przyœpieszenie obrotu wokó³ osi, nawet tak wielkie, ¿e doba zamiast dwudziestu czterech, wynosi tylko dwanaœcie godzin. Co do drogi wokó³ s³oñca... – hrabia Timaszew zawaha³ siê chwilê, nie orjentowa³ siê bowiem, jak to zjawisko podporz¹dkowaæ nowemu systemowi.

S³uchamy, hrabio – odezwa³ siê kapitan Servadac – a zatem ta nowa orbita?

Jaki jest twój pogl¹d na tê sprawê? – zwróci³ siê hrabia do porucznika Prokopa.

Nie mo¿e tu byæ dwóch odpowiedzi, tylko jedna, jedyna!

To znaczy! – niecierpliwi³ siê kapitan Servadac, jakgdyby przeczuwaj¹c

odpowiedź Prokopa.

To znaczy – brzmiąca odpowiedź – że jakaś część globu ziemskiego, otoczona atmosferą, oderwała się od całości i obiega wokół słońca drogą, która nie jest dawną orbitą Ziemi.

Po tym majcem pozory uszności wyjaśnieniu zapanowało chwilowe milczenie. Przygnębienie zapanowało wśród rozmawiających. Wszystkich pochłonęły rozmyślenia nad nieobliczalnymi konsekwencjami nowego stanu rzeczy. Jeżeli istotnie jakiego olbrzymi blok oderwał się od Ziemi, to jakie byłoby jego przeznaczenie! Czy na wzór komet przebywać będzie setki milionów mil w przestrzeni, czy też będzie krążyć wokół Źródła ciepła i światła?

Czy wreszcie nowa ta droga styka się gdzieś z ekliptyką ziemską i czy można mieć nadzieję spotkania i połączenia dwóch tak gwałtownie rozerwanych brył?

Kapitan Servadac pierwszy przerwał milczenie:

Ależ u licha! Pańska hipoteza, poruczniku, wyjaśnia wiele rzeczy, ale, mimo to jest nie do przyjęcia!

Dlaczegoż to, kapitanie? Dla mnie jest ona jedynym rozwiązaniem, tłumaczem wszystko.

Otoż nie, jednej przynajmniej sprawy nie obejmuje stanowczo.

Jakiej mianowicie? – zapytał porucznik Prokop.

Zaraz – cięgniesz kapitan Servadac – trzeba żebyśmy się dobrze zrozumieli. Otoż pan twierdzi, że ułamek kuli ziemskiej, obejmujący część morza Śródziemnego, od Gibraltaru aż po Maltę, stała się ta nowa asteroida, która unosi nas w zawiaty.

Wierz w to oczywiście.

Ale jakże pan wytłumaczy powstanie nowego lądu, który otacza morze Śródziemne i szczególnie budowę tego wybrzeża? Dlaczego część globu, która nas unosi, zmieniła swą dawną granitową i wapienną budowę, skąd wzięły się na jej powierzchni związki mineralne, których składu nie umiemy ustalić?

Byłoby to poważny zarzut, stawiany teorii porucznika Prokopa. Istotnie, można byłoby zgodzić się na to, iż część kuli ziemskiej oderwała się, unosząc ze sobą część

atmosfery i morza Œródziemnego, naleŒa³orównieŒ przypuœciæ, Œe ruchy obrotowe i postêpowe nowej asteroidy nie by³y identyczne z ruchami Ziemi, ale dlaczego zamiast Œyznych wybrzeŒy pojawi³ siê ten mur urwisty, pozbawiony œladów Œycia?

Porucznik Prokop pociesza³ siê, Œe przyszœoœæ zapewne wyjaœni tê sprawê. W kaŒdym razie nie rezygnowa³ ze swej hipotezy, która rozwi³ywa³a tyle spraw niepojêtych. Przyczyna katastrofy nie dawa³a siê jeszcze uchwyciæ. By³oŒby to dzia³anie si³ centralnych Ziemi? Wydawa³o siê to w¹tpliwe. Tyle jeszcze by³o ciemnych punktów w tej sprawie...

W gruncie rzeczy – zakonkludowa³ kapitan Servadac – obojêtnie mi jest na jakiej gwieŒdzie kr¹Œê we wszechœwiecie, byle Francja kr¹Œy³a wraz ze mn¹.

Francja... i Rosja – dorzuci³ hrabia Timaszew.

I Rosja! – poprawi³ siê czem prêdziej oficer sztabu generalnego.

Tymczasem, jeœli istotnie czêœæ globu ziemskiego porusza³a siê po nowej orbicie i jeœli czêœæ ta mia³a kszt¹t kulisty, w takim razie rozmiary kuli tej by³y bardzo niewielkie, a co zatem idzie, czêœæ Francji i pokaŒna czêœæ Rosji musia³y pozostaæ przy dawnej macierzy. To samo dotyczy³o Anglii. Zreszt¹ brak wiadomoœci z Anglii w Gibraltarze w ci¹gu szeœciu tygodni przemawia³ wymownie za tem przypuszczeniem. Jeœli wyspa Ostoja mia³a, jak naleŒa³o siê tego spodziewaæ, sta³¹ d³ugoœæ dnia i nocy, czyli leŒa³a na równiku asteroidy, w takim razie dwa bieguny, pó³nocny i po³udniowy, by³y od niej jednakowo odleg³e i dzieli³y odbyt¹ przez *Dobrynê* drogê na dwa ³uki, d³ugoœci tysi¹ca stu szeœædziesiêciu kilometrów kaŒdy. Toby znaczy³o, Œe kaŒdy z biegunów oddalony by³ od wysepki o piêœet osiemdziesi¹t kilometrów. Z chwil¹ jednak wyznaczenia tych punktów na mapie, okaza³o siê, Œe biegun pó³nocny nie siêga³ poza Prowancjê, po³udniowy zaœ leŒa³ w pustyni afrykañskiej na wysokoœci dwudziestego dziewi¹tego równoleŒnika.

Czy porucznik Prokop mia³ racjê, upieraj¹c siê przy swojej hipotezie? Czy istotnie nowa asteroida oderwa³a siê od Ziemi? Na to trudno by³o odpowiedzieæ. Przyszœoœæ tylko mog³a daæ rozwi¹zanie zagadki, nie by³o jednak szaleñstwem twierdzenie, Œe porucznik Prokop, jeœli nie zg³êbi³ ca³kowicie tajemnicy, w kaŒdym razie zbliŒy³ siê ku prawdzie.

Pogoda by³ cudowna i *Dobryna*, gnana si³¹ motoru i wiatrem, posuwa³a siê szybko na pó³noc.

Na północ, lecz nie na wschód, gdyż ziemie hiszpańskie, a przynajmniej części ich, mieszczą się dawniej pomiędzy Gibraltarem i Alicante, zniknęła całkowicie. Malaga, Almeria, przykład Palos, ani wreszcie Kartagina nie zajmowały miejsc wyznaczonych im na mapie. Morze pokrywało cały dawny półwysep hiszpański i jacht dopiero na wysokości Sewilli dotarł do pasa skalistych szczytów, identycznych z napotkanymi już poprzednio w okolicach Malty. Od tego miejsca morze wrzynało się głęboko w ląd, tworząc kłopotliwy, na którego wierzchołku powinien być znajdować się Madryt. Potem wybrzeże skręcało na południe, wkraczało w obręb dawnej zatoki i rozciągało groźne pazury wokół dawnych wysp Balearskich.

Zbaczając nieco z wytkniętej drogi, w chwili odnalezienia celadów tych wzięcie wysp Balearskich, podróżnicy dokonali niespodziewanego odkrycia.

Było to dnia 21-go lutego. O godzinie 8-iej rano jeden z pełniących służbę marynarzy zawołał:

**Butelka w morzu!**

Butelka ta mogła zawierać drogocenny dokument, wyjaśniający nowy stan rzeczy. To też hrabia Timaszew, Hector Servadac i porucznik momentalnie znaleźli się na przedzie *Dobryny*. Po krótkich i umiejętnych zabiegach sygnalizowany przedmiot został wciągnięty na pokład jachtu.

Nie była to butelka, lecz futeraś skórzany od lunety. Wieko było starannie zalakowane, tak aby woda nie mogła przeniknąć do wnętrza.

Porucznik Prokop, którego ani na krok nie odstępowali hrabia i Hector Servadac, uważnie badał znaleziony przedmiot. Brak było na nim marki fabrycznej. Na pieczęci lakowej, przytwierdzonej wieczko, widniały inicjały: R. P.

Po otwarciu pieczęci, wyjęto z pochwy nienaruszony przez wodę zwitek papieru. Na zwykłej kartce z notatnika widniała:

*Galja?*

*Odległość od słońca 15 lutego: 59,000.000 mil.*

*Droga przebyta od stycznia do lutego: 32,000.000 mil.*

*Va bene! All right! Parfait!!!*

Co to ma znaczyć? – pytał hrabia Timaszew, oglądając ze wszystkich stron kartkę.

Nic nie rozumiem – odparł Hector Servadac – jedno tylko jest pewne, że autor tego dokumentu żył jeszcze dnia 15-go lutego, gdyż tę wzięcie datę nosi kartka.

To jest jasne – zgodzi<sup>3</sup> siê hrabia. – Co siê tyczy samego dokumentu, to jest on niepodpisany i skreœelony w jêzykach <sup>3</sup>aciñskim, w<sup>3</sup>oskim, angielskim i francuskim, z przewag<sup>1</sup> jednak¿e s<sup>3</sup>ów francuskich.

Nie mo¿e tu byæ mowy o ¿adnej mistyfikacji – rzek<sup>3</sup> kapitan Servadac – dokument ten odnosi siê bezw<sup>1</sup>tpienia do nowego porz<sup>1</sup>dku wszechrzeczy, który nietylko nam, jak widaæ, da<sup>3</sup> siê we znaki! Pochwa, w której znaleŹlicemy go, nale¿a<sup>3</sup>a do obserwatora p<sup>3</sup>yn<sup>1</sup>cego statkiem...

Nie zgodzê siê z tem, kapitanie – przerwa<sup>3</sup> porucznik Prokop – gdy¿ obserwator ten by<sup>3</sup>by w<sup>3</sup>o¿y<sup>3</sup> dokument do butelki, bardziej odpornej na dzia<sup>3</sup>anie wody, ni¿ skóra. Przypuszczam raczej, ¿e mo¿e uczony, który ocala<sup>3</sup> na jakimœ samotnym punkcie kontynentu, pragn<sup>13</sup> podzieliæ siê ze œwiatem swemi obserwacjami i u¿y<sup>3</sup> do tego celu pochwy od lunety, mniej mu widocznie potrzebnej, ni¿ butelka.

To jest w gruncie rzeczy obojêtnie – przeci<sup>13</sup> dyskusjê hrabia. – Chodzi o odcyfrowanie dokumentu, nie o to zaæ, kto by<sup>3</sup> jego autorem. Zacznijmy od pocz<sup>1</sup>tku. A wiêc przede wszystkim, co znaczy ta Galja?

Nie znam ¿adnej planety, nosz<sup>1</sup>cej tê nazwê – odpar<sup>3</sup> kapitan Servadac.

Kapitanie – odezwa<sup>3</sup> siê wówczas porucznik Prokop – czy pozwoli pan sobie zadaæ jedno pytanie?

Proszê bardzo.

Czy nie s<sup>1</sup>dzi pan, ¿e dokument ten potwierdza moj<sup>1</sup> teorjê?

Tak... byæ mo¿e... – odpar<sup>3</sup> Hector Servadac – chocia¿ zarzut dotycz<sup>1</sup>cy budowy naszej asteroidy wci<sup>1</sup>¿ jeszcze nie zosta<sup>3</sup> odparty.

Przypuszczacie wiêc panowie – wtr<sup>1</sup>ci<sup>3</sup> hrabia – ¿e domniemany ów uczony nowej planecie nada<sup>3</sup> nazwê „Galja”?

Czy¿by to by<sup>3</sup> uczony francuski! – zastanowi<sup>3</sup> siê porucznik Prokop.

Wed<sup>3</sup>ug wszelkiego prawdopodobieñstwa – odpar<sup>3</sup> kapitan Servadac. – Na osiemnacie s<sup>3</sup>ów sk<sup>3</sup>adaj<sup>1</sup>cych dokument, mamy jedenacie s<sup>3</sup>ów francuskich, a tylko trzy <sup>3</sup>aciñskie, dwa w<sup>3</sup>oskie i dwa angielskie. Ró¿nojęzycznoœæ kartki œwiadczy, mojem zdaniem, o przezornoœci autora, który pragn<sup>13</sup> byæ za wszelka cenê zrozumiany.

Przypuœamy, ¿e „Galja” jest nazwa nowej, zawieszanej w przestworzu asteroidy – mówi<sup>3</sup> hrabia – i badajmy dalej. „Ab sole distance au 15 fevrier, cinquante neuf millions de lieux”...

To by<sup>3</sup>a rzeczywista, odleg<sup>3</sup>oœæ Galji od s<sup>3</sup>oñca, w chwili przeciêcia drogi Marsa – wyjaœni<sup>3</sup> porucznik Prokop.

Doskonale – ucieszy<sup>3</sup> siê hrabia – oto pierwszy punkt dokumentu zgadza siê wiêc z naszymi

obserwacjami.

Jak najdokładniej – potwierdzi porucznik.

„Droga przebyta od stycznia do lutego” – czyta dalszy ciąg dokumentu hrabia – „trzydzieści dwa miliony mil”.

Mowa tu najwidoczniej – wyjaśnienia Hector Servadac – o drodze przebytej przez Galję po nowej orbicie.

Tak jest – odpar porucznik Prokop – i zgodnie z prawami Keplera, szybkość Galji, lub też co na jedno wychodzi, drogi przebywane w jednakowych odstępach czasu, zmniejsza się stopniowo. Najwyższą temperaturę odczuwalicemy w czasie owego dnia, 15-go stycznia. Jest więc możliwe, iż tego dnia Galja osiągnie swe periheljum, czyli punkt najbliższy słońca, i że porusza się wówczas dwa razy szybciej od Ziemi, której szybkość wynosi dwadzieścia osiem tysięcy osiemset mil na godzinę.

Słusznie – zgodzi się kapitan Servadac – ale to nie wyjaśnienia, w jakiej odległości od słońca znajduje się apheljum Galji.

Tak jest, kapitanie – odpar porucznik Prokop – ale dokładne badania, dotyczące różnych punktów krzywej ruchu Galji, dadzą odpowiedź na te pytania.

Istotnie – podjął hrabia Timaszew – jeżeli Galja jest asteroidem, podlega, jak wszystkie ciała ruchome, prawom mechaniki, a ruchem jej, podobnie jak ruchami wszystkich innych planet, rządzi słońce. Od chwili oderwania się od Ziemi, brzość jej zawiera przyciągania i droga jej została niezmiennie ustalona.

Chyba tylko – wtrącił porucznik Prokop – drogi tej nie zamierzają inne planety! Galja jest wszak tak mała w stosunku do innych ciał układowego, że większe planety mogą mieć na nią wpływ nieobliczalny.

Bardzo możliwe – dorzucił kapitan Servadac – że rozmaite przykre spotkania zmuszą Galję do zbaczania z drogi. Ale zważaj proszę, panowie, że rozprawiamy już tak, jak rzeczeni „Galijczycy”. A który nam zaręczy, iż owa Galja, o której mowa w dokumencie, nie jest prosto małą siedemdziesiątą z rzędu planet, a wieżo odkrytą!

Nie, to jest wykluczone – odpar porucznik Prokop. – Planety dostrzegane przez teleskop poruszają się w wiatrowej strefie, zawartej pomiędzy Marsem i Jowiszem. A zatem nie zbliżają się nigdy do słońca tak bardzo, jak Galja w swym periheljum. Tego faktu nie można podawać w wątpliwość, ponieważ stwierdza go zgodnie dokument i nasza obserwacja.

Szkoda – biada hrabia Timaszew – że brak nam przyrzęd do obserwacji i pomiarów.

Mam wrażenie – odpar kapitan Servadac – że czas nam wszystko wyjaśnić.

Co zaś do ostatnich słów dokumentu – podjął hrabia – „Va bene! – All right! – Parfait!” nie



przypisujê im ¼adnego znaczenia...

Chyba tylko to – rzek³ Hector Servadac – ¼e autor dokumentu jest zachwycony nowym stanem rzeczy i przysz³oœæ maluje mu siê w barwach ró¼owych.

## Rozdzia³ XVI,

*w którym Hector Servadac obejmuje jedn¹ rêk¹ szcz¹tki rozleg³ego kontynentu.*

Okr¹ywszy olbrzymi, zamykaj¹cy drogê na pó³noc, cypel, *Dobryna* kierowa³a siê w stronê przyl¹dka de Creus.

Podró¼ni bez przerwy, dzieñ i noc, rozprawiali na temat ostatnich wydarzeñ. W dyskusjach tych coraz czêœciej powtarza³a siê nazwa „Galja”, zdobywaj¹ca stopniowo prawo obywatelstwa.

W czasie o¼ywionych rozpraw podró¼nicy nie zapominali jednak o celu swej wêdrówki. Badali uwa¼nie i mo¼liwie zbliŝka nowe wybrze¼a wód Êródziemnomorskich, stanowi¹cych, wed³ug wszelkiego prawdopodobieñstwa, jedyne morze Galji.

Wy¼szy brzeg olbrzymiego cypla ci¹gn¹³ siê wzd³u¼ dawnego l¹du iberyjskiego i Barcelony, poczem skrêcaj¹c na pó³noco-wschód, siêga³ a¼ do przyl¹dka Creus. Barcelona, l¹d iberyjski i przyl¹dek Creus zniknê³y bez œladu.

### *Dobryna*

dotar³a ju¼ do granicy francuskiej. ¼atwo sobie wyobraziæ, co dzia³o siê w duszy kapitana Servadac’a na widok nowego l¹du, wznosz¹cego siê na terytorjum ukochanej ojczyzny. Nieprzebyta naturalna zapora tamowa³a dostêp do ziem dawnej Francji. Zamiast uroczych brzegów, stercza³a ku górze stroma, skalista œciana, równie stroma i ja³owa, jak ta, na której rezydowali napotkani wczêœniej Anglicy. Ani œladu dawnej granicy wschodnich Pirenejów. Jacht nie trafi³ w swej drodze na przyl¹dki Bearn i Port-Vendres, zginê³y równie¼ zatoki Tech, Saint Nazaire i inne. Tak malownicza ongiœ granica okrêgu „de l’Aude” zmieni³a siê nie do poznania. I wszêdzie woko³o, jak okiem siêgn¹æ, pustka i zniszczenie. Marsylja zmieciona z powierzchni ziemi, Martigues unicestwione! Nasuwa³o siê przypuszczenie, ¼e nie masz ju¼ na kontynencie Europy ani jednego zak¹tka, nosz¹cego nazwê Francji.

Hector Servadac czu³ siê zgnêbiony. Ponura rzeczywistoœæ przewy¼sza³a wszelkie jego obawy i przypuszczenia. Nigdzie œladów dobrze mu z lat dziecinnych znanych krajobrazów. Co chwila nowe rozczarowanie. Serce œciska³o mu siê na myœl, ¼e z ca³ej Francji pozosta³, byæ mo¼e, tylko ten strzêp ziemi algeryjskiej z wysepki Ostoj¹, jako jedyn¹ ucieczk¹ pozosta³ych przy ¼yciu Francuzów.

A jednak – mówi<sup>3</sup>, zwracaj<sup>1</sup>c siê do hrabiego Timaszewa – terytorjum Francji siêga poza ten brzeg niedostêpny. NaleŹa<sup>3</sup>oby zbadaæ, co dzieje siê za t<sup>1</sup> œcian<sup>1</sup>. Jeœli istotnie znajdujemy siê wci<sup>1</sup>Ź jeszcze na Ziemi, która tylko zmieni<sup>3</sup>a kierunek ruchu wœród cia<sup>3</sup> niebieskich, w takim razie jest moŹliwe, Źe za t<sup>1</sup> œcian<sup>1</sup> leŹy Francja, Rosja i wogóle ca<sup>3</sup>a Europa. To trzeba sprawdzaæ. CzyŹby istotnie nigdzie tu nie da<sup>3</sup>o siê wyl<sup>1</sup>dowaæ! CzyŹ nie uda nam siê, choæ na chwilê, wdrapaæ na szczyt i rzuciæ okiem na odgradzon<sup>1</sup> chiŹskim murem okolicê! L<sup>1</sup>dujmy, na mi<sup>3</sup>œæ bosk<sup>1</sup>, l<sup>1</sup>dujmy!

Ale *Dobryna*, p<sup>3</sup>yn<sup>1</sup>c wytrwale wzd<sup>3</sup>uŹ stromych, skalistych brzegów, daremnie szuka<sup>3</sup>a zatoki, w której da<sup>3</sup>oby siê zarzuciæ kotwicê, i piêdzi ziemi, na której moŹnaby, wysiad<sup>3</sup>szy z <sup>3</sup>odzi, znaleŹæ oparcie.

Ca<sup>31</sup> si<sup>31</sup> pary pêdzono na wschód. Pogoda dopisywa<sup>3</sup>a. Gdzie niegdzie tylko po nieskazitelnym lazurze nieba sunê<sup>3</sup>y blade, przezroczyste ob<sup>3</sup>oczki. Nik<sup>3</sup>e promienie s<sup>3</sup>oneczne dawa<sup>3</sup>y œwiat<sup>3</sup>o blade jak o œwiecie. W nocy zato gwiazdy œwieci<sup>3</sup>y wspaniale, tylko niektóre planety wskutek oddalenia straci<sup>3</sup>y dawny swój blask.

24-go lutego *Dobryna* dotar<sup>3</sup>a do wysokoœci dawnego przyl<sup>1</sup>dka d'Antibes.

W miejscu tem, ku najwyŹszemu zdumieniu, ale i radoœci podróŹników, skalista œciana pêkniêta by<sup>3</sup>a od góry do do<sup>3</sup>u. U stóp szczeliny na powierzchni morza rozci<sup>1</sup>ga<sup>3</sup>a siê niewielka piaszczysta <sup>3</sup>acha, jak stworzona do l<sup>1</sup>dowania.

Wreszcie staniemy na pewnym gruncie! – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> kapitan Servadac, który juŹ zupe<sup>3</sup>nie nie panowa<sup>3</sup> nad swem zdenerwowaniem.

Hrabia Timaszew i porucznik Prokop, jakkolwiek spokojni, oczekiwali tej chwili równie gor<sup>1</sup>czkowo.

O siódmej godzinie nad ranem hrabia, kapitan i porucznik wysiedli z jachtu.

Po raz pierwszy odnaleŹli œlady dawnej gleby pod postaci<sup>1</sup> Źó<sup>3</sup>tawych wapniaków, któremi usiane by<sup>3</sup>y dawne prowansalskie wybrzeŹa. W<sup>1</sup>ziutki pasek wybrzeŹa, jakæ cudem ocalona pozosta<sup>3</sup>œæ dawnego l<sup>1</sup>du o powierzchni kilkunastu zaledwie metrów, nie zachêca<sup>3</sup> do zatrzymania siê, i wobec tego nasi podróŹnicy skierowali siê natychmiast w stronê parowu, który zamierzali przebyæ.

W<sup>1</sup>wóz nie stanowi<sup>3</sup> dawnego koryta rzeki, czy potoku, by<sup>3</sup> zupe<sup>3</sup>nie suchy i ja<sup>3</sup>owy. Zbocza w<sup>1</sup>wozu mia<sup>3</sup>y znan<sup>1</sup> juŹ podróŹnikom budowê warstwicow<sup>1</sup>. Geolog okreœli<sup>3</sup>by zapewne dok<sup>3</sup>adnie sposób i czas ich powstania, ale hrabia Timaszew, oficer sztabowy i porucznik Prokop nie znali siê na tych sprawach. Łatwo by<sup>3</sup>o jednak przewidzieæ, Źe nieznan<sup>1</sup>cy dot<sup>1</sup>d wilgoci parów moŹe przy zmianie warunków klimatycznych staæ siê zbiornikiem olbrzymiej masy wód.

JuŹ w rozmaitych za<sup>3</sup>amach œcian widnia<sup>3</sup>y wielkie œnieŹne zwa<sup>3</sup>y, jako zapowiedŹ groŹnych w przysz<sup>3</sup>œci lodowców.

Oto pierwsze œlady s<sup>3</sup>odkich wód, które spotykamy w Galji! – zauwaŹy<sup>3</sup> hrabia Timaszew.

S³usznie – odpar³ porucznik Prokop – nieco wy¿ej utworzy³y siê zapewne pod wp³ywem panuj¹cego ch³odu nietylko œniegi, ale i lodowce. Nie zapominajmy, ¿e wobec kulistoœci Galji, znajdujemy siê w strefie pó³nocnej, na któr¹ promienie s³oneczne padaj¹ zukosa. Prawda, ¿e wskutek s³abego nachylenia osi obrotu, s³oñce nie opuszcza wcale równika i dziêki temu nie panuje tu wieczna noc, jak to siê dzieje na biegunach Ziemi. Zimno jednak da nam siê powa¿nie we znaki, zw³aszcza gdy bêdziemy siê coraz bardziej oddalali od s³oñca.

Poruczniku – zapyta³ kapitan Servadac – czy nie nale¿y siê obawiaæ tak niskiej temperatury, ¿e zniweczy ca³kowicie ¿ycie na powierzchni Galji?

Nie, kapitanie – brzmi³a pewna odpowiedŸ porucznika Prokopa. – Zimno bowiem nie przekroczy nigdy granic zakreœlonych dla tych stref niebieskich, gdzie niema powietrza.

A te granice wynosz¹!

Oko³o szeœædziesiêciu stopni, wed³ug teorii uczonego fizyka francuskiego, Fourier’a.

Szeœædziesi¹t stopni! – powtórzy³ hrabia Timaszew. – Szeœædziesi¹t stopni poni¿ej zera! Ale¿ to jest temperatura, którêj nie znios¹ chyba nawet Rosjanie.

Takie zimna – oponowa³ porucznik Prokop – znosili ju¿ na morzach polarnych podró¿nicy angielscy i nic im siê nie sta³o.

Wêdrowcy zatrzymali siê na chwilê, aby odpocz¹æ, gdy¿ rozrzedzone powietrze utrudnia³o im nieco oddech. Poza tem, chocia¿ osi¹gnêli zaledwie wysokoœæ szeœæciu do siedmiuset stóp, odczuwali dotkliwie zimno. Na szczêœcie budowa dna parowu u³atwia³a znakomicie posuwanie siê naprzód i w niespe³na pó³torej godziny znaleŸli siê ju¿ na szczycie przybrze¿nych ska³. Wy¿yna ta górowa³a nad morzem nietylko od po³udnia, ale i od pó³nocy, gdzie teren obni¿a³ siê gwa³townie.

Kapitan Servadac nie móg³ zd³awiæ okrzyku. Nie by³o tu œladu Francji! Niezliczone szeregi ska³ wy³ania³y siê jedne za drugimi, a¿ po kres horyzontu. Ca³a Galja zdawa³a siê byæ produktem nowej, nieznaney formacji.

Rzuca³ siê w oczy zupe³ny zanik ¿ycia roœlinnego, gdy¿ najmniej nawet wymagaj¹ce ustroje nie mog³y siê utrzymaæ na tym kamienistym gruncie! Zupe³ny zanik ¿ycia zwierzêcego, gdy¿ ¿aden mieszkaniec, najbardziej nawet na pó³noc wysuniêtych stref œwiata, nie znalaz³by tu po¿ywienia na jeden choæby dzieñ.

By³o to królestwo minera³ów, w ca³ej swej ponurej okaza³oœci!

Kapitan Servadac, mimo ca³ej beztroski swego usposobienia, wpad³ w nastrój bezgranicznego przygnêbienia. Sta³ bez ruchu na skale lodowej i wzrokiem przes³oniêtym³zami b³¹dzi³ po obcej jego duszy i wspomnieniom okolicy. Sk³onny by³ ju¿ prawie uwierzyæ, ¿e nigdy tu Francji nie by³o.

Nie – wo³a³ – nie mo¿e byæ! Nasze obliczenia s¹ b³êdne! Nie jesteœmy jeszcze na linii Alp! Terytorjum, którego szukamy, le¿y za nami! Œciana skalista wyst¹pi³a z wód, zgadzam siê na to! Ale poza ni¹ le¿¹ ziemie Europy. Proszê tu, hrabio! Musimy siê przedrzeæ przez ten skalisty teren i

szukajmy dalej, szukajmy bez wytchnienia!...

Hector Servadac nie traci<sup>3</sup> czasu. Mówi<sup>1</sup>c, posuwa<sup>3</sup> się naprzód, szukaj<sup>1</sup>c wśród skalistych z<sup>3</sup>omów znocanej jakiejœ œcieżki.

Nagle zatrzyma<sup>3</sup> się.

Natkn<sup>13</sup> się bowiem na kamień, który kształtem zdradza<sup>3</sup> sw<sup>1</sup> przynależnoœæ do innej formacji. Kapitan Servadac nachyli<sup>3</sup> się i wydoby<sup>3</sup> kamień z pod œniegu.

By<sup>3</sup> to kawa<sup>3</sup>ek z<sup>3</sup>łó<sup>3</sup>k<sup>3</sup>ego marmuru, na którym widnia<sup>3</sup>y zatarte œlady napisu, a miêdzy innymi litery:

Vil...

Willa! – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> kapitan Servadac, rzucaj<sup>1</sup>c marmur o ziemiê, tak œe rozprysn<sup>13</sup> się w tysi<sup>1</sup>c kawa<sup>3</sup>ków.

Có¿ pozosta<sup>3</sup>o z tej willi zbudowanej w jednym z najpiêkniejszych zak<sup>1</sup>tków œwiata? Nêdzny kawa<sup>3</sup>ek marmuru, który w proch się rozsypa<sup>3</sup>.

Kapitan Servadac nie móg<sup>3</sup> ju¿ mieæ w<sup>1</sup>tpliwoœci, œe przył<sup>1</sup>dek d'Antibes zgin<sup>13</sup> w czeluœciach nowego kontynentu. Sta<sup>3</sup> pogr<sup>1</sup>żony w myœlach, gdy nagle zbliży<sup>3</sup> się do niego hrabia i rzek<sup>3</sup> z powag<sup>1</sup>:

Kapitanie, czy znana jest panu dewiza rodziny Hope?

Nie, hrabio – brzmia<sup>3</sup>a odpowiedŸ.

„Orbe fracto, spes illaesa!”

Jest ona przeciwieństwem beznadziejnej maksymy Dantego!1

Tak jest, kapitanie, i powinna staæ się na teraz nasz<sup>1</sup> dewiz<sup>1</sup>!

## Rozdzia<sup>3</sup> XVII,

*który mo¿naby œmia<sup>3</sup>o zatytu<sup>3</sup>owaæ: „Ten sam – tym samym”.*

Pasażerom *Dobryny* nie pozosta<sup>3</sup>o ju¿ nie innego, jak powrót do ma<sup>3</sup>ej wysepki, któr<sup>1</sup> opuœcili. To maleńkie terytorjum by<sup>3</sup>o najwidoczniej jedynym miejscem dawnego l<sup>1</sup>du, które mog<sup>3</sup>o schroniæ i wyżywiaæ nielicznych ludzi, unoszonych przez now<sup>1</sup> planetê w zaœwiaty.

A jednak – pociesza<sup>3</sup> się w myœli kapitan Servadac – jest to coœ z dawnej Francji!

...

Projekt powrotu na wysepkę poddano pod głosowanie i już miało być przyjęte, gdy porucznik Prokop zauważył, że nie zbadano jeszcze dokładnie nowego wybrzeża morza Śródziemnego.

Musimy jeszcze popłynąć na północ, poczynając od przylądka d'Antibes aż po ocean Gibraltaru, i na południe od niej aż do zatoki Gabes. Posuwaliśmy się dotąd wzdłuż dawnej granicy lądu afrykańskiego, nie wiemy jednak nic o nowej. Kto wie, czy istotnie odcięci jesteśmy od południa, czy nie ocala jakaś oaza afrykańskiej pustyni! Poza tym nie jest wykluczone, że Włochy, Sycylja, archipelag wysp Balearskich, lub inne wielkie wyspy morza Śródziemnego oparły się katastrofie. W te strony więc należy skierować *Dobrynę*.

Zgadza się z tobą w zupełności – poparł wywody porucznika hrabia – i mnie wydaje się konieczne bliższe zbadanie nowego morza.

I ja przyłączam się do opinii panów – wtrącił kapitan Servadac. – Chodzi tylko o to, czy kończyć wycieczkę krajoznawczą przed odwiedzeniem naszej wysepki.

Jestem zdania – zabrał głos porucznik Prokop – że powinniśmy, póki to możliwe, korzystać z *Dobryny*.

Co chcesz przez to powiedzieć? – zaniepokoił się hrabia Timaszew.

Przypominam, że temperatura ciężej spada. „Galja” porusza się po krzywej, która odsuwa się coraz bardziej od słońca i wkrótce mogą zapanować wielkie mrozy. Powierzchnia morza zetnie się wówczas i uniemożliwi dalsze żeglowanie. Rozumiej chyba panowie trudności lawirowania pośród gór lodowych. Czy nie lepiej więc korzystać teraz z wolnej powierzchni morza?

Masz rację, Prokopie – zgodził się hrabia Timaszew. – Szukajmy resztek dawnego kontynentu, a jeżeli ocalały jakieś szczątki drogiej naszej Europy, jeżeli już jacyś nieszczęśliwi rozbitkowie, którym moglibyśmy przyjąć z pomocą, lepiej o tym wiedzieć przed zaszcieniem się na zimowe leżenie na wyspie.

25-go lutego jacht opuścił zatoczkę, w której znalazł chwilowe schronienie. Posuwając się wzdłuż wybrzeży północnych, pędził cała siła pary na wschód. Zimno dawało się już we znaki. Termometr wskazywał dwa stopnie poniżej zera. Na szczęście słona woda morska odporniejsza jest na działanie niskiej temperatury, niż wody słodkie, *Dobryna* płynęła więc szparko. Niemniej przeto należało się oepieszyć.

Noce były piękne. Chmury zrzadka tylko ukazywały się w coraz to chłodniejszych

warstwach atmosfery. Gwiazdy z niezwyk<sup>31</sup> wyrazistości<sup>1</sup> rysowały się na firmamencie. O ile marynarski zmysł porucznika Prokopa kazał mu śmiała<sup>3</sup> zniknięcia księżycy, o tyle astronom, pragnący badać tajemnice niebieskiego stropu, bogostawiłby nowy stan rzeczy.

Księżyc zginął bez śladu, to prawda! Ale, ileż nowych fenomenów i cudów natury! Istny deszcz gwiazd spadających, o jakim nie mówił się nawet astronomom, rozświetla ciemność. Nie obawiając się przesady można powiedzieć, że ilość asteroidów, obserwowana przez naszych podróżników, przekroczyła dziesięciokrotnie liczbę trzydziestu czterech tysięcy, zanotowanych w 1833-tym roku przez M. Olmsteda.

26-go lutego pas lądu zagroził drogę *Dobrynie* i zmusił ją do okrążania go aż po krańce panującej tu ongię, a obecnie zmiecionej z powierzchni Korsyki. Miejsce ciecieniny Bonifacio zajmowała szeroko rozlane morze.

27-go lutego ujrzano w odległości kilku mil wysepki. Sądząc z położenia, wysepka ta była dawnego pochodzenia i stanowiła północną część Sardynji.

### *Dobryna*

posuwała się szybko. Wkrótce spuszczone na wodę śród i po kilku chwilach hrabia Timaszew i kapitan Servadac wylądowali na małej zielonej równinie, o powierzchni niecałego hektara. Kilka krzaków mirtu i rzadkie drzewa oliwne stanowiły całe zadrzewienie wysepki. Zdawało się, że jest zupełnie niezamieszkała, nie tylko przez ludzi, lecz i przez zwierzęta.

Podróżnicy już chcieli zawracać, gdy uszuli ich doszło jakieś beczenie i prawie równocześnie dostrzegli skaczącą po skałach kozę. Była to koza ciemnej maści, o małych, równo wygiętych rogach; nie przeraziła się ona bynajmniej przybyszów, lecz w radosnych skokach biegła im naprzeciw, wesołym beczaniem zdając się zapraszać w górę wyspy.

Ta koza nie jest jedyną mieszkanką wyspy! – zawołał Hector Servadac. – Chodźmy za nią!

Tak też uczyniono i w odległości kilkuset kroków natrafiono na rodzaj pieczary, zakrytej do połowy drzewami. Na hrabiego Timaszewa i Hectora Servadac'a patrzyła z za krzewów para czarnych i wyrazistych dziewczęcych oczu. Wzrostem i kształtem, siedmioletnia, lub co najwyżej ośmioletnia dziewczynka przypominała piękne aniołki pędzla Murilla.

Podróżnicy wywarli sobie dodatnie wrażenie, gdy dziecko wyciągnęło ku nim rączki i podbiegło z wyrazem pełnym głębokiej ufności.

Nie jesteście przecież Yli? – spytało głosem tak śródkiem i melodyjnym, jak włoski język, którym przemawiała. – Nie zrobicie mi krzywdy? Mogę się nie bać, prawda?

Ależ z pewnością – odparł, wskazując językiem włoskim, hrabia. – Jesteśmy i chcemy być twymi przyjaciółmi.

Poczem, przygl<sup>1</sup>daj<sup>1</sup>c siê pe<sup>3</sup>nej wdziêku dzieweczce, zapyta<sup>3</sup>:

Jak siê nazywasz malutka?

Nina.

Czy mo<sup>3</sup>esz nam powiedzieæ, Nino, gdzie w<sup>3</sup>acéciwie jesteœmy?

Na Madelenie – odpar<sup>3</sup>o dziecko – tam gdzie by<sup>3</sup>am, gdy siê wszystko tak nagle zmieni<sup>3</sup>o.

Madelena by<sup>3</sup>a wysep<sup>1</sup>k<sup>1</sup>, po<sup>3</sup>o<sup>3</sup>on<sup>1</sup> niedaleko Capri. Kilka pytañ i jasnych, inteligentnie sformu<sup>3</sup>owanych odpowiedzi wyjaœni<sup>3</sup>y, ÷e ma<sup>3</sup>a Nina, sierota, by<sup>3</sup>a jedyn<sup>1</sup> mieszkank<sup>1</sup> wyspy. Pasa<sup>3</sup>a kozy jakiegoœ bogatego hodowcy na wyspie. W chwili katastrofy wszystko woko<sup>3</sup>o poch<sup>3</sup>on<sup>13</sup>a woda, ocala<sup>3</sup> tylko ten maleñki skrawek ziemi, na którym Nina by<sup>3</sup>a odt<sup>1</sup>d ze sw<sup>1</sup> ulubion<sup>1</sup> koz<sup>1</sup> *Marzy*. Pocz<sup>1</sup>tkowo ba<sup>3</sup>a siê bardzo, ale zczasem uspokoi<sup>3</sup>a siê zupe<sup>3</sup>nie i dziêkowa<sup>3</sup>a dobremu Bogu, ÷e ziemia nie chwieje siê w posadach. Mia<sup>3</sup>a na szczêœcie trochê ÷ywnoœci, która wystarczy<sup>3</sup>a jej na pewien czas i nigdy nie traci<sup>3</sup>a nadziei, ÷e jakœ statek przyjedzie j<sup>1</sup> wybawiaæ. Skoro statek ju<sup>3</sup> siê zjawi<sup>3</sup>, pragnê<sup>3</sup>a dostaæ siê na jego pok<sup>3</sup>ad pod warunkiem wszak<sup>3</sup>e, ÷e wraz z ni<sup>1</sup> zabrana zostanie ukochana koza i ÷e obie mo<sup>3</sup>liwie prêd<sup>1</sup>ko odstawione bêd<sup>1</sup> na fermê.

Oto jeszcze jeden mieszkaniec Galji – rzek<sup>3</sup> kapitan Servadac, œciskaj<sup>1</sup>c dziewczynkê.

W pó<sup>3</sup> godziny pó<sup>3</sup>niej Nina i *Marzy* znalaz<sup>3</sup>y siê na pok<sup>3</sup>adzie jachtu, gdzie, jak siê tego <sup>3</sup>atwo domyœliæ, dozna<sup>3</sup>y jak najlepszego przyjêcia. Spotkanie ma<sup>3</sup>ej Niny uznano za szczêœliw<sup>1</sup> wró<sup>3</sup>bê. Religijni i zabobonni marynarze rosyjscy sk<sup>3</sup>onni byli j<sup>1</sup> uznæ za rodzaj dobrego anio<sup>3</sup>a i niejeden sprawdza<sup>3</sup> potajemnie, czy naprawdê nie ma skrzyde<sup>3</sup>. Nazywali j<sup>1</sup> pomiêdzy sob<sup>1</sup> „ma<sup>31</sup> Madonn<sup>1</sup>”.

Po kilku godzinach stracono z oczu Madelenê i, p<sup>3</sup>yn<sup>1</sup>c na po<sup>3</sup>udniowy wschód, posuwano siê wzd<sup>3</sup>u<sup>3</sup> nowego l<sup>1</sup>du, odsuniêtego o piêædziesi<sup>1</sup>t mil g<sup>3</sup>êbiej w morze, ni<sup>3</sup> dawne wybrze<sup>3</sup>e w<sup>3</sup>oskie. Na linii dawnego Rzymu rozlewa<sup>3</sup>a siê zatoka morska, która wrzyna<sup>3</sup>a siê w l<sup>1</sup>d jeszcze daleko poza miejsce zajmowane ongiœ przez Wieczne Miasto. Znik<sup>3</sup>a bez œladu latarnia morska Messyny, zginê<sup>3</sup>a Sycylja, przepad<sup>3</sup> nawet, wynurzaj<sup>1</sup>cy siê dawniej na wysokoœci trzech tysiêcy trzystu piêædziesiêciu metrów ponad poziom morza, szczyt potê<sup>3</sup>nej Etny. Posuwaj<sup>1</sup>c siê szeœædziesi<sup>1</sup>t mil bardziej na po<sup>3</sup>udnie *Dobryna* natrafi<sup>3</sup>a znów na zatokê, w której kierowana rêk<sup>1</sup> Opatrznoœci przetrzyma<sup>3</sup>a niedawno potê<sup>3</sup>n<sup>1</sup> burzê.

Od tego miejsca a<sup>3</sup> do zatoki Gabes okolica by<sup>3</sup>a ju<sup>3</sup> podró<sup>3</sup>nym znana. Porucznik Prokop, pragn<sup>1</sup>cy jak najbardziej wyzyskaæ czas, przeci<sup>13</sup> drogê zamiast op<sup>3</sup>ywaæ brzegi i dotar<sup>3</sup> do niezbadanych jeszcze czêœci wybrze<sup>3</sup>a.

By<sup>3</sup>o to dnia 3-go marca.

Wybrze<sup>3</sup>e ci<sup>1</sup>gnê<sup>3</sup>o siê wzd<sup>3</sup>u<sup>3</sup> granic dawnego Tunisu, pó<sup>3</sup>niej w nag<sup>3</sup>ym skrêcie dotyka<sup>3</sup>o 32 stopnia szerokoœci geograficznej i ci<sup>1</sup>gnê<sup>3</sup>o siê znów ku pó<sup>3</sup>nocy, tworzc nieregularn<sup>1</sup> zatokê w olbrzymim amfiteatrze bloków skalnych. Dalej na przestrzeni blisko stu piêædziesiêciu mil bieg<sup>3</sup>o wpoprzek dawnej algeryjskiej Sahary, zbli<sup>3</sup>aj<sup>1</sup>c siê na po<sup>3</sup>udnie do wysepki Ostoi, jako <sup>3</sup>añcuch

górski, który mógłby uchodzić za naturalną granicę Marokka, gdyby Marokko jeszcze istniało.

Należało zawrócić na północ i opłynąć ów łańcuch. W tej podróży wędrowcy stali się świadkami niespotykanego dotychczas na Galji zjawiska. Oto na wysokościach trzech tysięcy stóp wznosił się krater niewygasłego jeszcze wulkanu, spowity w kłęby dymu i płomieni.

Galja nasza ma zatem własne ciepło! – zawołał kapitan Servadac, gdy sygnalizowano bliskość wulkanu.

Dlaczegożby go nie miał, kapitanie? – zagadnął hrabia. – Skoro uznaliśmy Galję za fragment dawnej naszej Ziemi, musimy zgodzić się i na to, że mogła ona wraz z częścią atmosfery, mórz i lądów, unieść w przestworza i części wewnętrznego ciepła ziemskiego.

Bardzo miło – odparł kapitan Servadac – ale wystarczająco ostatecznie dla obecnej liczby mieszkańców!

A propos, kapitanie – podjął hrabia Timaszew – czy uważa pan za wskazane, skoro nasza podróż okrężna sprowadza nas zpowrotem do Gibraltaru, zawiadomiamy Anglików o nowym stanie rzeczy i możliwych jego konsekwencjach!

W jakim celu! – obruszył się kapitan Servadac. – Anglicy znajdą położenie naszej wysepki i mogą nas tam w każdej chwili odszukać. Nie są to bynajmniej nieszczęśliwi, bezradni rozbitkowie! Przeciwnie! Są świetnie zaopatrzeni i to nie na krótko! Wyspę ich dzieli od naszej przestrzeni najwyżej stu dwudziestu mil, skoro więc zamrznie powierzchnia wód, będą nas mogli, gdy tylko zechcą, odwiedzić. Nie mamy powodu szczycić się przyjęciem, jakie nam zgotowali, będziemy więc mieli możliwość rewanżu...

Przyjmij ich lepiej, niż oni to uczynili, wszak prawda! – spytał hrabia Timaszew.

Tak jest – odparł kapitan Servadac – gdyż w istocie niema już teraz Francuzów, Anglików, ani Rosjan...

O, nie – zaprotestował hrabia – Anglik wszędzie i zawsze pozostaje Anglikiem!

Słusznie – zgodził się kapitan Servadac – jest to jednocześnie ich wada i zaleta!

W ten sposób ustalono plan działania w stosunku do mającej zaopieczność Gibraltaru. Zresztą, gdyby nawet postanowiono nawiązać stosunki z Anglikami, byłoby to w tej chwili niemożliwe przez wzgląd na zewszędniem wskazany pościg.

Temperatura istotnie stale spadała. Porucznik Prokop nie krył swego niepokoju. Zapasy węgla zmniejszały się z dnia na dzień i groził zupełny brak paliwa. Zwołano naradę wojenną i postanowiono przerwać podróż okrężną na wysokościach wulkanicznej góry. Z drugiej strony wybrzeże wygięło się ku południowi i ginęło w bezkresnym oceanie. Upierał się przy podróży po wodach bliskich zamrznienia, z niewielkim notabene zapasem węgla, byłoby lekkomyślnością nie do darowania. Poza tym wątpliwe było, czy w całej tej części Galji, ciągnącej się na przestrzeni dawnej pustyni afrykańskiej, znajdzie się ląd inny poza dotychczas zaobserwowanym, ląd zresztą najzupełniej



bezp³odny i ja³owy. Niczego wiêc nie ryzykowano, odk³adaj¹c dalsz¹ podró¿ na póŸniej.

Dnia 5-go marca zdecydowano ostatecznie powrót na wyspê Ostojê, odleg³¹ w tej chwili od *Dobryny* o jakieœ dwadzieœcia mil.

Biedny mój Ben-Zouf! – westchn¹³ kapitan Servadac, który w czasie tej piêcioletniej podró¿y czêsto myœl¹ powraca³ do porzuconego towarzysza niedoli. – Mam nadziejê, ¿e nie przytrafi³o mu siê nic z³ego!

Krótká droga od wulkanicznej góry do Ostoi zaznaczy³a siê jednym tylko, godnym wspomnienia, wypadkiem. Oto znaleziono jedn¹ jeszcze notatkê tajemniczego uczonego, który, uj¹wszy widaæ w formê matematyczn¹ elementy Galji, œledzi³ w dalszym ci¹gu jej bieg po nowej orbicie.

O wschodzie s³oñca wartownik sygnalizowa³ jakieœ przedmiot p³yn¹cy po falach. Nie by³a to tradycyjna butelka, lecz szczelnie zalakowana puszka od konserw, opatrzona temi samymi, co wy³owiony w swoim czasie futera³, inicja³ami.

Ten sam – tym samym! – rzek³ kapitan Servadac.

Z ca³¹ ostro¿noœci¹ przyst¹piono do otwierania puszki, w której znaleziono kartkê z nastêpuj¹cym napisem:

Galja (?)

Od s³oñca odleg³oœæ do dn. 1-go marca 78,000.000 mil.

Droga przebyta od lutego do marca: 59,000.000 mil.

Enchanté!

Bez adresu i podpisu! – zawo³a³ kapitan Servadac. – Mo¿naby podejrzewaæ jak¹œ mistyfikacjê!

By³aby to mistyfikacja odbita w wielkiej liczbie egzemplarzy – odpar³ hrabia Timaszew – skoro ju¿ po raz drugi znajdujemy ten ciekawy dokument.

Ale kim¿e jest ten dziwny uczonec, który nie myœli nawet o podaniu swego adresu?

Jego adres? W³aœnie jest piêt¹ Achillesow¹ ca³ej sprawy! – odpar³ hrabia Timaszew.

Gdzie go szukaæ? – podj¹³ na nowo kapitan Servadac.

I to pytanie musia³o narazie pozostaæ bez odpowiedzi. Czy autor dokumentu by³ mieszkañcem jakiejœ samotnej wysepki, której nie napotka³a w swej drodze *Dobryna*? Czy znajdowa³ siê na pok³adzie jakiegoœ okrêtu, który, podobnie jak to czyni³ jacht, kr¹¿y³ i bada³ to nowe morze Eródziemne? Trudno by³o siê upewniæ.

W ka¿dym razie – zabra³ g³os porucznik Prokop – o ile dokument zas³uguje na wiarê, zaœ

umieszczone na nim cyfry zdaj<sup>1</sup> siê o tem wymownie œwiadczyæ, daje on podstawê do dwóch powa¿nych obserwacyj. Pierwsza z nich mówi, ¿e szybkoœæ obiegu Galji znacznie zmniejszy<sup>3</sup>a siê, skoro droga przebyta przez ni<sup>1</sup> w styczniu wynosi<sup>3</sup>a osiemdziesi<sup>1</sup>t dwa, a w lutym tylko piêædziesi<sup>1</sup>t dziewiêæ milionów mil. Druga œwiadczy o odsuniêciu siê Galji o dziewiêtnaœcie milionów mil od s<sup>3</sup>oñca, gdy¿ odleg<sup>3</sup>oœæ ta, wynosz<sup>1</sup>ca dnia 15-go lutego piêædziesi<sup>1</sup>t dziewiêæ milionów mil, wzros<sup>3</sup>a 1-go marca do siedemdziesiêciu oœmiu milionów mil. A zatem w miarê oddalania siê Galji od s<sup>3</sup>oñca szybkoœæ jej obiegu po nowej orbicie zmniejsza siê, co zgadza siê w zupe<sup>3</sup>noœci z prawami mechaniki niebieskiej.

Jaki st<sup>1</sup>d wniosek? – zapyta<sup>3</sup> hrabia Timaszew.

– e posuwamy siê, jak ju¿ s<sup>3</sup>usnie zauwa¿y<sup>3</sup>em, po drodze eliptycznej, której elementy s<sup>1</sup> dla nas jednak nieuchwytny.

Zwracam uwagê panów – dorzuci<sup>3</sup> hrabia Timaszew – ¿e autor dokumentu w dalszym ci<sup>1</sup>gu pos<sup>3</sup>uguje siê nazw<sup>1</sup> Galja. Proponujê wiêc definitywnie przyjêcie tego miana dla planety, która nas ¿ywi, i ochrzczenie tego morza nazwa „morza Galijskiego”.

S<sup>3</sup>usnie – zgodzi<sup>3</sup> siê porucznik Prokop – i pod t<sup>1</sup> nazw<sup>1</sup>, wci<sup>1</sup>gnê je w przysz<sup>3</sup>oœci do naszego s<sup>3</sup>ownika geograficznego.

Co do mnie – dorzuci<sup>3</sup> kapitan Servadac – pozwolê sobie zauwa¿yæ, ¿e wszêdzie i zawsze powtarzaæ bêdê za tym dzielnym, zachwyconym swoim po<sup>3</sup>o¿eniem, uczonym: *Nil desperandum*.

Po up<sup>3</sup>ywie kilku godzin ujrzano na horyzoncie wysep<sup>1</sup>kê Ostojê.

## Rozdzia<sup>3</sup> XVIII,

*który mówi o przyjêciu zgotowanem gubernatorowi wysepki i o wypadkach, które zasz<sup>3</sup>y w czasie jego nieobecnoœci.*

Jachcik opuœci<sup>3</sup> wysep<sup>1</sup>kê dnia 31-go stycznia i dnia 5-go marca po trzydziestopiêciodniowej w<sup>3</sup>óczêdze – rok o którym mowa nale¿a<sup>3</sup> do rzêdu przestêpnych – ponownie przybija<sup>3</sup> do jej brzegów. Tym trzydziestu piêciu dniom ziemskim odpowiada<sup>3</sup>o siedemdziesi<sup>1</sup>t dni galijskich, w czasie których s<sup>3</sup>oñce, istotnie, siedemdziesi<sup>1</sup>t razy przesz<sup>3</sup>o po<sup>3</sup>udnik wysepki.

Hector Servadac odczuwa<sup>3</sup> silne wzruszenie, zbli¿aj<sup>1</sup>c siê do jedynego, ocalonego w czasie katastrofy, strzêpu ziemi algeryjskiej. Niejednokrotnie w czasie d<sup>3</sup>ugiej swej nieobecnoœci myœla<sup>3</sup> z rozrzewnieniem o wysepce i jej samotnym mieszkañcu, Ben-Zoufie. Czy zastanie go jeszcze przy ¿yciu? Czy wysepki nie poch<sup>3</sup>onê<sup>3</sup>o morze? Trudno by<sup>3</sup>o w tym czasie cokolwiek przewidzieæ. Obawy oficera sztabowego okaza<sup>3</sup>y siê jednak p<sup>3</sup>onne. Wysepka sta<sup>3</sup>a na w<sup>3</sup>asnym miejscu – i nawet szczegó<sup>3</sup> doœæ znamienny – kapitan zauwa¿y<sup>3</sup>, nie przybiwszy jeszcze do portu, nad swoim dawnym

domostwem dziwny, niewiadomego pochodzenia tuman, czy ob³ok...

Z odleg³oœci kilkuset metrów kapitan Servadac rozpozna³, i¿ by³o to wielkie zbiorowisko ptaków. Z ciê¿kiej tej chmury rozlega³y siê og³uszaj¹ce piski, którym wtórowa³y ochoczo dalekie jakiegó odg³osy.

*Dobryna*

da³a znaæ o swoim powrocie wystrza³em armatnim i zarzuci³a kotwicê w maleñkim porcie, dawnem ujœciu Szeliwu.

W tym momencie jakiegó mê¿czyzna uzbrojony w fuzjê jednym susem przesadzi³ nadbrze¿ne ska³y.

By³ to Ben-Zouf.

Ordynans zatrzyma³ siê w odleg³oœci piêtnastu kroków, jak tego wymaga³o uszanowanie i dyscyplina wojskowa. Po chwili ju¿ jednak rozpieraj¹ca mu serce radoœæ prze³ama³a wszelk¹ etykietê i Ben-Zouf, nie czekaj¹c wezwania, rzuci³ siê ku swemu kapitanowi. Ca³uj¹c mu z tkliwoœci¹ rêce, wykrzykiwa³ zamiast zwyk³ych s³ów powitania:

Ach, ci nêdznicy! Bandyci! Jak to dobrze, ¿e pan kapitan ju¿ wróci³! Z³odzieje! Piraci! Nikczemni Beduini!

O kim mówisz w³açciwie? – pyta³ kapitan, któremu dziwne zachowanie Ben-Zoufa nasuwa³o myœl o napadzie bandy³upieskich Arabów.

O tych djab³em opêtanych ptakach – odpar³ Ben-Zouf. – Ju¿ od miesi¹ca ca³y mój proch zu¿y³em na walkê z niemi. Ale w miejsce ka¿dej zabitej sztuki przybywa sto sztuk nowych! Wkrótce nie bêdziemy ju¿ mieli ani ÝdÝb³a zbo¿a na wyspie!

Hrabia i porucznik Prokop, którzy zbli¿yli siê w miêdzyczasie do kapitana, stwierdzili naocznie, ¿e informacje ordynansa bynajmniej nie by³y przesadne. Plaga ptactwa istotnie by³a nieznoœna i groÝna. Przedwzœecenie, wskutek niezwyk³ych upa³ów, dojrza³e zbo¿e wydane by³o na³up kilkotysiêcznego stada ptactwa. Ca³emu plonowi zagra¿a³o zniszczenie.

Wszystkie ptaki, jakie Galja unios³a ze sob¹ odrywaj¹c siê od ziemi, szuka³y schronienia na wysepce, gdy¿ tu jedynie znalaz³y niezbêdne do egzystencji pola,³iki i s³odk¹ wodê. Ptactwo to ¿y³o kosztem zaopatrzenia ludzi i dlatego za wszelk¹ cenê nale¿a³o siê go pozbyæ.

Zastanowimy siê co z tym faktem zrobiæ – rzek³ Hector Servadac.

A có¿ siê dzieje z naszymi towarzyszami w Afryce? – spyta³ Ben-Zouf.

Towarzysze afrykañscy w dalszym ci¹gu przebywaj¹ w Afryce! – brzmia³a odpowiedÝ kapitana.

Pocziwi towarzysze!

Tylko, że Afryki już niema – dorzuci<sup>3</sup> Hector Servadac.

Jakto niema? A Francja?

Francja? Jest bardzo daleko od nas, Ben-Zoufie.

A Montmartre?...

W kilku s<sup>3</sup>owach kapitan Servadac wyjaśni<sup>3</sup> ordynansowi, co się sta<sup>3</sup>o i jak wskutek tego nie tylko Montmartre, ale i Paryż i Francja a z niemi Europa i ca<sup>3</sup>a kula ziemiska znalaz<sup>3</sup>y się w odleg<sup>3</sup>ooci przesz<sup>3</sup>o dwudziestu czterech milionów mil od wysepki. Nadzieja powrotu kiedykolwiek, by<sup>3</sup>a, rzecz prosta, znikoma.

Nigdy w to nie uwierzê, kapitanie – odpar<sup>3</sup> Ben-Zouf. – To s<sup>1</sup> bajki, wierutne bajki! – I Ben-Zouf pochyli<sup>3</sup> g<sup>3</sup>owê z uporem, jak cz<sup>3</sup>owiek, który absolutnie nie da się przekonaæ.

Dobrze, mój drogi – dorzuci<sup>3</sup> kapitan. – Źuď się jak d<sup>3</sup>ugo mo<sup>3</sup>esz. Nie trzeba nigdy traciæ nadziei. Jest to nawet dewiza naszego przygodnego, a nieznanego korespondenta. Ale narazie spróbujemy zainstalowaæ się na wysepce, jakgdybyemy tu mieli zamieszkaæ na sta<sup>3</sup>e.

Rozmawiaj<sup>1</sup>c Hector Servadac prowadzi<sup>3</sup> hrabiego Timaszewa i porucznika do cha<sup>3</sup>upy, uporz<sup>1</sup>dkowanej wzorowo staraniem Ben-Zoufa. W tej skromnej lepiance Hector Servadac zaofiarowa<sup>3</sup> goæcinê towarzysom podró<sup>3</sup>zy i ma<sup>3</sup>ej Ninie, która nie rozstawa<sup>3</sup>a się ze swoj<sup>1</sup> koz<sup>1</sup>.

Podczas drogi Ben-Zouf uociska<sup>3</sup> serdecznie Ninê i *Marzy*, a poca<sup>3</sup>unki jego zwrócone mu zosta<sup>3</sup>y z procentem.

Poczem wszyscy zebrali się na naradê, aby postanowiaæ, do czego zabraæ się przede wszystkim. Najważniejsza by<sup>3</sup>a sprawa mieszkania na przysz<sup>3</sup>oæ. Jak urz<sup>1</sup>dziaæ się na wyspie wobec zbli<sup>3</sup>aj<sup>1</sup>cych się mrozów. Okres mrozów zale<sup>3</sup>a od krzywizny orbity i trudno by<sup>3</sup>o os<sup>1</sup>dziaæ, czy nie up<sup>3</sup>ynie kilka lat zanim asteroida ponownie zbli<sup>3</sup>zy się do s<sup>3</sup>oñca. Paliwa by<sup>3</sup>o ma<sup>3</sup>o. Grozi<sup>3</sup> więc brak wêgla i drzewa i perspektywa zupe<sup>3</sup>nego zaniku wegetacji roelinnej na przeci<sup>1</sup>g strasznych mrozów. Co robiaæ? Nale<sup>3</sup>a<sup>3</sup>o przecie znale<sup>3</sup>æ jakieś punkt wyjœcia i to w czasie najkrótszym.

Zaopatrzenie w żywnoæ nie przedstawia<sup>3</sup>o narazie poważniejszych trudnoœci. Pragnienie zaspokojone mog<sup>3</sup>o byæ w ka<sup>3</sup>dej chwili. Kilka strumyków p<sup>3</sup>ynê<sup>3</sup>o przez <sup>31</sup>ki i woda nape<sup>3</sup>nia<sup>3</sup>a cysterny.

Żywnoæ pod postaci<sup>1</sup> zwi<sup>1</sup>zków azotowych, niezbêdnych do utrzymania cz<sup>3</sup>owieka przy Źyciu, zapewniona by<sup>3</sup>a na d<sup>3</sup>ugo. Stanowi<sup>3</sup>y j<sup>1</sup> z jednej strony rozproszone po wyspie stada, z drugiej gotowe do zwózki zbo<sup>3</sup>e. Nale<sup>3</sup>a<sup>3</sup>o przewidywaæ, że z powodu okresu zimna drugie zbiory, przeznaczone na pokarm dla zwierz<sup>1</sup>t domowych, zawiod<sup>1</sup>. Nale<sup>3</sup>a<sup>3</sup>o więc obliczyæ czas trwania obiegu Galji wokó<sup>3</sup> s<sup>3</sup>oñca, i, ustaliwszy d<sup>3</sup>ugoæ okresu zimowego, ograniczyæ odpowiednio iloæ bêd<sup>1</sup>ych na utrzymaniu zwierz<sup>1</sup>t.

Ludnoæ Galji, nie lic<sup>1</sup>c trzynastu ulokowanych na Gibraltarze Anglików, sk<sup>3</sup>ada<sup>3</sup>a się z oœmiu Rosjan, dwóch Francuzów i jednej ma<sup>3</sup>ej W<sup>3</sup>oszki. Wysepka mia<sup>3</sup>a zatem wy<sup>3</sup>ywaæ jedenæcie osób.

Liczbie tej, ustalonej przez Hectora Servadac'a, Ben-Zouf żywo zaprzeczy<sup>3</sup>.

Ależ nie, kapitanie! Przepraszam, że prostuję, ale obliczenie to jest z gruntu fa<sup>3</sup>szywe.

Jakto, co to znaczy!

To znaczy, że jest nas osób dwadzieścia trzy.

Tu, na wyspie?

Tak jest, na wyspie.

Wy<sup>3</sup>umacz się ja<sup>3</sup>niej, Ben-Zoufie.

Nie mia<sup>3</sup>em jeszcze okazji poinformowa<sup>3</sup> pana, kapitanie, że w czasie pa<sup>3</sup>ńskiej nieobecności przybyli nam sto<sup>3</sup>ownicy.

Sto<sup>3</sup>ownicy?

Tak... tak... Ale może panowie pozwol<sup>1</sup> i przekonaj<sup>1</sup> się naocznie... Prace w polu s<sup>1</sup> bardzo zaawansowane, moich za<sup>3</sup> dwóch r<sup>1</sup>k nie starczy<sup>3</sup>oby na tyle roboty...

Istotnie – potwierdzi<sup>3</sup> porucznik Prokop.

Chodźmy, to niedaleko, ze dwa kilometry najwyżej. Ale trzeba zabra<sup>3</sup> broń paln<sup>1</sup>.

Poco? Dla obrony? – spyta<sup>3</sup> kapitan Servadac.

Nie przeciwko ludziom – odpar<sup>3</sup> Ben-Zouf – ale przeciw temu przekl<sup>3</sup>temu ptactwu.

Pozostawiwszy ma<sup>3</sup> Ninê z koz<sup>1</sup> w zagrodzie, mocno zaintrygowani trzej panowie ruszyli za ordynansem.

W drodze kapitan Servadac i jego towarzysze ostrzeliwali chmury ptactwa, unosz<sup>1</sup>cego się nad ich g<sup>3</sup>owami. By<sup>3</sup>o tam z kilka tysi<sup>3</sup>cy dzikich kaczek, ksz<sup>3</sup>yków, skowronków, kruków, jaskó<sup>3</sup>ek i t. p. oraz ptaki morskie, jako to: mewy wszelkich gatunków i rozmiarów, bekasy i t. p. Ka<sup>3</sup>dy wystrza<sup>3</sup> by<sup>3</sup> celny i ptaki pada<sup>3</sup>y tuzinami. Nie by<sup>3</sup>o to polowanie, ale bezlitosna zag<sup>3</sup>ada<sup>3</sup> upię<sup>3</sup>ców.

Zamiast posuwa<sup>3</sup> się wzd<sup>3</sup>uż p<sup>3</sup>nocnego wybrzeża wyspy, Ben-Zouf przeci<sup>13</sup> drogę i poprowadzi<sup>3</sup> naprze<sup>3</sup>aj, <sup>31</sup>kami. Już po up<sup>3</sup>ywie dziesięciu minut, dzi<sup>3</sup>ki lekko<sup>3</sup>ci zyskanej wobec nowych praw ci<sup>1</sup>żenia, towarzystwo, przebywszy dwukilometrow<sup>1</sup> przestrzeń, znalaz<sup>3</sup>o się na skraju eukaliptusowego i figowego lasku, po<sup>3</sup>ożonego u stóp niewielkiego pagórka.

O nicponie! Brutale! Bandyci! – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> zirytowany Ben-Zouf.

Czy mówisz wci<sup>1</sup>ż jeszcze o ptakach? – spyta<sup>3</sup> kapitan Servadac.

Ale, gdzie tam, kapitanie! Mówiê o tych zatraconych wa<sup>3</sup>koniach, którzy nawet i tê pracê porzucili! O! proszê...

I wskaza<sup>3</sup> porzucone na ziemi kosy, sierpy, grabie i wozy.

Może siê dowiem nareszcie o kogo ci chodzi?– niecierpliwi<sup>3</sup> siê kapitan Servadac.

Kapitanie, pos<sup>3</sup>uchajmy tylko! Okazuje siê, że mia<sup>3</sup>em racjê!

Kapitan Servadac i dwaj jego towarzysze nadstawili uszu i rozróznili wyraŹnie g<sup>3</sup>os œpiewaj<sup>1</sup>cy przy akompanjamencie mandoliny i kastanietów.

Hiszpanie! – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> kapitan Servadac.

Rzecz prosta – odpar<sup>3</sup> Ben-Zouf. – Ci ludzie tańczyliby nawet przed luf<sup>1</sup>, armaty!

Ale sk<sup>1</sup>d<sup>1</sup>je siê wzięli?...

Zaraz, zaraz... Pos<sup>3</sup>uchajmy jeszcze! Teraz kolej na skargi.

Inny g<sup>3</sup>os starczy miota<sup>3</sup> obelgi i wyrzuty. Kapitan Servadac, jako Gaskończyk, rozumia<sup>3</sup> zarówno s<sup>3</sup>owa beztroskiej piosenki hiszpańskiej, jak i wypowiedane ostrym, zad<sup>3</sup>awionym g<sup>3</sup>osem wyrzekania.

Moje pieni<sup>1</sup>dze! Moje pieni<sup>1</sup>dze! Zap<sup>3</sup>aciecie mi nareszcie, czy nie? Nêdźni oszuœci!

I znów piosenka zag<sup>3</sup>uszy<sup>3</sup>a gorzkie wyrzekania.

Musicie mi zap<sup>3</sup>aciæ, <sup>3</sup>otry jedne! – wydziera<sup>3</sup> siê ochryp<sup>3</sup>y g<sup>3</sup>os poprzez brzêk kastanietów – i zap<sup>3</sup>aciecie. Klnê siê na Boga Abrahama, Izaaka i Jakóba, i na Jezusa Chrystusa i na samego Mahometa!

Có<sup>1</sup> u licha! Przecie<sup>1</sup> to chyba <sup>1</sup>yd! – dziwi<sup>3</sup> siê kapitan Servadac.

W chwili, gdy czwórka naszych znajomych zbli<sup>1</sup>za<sup>3</sup>a siê do podochoconego grona, arcyciekawy widok zatrzyma<sup>3</sup> j<sup>1</sup> na skraju lasu. Hiszpanie poprostu szaleli, daj<sup>1</sup>c ujêcie swemu temperamentowi w narodowym tañcu. Poniewa<sup>1</sup> waga ich, podobnie jak i wszystkich przedmiotów na Galji, zmniejszy<sup>3</sup>a siê znacznie, podskakiwali w powietrzu na wysokoœæ trzydziestu do czterdziestu stóp. Trudno sobie, doprawdy, wyobraziæ coœ komiczniejszego od tych tancerzy, ukazuj<sup>1</sup>cych siê coraz ponad wierzcho<sup>3</sup>kami drzew. By<sup>3</sup>o tam czterech muskularnych m<sup>3</sup>odzieñców, którzy ci<sup>1</sup>gnêli za sob<sup>1</sup> starego jakiegoœ cz<sup>3</sup>owieka, zmuszaj<sup>1</sup>c go do mimowolnych podrygów i skoków. Starzec naprzemian ukazywa<sup>3</sup> siê i znika<sup>3</sup>, zupe<sup>3</sup>nie jak Sanszo Pansza, bezlitoœenie podrzucany przez sukienników w Segowji.

Hector Servadac, hrabia Timaszew, porucznik Prokop i Ben-Zouf minêli szybko zagajnik i stanêli na ma<sup>3</sup>ej polanie, gdzie zanosz<sup>1</sup>c siê od œmiechu dwaj grajkowie podniecali gitar<sup>1</sup> i kastanietami tancerzy.

Na widok kapitana Servadac'a i jego towarzyszy muzykanci urwali nagle, a tancerze wraz ze sw<sup>1</sup> ofiar<sup>1</sup> spadli lekko na ziemiê.

Zdyszany i pieni<sup>1</sup>cy siê ze z<sup>3</sup>oœci ̄yd przyst<sup>1</sup>pi<sup>3</sup> natychmiast do oficera sztabu generalnego i zagadn<sup>13</sup> go fataln<sup>1</sup> francuszczyzn<sup>1</sup>.

Panie gubernatorze, ci nicponie chc<sup>1</sup> mnie ograbiæ, zagarn<sup>1</sup>æ moje mienie! W imiê Boga b<sup>3</sup>agam o pomoc i sprawiedliwoœæ!

Kapitan Servadac spojrz<sup>3</sup> pytaj<sup>1</sup>cym wzrokiem na Ben-Zoufa, nie rozumia<sup>3</sup> bowiem, co znaczy tytu<sup>3</sup>, którym go zaszczycono. Ordynans, kiwaj<sup>1</sup>c g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>, zdawa<sup>3</sup> siê odpowiadaæ:

Ale¿ tak, panie kapitanie! Jest pan gubernatorem generalnym, ju¿ ja to urz<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>em!

Wówczas kapitan nakaza<sup>3</sup> milczenie ̄ydowi, który schyliwszy pokornie g<sup>3</sup>owê, rêce skrzy¿owa<sup>3</sup> na piersiach. Mo¿na mu siê by<sup>3</sup>o teraz przyjrzeæ dok<sup>3</sup>adnie. By<sup>3</sup> to nad wiek zniszczony cz<sup>3</sup>owiek, mo¿e piêædziesiêcioletni. Niski, w<sup>1</sup>t<sup>3</sup>y, o ¿ywych, przebieg<sup>3</sup>ych oczach, wydatnym nosie, rudawej bródce, Ÿle utrzymanych w<sup>3</sup>osach, wielkich nogach, d<sup>3</sup>ugich, chciwych rêkach, jednym s<sup>3</sup>owem typ niemieckiego ̄yda. By<sup>3</sup> to lichwiarz o giêtkim karku i kamiennem sercu, skrzêtny zbieracz talarów, ¿yj<sup>1</sup>cy krzywd<sup>1</sup> ludzk<sup>1</sup>. Osobnik ten pochodzi<sup>3</sup> z Kolonji i zwa<sup>3</sup> siê Izaak Hakhabut. Zajmowa<sup>3</sup> siê handlem i wiêksz<sup>1</sup> czêœæ ¿ycia spêdza<sup>3</sup> w podró¿y, obje¿d¿aj<sup>1</sup>c z towarami wybrze¿e morza Êródziemnego. Magazyn jego, mieszcz<sup>1</sup>cy siê na pok<sup>3</sup>adzie pokaŸnej barki, zaopatrzone by<sup>3</sup> w tysi<sup>1</sup>ce przeró¿nych artyku<sup>3</sup>ów, poczynaj<sup>1</sup>c od zapa<sup>3</sup>ek i koñcz<sup>1</sup>c na frankfurckich b<sup>3</sup>yskotkach.

Dwumasztowiec *Hanza* by<sup>3</sup> jego jedynym mieszkaniem, na nim to niezwi<sup>1</sup>zany z rodzin<sup>1</sup> buja<sup>3</sup> stale po œwiecie, zwiedzaj<sup>1</sup>c kolejno brzegi Algeru, Tunisu, Egiptu, Turcji, Grecji.

Zaopatrywa<sup>3</sup> ludnoœæ okoliczn<sup>1</sup> w kawê, cukier, ry¿, tytoñ, materja<sup>3</sup>y ubraniowe i t. p., sprzedawa<sup>3</sup>, wymienia<sup>3</sup>, handlowa<sup>3</sup> antykami i w rezultacie zarabia<sup>3</sup> du¿o pieniêdzy.

Katastrofa zaskoczy<sup>3</sup>a go w Ceucie, najbardziej wysuniêtym punkcie Marokka. Za<sup>3</sup>oga statku, która noc z 31-go grudnia na 1-wszy stocznia spêdza<sup>3</sup>a na l<sup>1</sup>dzie, zginê<sup>3</sup>a bez œladu. Natomiast ocala<sup>3</sup>a gromadka Hiszpanów, nieorientuj<sup>1</sup>cych siê zupe<sup>3</sup>nie w tem, co siê sta<sup>3</sup>o.

Hersztem tej bandy beztroskich leniów by<sup>3</sup> Andaluzyjczyk Negrete, góruj<sup>1</sup>cy nad reszt<sup>1</sup> wiêksz<sup>1</sup> znajomoœci<sup>1</sup> ludzi i œwiata. Odcieci od œwiata nicponie stracili narazie kontenans. Zaw<sup>3</sup>adnêliby coprawda bez najmniejszych skrupu<sup>3</sup>ów *Hanz<sup>1</sup>* i odp<sup>3</sup>ynêliby do ojczyzny, ale nie by<sup>3</sup>o miêdzy nimi ani jednego marynarza. Nie mogli jednak¿e wiekowaæ na ska<sup>3</sup>ach; gdy tedy zapasy ¿ywnoœci siê wyczerpa<sup>3</sup>y, zmusili Hakhabuta do przyjêcia ich na pok<sup>3</sup>ad. W tych warunkach Negrete przyjmowa<sup>3</sup> wizytê dwóch oficerów angielskich z Gibraltaru. Treœæ rozmowy Anglików i Hiszpanów nie by<sup>3</sup>a Hakhabutowi znana. Faktem by<sup>3</sup>o tylko, ¿e w wyniku jej Negrete zmusi<sup>3</sup> go do rozpiêcia ¿agli i wyruszenia w kierunku Marokka. Izaak zniewolony do pos<sup>3</sup>uszeñstwa, a jednocześnie nawyk<sup>3</sup>y do wyzyskiwania ka¿dej sytuacji, wymusi<sup>3</sup> na Hiszpanach przyrzeczenie zap<sup>3</sup>aty za przejazd. Hiszpanie nie protestowali, ale ani na chwilê nie brali powa¿nie tej sprawy.

Hanza wyruszy<sup>3</sup>a 3-go lutego. D<sup>13</sup> silny wiatr zachodni. Improvizowani marynarze rozwinêli

żagle i z ca<sup>31</sup> beztrosk<sup>1</sup> dali siê nieœæ wiatrom, które unosi<sup>3</sup>y ich ku jednemu mog<sup>1</sup>cemu daæ ludziom schronienie punktowi nowej kuli ziemskiej, ku wyspie Ostoi.

I oto któregoœ piêknego dnia Ben-Zouf ujrza<sup>3</sup> na horyzoncie statek, który nie by<sup>3</sup> *Dobryn<sup>1</sup>*, a jednak najwyraźniej zmierza<sup>3</sup> do portu.

Ben-Zouf dokończy<sup>3</sup> historii Izaaka, dodaj<sup>1</sup>c, że nietknięty prawie <sup>3</sup>adunek *Hanzy* przyda siê niew<sup>1</sup>tpliwie mieszkańcom wyspy.

Trudnoœæ dojœcia do porozumienia z chciwym <sup>1</sup>ymdem uproœci, zupe<sup>3</sup>nie w danych warunkach usprawiedliwiona, rekwizycja. Co do zatargu pomiêdzy w<sup>3</sup>œcicielem *Hanzy* i jej pasażerami ustalono, doda<sup>3</sup> Ben-Zouf, że rozstrzygnie go Jego Ekscelencja p. gubernator generalny, „przebywaj<sup>1</sup>cy chwilowo na inspekcji”.

Hector Servadac z trudem powstrzymywa<sup>3</sup> œmiech, tak ubawi<sup>3</sup>y go wyjaœnienia Ben-Zoufa. Poczem przyrzek<sup>3</sup> Hakhabutowi, że sprawiedliwoœci stanie siê zadoœæ, co wreszcie po<sup>3</sup>o<sup>3</sup>y<sup>3</sup>o kres lamentom lichwiarza.

Ale w jaki sposób ci ludzie zap<sup>3</sup>ac<sup>1</sup>? – zapyta<sup>3</sup> hrabia Timaszew, gdy <sup>1</sup>yd siê oddali<sup>3</sup>.

Oni maj<sup>1</sup> nabite kieszenie gotówk<sup>1</sup> – odpar<sup>3</sup> Ben-Zouf.

Hiszpanie? Czy byæ mo<sup>3</sup>e? – dziwi<sup>3</sup> siê hrabia.

Widzia<sup>3</sup>em u nich na w<sup>3</sup>asne oczy pieni<sup>1</sup>dze angielskie – obstawa<sup>3</sup> przy swoim Ben-Zouf.

Aha! – wtr<sup>1</sup>ci<sup>3</sup> kapitan Servadac, przypomniawszy sobie wizytê oficerów angielskich na Ceucie. – Zreszt<sup>1</sup> mniejsza z tem. Spraw<sup>1</sup> t<sup>1</sup> zajmiemy siê pó<sup>3</sup>Źniej. Faktem jest, że na Galji mamy teraz przedstawicieli najró<sup>3</sup>norodniejszych nacyj dawnej poczciwej Europy.

Istotnie – zgodzi<sup>3</sup> siê hrabia Timaszew – mamy wœród nas Francuzów, Rosjan, W<sup>3</sup>ochów, Hiszpanów i Niemców, których niezbyt korzystnie, coprawda, reprezentuje ten wstrêtny handlarz.

Nie wymagajmy zbyt wiele! – odpar<sup>3</sup> kapitan Servadac.

1 „Orbe fracto, spes illaesa” – choæby œwiat zgin<sup>13</sup>, nie zginie nadzieja. Kapitan nawi<sup>1</sup>zuje tu do s<sup>3</sup>ów wrytych, wed<sup>3</sup>ug Dantego, na wrotach piekie<sup>3</sup> „lasciate ogni speranza” – porzuæcie wszelk<sup>1</sup> nadziejê! (Przyp. t<sup>3</sup>um.).

## Rozdzia<sup>3</sup> XIX,

*w którym kapitan Servadac zostaje jednomyœlnie obrany generalnym gubernatorem Galji.*



Hiszpanów było dziesięciu. W tej liczbie młody dwunastoletni chłopczyk, Pablo. Zgotowali oni gorące przyjęcie domniemanemu generalnemu gubernatorowi, poczem wrócili do swych zajęć. Tymczasem kapitan z towarzyszami, a w pewnej odległości za nimi Hakhabut, zmierzali do miejsca, w którym zarzuciła kotwicę *Hanza*.

Sytuacja była już w tej chwili jasna. Z dawnej Ziemi pozostała tylko wyspa, rezydencja rozbitków, oraz cztery drobne wysepki: Gibraltar, zajęty przez Anglików, Ceuta, opuszczona przez Hiszpanów, Madelena, na której odnaleziono młody Włoszek, i grób Świętego Ludwika. Wokół tych miejsc rozciągało się morze Galijskie, ujęte w ramy niebotycznych, nieznanego pochodzenia skał. Z wymienionych dwa tylko punkty były zamieszkane: skały Gibraltarskie, zajmowane przez trzynastu, dobrze w utrzymaniu zaopatrzonych Anglików, i wyspa Ostoja, licząca dwudziestu dwóch mieszkańców. Gdzieś, w jakimś nieznanym zakątku, pozostał jeszcze jeden członek rodziny ludzkiej, tajemniczy autor notatek, znalezionych na morzu. W sumie nowa asteroida liczyła zatem trzydziestu sześciu mieszkańców. Cały ten świat mógłby się utrzymać na trzystu pięćdziesięciu hektarach urodzajnej ziemi wysepki, gdyby nie szalone mrozy, które uniemożliwiają mieć wszelką pracę na roli.

Przyszłość zależała od tego, czy Galja porusza się po krzywej eliptycznej, która zbliży ją czasem do słońca, i od czasu, w którym to zbliżenie nastąpi.

Niestety, Galijscy nie byli w stanie tych kwestyj rozstrzygnąć.

Wszelkie obliczenia mogły się zatem opierać tylko na wartościach realnie posiadanych, t. zn. na zapasach *Dobryny*, przeznaczonych już dawno na rzecz ogółu, i na ładunku *Hanzy*, który wczepienie czy później, przeciw czy za zgodą Hakhabuta, stanie się własnością publiczną. Postawiwszy jako warunek racjonalnej gospodarki zamieszkiwanego terenu, można było zapewnić ludności pokarm na długi szereg lat.

Kapitan Servadac, hrabia Timaszew, porucznik Prokop i Ben-Zouf rozważali te kwestje, kierując się w stronę morza. Hrabia Timaszew zauważył, że kapitan, jako Francuz, w kolonji francuskiej powinien istotnie ująć ster rządów w swoje ręce i zostać gubernatorem wyspy, jak to Hiszpanom obiecał Ben-Zouf.

Oficer przyjął ofiarowany mu urząd i w poczuciu całej ciężkości na nim od tej chwili odpowiedzialności, rzekł:

Stać będzie na straży interesów ogółu i mam nadzieję, że dam sobie radę, nawet gdybyśmy nie mieli już nigdy oglądać naszych przyjaciół na Ziemi.

To mówi'c wyci'gn<sup>13</sup> d<sup>3</sup>oń do hrabiego, który uœcisn<sup>13</sup> j<sup>1</sup> serdecznie, pochylaj<sup>1</sup>c lekko g<sup>3</sup>owê.

Przedewszystkiem – rzek<sup>3</sup> kapitan Servadac – naleŹy rozstrzygn<sup>1</sup>æ kwestjê bardzo waŹn<sup>1</sup>, czy wtajemniczyæ tych Hiszpanów w istotny stan rzeczy?

AleŹ nie, gubernatorze! – sprzeciwia<sup>3</sup> siê Ben-Zouf. – Nicponie ci, dowiedziawszy siê prawdy, rozleniwi<sup>1</sup> siê doreszty.

Poza tem s<sup>1</sup> to zdaje siê zupe<sup>3</sup>ni analfabeci – wtr<sup>1</sup>ci<sup>3</sup> porucznik Prokop – iŹ naszych wyjaœnienieñ nic nie rozumiej<sup>1</sup>. Co o tem s<sup>1</sup>dzi hrabia?

S<sup>1</sup>dzê – brzmia<sup>3</sup>a odpowiedŹ – Źe w kaŹdym razie prawdy ukrywaæ nie mamy powodu.

I ja jestem tego zdania – zgodzi<sup>3</sup> siê kapitan Servadac. – Nie moŹemy ukrywaæ po<sup>3</sup>oŹenia przed ludŹmi, którzy dzielæ bêd<sup>1</sup> z nami wszelkie jego groŹne skutki. Powiedzmy im poprostu, Źe wysepka nasza oderwa<sup>3</sup>a siê od Ziemi i b<sup>3</sup>1dzi w przestworzach.

Zgoda! – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> Ben Zouf. – WyobraŹam sobie minê starego lichwiarza, gdy dowie siê prawdy. Pêknê chyba ze œmiechu!

Izaak Hakhabut, który pod<sup>1</sup>Źa<sup>3</sup> w odleg<sup>3</sup>oœci piêædziesiêciu kroków za towarzystwem, nie s<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup> ca<sup>3</sup>ej tej rozmowy. Szed<sup>3</sup> pochylony, z<sup>3</sup>orzeczy<sup>3</sup> i wzywa<sup>3</sup> kolejno wszystkich bogów na pomoc.

Wszystkie fenomeny fizyczne zwróci<sup>3</sup>y i jego uwagê, nie rozumia<sup>3</sup> ich jednak i nieraz juŹ zapytywa<sup>3</sup> w tej sprawie Ben-Zoufa. Ordynans czu<sup>3</sup> wyj<sup>1</sup>tkow<sup>1</sup> niechêæ do tego potomka Abrahama, naigrawa<sup>3</sup> siê zeñ i kpi<sup>3</sup> w Źywe oczy. Gdy mimo to Źyd molestowa<sup>3</sup> go coraz wiêcej, odsy<sup>3</sup>a<sup>3</sup> go do powrotu kapitana.

To jest m<sup>1</sup>dry cz<sup>3</sup>owiek – mawia<sup>3</sup> – on wyjaœni ci wszystko.

I obroni moj<sup>1</sup> w<sup>3</sup>asnoœæ?

Raczej j<sup>1</sup> skonfiskuje.

Pe<sup>3</sup>en tedy niepokoju i obaw Hakhabut wygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> powrotu oficera.

Tymczasem ca<sup>3</sup>e towarzystwo zbliŹa<sup>3</sup>o siê do wybrzeŹa, niedaleko miejsca, w którym *Hanza* zarzuci<sup>3</sup>a kotwicê. Przystañ wybrana by<sup>3</sup>a bardzo niefortunnie, ma<sup>3</sup>o

os<sup>3</sup>oniêta, nara<sup>3</sup>a statek co chwila na rozbitcie siê o brzegi. Nale<sup>3</sup>a<sup>3</sup>o go czem prêdziej przeprowadziæ do zatoczki, w której zimowa<sup>3</sup>a *Dobryna*.

Izaak rozrzewniony widokiem swego statku, pocz<sup>13</sup> znów skar<sup>3</sup>lyæ siê i lamentowaæ, a<sup>3</sup> skarci<sup>3</sup> go surowo kapitan Servadac, wsiadaj<sup>1</sup>cy w<sup>3</sup>acenie wraz z porucznikiem do <sup>3</sup>ódeczki, która mia<sup>3</sup>a ich podwie<sup>3</sup>æ do skarbcza <sup>3</sup>yda. Statek by<sup>3</sup> w doskona<sup>3</sup>ym stanie i <sup>3</sup>adunek w zupe<sup>3</sup>nym porz<sup>1</sup>dku. To rzuca<sup>3</sup>o siê w oczy. Jad<sup>3</sup>a, trunków i wszelkiego rodzaju towarów by<sup>3</sup>o poddostatkiem. Setki g<sup>3</sup>ów cukru, puszki herbaty, wory kawy i tytoniu rozpiera<sup>3</sup>y siê obok beczu<sup>3</sup>ek wódki i wina, bary<sup>3</sup>ek suszonych œledzi, ca<sup>3</sup>ych sztuk materja<sup>3</sup>ów we<sup>3</sup>nianych, p<sup>3</sup>óciennych, wszelkiego gatunku ubra<sup>3</sup>ñ, butów i kapeluszy, wyrobów fajansowych i glinianych, bel papieru, butelek z atramentem, pak z zapa<sup>3</sup>kami, setek kilo soli, przeró<sup>3</sup>nych konserw, zapasów sera i t. p.

Bezpoœrednio przed katastrof<sup>1</sup>, Hakhabut, wybieraj<sup>1</sup>c siê na objazd wybrze<sup>3</sup>y morza Êródziemnego, uzupe<sup>3</sup>ni<sup>3</sup> w Marsylji swój <sup>3</sup>adunek. Ca<sup>3</sup>kowita wartoœæ towarów przewy<sup>3</sup>sza<sup>3</sup>a sumê stu tysięcy franków.

Ta z<sup>3</sup>otodajna <sup>3</sup>y<sup>3</sup>a bêdzie naszym zbawieniem – szepn<sup>13</sup> kapitan Servadac.

Jeceli w<sup>3</sup>acéciciel pozwoli na jej eksploatacjê – dorzuci<sup>3</sup> porucznik Prokop.

A có<sup>3</sup> pocnie z temi skarbami, skoro siê dowie, <sup>3</sup>e niema ju<sup>3</sup> sta<sup>3</sup>ych odbiorców: Marokańczyków, Francuzów, ani Arabów?

Nie wiem, co pocnie, ale w ka<sup>3</sup>dym razie bêdzie chcia<sup>3</sup> sowitej zap<sup>3</sup>aty.

Ale<sup>3</sup> my mu zap<sup>3</sup>acimy, poruczniku, pod<sup>3</sup>ug dawnych cen ziemskich.

W gruncie rzeczy ma pan kapitan pe<sup>3</sup>ne prawo rekwizycji.

Do tego œrodka nie chcia<sup>3</sup>bym siê jednak uciekaæ. Poza tem jestem œwiêcie przekonany, <sup>3</sup>e wkrótce my bêdziemy bardziej potrzebni temu cz<sup>3</sup>owiekowi, ni<sup>3</sup> on nam, a wówczas wszystko pójdzie jak z p<sup>3</sup>atka.

Jakkolwiek siê stanie – konkludowa<sup>3</sup> porucznik Prokop – nie sposób zostawiaæ nadal statku w tem miejscu. Zginie on tu przy pierwszej niepogodzie, nie przetrzyma nawet naporu lodu w czasie zamarzania morza.

S<sup>3</sup>usznie, poruczniku, pa<sup>3</sup>scy ludzie przeprowadz<sup>1</sup> go do portu.

I to niezw<sup>3</sup>ocznie, kapitanie, bo czas nagli.

Spisawszy inwentarz *Hanzy* porucznik z kapitanem zabrali siê do odwrotu.

W godzinê pó<sup>3</sup>niej ca<sup>3</sup>a kolonja, w nowym powiêkszonym sk<sup>3</sup>adzie, zebra<sup>3</sup>a siê w dawnym mieszkaniu kapitana Sevadac<sup>3</sup>a. Tu po raz pierwszy m<sup>3</sup>ody Pablo pozna<sup>3</sup> ma<sup>31</sup> Ninê. Oboje radzi byli niezmiernie swemu towarzystwu.

Kapitan w sposób przystępny i jasny skreślił powołanie, przyczem zaznaczył, że liczy na oddanie, odwagę i pracę wszystkich dla dobra ogółu.

Hiszpanie słuchali w milczeniu. Nie protestowali narazie, bo nie wiedzieli jeszcze czego od nich chcą. Negrete tylko zapytał z całą naiwnością, kiedy zostaną odwiezieni do Hiszpanji, co wywołało żywy protest ze strony Hakhabuta.

Będzie panu zapłacone – uspokaja go kapitan Servadac.

Bo to mi się słusznie należy. Każdemu winni jesteśmy wynagrodzenie, jakie sobie zasłużył. I ja panom chętnie zapłacę za wywołanie dwóch, trzech marynarzy, którzyby mnie odstawili do Algeru. O ile, rzecz prosta, cena nie będzie zbyt wygórowana.

Do Algeru! – wybuchł oświeconym Ben-Zouf! – Ależ wiedz, ośle jeden...

Pozwól mi wyjaśnić tym pocziwcom – przerwał oficer francuski – to, czego jeszcze nie zrozumieli.

I w dalszym ciągu wyjaśnienia, jak mógł najlepiej.

Hiszpanie przysłuchiwali się opowieści z zupełną bez troską, Hakhabut zaś z niedowierzaniem. Zaciśnięte wargi, jakgdyby chciał stłumić oświeconych. Później odezwał się w języku rosyjskim, aby być zrozumianym tylko przez hrabiego Timaszewa i jego ludzi.

Wszystko to jest nieprawda i pan gubernator generalny kpi sobie z nas!

Hrabia Timaszew zamiast odpowiedzi odwrócił się od lichwiarza z nieukrywanym wstrętem. Wówczas Hakhabut przemówił po francusku.

Te bajeczki są dobre dla Hiszpanów. Oni są łatwowierni. Ale ja nie dam się tak łatwo okłamać.

Przemawiajcie kolejno po was, zwróćcie się do matki Niny.

Prawda, mała, że to są brednie? Później opuścił pokój, wzruszył ramionami.

Bestja ta zna wszystkie języki! – sarknęła Ben-Zouf.

Masz słuszną rację – zgodził się kapitan Servadac – ale czy przemawia po francusku, rosyjsku, waszowski, czy hiszpańsku, zawsze chodzi mu o pieniądze.

## Rozdział XX,

*w którym baczące oko obserwatora dostrzega na horyzoncie punkcik.*

Nazajutrz, nie pytając już o zdanie Hakhabuta, przeprowadzono Hanzę do portu. Gdy nie sprzeciwiał się zresztą, żywił w głębi duszy nadzieję, że uda mu się przecieć wkrótce dostać do Algeru. Nie chciał się jednak ruszyć z pokładu i fantazję tę

uwzględniono, zważywszy, że i marynarze rosyjscy mieszkali dotąd jeszcze na jachcie. Reszta towarzystwa zainstalowała się w zrujnowanym budynku dawnej poczty, który przylegał do kwatery Servadac'a. Jednakże statki, zarówno jak i budynki, mogły być traktowane tylko jako mieszkania prowizoryczne.

Ciężcy i regularny spadek temperatury kazał myśleć poważnie o schronisku na zimę, o schronisku oczywiście ciepłym, gdy o opalaniu z powodu braku paliwa nie mogło być nawet mowy.

Jedynym wyjściem z tych trudności dla mieszkańców wysepki mogło być tylko zamieszkanie pod ziemią. Przystąpiono też niezwłocznie do rozbijania zmarzniętej skorupy. Przykre rozczarowanie czekało jednak robotników i prowadzącego roboty inżyniera, kapitana Servadac'a. Już bowiem na głębokości ośmiu stóp natrafiono na twardą opokę, której żadne narzędzia przebić nie były w stanie.

Kapitan Servadac i hrabia Timaszew poznali tę samą skałę, która stanowiła wybrzeże i dno morza Galijskiego. Nie było sposobu jej skruszyć. Twardsza była od granitu i nabój prochowy zapewneby jej nie rozsądził. Ustąpiłaby chyba przed dynamitem. Rozpoczynano pracę w przeróżnych punktach wysepki, wszędzie z tym samym rezultatem, a raczej bez rezultatu.

Czas nagli. Tarcza słoneczna zmniejszała się w oczach i mróz stawał się coraz dotkliwszy.

Kapitan Servadac i hrabia, dosiadłszy Zefira i Galetty, przebiegali wysepkę wzdłuż, szukając jakiegokolwiek mieszkalnej kryjówki. Konie mknęły, jakgdyby przypięto im skrzydła. Daremne jednak były wszelkie poszukiwania. Należało zrezygnować z mieszkania pod ziemią.

Wobec tego zdecydowano przezimować w budynku, ochraniając go, jak się da najlepiej, od wpływów zewnętrznych. Kapitan rozkazał pociąć drzewa, rosnące na wyspie. Nie było czasu na wahania. Przystąpiono natychmiast do pracy. A jednak kapitan Servadac i jego towarzysze wiedzieli, że to nie może wystarczyć. Paliwo wyczerpie się prędko. Co wówczas będzie dalej? Oficer sztabu generalnego zdenerwowany w najwyższym stopniu, choć zewnętrznie spokojny, biegał po wyspie, powtarzając: Dajcie mi jakkolwiek myślic. Jakiegokolwiek pomysłu zbawienny! Tymczasem sama natura przygotowała kolonistom kryjówkę, jakiej im było trzeba. Oto w jakich warunkach dowiedzieli się o niej.

Było to dnia 10-go marca. Kapitan Sarvadac i porucznik Prokop zwiedzali południowo-zachodni cypel wysepki, rozprawiając na temat niespodzianek przyszłości! W pewnej chwili porucznik Prokop podniósł rękę do oczu, wytężył wzrok i uparcie wpatrywał się w jakiegoś punkt w kierunku południowym.

Nie, nie mylić się stanowczo! – zawołał wreszcie. – Wyraźnie widzę tam woddałi jakiegokolwiek!

Œwiateko?

Tak jest.

Istotnie – zgodzi<sup>3</sup> siê kapitan Servadac, wpatrzywszy siê w punkt, wskazany przez porucznika.

Fakt by<sup>3</sup> niezaprzeczalny. Woddali migota<sup>3</sup>o œwiat<sup>3</sup>ko, odcinaj<sup>1</sup>c siê coraz jaskrawiej na tle zapadaj<sup>1</sup>cej nocy.

Czy<sup>1</sup>by to by<sup>3</sup> statek? – spyta<sup>3</sup> kapitan Servadac.

Chyba statek p<sup>3</sup>on<sup>1</sup>cy – brzmia<sup>3</sup>a odpowied<sup>3</sup> porucznika – gdy<sup>1</sup>¿ ¿aden sygna<sup>3</sup> œwietlny nie mo<sup>1</sup>¿e byæ widoczny z takiej odleg<sup>3</sup>oœci.

Poza tem – dorzuci<sup>3</sup> kapitan Servadac – to œwiat<sup>3</sup>o nie porusza siê wcale, na tle mg<sup>3</sup>y widaæ wyra<sup>3</sup>Ńn<sup>1</sup> <sup>3</sup>unê.

Obaj obserwatorzy natê¿ali wzrok przez kilka chwil jeszcze. Wtem myœl, jak b<sup>3</sup>yskawica, przesy<sup>3</sup>a mózg kapitana Servadac'a.

Wulkan! – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>. – To musi byæ wulkan, który minêliœmy w czasie naszej podró¿y po morzu!

I jakby w natchnieniu doda<sup>3</sup>:

Poruczniku, tam jest kryjówka jakiej szukamy! Tam jest mieszkanie, które przygotowa<sup>3</sup>a nam sama natura! Tak jest! Potrafimy wyzyskaæ ten niewyczerpany i p<sup>3</sup>on<sup>1</sup>cy strumieñ lawy! O, poruczniku, los najwidoczniej opiekuje siê nami! Jutro musimy byæ tam i zbadaæ wszystko na miejscu! Musimy odzyskaæ ciep<sup>3</sup>o i ¿ycie!

Podczas tej entuzjastycznej przemowy kapitana Servadac'a, porucznik Prokop stara<sup>3</sup> siê coœ sobie przypomnieæ.

Ma pan racjê – odezwa<sup>3</sup> siê wreszcie – to jest napewno wulkan. Zaraz jutro musimy mu siê przyjrzeæ zbliska.

Kapitan i porucznik zawrócili do domu. Obserwacjami swemi podzielili siê tylko z hrabi<sup>1</sup>. Nazajutrz ma<sup>3</sup>a <sup>3</sup>od<sup>3</sup> motorowa, nale¿<sup>1</sup>ca do *Dobryny*, unosi<sup>3</sup>a wszystkich troje ku domniemanemu wulkanowi. W zastêpstwie kapitana rz<sup>1</sup>dy na wysepce sprawowaæ mia<sup>3</sup> Ben-Zouf, co napawa<sup>3</sup>o go, rzecz prosta, dum<sup>1</sup> nielada.

Przestrzeñ trzydziestu kilometrów przebyto w ci<sup>1</sup>gu trzech godzin. Wówczas wierzcho<sup>3</sup>ek wzgórze ukaza<sup>3</sup> siê, jak na d<sup>3</sup>oni, ca<sup>3</sup>y w p<sup>3</sup>omieniach.

Motorówka posuwa<sup>3</sup>a siê wzd<sup>3</sup>u¿ brzegu, szukaj<sup>1</sup>c odpowiedniego miejsca do zarzucenia kotwicy. Zatrzymano siê wreszcie w ma<sup>3</sup>ej otoczonej ska<sup>3</sup>ami zatoczce, która mog<sup>3</sup>a byæ w przysz<sup>3</sup>oœci œwietn<sup>1</sup> przystani<sup>1</sup> dla *Dobryny* i *Hanzy*.

Wysiedli i kieruj<sup>1</sup>c siê w stronê, w której z hukiem sp<sup>3</sup>ywa<sup>3</sup>y ku morzu potoki lawy, skonstatowali z przyjemnoœci<sup>1</sup> znaczny wzrost temperatury. Mo<sup>1</sup>¿e urzeczywistni<sup>1</sup> siê nadzieje kapitana! Mo<sup>1</sup>¿e znajd<sup>1</sup> w tej olbrzymiej górze jakieœ mieszkalne groty, które uratuj<sup>1</sup> Galijczyków od najgro<sup>3</sup>Ńniejszego z czyhaj<sup>1</sup>cych niebezpieczeñstw! Chodzili, badali, szukali. Trud ich nie poszed<sup>3</sup> na

marne.

Za wielkim od³amem ska³y, której szczyt jak piramida wystrzela³ ku niebu, znaleŸli rodzaj galerji, na wysokoœci dwudziestu metrów ponad poziomem morza. Wœliznêli siê do wnêtrza, badaj¹c poomacku œciany ciemnego tunelu. Wzmagaj¹cy siê ha³as œwiadczy³ wymownie, Ÿe znajdowali siê wpobliŸu g³ównego krateru. Obawiali siê tylko tego, aby jakœ nieprzebyta przeszkoda nie zabarykadowa³a im drogi.

Pe³en wiary w powodzenie wyprawy, kapitan Servadac dodawa³ otuchy towarzyszom. Temperatura wynosi³a juŸ jakœ piêtnaœcie stopni powyŸej zera. Œciany galerji by³y gor¹ce.

Najwspanialszy w œwiecie kaloryfer! – wo³a³ zachwycony kapitan Servadac.

Wreszcie olbrzymia jasnoœæ œwietli³a tunel i oczom przybyszów ukaza³a siê ogromna, zalana œwiat³em pieczara. Temperatura, choœ wysoka, by³a jeszcze moŸliwa do zniesienia. Czemu jaskinia ta zawdziêcza³a œwiat³o i ciep³o? Poprostu strumieniowi lawy, który przep³ywa³ u jej wylotu i wpada³, rozlewaj¹c siê szeroko, do morza. Rzek³byœ, ognista zas³ona przes³ania³a szeroki otwór pieczary.

O mi³osierne niebo! – wo³a³ kapitan Servadac. – Nie spodziewa³em siê tak wiele!

## Rozdzia³ XXI,

*w którym przekonamy siê, jak¹, wspania³¹ niespodziankê natura przygotowa³a mieszkańcom Galji.*

Odkryta grot by³a istotnie wymarzonem schronieniem dla mieszkańców Galji. Mogli tam znaleŸæ pomieszczenie nietylko ludzie, ale i oba konie kapitana Servadac’a i wcale pokaŸna liczba zwierz¹t domowych.

Nie naleŸa³o traciæ dnia ani godziny. Póki *Dobryna* mog³a jeszcze swobodnie kursowaæ po morzu, trzeba by³o wróciæ, zarz¹dziæ przeprowadzkê ludzi i zwierz¹t, zabezpieczyæ Ÿywnoœæ i zainstalowaæ siê na dobre na Gor¹cym L¹dzie, tak bowiem nazwano now¹, zbawcz¹ miejscowoœæ.

ŁódŸ motorowa tego samego dnia jeszcze wróci³a na wysepki i zaraz nazajutrz przyst¹piono do pracy.

*Dobryna*

, na³adowana po brzegi, trzykrotnie odbywa³a podróŸ z Ostoi do wulkanu, przewoŸ¹c rzeczy, produkty i oko³o piêædziesiêciu sztuk byd³a.

Kapitan Servadac, hrabia Timaszew i porucznik Prokop pracowali nad urz¹dzeniem pieczar i grot i zamieniali je na wnêtrza mieszkalne.

Należa<sup>3</sup>o siê œpieszyæ, gdy<sup>1</sup> lód nie taja<sup>3</sup> ju<sup>1</sup> nawet w po<sup>3</sup>udnie pod dzia<sup>3</sup>aniem prostopa<sup>3</sup>ych promieni s<sup>3</sup>onecznych. Wygodniej bowiem by<sup>3</sup>o transportowaæ rzeczy wod<sup>1</sup>, ni<sup>1</sup> prznosiæ je po œliskiej skorupie lodowej, wobec braku zwierz<sup>1</sup>t poci<sup>1</sup>gowych. W trakcie dalszych poszukiwa<sup>1</sup> odkryto nowe galerje i nowe pieczary. Ca<sup>3</sup>a góra przypomina<sup>3</sup>a olbrzymi ul, obfituj<sup>1</sup>cy w puste komory. Pszczo<sup>3</sup>y, czyli koloniœci, mogli siê tu wygodnie urz<sup>1</sup>dziaæ.

Pierwsz<sup>1</sup> trosk<sup>1</sup> kapitana Servadac'a i jego towarzyszy by<sup>3</sup>o jak najkorzystniejsze wyzyskanie ciep<sup>3</sup>a wulkanu. Otwieraj<sup>1</sup>c strumieniom lawy nowe koryta, skierowano je do miejsc, gdzie by<sup>3</sup>y potrzebne. W ten sposób kuchnia z *Dobryny*, zainstalowana w odpowiednio do tego celu przygotowanym zak<sup>1</sup>tku, ogrzewana by<sup>3</sup>a wulkaniczn<sup>1</sup> law<sup>1</sup>, kucharz zaœ Micha<sup>3</sup> <sup>3</sup>atwo oswoi<sup>3</sup> siê z tym nowym rodzajem opa<sup>3</sup>u.

Jakby to by<sup>3</sup>o œwietnie, marzy<sup>3</sup> Ben-Zouf, gdyby na Ziemi ka<sup>1</sup>dy dom zamiast pieców i kaloryferów posiada<sup>3</sup> w<sup>3</sup>asny wulkanik.

Wielk<sup>1</sup> grotê przeznaczono na salê ogóln<sup>1</sup>. Umebrowano j<sup>1</sup> najlepszymi meblami z *Dobryny* i z domku Hectora Servadac'a. Wziête z jachtu <sup>1</sup>agle mia<sup>3</sup>y ró<sup>1</sup>norodne zastosowanie. Biblioteka, obficie zaopatrzona w ksi<sup>1</sup>ki francuskie i rosyjskie, równie<sup>1</sup> znalaz<sup>3</sup>a siê w sali ogólnej. Stó<sup>3</sup>, krzes<sup>3</sup>a i lampy dope<sup>3</sup>nia<sup>3</sup>y umebrowania. Na œcianach porozwieszano mapy z *Dobryny*. Jak ju<sup>1</sup> wspomniano wy<sup>1</sup>ej, ognista zas<sup>3</sup>ona, zamykaj<sup>1</sup>ca wewnêtrzny otwór pieczary, ogrzewa<sup>3</sup>a i oœwietla<sup>3</sup>a j<sup>1</sup> jednoczeœnie. Ten potok lawy wpada<sup>3</sup> do ma<sup>3</sup>ego basenu, otoczonego wieœcem podwodnych ska<sup>3</sup> i nie maj<sup>1</sup>cego <sup>1</sup>adnej <sup>3</sup>icznoci z morzem. By<sup>3</sup> to najwidoczniej wylot g<sup>3</sup>êbokiej bardzo szczeliny, której wody, dziêki bliskoœci wulkanu, nie zamarza<sup>3</sup>y nawet w czasie najsilniejszych mrozów. Druga grotka, po<sup>3</sup>o<sup>1</sup>ona w g<sup>3</sup>êbi, na lewo od sali ogólnej, zosta<sup>3</sup>a przeznaczona na mieszkanie prywatne kapitana Servadac'a i hrabiego. Porucznik Prokop i Ben-Zouf zajêli rodzaj wnêki, wydr<sup>1</sup>onej w skale. Obok znalaz<sup>3</sup> siê zaciszny k<sup>1</sup>cik, w którym urz<sup>1</sup>dzono mi<sup>3</sup>e gniazdko dla ma<sup>3</sup>ej Niny. Marynarze rosyjscy i Hiszpanie rozlokowali siê w przylegaj<sup>1</sup>cych do sali ogólnej i œwietnie potokami lawy ogrzanych galerjach. W ten sposób ca<sup>3</sup>a kolonja znalaz<sup>3</sup>a bezpieczny schron, w którym mog<sup>3</sup>a spokojnie przeczekaæ choæby d<sup>3</sup>ug<sup>1</sup> i surow<sup>1</sup> zimê.

Gor<sup>1</sup>czkowe przygotowania do przeprowadzki, którymi <sup>1</sup>y<sup>3</sup>a ca<sup>3</sup>a kolonja galijska, jednego tylko Hakhabuta nie wytr<sup>1</sup>ci<sup>3</sup>y z równowagi. Nieufny i podejrzliwy jak zwykle, nie rusza<sup>3</sup> siê z pok<sup>3</sup>adu swego stateczku, kln<sup>1</sup>c, zawodz<sup>1</sup>c i wygl<sup>1</sup>daj<sup>1</sup>c daremnie ratunku od strony morza. Pocz<sup>1</sup>tkowo nie wierzy<sup>3</sup> wogóle w przeprowadzkê, ale ci<sup>1</sup>g<sup>3</sup>e podró<sup>1</sup>je *Dobryny* przekona<sup>3</sup>y go, <sup>1</sup>e kapitan Servadac i jego towarzysze opuszczaj<sup>1</sup> Ostojê.

Wówczas zacz<sup>13</sup> wypytywaæ i badaæ Ben-Zoufa, ale ordynans zbywa<sup>3</sup> go byle czem, nie chc<sup>1</sup>c siê wdawaæ w d<sup>3</sup>u<sup>1</sup>szê dyskusje.

Zaniepokojony powa<sup>1</sup>nie postanowi<sup>3</sup> wreszcie zwróciæ siê o wyjæcenie do samego gubernatora.

Ale<sup>1</sup> tak, wszystko coe s<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup> jest najprawdziwsz<sup>1</sup> prawd<sup>1</sup> – odpar<sup>3</sup> zirytowany takim niedowierzaniem kapitan Servadac – i najwy<sup>1</sup>sza ju<sup>1</sup> pora przenieœæ siê do Wielkiej Groty.

Litoœci! – jêcza<sup>3</sup> Hakhabut.



Czy chce pan ludzi, którzyby przeprowadzili *Hanzê* do nowej przystani Gor<sup>1</sup>cego L<sup>1</sup>du?

Ja chcê wrócić do Algeru – brzmi<sup>3</sup>a odpowiedŹ.

Powtarzam panu, że Alger już nie istnieje.

Na Allacha, czyż to jest możliwe?

Pytam po raz ostatni, czy chce pan przenieść się z nami do Gor<sup>1</sup>cego L<sup>1</sup>du?

Mi<sup>3</sup>osierdzia! Co stanie się ze mn<sup>1</sup>?

Nie chce pan, a więc dobrze, *Hanzê* jednak przeprowadzimy i bez pana w miejsce bezpieczne!

Bez mojej zgody, panie gubernatorze?

Tak jest, gdyż nie mogę pozwolić, aby przez g<sup>3</sup>upi pana upór ca<sup>3</sup>y <sup>3</sup>adunek poszed<sup>3</sup> na marne!

Ależ to oznacza mój koniec!

Prêdszy koniec nast<sup>1</sup>pi, gdy pozwolimy panu działać według w<sup>3</sup>asnej woli – odpar<sup>3</sup> kapitan Servadac – a teraz proszę mi nie zwracać g<sup>3</sup>owy!

Hakhabut skierowa<sup>3</sup> się na statek, wznosz<sup>1</sup>c ręce do nieba o pomoc.

20-go marca ukończono prace przygotowawcze. Nazajutrz *Dobryna* mia<sup>3</sup>a wszystkich przewieŹ na zimowe leżenie. Najwyższa to by<sup>3</sup>a pora, termometr bowiem spad<sup>3</sup> już do ośmiu stopni poniżej zera. Postanowiono przeprowadzić również i *Hanzê*, mimo wszelkich protestów w<sup>3</sup>acciciela.

Czterech marynarzy rosyjskich dokona<sup>3</sup>o tego czynu i w celad za *Dobryn<sup>1</sup>* p<sup>3</sup>ywaj<sup>1</sup>cy sklepik opuści<sup>3</sup> Ostojê, kieruj<sup>1</sup>c się na po<sup>3</sup>udnie. P<sup>3</sup>acz, lament i z<sup>3</sup>orzeczenia lichwiarza nie dadz<sup>1</sup> się nawet opisać. Powtarza<sup>3</sup> z uporem, że nie prosi<sup>3</sup> o pomoc, że pogwa<sup>3</sup>cono jego wolê, że sam sobie radzić potrafi i t. d. i t. d.

Po up<sup>3</sup>ywie kilku godzin, gdy *Hanzê* umieszczono w zatoce Gor<sup>1</sup>cego L<sup>1</sup>du, gdy zorientowa<sup>3</sup> się, że dobytek jego jest zabezpieczony, promienia<sup>3</sup> radości i powtarza<sup>3</sup> szeptem:

I pomyśleć tylko, że to wszystko za darmo! To os<sup>3</sup>y! Przeprowadzili mnie za darmo!

Wszyscy mieszkańcy opuścili wyspê Ostojê. Na tym drobnym strzędzie potêżnej ongiê kolonii francuskiej żerowa<sup>3</sup>y już tylko ptaki.

Kapitan Servadac i jego towarzysze objêli w posiadanie now<sup>1</sup> siedzibê. Urz<sup>1</sup>dzenie wewnętrzne Wielkiej Groty przypad<sup>3</sup>o wszystkim do gustu, ciep<sup>3</sup>o tu by<sup>3</sup>o i wygodnie. Jeden tylko Isaak Hakhabut nie podziela<sup>3</sup> ogólnych zachwytów. Nie chcia<sup>3</sup> nawet zwiedzić galerji i nie opuszcza<sup>3</sup> ani na chwilê pok<sup>3</sup>adu *Hanzy*.

Pewnie siê boi – kpi<sup>3</sup> Ben-Zouf – że każe mu siê zap<sup>3</sup>aciæ komorne. Szczwany lis, ale wkrótce mróz wygoni go z jego kryjówki!

Wieczorem powitalna uczta zgromadzi<sup>3</sup>a wszystkich w sali jadalnej. Bawiono siê istotnie, wznosz<sup>1</sup>c toasty na czeœæ gubernatora i jego zmys<sup>3</sup>u organizacyjnego. By<sup>3</sup>o bardzo weso<sup>3</sup>o. Hiszpanie przy akompaniamencie gitary i kastanietów œpiewali chórem. Ben-Zouf intonowa<sup>3</sup> piosenki wojskowe. PóŹniej zaimprovizowano bal, pierwszy bez w<sup>1</sup>tpienia bal na Galji. Marynarze rosyjscy odañczyli tañce narodowe, Hiszpanie popisywali siê swemi wspania<sup>3</sup>emi fandango, Ben-Zouf nawet stara<sup>3</sup> siê odtworzyæ popularn<sup>1</sup> na Montmartre trzêsionkê.

Uczta przeci<sup>1</sup>gnê<sup>3</sup>a siê do godziny dziewi<sup>1</sup>tej. Wszyscy pragnêli zaczerpn<sup>1</sup>æ œwieżego powietrza, gdyż w sali zabaw gor<sup>1</sup>co by<sup>3</sup>o i duszno. Ben-Zouf wyprzedzi<sup>3</sup> wszystkich. Za nim pod<sup>1</sup>żali zwolna kapitan Servadac, hrabia Timaszew i porucznik Prokop. Dopiero krzyki dochodz<sup>1</sup>ce z zewn<sup>1</sup>trz galerji kaza<sup>3</sup>y przyœpieszyæ kroku. Nie by<sup>3</sup>y to jednak okrzyki zgrozy, lecz jakieœ wiwaty i brawa. Wszyscy Galijczycy zgromadzili siê na ska<sup>3</sup>ach u wylotu Galerji. Ben-Zouf, z rêk<sup>1</sup> wyci<sup>1</sup>gniêta ku niebu, zastyg<sup>3</sup> formalnie w ekstazie.

Ach, panie gubernatorze! W<sup>3</sup>adco! – wo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> z niedaj<sup>1</sup>c<sup>1</sup> siê opisaæ radoœci<sup>1</sup>.

Cóż takiego? Co siê sta<sup>3</sup>o? – pyta<sup>3</sup> kapitan Servadac.

Ksiêżyc! – odpar<sup>3</sup> ordynans.

Istotnie, z mg<sup>3</sup>y nocnej wy<sup>3</sup>ania<sup>3</sup> siê ksiêżyc i ukaza<sup>3</sup> siê po raz pierwszy na horyzoncie Galji.

## Rozdzia<sup>3</sup> XXII,

*który koñczy siê ciekawym eksperymentem z dziedziny fizyki rozrywkowej.*

Ksiêżyc! Jeœli mia<sup>3</sup> to byæ ksiêżyc, to czemu wogóle znika<sup>3</sup>! A jeœli pojawi<sup>3</sup> siê na nowo, to sk<sup>1</sup>d wraca<sup>3</sup>? Dotychczas żaden satelita nie towarzyszy<sup>3</sup> Galji w jej ruchu doko<sup>3</sup>a s<sup>3</sup>oñca. Czyżby niewierna Diana opuœci<sup>3</sup>a Ziemiê i przesz<sup>3</sup>a na s<sup>3</sup>użbê nowej asteroidy?

Nie, to jest niemożliwe – zdecydowa<sup>3</sup> porucznik Prokop. – Miljony mil oddzielaj<sup>1</sup> nas od Ziemi i ksiêżyc nie przesta<sup>3</sup> kr<sup>1</sup>żyæ doko<sup>3</sup>a niej.

Cóż my možeme o tem s<sup>1</sup>dziaæ – zauważy<sup>3</sup> kapitan Servadac. – Czyż nie jest możliwe, aby ksiêżyc porzuci<sup>3</sup> Ziemiê i zosta<sup>3</sup> satelit<sup>1</sup> Galji!

W takim razie ukaza<sup>3</sup>by nam siê już wczœniej, – wtr<sup>1</sup>ci<sup>3</sup> hrabia – nie czekalibyœmy nañ tyle miesiêcy,

Na Boga, same cuda dziej<sup>1</sup> siê wokó<sup>3</sup> nas! – dziwowa<sup>3</sup> siê Servadac.

Hipoteza pańska – podj<sup>13</sup> porucznik Prokop – jest nie do przyjęcia.

Czemu, poruczniku? Któż poręczy, że ta sama si<sup>3</sup>a, która nas oderwa<sup>3</sup>a od Ziemi, nie wytr<sup>1</sup>ci<sup>3</sup>a księżyc<sup>3</sup>a z orbity.

Nie, kapitanie, stanowczo nie!

Nie rozumiem, dlaczego?

Bo masa Galji jest dużo mniejsza od masy księżyc<sup>3</sup>a, wobec czego mog<sup>3</sup>aby się raczej Galja stać satelit<sup>1</sup> księżyc<sup>3</sup>a.

Zgadzam się z tem, poruczniku, – odpar<sup>3</sup> kapitan Servadac – ale ktoś zaręczy, że nie jeste<sup>3</sup>emy księżycem księżyc<sup>3</sup>a, że nie towarzyszymy mu, wytr<sup>1</sup>conemu ze zwyk<sup>3</sup>ej orbity, w podró<sup>3</sup>ży międzyplanetarnej?

Czy bardzo zależy panu na tem, abym i tę teorjê obali<sup>3</sup>?

Bynajmniej – o<sup>3</sup>emia<sup>3</sup> się oficer francuski – uczyni<sup>3</sup> to sam. Istotnie, gdyby asteroida nasza by<sup>3</sup>a tylko podsatelit<sup>1</sup>, na pó<sup>3</sup>obrotu dooko<sup>3</sup>a księżyc<sup>3</sup>a wystarczy<sup>3</sup>by jej krótszy od trzymiesięcznego okres czasu. I ju<sup>3</sup>ż niejednokrotnie mieliby<sup>3</sup>emy przyjemno<sup>3</sup>ść ogl<sup>1</sup>dania księżyc<sup>3</sup>a.

W czasie tej dyskusji satelita Galji wznosi<sup>3</sup> się szybko ponad linjê horyzontu, co ju<sup>3</sup>ż usprawiedliwia<sup>3</sup>o ostatni argument kapitana Servadac'a. Można go by<sup>3</sup>o teraz obserwowa<sup>3</sup>ć dok<sup>3</sup>adnie. Lunety rozwia<sup>3</sup>y resztê w<sup>1</sup>tpliwoc<sup>3</sup>ci, nie by<sup>3</sup> to napewno dawny Phoebus nocy ziemskich. Jakkolwiek dużo mniej oddalony od Galji, ni<sup>3</sup>ż księżyc<sup>3</sup> od Ziemi, satelita ten by<sup>3</sup> znacznie, bo chyba dziesięciokrotnie mniejszy od księżyc<sup>3</sup>a. Nie rysowa<sup>3</sup>y się też na nim morza, kratery, góry, ani żaden ze szczegó<sup>3</sup>ów tak dobrze nam znanych z map księżyc<sup>3</sup>a. Czy by<sup>3</sup>a to planeta nowa, czy dawniej ju<sup>3</sup>ż znana, trudno by<sup>3</sup>o przes<sup>1</sup>dzia<sup>3</sup>ć.

Pierwsza noc spędzona w nowej siedzibie min<sup>3</sup>ęła bez przygód. Od ranka dnia następnego wszyscy przyst<sup>1</sup>pili do regularnych zaj<sup>3</sup>ęć codziennych. A pracy by<sup>3</sup>o wiele.

Między wszystkimi cz<sup>3</sup>onkami kolonji panowa<sup>3</sup>a harmonja i zgoda. Rosjanie zgadzali się z Hiszpanami i zaczynali ju<sup>3</sup>ż mówia<sup>3</sup>ć po francusku, j<sup>3</sup>ęzyk ten bowiem przyjęty by<sup>3</sup> jako oficjalny. Kapitan Servadac kształ<sup>3</sup>ci<sup>3</sup> m<sup>3</sup>odego Pabla i Ninê, rozrywek zae<sup>3</sup> dostarcza<sup>3</sup> im Ben-Zouf.

Nie by<sup>3</sup>o jeszcze zbyt silnych mrozów, ryzykowano więc niewielkie wycieczki krajoznawcze.

Badania terenu w promieniu pięciu do sześciu kilometrów nie wykazały nic poza jałowymi skałami, bez śladu roślinności. Gdzieś tam drobne zamrożone strumyczki, lub zlodowaciałe pąty lodu świadczyły o istnieniu elementu płynnego. Dokładniejsze pojęcie o całej okolicy wyrobili sobie kapitan Servadac i hrabia, obserwując ją któregoś dnia z wierzchołka wulkanu. Góra ta, o kształcie dość regularnego ściętego stożka, wznosiła się na wysokość dziewięciuset do tysiąca metrów ponad poziom morza. Lawa płynęła z krateru miarowo i spokojnie, bez hałasu i impetu, bez kamieni i popiołu, tak charakterystycznych dla innych, rzadka i gwałtownie wybuchających wulkanów. Wylewała się wolno i prawie bez szmeru, jak woda z cichego, wypięzionego po brzegi jeziora.

Kapitan Servadac uważał tę okoliczność za dobrą i szczęśliwą wróżbę, gdyż pozwalała przypuszczać, że proces wydzielania się lawy ma charakter stały. Najsilniejsze bowiem burze mijają szybko. W danym razie wypadku ogniste potoki płynęły z takim równomiernością i spokojem, iż Yródło ich zdawało się niewyczerpane.

Dzień ten upamiętnił się przez zmianę stanu fizycznego jednego z elementów Galji. Stało się to za sprawą mieszkańców Gorącego Ładu.

Kapitan Servadac zgromadził całą kolonię na jednej z przybrzeżnych skał. Mimo spadku temperatury, morze wciąż jeszcze nie zamarzło. Zjawisko to przypisać należało do absolutnej martwoty wód, gdyż najłagodniejszy nawet wietrzyk nie mógł równiejszy powierzchni morza. W takich warunkach, jak wiadomo, woda może zachować swą płynność nawet przy temperaturze kilka stopni poniżej zera. Najłagodniejszy impuls wystarczy jednak, aby woda zamieniła się w lód.

Mała Nina i jej przyjaciel Pablo stawili się również na ogólne rendez-vous.

Malutka – rzekł kapitan Servadac – czy potrafisz rzucić kawałek lodu do morza?

O, tak! – odparła dziewczynka. – Ale mój przyjaciel Pablo uczyni to znacznie lepiej.

Spróbuj jednakże – nalegał kapitan, podajcie dziecku kawałek lodu.

Uważaj, Pablo! Zobaczysz jak czarodziejka jest nasza mała Nina.

Nina rozbijała rękę i rzuciła lód na ciche wody... W tej samej chwili dał się słyszeć chrobot kry, rozciągał się aż poza granice horyzontu. Morze Galijskie pokryło się lodem.

## Rozdział XXIII,

*omawia ważne wydarzenia, które wzbudziły popłoch w całej kolonii Galijskiej.*

Dnia 23-go marca, w trzy godziny po zachodzie słońca, ukazał się na horyzoncie księżyc i Galijczycy mogli skonstatować, że wchodzi już w ostatni kwadrant.

W przeciągu czterech dni zatem przeszedł od nowiu do pełni, co dowodziło, że miesiąc księżycowy na Galji skrócił się do połowy. W trzy dni później księżyc znikł

zupe<sup>3</sup>nie.

Czy powróci jeszcze? – niepokoi<sup>3</sup> się Ben-Zouf, który jako pierwszy odkrywca satelity specjalnie zainteresowany by<sup>3</sup> jego losem.

W samej rzeczy, po tylu fenomenach kosmicznych wci<sup>1</sup> już jeszcze niezbadanych i zagadkowych, obserwacje dzielnego Ben-Zoufa nie by<sup>3</sup>y bez znaczenia.

26 marca, przy powietrzu bardzo czystym i suchym, termometr spad<sup>3</sup> do 12 stopni.

W jakiej odleg<sup>3</sup>ości od s<sup>3</sup>ońca znajdowa<sup>3</sup>a się wówczas Galja? Jaka drogę przeby<sup>3</sup>a po swej orbicie od daty podanej w dokumencie ostatnio znalezionym w morzu? – aden mieszkaniec nie mó<sup>g</sup> na te pytania dać odpowiedzi. Pozorne zmniejszenie tarczy s<sup>3</sup>onecznej nie mog<sup>3</sup>o już być podstaw<sup>1</sup> nawet prowizorycznych obliczeń. Należ<sup>3</sup>a tylko ż<sup>3</sup>owaæ, że anonimowy uczoney nie przysy<sup>3</sup>a dalszych swych obserwacyj. Zw<sup>3</sup>aszcza kapitan Servadac martwi<sup>3</sup> się solennie, że ta jednostronna korespondencja z jego rodakiem, nie przestawa<sup>3</sup> bowiem uczonego uważaæ za Francuza, urwa<sup>3</sup>a się tak prędko.

Możliwe jest – zwraca<sup>3</sup> się do swych towarzyszy – że nasz astronom pisuje w dalszym ci<sup>1</sup>gu, lecz jego wiadomości nie docieraj<sup>1</sup> do naszej wysepki. Teraz, gdy morze zamarz<sup>3</sup>o, możemy się na d<sup>3</sup>ugo po<sup>3</sup>egnaæ z nadziej<sup>1</sup> otrzymania jakiegokolwiek wieści od tego tajemniczego cz<sup>3</sup>owieka.

Morze istotnie by<sup>3</sup>o zupełnie pokryte lodem. Przejście ze stanu p<sup>3</sup>ynnego w stan sta<sup>3</sup>y odby<sup>3</sup>o się w czasie pięknej pogody, gdy najl<sup>3</sup>ejszy nawet wietrzyk nie m<sup>1</sup>ci<sup>3</sup> spokoju wód galijskich. Stê<sup>3</sup>ona powierzchnia by<sup>3</sup>a tak g<sup>3</sup>adka i jednolita, że przypomina<sup>3</sup>a zamrznięte jezioro, lub staw przeznaczony na œlizgawkê. – adnej wypuk<sup>3</sup>ości, żadnego nabrzmienia, ani jednej szczeliny, lub zmarszczki. Jak okiem siêgn<sup>1</sup>æ, hen poza linjê horyzontu ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> się g<sup>3</sup>adki, pozbawiony najl<sup>3</sup>ejszej skazy lód.

Jakże inaczej wygl<sup>1</sup>daj<sup>1</sup> morza polarne. Pe<sup>3</sup>no tam gór lodowych, bry<sup>3</sup> nagromadzonych jedne na drugie, z których formuj<sup>1</sup> się najkapryciennejsze z<sup>3</sup>omy, niby ruiny zamków œredniowiecznych. Pola lodowe nie s<sup>1</sup> tam niczem innym, jak nagromadzeniem ró<sup>3</sup>nej wielkoœci z<sup>3</sup>omów lodu, rumowisk, które mróz utrzymuje w najdziwniejszych pozycjach, gór o kruchych podstawach, a jednak przewy<sup>3</sup>szaj<sup>1</sup>cych maszty największych okrêtów.

Nic niema sta<sup>3</sup>ego na tych oceanach arktycznych, <sup>3</sup>awice nie s<sup>1</sup> odlewami z bronzu i ka<sup>3</sup>dy podmuch wiatru, ka<sup>3</sup>da zmiana temperatury natychmiast wprowadza

deformację. Feeryczna dekoracja przeobraża się ciśnie. Tu przeciwnie, morze Galijskie było jak tafla, stałe, twarde, nieczułe na wszelkie zmiany atmosferyczne. Olbrzymia była powierzchnia była jednostajniejsza od piasków Sahary, rozleglejsza od nieprzebytych stepów rosyjskich. Opancerzenie uwięzionych wód morskich twardniało, w miarę spadku temperatury, z dnia na dzień aż po dzień odwilży... Jeżeli ta odwilż nastąpi kiedykolwiek!

Rosjanie, obcy z zamrażaniem mórz Północy, patrzyli z podziwem na gładką powierzchnię galijskich wód. W sercach ich, prócz podziwu, budziła się jednak i radość, gdyż nieskazitelna zmarznięta powierzchnia nadawała się świetnie na celizgawkę. Na *Dobrynie* znalazło się wiele par żółców, które porożdawano amatorom. Liczba chętnych stale wzrastała. Rosjanie ćwiczyli Hiszpanów i wkrótce w czasie spokojnych, mroźnych dni wszyscy bez wyjątku Galijczycy kreślili piękne piruety na lodzie. Zwinnie jak fryga kapitan Servadac nie ustępował już swemu profesorowi, hrabiemu. Mała Nina i Pablo zbierali rzęśiste oklaski. Nawet Ben-Zouf, który, nawiasem mówiąc, celizgał się już niegdyś na wielkim stawie Montmartre'u, dokonywał cudów zręczności.

Ten rodzaj ćwiczeń higienicznych i zdrowych stanowił główną rozrywkę mieszkańców Gorłowego Łądu. W razie potrzeby mógł stać się również ośrodkiem szybkiej lokomocji. Porucznik Prokop naprzykład, najlepszy żółciarz galijski, przebywał niejednokrotnie dziesięciokilometrową odległością Gorłowego Łądu od Ostoi w przeciągu dwóch godzin.

Oto już mamy czem zastąpić kolej żelazną starego świata – rzekł kapitan Servadac. – Ostatecznie żółwa nie jest niczym innym jak ruchomą szyną, przytwierdzoną do nogi podróżnika.

Tymczasem temperatura stale spadała i termometr wskazywał przeciętnie piętnaście do szesnastu stopni poniżej zera. Wraz z ciepłem zanikało i natężenie światła, jakgdyby coraz to większa część tarczy słonecznej ulegała zaemieniowaniu. Rodzaj poświecenia kładł się na wszystkie przedmioty i smutkiem napełniał oczy patrzących. Wytwarzało to stan przygnębienia moralnego, z którym należało walczyć. Jakże ci wygnani ziemscy mieli nie myśleć o pustce i samotni, która ich otaczała, gdy doniedawna tak silnie z życiem byli związani! Jakże zapomnieć, że Ziemia, a z nią cała ludzkość była już o miliony mil odległa od Galji i że odsuwała się codzień jeszcze bardziej? Czyż można było spodziewać się powrotu, skoro ten oderwany od całości blok coraz to dalsze zdobywał przestrzenie międzyplanetarne? Nic nie przemawiało za tem, że Galja nie opuści któregoś pięknego dnia przestrzeni, podległych działaniu słońca, i nie zacznie się poruszać w obrębie jakiejś nowej, nieznannej dotąd gwiazdy. Hrabia Timaszew, kapitan Servadac i porucznik Prokop byli jedynymi członkami kolonii Galijskiej, którzy myśleli o tych możliwościach. Jednak i towarzysze ich, nie przenikając tak głęboko tajemnic przyszłości, też wyczuwali na swój, nieświadomy być może, sposób groźne skutki jedynej, nie mającej podobnej w kronikach świata, sytuacji. Należało więc pomyśleć o rozrywce dla nich i tu w sprawie celizgawka oddała nieocenione usługi.

Skoro mowa o wszystkich mieszkańcach Gorłowego Łądu, biorących udział w zbawiennej celizgawce, należy z pośród nich oczywiście wykluczyć Izaaka Hakhabuta.

Mimo wstępujących wciśnięć mrozów Hakhabut nie pokazał się więcej od chwili przybycia z wysepki. Zgodnie z surowym zakazem kapitana Servadac'a nikt nie śpieszył odwiedzać go na

*Hanzie*. Jedyne w<sup>1</sup>ski s<sup>3</sup>up dymu, wymykaj<sup>1</sup>cy siê przez komin kabiny, wskazywa<sup>3</sup>, że w<sup>3</sup>acęciel statku na nim przebywa. Wola<sup>3</sup>, nie korzystaj<sup>1</sup>c z ciep<sup>3</sup>a wulkanicznego, opalaæ jednomasztowiec w<sup>3</sup>asnym kosztem, niê opuæciæ *Hanzê* choæby na chwilê i podzieliæ życie ogó<sup>3</sup>u. Ktô<sup>1</sup> bowiem w czasie jego nieobecnoæci czuwa<sup>3</sup>by nad cennym <sup>3</sup>adunkiem?

Poza tem zarówno *Hanza* jak i *Dobryna* umieszczone by<sup>3</sup>y dziêki staraniom porucznika Prokopa w ten sposób, aby mog<sup>3</sup>y przetrzymaæ d<sup>3</sup>ug<sup>1</sup> i ciê<sup>1</sup>ka zimê. Doskonale umocowane w zatokach, ujête obecnie w żelazne kleszcze lodu, sta<sup>3</sup>y zupe<sup>3</sup>nie nieruchomo, Gwoli bezpieczeñstwa i na wzór podró<sup>1</sup>ników, zimuj<sup>1</sup>cych na morzach arktycznych, pod kad<sup>3</sup>ubami statków przer<sup>1</sup>bano lodow<sup>1</sup> pow<sup>3</sup>okê. W ten sposób zmarzniêta masa wód zbiera<sup>3</sup>a siê pod ki<sup>3</sup>ami okrêtów i nie napiera<sup>3</sup>a ju<sup>1</sup> ca<sup>31</sup> si<sup>31</sup> na boki.

Morze Galijskie by<sup>3</sup>o teraz zamarniête na ca<sup>3</sup>ej przestrzeni i, podczas swej ostatniej bytnoæci na wysepce, porucznik Prokop stwierdzi<sup>3</sup>, że pola lodowe ci<sup>1</sup>gnê<sup>3</sup>y siê jak daleko wzrok siêga<sup>3</sup> na pó<sup>3</sup>noc, wschód i zachód.

Jeden tylko zak<sup>1</sup>tek tego potê<sup>1</sup>znego basenu opar<sup>3</sup> siê mrozom. By<sup>3</sup> to ów rodzaj malutkiej, umieszczonej u stóp centralnej jaskini, zatoczki, do której wylewa<sup>3</sup>a siê g<sup>3</sup>adka pow<sup>3</sup>oka roz<sup>1</sup>arzonej do bia<sup>3</sup>oæci lawy. Tutaj, w obramowaniu ska<sup>3</sup>, woda p<sup>3</sup>ynê<sup>3</sup>a zupe<sup>3</sup>nie swobodnie, kryszta<sup>3</sup>ki lodu, powsta<sup>3</sup>e pod wp<sup>3</sup>ywem zimna, natychmiast w ciep<sup>1</sup>le topnia<sup>3</sup>y. Woda sycza<sup>3</sup>a i zamienia<sup>3</sup>a siê w parê przy zetkniêciu z law<sup>1</sup>, ci<sup>1</sup>g<sup>3</sup>oææ zaæ tego procesu utrzymywa<sup>3</sup>a cz<sup>1</sup>steczki wody w stanie sta<sup>3</sup>ego wrzenia. Ten ma<sup>3</sup>y odcinek wolnego morza musia<sup>3</sup> w rybakach wzbudzaæ nadziejê po<sup>3</sup>owu. Jednak<sup>1</sup>æ Ben Zouf os<sup>3</sup>abia<sup>3</sup> te zapêdy, twierdzi<sup>1</sup>c, że „ryby zbyt ju<sup>1</sup> s<sup>1</sup> rozgotowane, aby mo<sup>1</sup>na je by<sup>3</sup>o z<sup>3</sup>owiaæ”.

W pierwszych dniach kwietnia niebo siê zachmurzy<sup>3</sup>o, nie sprowadzaj<sup>1</sup>c jednak <sup>1</sup>adnej zmiany temperatury. Stale i równomiernie wzrastaj<sup>1</sup>ce zimno by<sup>3</sup>o niezale<sup>1</sup>ne od wilgotnoæci powietrza. Nawet wiatry nie powodowa<sup>3</sup>y, jak to siê dzieje w podbiegunowych krajach ziemskich, najlê<sup>1</sup>jszych wahañ temperatury. Nowa sferoida, oddalaj<sup>1</sup>c siê wci<sup>1</sup>ê od Ÿród<sup>3</sup>a ciep<sup>3</sup>a i œwiat<sup>3</sup>a, sz<sup>3</sup>a wytrwale ku zakreœlonej przez Fourier<sup>3</sup>a dolnej granicy temperatur w atmosferze.

Szala<sup>3</sup>y tr<sup>1</sup>by powietrzne i burze, bez œniegu i deszczu, ale zato z wiatrami o nieokie<sup>3</sup>znanej sile. Wiatry te by<sup>3</sup>y gro<sup>1</sup>ne ze wzglêdu na ich parcie na potok lawy. Nale<sup>1</sup>æ siê obawiaæ naporu lawy do wnêtra sali ogólnej. Nadto huragan podnieca<sup>3</sup> żarzenie, dzia<sup>3</sup>aj<sup>1</sup>c jak olbrzymi miech. Kilkakrotnie, na skutek silnych powiewów, potok przestawa<sup>3</sup> p<sup>3</sup>yn<sup>1</sup>æ na chwilê i fala zimnego powietrza wpada<sup>3</sup>a do sali. Ale przerwy te by<sup>3</sup>y krótkotrwa<sup>3</sup>e i rzadkie i raczej korzystne, niê szkodliwe dla mieszkañców groty, gdy<sup>1</sup> odœwie<sup>1</sup>æ powietrze. Ksiê<sup>1</sup>yc ukaza<sup>3</sup> siê ponownie pod postaci<sup>1</sup> cieniutkiego sierpa. Wraca<sup>3</sup> wiêc po œmiodniowej nieobecnoæci, jak siê tego pozwala<sup>3</sup>y spodziewaæ dotychczasowe obserwacje. Mniej lub wiêcej uzasadnione obawy, że nie uka<sup>1</sup>æ siê ju<sup>1</sup> wiêcej mieszkañcom Galji, zosta<sup>3</sup>y zatem ku najwy<sup>1</sup>szej radoæci Ben-Zoufa rozwiane. Wszystko zdawa<sup>3</sup>o siê przemawiaæ za tem, że nic nie zam<sup>1</sup>ci regularnoæci, z jak<sup>1</sup> ksiê<sup>1</sup>yc dwa razy miesiêcznie odbywa<sup>3</sup> sw<sup>1</sup> drogê wokó<sup>3</sup> Galji,

Wspomnieliœmy ju<sup>1</sup>, że od czasu zag<sup>3</sup>ady terenów uprawnych, ptaki, które zab<sup>31</sup>ka<sup>3</sup>y siê w atmosferze galijskiej, gromadnie osiad<sup>3</sup>y na wysepce Ostoi. Mia<sup>3</sup>y tam po<sup>1</sup>zywienia poddostatkiem i dlatego ca<sup>3</sup>e ich chmary przyby<sup>3</sup>y tu ze wszystkich krañców asteroidy.

Z chwil<sup>1</sup> nastania mrozów, gdy pola pokry<sup>3</sup>y się œniegiem, który czasem sta<sup>3</sup> się tward<sup>1</sup>, nieprzenikliw<sup>1</sup> pow<sup>3</sup>ok<sup>1</sup> lodow<sup>1</sup>, rozpoczê<sup>3</sup>a się zbiorowa emigracja skrzydlatego bractwa do Gor<sup>1</sup>cego L<sup>1</sup>du.

Kontynent ten coprawda nie obfitowa<sup>3</sup> w Ÿwnoœæ, lecz by<sup>3</sup> zamieszkany. Dzikie nawet ptactwo szuka<sup>3</sup>o obecnoœci ludzi, zamiast od nich stroniæ. Wszystkie resztki jedzenia wyrzucane codziennie na dwór znika<sup>3</sup>y momentalnie bez œladu, ale zaspokaja<sup>3</sup>y one g<sup>3</sup>ód tylko znikomej czêœci tej wielotysiêcznej rzeszy. Znaczna iloœæ ptaków, kierowana g<sup>3</sup>odem i zimnem, znalaz<sup>3</sup>a sobie schronienie w ciemnym wnętrzu jaskini.

NaleŸa<sup>3</sup>o na nowo rozpocz<sup>1</sup>æ z niemi wojnê, gdyŸ wspó<sup>3</sup>Ÿycie stawa<sup>3</sup>o się z róŸnych wzglêdów niemoŸliwe. Polowanie sta<sup>3</sup>o się nowem urozmaïceniem codziennego Ÿycia i myœliwi ma<sup>3</sup>ej kolonji k<sup>3</sup>adli w nie ca<sup>31</sup> duszê. Masy ptactwa grozi<sup>3</sup>y prosto zag<sup>3</sup>ad<sup>1</sup> ludziom. By<sup>3</sup>y one tak wyg<sup>3</sup>odzone, Ÿar<sup>3</sup>oczne, Ÿe wprost z r<sup>1</sup>k i ust ludzkich wyrывa<sup>3</sup>y skrawki miêsa i kromki chleba. Walczono z niemi przy pomocy kamieni, pa<sup>3</sup>ek, nawet broni palnej. I dopiero po d<sup>3</sup>ugim szeregu zaŸartych walk oswobodzono się czêœciowo od niepoŸ<sup>1</sup>danych goœci, pozostawiaj<sup>1</sup>c przy Ÿyciu tylko kilka par dla utrzymania gatunku.

Ben-Zouf by<sup>3</sup> organizatorem i przewodnicz<sup>1</sup>cym tych krwawych potyczek. JakŸe się miota<sup>3</sup>, jak krzycza<sup>3</sup>! Jakiemi Ÿo<sup>3</sup>nierskimi wyzwiskami obsypywa<sup>3</sup> nieszczêeliwe stworzenia! Niebysza<sup>3</sup>a obfitoœæ zapanowa<sup>3</sup>a w spiŸarni w ci<sup>1</sup>gu tych kilku dni, zaopatrzone j<sup>1</sup> bowiem w setki dzikich kaczek, bekasów i kuropatw. Rzecz oczywista, Ÿe myœliwi z wiêsz<sup>1</sup> gorliwoœci<sup>1</sup> te w<sup>3</sup>acenie jadalne ptaki têpili. Wreszcie porz<sup>1</sup>dek zosta<sup>3</sup> przywrócony. Pozosta<sup>3</sup>o jeszcze ze stu intruzów, ulokowanych w szczelinach ska<sup>3</sup> i tych wytêpienie by<sup>3</sup>o niepodobieñstwem. Skoñczy<sup>3</sup>o się na tem, Ÿe owe ptaki poczê<sup>3</sup>y się uwaŸaæ za sta<sup>3</sup>ych mieszkañców groty i nie dopuszcza<sup>3</sup>y do swych gniazd nowych przybyszów. Nast<sup>1</sup>pi<sup>3</sup>o wiêc, drog<sup>1</sup> milcz<sup>1</sup>cej ugody, zawieszenie broni miêdzy Galijczykami a upartem ptactwem, które samorzutnie podjê<sup>3</sup>o funkcjê miejscowej policji. I jakŸe œwietnie tê funkcjê spe<sup>3</sup>nia<sup>3</sup>o. Nieszczêeliwi, pozbawieni praw i przywilejów maruderzy nie wychodzili ca<sup>3</sup>o ze szponów zaŸartych choæ pobratymczych tubylców.

Dnia 15-go kwietnia u wylotu galerji rozleg<sup>3</sup>y się g<sup>3</sup>oœne krzyki. To ma<sup>3</sup>a Nina wzywa<sup>3</sup>a pomocy.

Pablo pozna<sup>3</sup> g<sup>3</sup>os przyjació<sup>3</sup>ki i ubiegaj<sup>1</sup>c Ben-Zoufa œpieszy<sup>3</sup> na ratunek.

Chod<sup>3</sup>Ÿ, chod<sup>3</sup>Ÿ! – wo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>a Nina. – One chc<sup>1</sup> mi go zabiaæ.

ZbliŸywszy się Pablo dostrzeg<sup>3</sup> ma<sup>31</sup> W<sup>3</sup>oszkê, osaczon<sup>1</sup> przez szeœæ ogromnych mew, z którymi biedactwo zмага<sup>3</sup>o się resztk<sup>1</sup> si<sup>3</sup>.

Uzbrojony w kij obroñca rzuci<sup>3</sup> się miêdzy walcz<sup>1</sup>cych i odeгна<sup>3</sup> drapieŸne ptaki, które jednakŸe zd<sup>1</sup>Ÿy<sup>3</sup>y i jego dotkliwie pokaleczyæ.

Co się w<sup>3</sup>aceciwie sta<sup>3</sup>o, Nino? – zapyta<sup>3</sup>.

Patrz, Pablo! – odpar<sup>3</sup>a dziewczynka, wskazuj<sup>1</sup>c ptaka, którego tuli<sup>3</sup>a do piersi.



W tej chwili w<sup>3</sup>acenie nadbieg<sup>3</sup> Ben-Zouf i wzi<sup>1</sup>wszy ptaka z r<sup>1</sup>k dziewczynki, zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>:

To go<sup>31</sup>b!

By<sup>3</sup> to istotnie go<sup>31</sup>b i to niepospolity, lecz pocztowy, na co wskazywa<sup>3</sup>y zlekka wygiête i podciête skrzyd<sup>3</sup>a.

Oho! – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> nagle Ben-Zouf. – Wszyscy œwiêci! Ale¿ on ma u szyi uwi<sup>1</sup>zany woreczek!

W kilka chwil póŹniej go<sup>31</sup>b przechodzi<sup>3</sup> z r<sup>1</sup>k do r<sup>1</sup>k ca<sup>3</sup>ego towarzystwa. Wszyscy zgromadzeni w wielkiej sali przygl<sup>1</sup>dali mu siê z ciekawoœci<sup>1</sup>.

Oto w jaki sposób dosz<sup>3</sup>y do nas wiadomoœci uczonego – obwieœci<sup>3</sup> zgromadzonym kapitan Servadac. – Poniewa¿ morze zamarz<sup>3</sup>o, u¿ywa ptaków do roznoszenia swych listów! Ach! Gdyby¿ tym razem nie posk<sup>1</sup>pi<sup>3</sup> swego podpisu, a zw<sup>3</sup>aszcza adresu!

Z ma<sup>3</sup>ego woreczka po walce z mewami pozosta<sup>3</sup>y ju¿ tylko strzêpy. Otworzono go wiêc z <sup>3</sup>atwoœci<sup>1</sup> i wewn<sup>1</sup>trz znaleziono krótk<sup>1</sup>, lakoniczn<sup>1</sup> notatkê, o brzmieniu nastêpuj<sup>1</sup>cem:

*Galja.*

*Droga przebyta od 1 marca do 1-go kwietnia 39,700.000 mil.*

*Odleg<sup>3</sup>oœæ od s<sup>3</sup>oñca 110,000.000 mil.*

*W drodze przy<sup>31</sup>czy<sup>3</sup>a siê Nerina.*

*Ærodków ¿ywnoœci zabraknie i...*

Dalszy ci<sup>1</sup>g depezy zniszczonej przez roz<sup>1</sup>arte mewy by<sup>3</sup> nieczytelny.

Ach, co za pech! – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> kapitan Servadac. – By<sup>3</sup> tam napewno podpis i data, a mo¿e nawet miejsce, z którego wys<sup>3</sup>ana zosta<sup>3</sup>a notatka. Ca<sup>3</sup>a zredagowana ju¿ tym razem po francusku, a zatem napewno Francuz jest jej autorem. I oto nie mogli przyjœæ z pomoc<sup>1</sup> temu nieszczêœnikowi!

Hrabia Timaszew i porucznik Prokop udali siê na pobojowisko, <sup>3</sup>udz<sup>1</sup>c siê nadziej<sup>1</sup> odcyfrowania na jakichœ oderwanych strzêpach nazwiska, podpisu, jakiejœ wskazówki, która mog<sup>3</sup>aby naprowadziæ na œlad uczonego. Usi<sup>3</sup>owania ich by<sup>3</sup>y jednak daremne.

Czy¿ nigdy nie dowiemy siê, gdzie przebywa ten jedyny, prócz nas, wygnaniec Ziemi? – wo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> zrozpaczony kapitan Servadac.

Có¿ to? – odezwa<sup>3</sup>a siê nagle ma<sup>3</sup>a Nina. – SpóŹrz tylko, Ben-Zoufie.

I poda<sup>3</sup>a Ben-Zoufowi ptaka, którego dotychczas pieœci<sup>3</sup>a w swych rêkach.

Na lewym skrzydle ptaka widnia<sup>3</sup> wilgotny odcisk pieczêci, a na niej jedyne, lecz jakê wiele

mówi<sup>1</sup>ce s<sup>3</sup>owo: *Formentera*.

## Rozdzia<sup>3</sup> XXIV,

*w którym kapitan Servadac i porucznik Prokop rozwi<sup>1</sup>zuj<sup>1</sup> wreszcie kosmiczn<sup>1</sup> zagadkê.*

Formentera! – zawo<sup>3</sup>ali prawie jednocześnie hrabia Timaszew i kapitan Servadac. By<sup>3</sup>a to nazwa jednej z mniejszych wysp Balearskich, po<sup>3</sup>o<sup>3</sup>onych na morzu Eródziemnem. Wskazywa<sup>3</sup>a ona w sposób dok<sup>3</sup>adny miejsce pobytu autora dokumentu. Ale sk<sup>1</sup>d wzi<sup>13</sup> siê tam ten Francuz i czy wogóle jeszcze siê tam znajduje?

Wszystkie notatki, objaœniaj<sup>1</sup>ce po<sup>3</sup>o<sup>3</sup>enie nazwanego fragmentu kuli ziemskiej, pochodzi<sup>3</sup>y najwidoczniej z Formentery.

W ka<sup>3</sup>dy raz ostatni, dostarczony poczt<sup>1</sup> go<sup>3</sup>êbi<sup>1</sup>, list stwierdza<sup>3</sup>, że dnia 1-go kwietnia, to znaczy dwa tygodnie temu, uczony by<sup>3</sup> jeszcze na posterunku. Miêdzy ostatni<sup>1</sup> depesz<sup>1</sup> i dokumentami dawniejszemi istnia<sup>3</sup>a jednak ta zasadnicza ró<sup>3</sup>nicza, że brak jej by<sup>3</sup>o wszelkich oznak zadowolenia i dobrego samopoczucia. Ćadnych wykrzykników w rodzaju „Va bene”, „all right”, czy „nil desperandum”. Poza tem depesza ta, zredagowana ca<sup>3</sup>kowicie w jêzyku francuskim, by<sup>3</sup>a nagl<sup>1</sup>cem wezwaniem o pomoc, skoro informowa<sup>3</sup>a, że zapasy żywnoœci s<sup>1</sup> ju<sup>3</sup> na wyczerpaniu.

Wszystkie te spostrze<sup>3</sup>enia sformu<sup>3</sup>owa<sup>3</sup> w kilku s<sup>3</sup>owach kapitan Servadac, poczem dorzuci<sup>3</sup>:

Przyjaciele, musimy natychmiast wyruszyæ na pomoc temu nieszczêcnikowi...

Lub tym nieszczêcnikom... – wtr<sup>1</sup>ci<sup>3</sup> hrabia Timaszew – w ka<sup>3</sup>dej chwili jestem gotów wyruszyæ z panem, kapitanie.

Musieliœmy – odezwa<sup>3</sup> siê wówczas porucznik Prokop – przep<sup>3</sup>ywaæ ko<sup>3</sup>o Formentery w czasie naszej podró<sup>3</sup>czy rozpoznawczej. A skoro nie zauwa<sup>3</sup>zyl<sup>1</sup>œmy <sup>3</sup>adnego l<sup>1</sup>du, to tylko dowód, że z wysp Balearskich, podobnie jak z Gibraltaru i Ceuty, pozosta<sup>3</sup>a tylko niewielka wysepka.

Musimy j<sup>1</sup> odnale<sup>3</sup>æ choæby by<sup>3</sup>a najmniejsza – odpar<sup>3</sup> kapitan Servadac. – Poruczniku, jaka odleg<sup>3</sup>oœæ dzieli nas od Formentery?

Oko<sup>3</sup>o stu dwudziestu kilometrów, kapitanie. Ale w jaki sposób zamyœla pan odbyæ tê drogê!

Na <sup>3</sup>yłwach, rzecz prosta! Czy nie podziela pan mego zdania!

Ruszamy zatem, kapitanie – nagli<sup>3</sup> hrabia, wykazuj<sup>1</sup>cy zawsze gotowość niesienia pomocy bliżnim.

Hrabio, – wtr<sup>1</sup>ci<sup>3</sup> z nag<sup>3</sup>em ożywieniem porucznik Prokop – chcia<sup>3</sup>bym ci zwrócić pewn<sup>1</sup> uwagę, nie w celu powstrzymania cię od obowi<sup>1</sup>zku, lecz raczej w celu skierowania ca<sup>3</sup>ej sprawy na pewniejsze tory.

S<sup>3</sup>ucham, Prokopie!

Chcesz wyruszyć z kapitanem. Tymczasem mróz wzmaga się ci<sup>1</sup>gle, termometr wskazuje dwadzieścia dwa stopnie poniżej zera, szalona zaś wichura czyni z tej temperatury niemożliw<sup>1</sup> do zniesienia. Przypuściliśmy nawet, że będziecie przebywali po dwadzieścia kilometrów na dobę, potrzeba wam sześciu dni na przybycie do Formentery. Poza tem trzeba zabrać żywność nie tylko dla was, ale i dla tych, lub dla tego, którego macie ratować...

Zaopatrzymy się w plecaki, jak żołnierze – wtr<sup>1</sup>ci<sup>3</sup> kapitan Servadac, który nie dopuszcza<sup>3</sup> myśli o trudnościach lub niewygodach tej wyprawy.

Cóż z tego? – rzuci<sup>3</sup> ch<sup>3</sup>odno porucznik Prokop. – Przyzna pan, że będziecie musieli niejednokrotnie w drodze zażyć choć kilku godzin snu. A powierzchnia lodowa jest g<sup>3</sup>adka i jednolita i nie będziecie mogli na wzór Eskimosów wykopać sobie kryjówek w lodowych bry<sup>3</sup>ach.

Będziemy pędzili bez wytchnienia, dzień i noc – odpar<sup>3</sup> kapitan Servadac – i zamiast sześciu, będziemy w drodze tylko trzy, a może nawet dwa dni.

Przypuścimy nawet, że do Formentery w przeci<sup>1</sup>gu dwóch dni, chociaż jest to zupełnie niewykonalne. Co zrobicie z omdlejącymi z zimna i g<sup>3</sup>odu mieszkańcami wysepki? Jeżeli dogorywających powleciecie za sob<sup>1</sup>, sprowadzicie tu trupy!

S<sup>3</sup>owa porucznika Prokopa wywar<sup>3</sup>y g<sup>3</sup>ębokie wrażenie. Wszyscy pojęli niewykonalność wyprawy w podobnych warunkach. By<sup>3</sup>o oczywiście, że w razie zawiei cennej hrabia i kapitan nędźnie zgin<sup>1</sup> na bezkresnej przestrzeni lodowej.

Kapitan Servadac pełen poświęcenia i zapa<sup>3</sup>u stara<sup>3</sup> się nie widzieć trudności. Buntowa<sup>3</sup> się przeciwko zimnej rozwadze porucznika Prokopa. Podtrzyma<sup>3</sup> go też wierny Ben-Zouf, gotów każdej chwili towarzyszyć swemu panu, w razie gdyby

zawiód<sup>3</sup> hrabia Timaszew.

A więc, hrabio? – pyta<sup>3</sup> Hector Servadac.

Uczyniê to, co i pan, kapitanie. Nie mo¿emy zostawiæ bez pomocy bliŹnich, pozbawionych jedzenia, a mo¿e i dachu nad g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>. Stanowczo nie mo¿emy! – odpar<sup>3</sup> hrabia Timaszew. Poczem, zwracaj<sup>1</sup>c siê do porucznika Prokopa, doda<sup>3</sup>:

Skoro niema innych sposobów dotarcia do Formentery od tych, które ty odtr<sup>1</sup>casz, musimy jednak z nich skorzystaa i, da Bóg, wyprawa powiedzie siê szczêeliwie!

Pogr<sup>1</sup>¿ony w myœlach porucznik nie odpowiedzia<sup>3</sup> na razie.

Ach, gdybyœmy mieli sanki! – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> Ben-Zouf.

Sanki mo¿na z <sup>3</sup>atwoœci<sup>1</sup> zbudowaæ – odpar<sup>3</sup> hrabia – ale sk<sup>1</sup>d wzi<sup>1</sup>æ psa, lub renifery, któreby je ci<sup>1</sup>gnê<sup>3</sup>y.

Mamy dwa konie, które mo¿na odpowiednio podkuæ – upiera<sup>3</sup> siê Ben-Zouf.

Nie wytrzymaj<sup>1</sup> tej temperatury i padn<sup>1</sup> w drodze.

Trzeba ryzykowaæ – rzuci<sup>3</sup> Servadac. – Szykujmy sanki!

A wiec do roboty!

Nie, kapitanie. Mamy pewniejszy i szybszy od pañskich koni motor, który wytrzyma trudnoœci podró¿y.

Jaki¿ to? – zdziwi<sup>3</sup> siê hrabia.

Wiatr – brzmia<sup>3</sup>a prosta odpowiedŹ.

Wiatr, w istocie! Amerykanie potrafili wspaniale wyzyskaa wiatr do sani ¿aglowych. Na olbrzymich przestrzeniach preryj sanie te rywalizuj<sup>1</sup> zwyciêsko z ekspresami, osi<sup>1</sup>gaj<sup>1</sup>c szybkoœæ piêædziesiêciu metrów na sekundê, to znaczy stu osiemdziesiêciu kilometrów na godzinê. Kierunek wiatru w tej chwili by<sup>3</sup> pomyœlny. Mo¿na by<sup>3</sup>o uzyskaæ szybkoœæ piêtnastu do dwudziestu mil na godzinê. Czyli przy sprzyjaj<sup>1</sup>cych okolicznoœciach mo¿na bêdzie osi<sup>1</sup>gn<sup>1</sup>æ Formenterê pomiêdzy dwoma wschodami s<sup>3</sup>oñca. Motor by<sup>3</sup> gotów. To dobrze. Poza tem porucznik Prokop zapewni<sup>3</sup>, ¿e i sanki nie dadz<sup>1</sup> na siebie czekaæ. Istotnie, czy¿ d<sup>3</sup>ugi na dwanaœcie stóp, mog<sup>1</sup>cy pomieœciaæ piêæ do szeœciu osób kajak *Dobryny* nie móg<sup>3</sup> odegraæ roli

sanek? Należało tylko dla podparcia boków użyć dwóch szyn żelaznych, na których celizgałby się jak na łyżwach? Mechanik jachtu może wykonać tę robotę przez kilka godzin. Czyli saneczki te, popychane wiatrem, nie pomkną jak strzała po gładkiej tafli lodowej? Można je też przykryć brezentem, który w pewnym stopniu ochroni jadłuch od mrozu. Zaopatrzeni w futra, oerodki żywności, napoje orzeźwiające, maszynkę spirytusową, oświetlenie doprowadzili podróżni swój zamiar do skutku. Nie da się wymyślić nic lepszego, ani praktyczniejszego. Jedno tylko nasuwało się zastrzeżenie.

Wiatr był pomyślny dla podróży na północ, lecz co będzie w drodze powrotnej na południe?...

Mniejsza o to – zawołał kapitan Servadac – myślimy narazie tylko o dobrnięciu do tych nieszczęśliwych. Później pomyślimy o odwrocie!

W razie przecięcia, gdyby wiatr nie zmienił kierunku do chwili powrotu, istniała możliwość takiego lawirowania, aby, nie odwracając kierunku biegu, dostać się na południe. Zresztą, to się zobaczy później.

Mechanik *Dobryny*, któremu dano do pomocy kilku marynarzy, wzięli się natychmiast do pracy. Pod wieczór wehikuł opancerzony podwójnym wygięciem ku przodowi okuciem żelaznym, zabezpieczony daszkiem i rodzajem metalowego wiosła, mającego bronić przed nagłymi skrętami, zaopatrzony w żywność, naczynia i koce, gotów był do drogi.

Wówczas porucznik Prokop zażądał pozwolenia towarzyszenia kapitanowi w zastępstwie hrabiego, Z jednej strony nie należało sanek obciążać zbyt wielką ilością osób, aby zostawić miejsce dla mieszkańców Formentery, z drugiej strony kierowanie żaglami, jak i orjentowanie się w podróży, wymagało pewnej ręki i pełnej oświadcności dobrego żeglarza.

Hrabia Timaszew protestował początkowo, ale uległ wreszcie prośbom kapitana Servadaca, który zobowiązał go do objęcia w czasie jego nieobecności rzdów na Ostoi i Gorłym Ldzie. Wyprawa była w gruncie rzeczy pełna niebezpieczeństw, uczestnicy jej byli ciągle narażeni. Każda silniejsza burza mogła zniszczyć niepewny wehikuł, i w razie, gdyby kapitan Servadac miał nie wrócić, hrabia byłby jedyną osobą, która potrafiłaby pokierować losami całej kolonii. Zgodził się więc pozostać.

O wschodzie słońca dnia 16-go kwietnia kapitan Servadac i porucznik Prokop zakładowali sanie. W chwili gdy wyruszali w podróż, mróz sięgał dwudziestu pięciu stopni. Towarzysze żegnali się z

wielkiem wzruszeniem. Zmartwienie odebra<sup>o</sup> Ben-Zoufowi mowê. Wszyscy marynarze rosyjscy i hiszpañscy pragnêli uœcisn<sup>l</sup>æ d<sup>o</sup>nie podró¿nym. Hrabia przycisn<sup>l3</sup> do piersi odwa¿nego oficera i uœciska<sup>3</sup> wiernego Prokopa. Gor<sup>l</sup>ce poca<sup>3</sup>unki ma<sup>3</sup>ej Niny, której wielkie oczy nabrzmia<sup>3y</sup> <sup>3</sup>zami, zakoñczy<sup>3y</sup> tê wzruszaj<sup>l</sup>c<sup>l</sup> scenê. Po kilku minutach sanie z rozpiêtemi ¿aglami zniknê<sup>3y</sup> z oczu patrz<sup>l</sup>cym.

Sanie zaopatrzone by<sup>3y</sup> w dwa ¿agle, z których jeden nastawiono pod wiatr. Lekki wehiku<sup>3</sup> pomkn<sup>l3</sup> z niezwyk<sup>3l</sup> szybkoœci<sup>l</sup>, któr<sup>l</sup> pasażerowie jego obliczali na conajmniej dwanaœcie mil na godzinê. Porucznik Prokop przy pomocy busoli, umieszczonej na przedzie sani, kierowa<sup>3</sup> siê wprost ku Formenterze.

Jazda by<sup>3a</sup> wyj<sup>l</sup>tkowo równa, sanie nie podlega<sup>3y</sup> najlêjszym nawet wstrz<sup>l</sup>som, których przecie¿ nie da siê unikn<sup>l</sup>æ w najlepiej zbudowanych poci<sup>l</sup>gach. Straciwszy na powierzchni Galji wiele ze swej dawniejszej wagi ziemskiej, mknê<sup>3y</sup> z szybkoœci<sup>l</sup> dziesiêæ razy wiêksz<sup>l</sup>, ni¿ to by<sup>3o</sup> mo¿liwe w warunkach ziemskich. Kapitan Servadac i porucznik Prokop mieli chwilami wra¿enie, jakgdyby unosili siê w powietrzu ponad lodowemi polami. Faktycznie jednak nie opuszczali ani na chwilê szklistej powierzchni, o czym œwiadczy<sup>3a</sup> pozostaj<sup>l</sup>ca za nimi chmura œnie¿nego py<sup>3u</sup>. Poza tem ani œladu ¿ycia na ca<sup>3</sup>em tem pustkowiu. Ogólne wra¿enie beznadziejnego smutku. Mimo to jednak jakieœ czar poezji, któremu ka¿dy uleg<sup>3</sup> na swój sposób, owion<sup>l3</sup> dusze podró¿ników. Porucznik Prokop bada<sup>3</sup>, kapitan Servadac zaœ prze¿ywa<sup>3</sup> piêkno pejza¿u. Gdy nadszed<sup>3</sup> zachód s<sup>3</sup>oñca i coraz rzadsze jego promienie pada<sup>3y</sup> na sanki, zacienione wielkim ¿agle, gdy wreszcie nag<sup>3a</sup> noc nast<sup>l</sup>pi<sup>3a</sup> po dniu, zbli¿yli siê bezwiednie do siebie, œcis<sup>l</sup>ka<sup>l</sup> siê w milczeniu za rêce.

Zapanowa<sup>3a</sup> ciemna noc. Ksiê¿yc by<sup>3</sup> dopiero na nowiu i tylko gwiazdy jaœnia<sup>3y</sup> wspaniale na ciemnym firmamencie. Porucznik Prokop zastanawia<sup>3</sup> siê nad niebywa<sup>3l</sup> odleg<sup>3o</sup>œci<sup>l</sup> gwiazd miêdzy sob<sup>l</sup>, wobec której jak¿e nik<sup>3l</sup> wydawa<sup>3a</sup> siê wci<sup>l</sup>¿ wzrastaj<sup>l</sup>ca odleg<sup>3o</sup>œæ Galji od s<sup>3</sup>oñca! Kapitan Servadac myœla<sup>3</sup> tylko o swych rodakach, do których pêdzi<sup>3</sup> z pomoc<sup>l</sup>.

Zgodnie z drugim prawem Keplera szybkoœæ Galji wzd<sup>3u</sup>¿ orbity zmniejszy<sup>3a</sup> siê od dnia 1-go marca do 1-go kwietnia o dwadzieœcia milionów mil. W tym samym czasie odleg<sup>3o</sup>œæ od s<sup>3</sup>oñca wzros<sup>3a</sup> o trzydzieœci dwa miliony mil. Znajdowa<sup>3a</sup> siê wiêc Galja prawie w œrodku strefy planet teleskopowych, które kr<sup>l</sup>¿<sup>l</sup> pomiêdzy Marsem i Jowiszem. Tem siê t<sup>3</sup>umaczy pozyskanie nowego satelity, ochrzczonego w ostatnim biuletynie mianem Neriny. W ten sposób Galja, wed<sup>3u</sup>g œciœle sformu<sup>3</sup>owanych praw, ci<sup>l</sup>gle oddala<sup>3a</sup> siê od swego centrum s<sup>3</sup>onecznego. A mo¿e nieznan<sup>y</sup> uczoney ujmie ca<sup>3l</sup> orbitê Galji w œcis<sup>3l</sup> formu<sup>3ê</sup> matematyczn<sup>l</sup> i okreœli czas, kiedy Galja znajdzie siê w swem apheljum?[1]

Ten punkt okreœli<sup>3by</sup> wówczas maksymalne oddalenie i pocz<sup>l</sup>wszy od niego, planeta zbli¿a<sup>3aby</sup> siê ju¿ do swej gwiazdy dziennej. Poznanoby w ten sposób dok<sup>3</sup>adnie d<sup>3u</sup>goœæ s<sup>3</sup>onecznego roku na Galji.

Porucznik Prokop do œwitu by<sup>3</sup> poch<sup>3o</sup>niêty temi niepoko<sup>l</sup>j<sup>l</sup>cemi medytacjami. Uradzili teraz z kapitanem zwolnienie tempa jazdy. Doszli bowiem do wniosku, ¿e przebyli ju¿ w linii prostej sto kilometrów drogi. Zwinêli ¿agle i, mimo œcinaj<sup>l</sup>cego krew w ¿y<sup>3</sup>ach mrozu, poczêli z niezwyk<sup>3l</sup> skrupulatnoœci<sup>l</sup> badaæ bezkresn<sup>l</sup> bia<sup>3l</sup> równinê.

By³a ca³kowicie pusta. Najmniejsze wzniesienie skalne nie zak³óca³o idealnej p³aszczyzny lodu.

Czyœmy siê nie zapêdzili nieco za bardzo na zachód od Formentery? – niepokoí³ siê kapitan Servadac, studjuj¹c mapê.

To nie jest wykluczone. Nie pozostaje nam nic innego jak oddaæ siê na wolê wiatru.

Zróbmy wiêc to – zgodzi³ siê kapitan Servadac – i nie traemy ani chwili czasu!

Sanki skierowano dziobem na pó³nocny wschód. Hector Servadac, stawiaj¹c czo³o dotkliwemu zimnu, stan¹³ na przodzie pojazdu. Wszystkie si³y skoncentrowa³ we wzroku. Nie szuka³ s³upa dymu, który œwiadczy³by o kryjówce nieszczêeliwego uczonego, gdy¿ liczy³, ¿e brak mu nietylko ¿ywnoœci, ale i paliwa. Raczej szuka³ na horyzoncie zarysu jakiejœ ska³y, wynurzaj¹cej siê z otch³ani lodu.

Nagle oko kapitana Servadac'a roziskrzy³o siê, a wyci¹gniêta rêka wskazywa³a z uporem jeden punkt na horyzoncie.

To tam, tam! – wo³a³.

I wskaza³ jakœ ksztalt zarysowany na linii ³uku horyzontu. Porucznik Prokop podniós³ do oczu lunetê.

Tak jest – odpowiedzia³ – s³uszenie, to tam! To najwyraŹniej wie¿a, s³u¿¹ca do geodezyjnych pomiarów. Nie by³o ju¿ w¹tpliwoœci! Rozwiniêto ¿agle i ca³ym pêdem ruszono w kierunku dojrzanego obiektu, odleg³ego conajmniej o dziesiêæ kilometrów.

Kapitan Servadac i porucznik Prokop, wruszeni do g³êbi, nie mogli wymówiaæ s³owa. Wie¿a ros³a w oczach i wkrótce ujrzeli s¹ na p³askiej podstawie ska³, le¿¹cych ciemn¹ plam¹ na bia³em polu lodowem.

Jak s³uszenie obawia³ siê kapitan Servadac, ¿aden dymek nie unosi³ siê z wysepki. Zwa¿ywszy na trzaskaj¹cy mróz, nie nale¿a³o siê ju¿ ³udziæ! Znajd¹ niew¹tpliwie zastyg³e zw³oki nieszczêeliwych. Po dziesiêciu minutach, na kilometr drogi od wysepki, porucznik zwin¹³ ¿agiel, gdy¿ wiedzia³, ¿e sanie nabytym rozpêdem dobrn¹ do brzegu.

Wówczas silniejsze jeszcze wruszenie œcisnê³o serce kapitana Servadac'a.

Na szczycie wie¿y powiewa³ strzêp niebieskiej etaminy. To wszystko, co pozosta³o z bandery francuskiej!

Sanie potr¹ca³y ju¿ o pierwsze ska³y. Wysepka by³a maleñka, nie mia³a nawet pó³ kilometra obwodu. By³a to pozosta³oœæ Formentery i ca³ego archipelagu wysp Balearskich. U stóp wie¿y wznosi³a siê nêdzna, drewniana chata o szczelnie zamkniêtych okiennicach.

W mgnieniu oka kapitan Servadac i porucznik Prokop wdrapali siê na ska³y, przesadzili pokryte lodem kamienie i stanêli u progu chaty.

Hector Servadac zapuka<sup>3</sup> do drzwi zamkniętych od wewn<sup>1</sup>trza.

Cisza... Zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> – żadnej odpowiedzi...

Poruczniku, proszę do mnie – wezwa<sup>3</sup> towarzysza. I wspólnymi si<sup>3</sup>ami wyważyli nawpó<sup>3</sup> spróchnia<sup>3</sup>e drzwi. W ponurej izdebce panowa<sup>3</sup> zupełny mrok i absolutna cisza. Mieszkaniec lepianki najwidoczniej ja opuści<sup>3</sup>, lub też zmar<sup>3</sup>, bezradny wobec okrutnego losu. Otworzono okiennice i świat<sup>3</sup>o przeniknę<sup>3</sup>o do wnętrza.

W wygas<sup>3</sup>em palenisku komina by<sup>3</sup>o nieco zimnego popio<sup>3</sup>u. W k<sup>1</sup>cie sta<sup>3</sup>o <sup>3</sup>ó<sup>3</sup>ko. Na <sup>3</sup>ó<sup>3</sup>ku wyci<sup>1</sup>gnięta postać ludzka.

Kapitan Servadac podszed<sup>3</sup> bliżej i krzyk przerażenia wyrwa<sup>3</sup> mu się z piersi:

Nie żyje! Zmar<sup>3</sup> z zimna i g<sup>3</sup>odu!

Zkolei porucznik Prokop pochyli<sup>3</sup> się nad cia<sup>3</sup>em nieszczęśnika.

Przeciwnie! Żyje! – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>.

I wla<sup>3</sup> pomiędzy zacięnięte wargi zemdlonego kilka kropel mocnego oerodka orzeźwiają<sup>1</sup>cego. Lekkie westchnienie, a zaraz potem wypowiedziane s<sup>3</sup>abym g<sup>3</sup>osem s<sup>3</sup>owo:

Galja?

Tak... tak... Galja – odpar<sup>3</sup> kapitan Servadac – to znaczy?...

Moja kometa, to jest moja kometa!

Poczem wyczerpanie znów zwycięży<sup>3</sup>o i chory popad<sup>3</sup> w stan zupełnego odrętwienia. Kapitan Servadac uświadomi<sup>3</sup> sobie tymczasem, że stanowczo zna tego uczonego, tylko nie mógł sobie przypomnieć, gdzie go spotyka<sup>3</sup>.

Nie można by<sup>3</sup>o nawet myśleć o ratunku, lub pielęgnowaniu w nędznej chatynce, w której brak by<sup>3</sup>o rzeczy najelementarniejszych.

Hector Servadac i porucznik Prokop powzięli szyb<sup>1</sup> decyzję. W jednej chwili zemdlony cz<sup>3</sup>owiek, jego przyrz<sup>1</sup>dy fizyczne i astronomiczne, ubranie, papiery, ksi<sup>1</sup>żki i jakieg<sup>3</sup>o stare drzwi, które s<sup>3</sup>uży<sup>3</sup>y do obliczeń, znalaz<sup>3</sup>y się w saniach.

Wiatr, który na szczęście w trzech czwartych zmieni<sup>3</sup> kierunek, by<sup>3</sup> pomyślny. Skorzystano z tego, rozpięto żagle i opuszczono szczy<sup>1</sup>tki wysp Balearskich.

Po trzydziestu sześciu godzinach podróży, dnia 19-go kwietnia, witani owacyjnie przez mieszkańców Gor<sup>1</sup>cego L<sup>1</sup>du, dwaj dzielni towarzysze wracali do domu. Uczzonego, który przez ca<sup>3</sup>y ten czas nie otworzy<sup>3</sup> oczu i nie przemówi<sup>3</sup> ani s<sup>3</sup>owa, z<sup>3</sup>ożono w wielkiej wspólnej sali.



Koniec czêœci pierwszej.

1 Punkt najbardziej od s³oñca oddalony. (Przyp. t³um.).

## CZÊœÆ DRUGA

### Rozdzia³ I,

*w którym poznajemy trzydziestego szóstego mieszkańca sferoidy „Galja”.*

Trzydziesty szósty mieszkaniec Galji zjawi³ siê wreszcie na terenie Gor¹cego L¹du. Jedyne s³owa, które wypowiedzia³ dot¹d ma³o zrozumia³ym be³kotem, brzmia³y:

To moja kometa. Moja w³asna kometa!

Có¿ to mia³o oznaczaæ! Czy, ¿e niepojête dot¹d oderwanie czêœci kuli ziemskiej spowodowane zosta³o zetkniêciem z komet¹! Czy istotnie nast¹pi³o takie spotkanie na orbicie ziemskiej! Której z dwóch asteroid samotnik z Formentery przypisywa³ nazwê Galji, gwieŹdzie ogoniastej, czy te¿ sferoidzie rzuconej w przestworza? Wszystkie te pytania rozstrzygn¹æ mó³g³ tylko sam uczony, tak energicznie u¿ywaj¹cy s³ów „moja kometa”.

W ka¿dym b¹dŹ razie wynêdznia³y samotnik by³ bezw¹tpienia autorem notatek, znalezionych przez podró¿ników *Dobryny* w czasie ich podró¿y rozpoznawczej, i astronomem, który zredagowa³ dokument dostarczony przez go³êbia pocztowego. On jeden mó³g³ powierzyæ falom futeralik i bary³kê oraz obdarzyæ wolnoœci¹ ptaka, którego instynkt skierowa³ do jedyne go zamieszkanego terenu nowej planety.

Uczony ten, a by³ nim napewno mieszkaniec Formentery, zna³ zatem niektóre elementy Galji. Zdo³a³ on sformu³owaæ jej stopniowe oddalenie siê od s³oñca i wymierzyæ zmniejszanie szybkoœci k¹towej. Ale czy zbada³ rzecz najwa¿niejszy¹, a mianowicie charakter obiegu Galji, czy porusza siê ona wzd³u¿ hyperboli, paraboli, czy te¿ elipsy! Czy wreszcie wiadome mu s¹ warunki powrotu oderwanej masy ku Ziemi i czy Galja warunkom tym odpowiada? Oto pytania, które nurtowa³y hrabiego Timaszewa i którymi zkolei niepokoi³ kapitana Servadac’a i porucznika Prokopa. I oni jednak nic potrafili na nie odpowiedzieæ. Wszystkie te sprawy dyskutowali ju¿ pod ró¿nym k¹tem widzenia, nie nasuwa³y im siê jednak ¿adne konkretne wnioski. I oto

jedyny cz<sup>3</sup>owiek, który móg<sup>3</sup>by prawdopodobnie daæ jakieœ wyjaœnienia, trwa<sup>3</sup> w ci<sup>1</sup>g<sup>3</sup>ej agonji. Jeœli nie uda go siê uratowaæ, ciemn<sup>1</sup> pozostanie dla wszystkich przysz<sup>3</sup>oœæ Galji!

Nale¿a<sup>3</sup>o wiêc u¿yæ wszystkich si<sup>3</sup>, aby przywróciæ uczonego do ¿ycia. Dobrze zaopatrzona apteczka *Dobryny* nie mog<sup>3</sup>a byæ lepiej u¿yta. Przyst<sup>1</sup>piono te¿ natychmiast do ratunku. Wzywaj<sup>1</sup>cy do tej akcji Ben-Zouf powtarza<sup>3</sup> bez przerwy:

Do pracy, kapitanie! Trudno sobie wyobraziæ, jak ciê¿kie ¿ycie maj<sup>1</sup> uczeni.

Poczêto wiêc cuciaæ konaj<sup>1</sup>cego gwa<sup>3</sup>townemi masa¿ami i tak silnie podniecaj<sup>1</sup>cemi œrodkami wewnêtrznymi, ¿e wskrzesi<sup>3</sup>yby umar<sup>3</sup>ego.

Ben-Zoufowi powierzono masa¿e i, jak siê tego <sup>3</sup>atwo domyœliæ, wywi<sup>1</sup>zywa<sup>3</sup> siê z na<sup>3</sup>o¿onego nañ obowi<sup>1</sup>zku bez zarzutu. W tym samym czasie Hector Servadac <sup>3</sup>ama<sup>3</sup> sobie g<sup>3</sup>owê, sk<sup>1</sup>d zna<sup>3</sup> Francuza, przywiezionego z Formentery, i w jakich okolicznoœciach spotyka<sup>3</sup> siê z nim w ¿yciu.

A jednak powinien by<sup>3</sup> go sobie z <sup>3</sup>atwoœci<sup>1</sup> przypomnieæ. Uczony bowiem, który spoczywa<sup>3</sup> obecnie w wielkiej sali, by<sup>3</sup> dawnym profesorem fizyki Hectora Servadac'a.

Profesor Palmyrin Rosette by<sup>3</sup> istotnie uczonym fizykiem.

Hector Servadac spotyka<sup>3</sup> go tylko w czasie swego jednorocznego pobytu w liceum Charlemagne, nic te¿ dziwnego, ¿e zapomni<sup>3</sup> o nim, kszta<sup>3</sup>cony w dalszym ci<sup>1</sup>gu swych studiów przez najrozmaitszych innych profesorów.

Hector Servadac, jak o tem wspomnieliœmy, nie nale¿a<sup>3</sup> nigdy do kategorii uczniów wzorowych. Za to ile¿ nadokucza<sup>3</sup> nieszczêliwemu Palmyrin Rosette!

Kto wsypywa<sup>3</sup> niepostrze¿enie w laboratorium sól do wody destylowanej, co wywo<sup>3</sup>ywa<sup>3</sup>o najbardziej nieoczekiwane reakcje chemiczne? Kto wykrada<sup>3</sup> kroplê rtêci z barometru, powoduj<sup>1</sup>c sprzeczne z istotnym stanem atmosfery, wskazania? Kto nagrzewa<sup>3</sup> termometr na kilka chwil przed sprawdzeniem go przez profesora? Kto wpuszcza<sup>3</sup> przeró¿ne owady pomiêdzy okular i obiektyw mikroskopu? Kto niszczy<sup>3</sup> izolacjê w maszynie elektrycznej, by nie mog<sup>3</sup>a ju¿ wytworzyæ ani jednej iskry? Kto wreszcie przek<sup>3</sup>u<sup>3</sup> p<sup>3</sup>yt<sup>1</sup>kê, podpieraj<sup>1</sup>c<sup>1</sup> klosz pompy pneumatycznej, uniemo¿liwiaj<sup>1</sup>c wypompowanie z niej powietrza, które wci<sup>1</sup>¿ powraca<sup>3</sup>o?

To wszystko by<sup>3</sup>y figle ucznia Servadac'a i jego niesfornych kolegów.

A mia<sup>3</sup>y one dla psotników tem wiêcej uroku, ¿e profesor Rosette by<sup>3</sup> z<sup>3</sup>oceni<sup>1</sup>kiem. Ataki furji i napady wœciek<sup>3</sup>oœci wprowadza<sup>3</sup>y „hultajsk<sup>1</sup> bandê” w najlepszy humor.

W dwa lata po opuszczeniu liceum przez Hectora Servadac'a, Palmyrin Rosette, który czu<sup>3</sup> siê

bardziej kosmografem, niż fizykiem, porzuci<sup>3</sup> pracę szkoln<sup>1</sup> i poświęci<sup>3</sup> się ca<sup>3</sup>kowicie studjom astronomicznym. Stara<sup>3</sup> się dostać do obserwatorium, ale zrzędn<sup>1</sup> i zgry<sup>3</sup>liwy jego charakter stanę<sup>3</sup>y temu na przeszkodzie. Niezależno<sup>3</sup>ce materia<sup>1</sup>lna pozwoli<sup>3</sup>a mu na pracę samodzieln<sup>1</sup>, bez oficjalnego tytu<sup>3</sup>u, i dawa<sup>3</sup>a satysfakcję pod postaci<sup>1</sup> krytyki innych astronomów. Jemu zreszt<sup>1</sup> zawdzięczano odkrycie trzech ostatnich planet teleskopowych i ustalenie elementów trzysta dwudziestej pi<sup>1</sup>tej komety w spisie katalogowym.

Jak już wyżej zaznaczyliśmy, profesor Rosette i uczeń Servadac nie spotkali się nigdy przed owym przypadkowym zetknięciem na Formenterze. Dwunastoletnia roz<sup>3</sup>ka zatar<sup>3</sup>a zupełnie w pamięci kapitana ofiarę jego m<sup>3</sup>odocianych figlów.

Gdy Ben-Zouf i Negrete rozebrali uczonego z futer, które go okrywa<sup>3</sup>y od stóp do g<sup>3</sup>owy, zobaczyli przed sobą ma<sup>3</sup>ego, <sup>3</sup>ysego, wychudzonego zapewne, choć chudego już z przyrodzenia cz<sup>3</sup>owieka, wysoko<sup>3</sup>ci pięciu stóp i dwóch cali. Na d<sup>3</sup>ugim, wydatnym nosie wspiera<sup>3</sup>y się ogromne okulary, tworzą<sup>3</sup>ce z g<sup>3</sup>adk<sup>1</sup>, jajkował<sup>1</sup> jego czaszk<sup>1</sup> i ogolon<sup>1</sup> brod<sup>1</sup> nierozdziel<sup>1</sup>, zdawa<sup>3</sup>oby się, ca<sup>3</sup>o<sup>3</sup>.

Drobny ten jegomo<sup>3</sup>ce był niezwykle nerwowy. Można go by<sup>3</sup>o przyrównać do cewki Rhumkorffa. Cewka „Rosette” gromadzi<sup>3</sup>a nerwowo<sup>3</sup>ce niby elektryczno<sup>3</sup>ce o wysokim napięciu. Wybija<sup>3</sup>a nerwowo<sup>3</sup>ce jednakże nie mog<sup>3</sup>a i nie powinna by<sup>3</sup>a utrudniać ratunku. W <sup>3</sup>owiecie, liczącym zaledwie trzydziestu pięciu mieszkańców, życie trzydziestego szóstego by<sup>3</sup>o wysoko cenione. Zemdlony astronom dawa<sup>3</sup> jeszcze oznaki życia, serce bi<sup>3</sup>o bardzo s<sup>3</sup>abiutko, ale w każdym razie dzia<sup>3</sup>a<sup>3</sup>o. By<sup>3</sup>a więc nadzieja doprowadzenia go do przytomno<sup>3</sup>ci. Ben-Zouf nie szczędzi<sup>3</sup> się przy masażu i tarmosi<sup>3</sup> staruszka rzetelnie.

Wreszcie, po dwudziestu minutach wytężonej pracy, z ust chorego wyrwa<sup>3</sup>o się pierwsze westchnienie, a za nim drugie, trzecie... Ćcienięte dot<sup>1</sup>d kurczowo usta rozchyli<sup>3</sup>y się. Nawpó<sup>3</sup> przytomne oczy otwiera<sup>3</sup>y się i przymyka<sup>3</sup>y, nieświadome jeszcze miejsca i rzeczy, na które patrzy<sup>3</sup>y. Pad<sup>3</sup>o kilka niejasnych, przez nikogo niezrozumia<sup>3</sup>ych s<sup>3</sup>ów. Prawa r<sup>3</sup>eka drgnę<sup>3</sup>a, podnios<sup>3</sup>a się do czo<sup>3</sup>a, jakgdyby tam czegoś szuka<sup>3</sup>a. Rysy twarzy skurczy<sup>3</sup>y się, poczerwienia<sup>3</sup>, jakgdyby napad<sup>3</sup>o<sup>3</sup>ci przywróci<sup>3</sup> mu życie i zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>:

A moje okulary! Gdzie s<sup>1</sup> moje okulary!

Ben-Zouf zarz<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup> poszukiwania. Odnaleziono upragniony przedmiot. Olbrzymie te okulary zaopatrzone by<sup>3</sup>y w szk<sup>3</sup>a niemal teleskopowe. Podczas masażu oderwa<sup>3</sup>y się od skroni, do których zdawa<sup>3</sup>y się być przytwierdzone na sta<sup>3</sup>e, jakgdyby pręt metalowy przebija<sup>3</sup> na wylot g<sup>3</sup>owę profesora. Umocowane ponownie na orlim nosie wywo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>y g<sup>3</sup>o<sup>3</sup>eny pomruk zadowolenia.

Kapitan Servadac pochylony nad twarz<sup>1</sup> Palmyrin Rosette'a przygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> mu się bacznie. W tej chwili profesor szeroko otworzy<sup>3</sup> oczy. Bystre spojrzenie przedar<sup>3</sup>o się poprzez soczewki okularów i rozleg<sup>3</sup> się g<sup>3</sup>os nabrzmia<sup>3</sup>y irytacji<sup>1</sup>.

Servadac, pięćset wierszy na jutro!

Temi s<sup>3</sup>owy Palmyrin Rosette przywita<sup>3</sup> kapitana Servadac'a.

Ale ten dziwny początek rozmowy, wywołany zapewne wspomnieniem dawnych nieporozumień, pobudzi i pamięć Hectora Servadac'a, który poznał w uczonym dawnego swego profesora fizyki z liceum Charlemagne.

Pan Palmyrin Rosette! – zawołał. – Mój dawny profesor!... Z ciebie i kołeci!

Tylko z kołeci – poprawił Ben-Zouf.

Do licha! Co za szczególne spotkanie!

Tymczasem Palmyrin Rosette popadł w rodzaj półsnu, który należało szanować.

Odpowiadam za jego życie – uspokajał tymczasem Ben-Zouf. – Ci drobni ludzie skądają się z samych nerwów. Widziałem suchszych od niego, którzy odbywali dalsze podróże!

A skądże oni przybywali, Ben-Zoufie?

Z Egiptu, kapitanie, w pięknych, jaskrawo malowanych skrzyniach.

To były mumie, idjoto!

Tak jest, kapitanie!

Tak czy inaczej, profesor zasnął. Przeniesiono go do ciepłego łóżka i wszystkie palące pytania zostały siłą rzeczy odłożone na później.

W ciągu całego tego dnia kapitan Servadac, hrabia Timaszew i porucznik Prokop, którzy stanowili prowizoryczną akademię umiejętności, nie mogli się powstrzymać od budowy najnieprawdopodobniejszych hipotez. Której to komecie Palmyrin Rosette nadał miano Galji! Czy nazwa ta przypadła w udziale wyrzuconemu w przestworza odłamkowi kuli ziemskiej? Czego dotyczyły obliczenia podane w notatkach: komety, czy też nowej sferoidy, na której żył kapitan Servadac wraz z trzydziestu pięciu towarzyszami niedoli. Może ci epigoni dawnej ludzkości nie byli wcale Galijczykami?

Oto, co należało rozstrzygnąć. Odpowiedź mógłby jednak obalić cały tylomiesięczny aparat dedukcyjny, wypracowany na podstawie nowych fenomenów kosmicznych i luźnych notatek uczonego.

Poto mamy tu wacenie profesora Rosette, aby nasze wątpliwości rozstrzygnąć – zakonkludował Hector Servadac – i przy okazji przedstawił przyjacielom uczonego, jako zgryźliwego i nerwowego człowieka, przykrego w bliższym pozyciu. Określił go jako niepoprawnego oryginała, uparciucha, narwańca, ale w gruncie rzeczy zacnego człowieka. Najlepiej zawsze przeczekać z humorem, po którym, jak po burzy, musi nastąpić roz pogodzenie.

Gdy kapitan Servadac skończył tę małą biograficzną dygresję, zabrał głos hrabia Timaszew.

Może pan być pewny, kapitanie, że postaramy się ułożyć jak najlepiej nasze stosunki z

profesorem. Przypuszczam zreszt<sup>1</sup>, że odda on nam nielada przys<sup>3</sup>ugę, og<sup>3</sup>aszaj<sup>1</sup>c rezultaty swych badań i obserwacyj. Ale bę<sup>3</sup>dzie to mó<sup>3</sup>g uczyniać pod jednym tylko warunkiem.

Pod jakim? – zagadn<sup>13</sup> Hector Servadac.

– e jest autorem znalezionych przez nas dokumentów.

Ma pan w<sup>1</sup>tpliwoœci?

Nie, kapitanie. Wszystkie te w<sup>1</sup>tpliwoœci skierowane by<sup>3</sup>yby wszak i przeciwko mojej osobie. Mówiê tak tylko, aby wyczerpać serjê hipotez niepomyœlnych.

Ktô<sup>3</sup>, jeżeli nie mój dawny profesor, mó<sup>3</sup>gby być autorem tych rozlicznych notatek! – upiera<sup>3</sup> się Hector Servadac.

Może jakieœ inny astronom samotny w innym punkcie dawnej Ziemi?

To wykluczone – wtr<sup>1</sup>ci<sup>3</sup> porucznik Prokop – poniewa<sup>3</sup> znalezione dokumenty operowa<sup>3</sup>y nazw<sup>1</sup> Galji, a jednocześnie nazwa ta by<sup>3</sup>a pierwszym s<sup>3</sup>owem, wypowiedzianem przez profesora Rosette.

Ta s<sup>3</sup>uszn<sup>1</sup>a uwaga rozwia<sup>3</sup>a wszelkie w<sup>1</sup>tpliwoœci i trzeba by<sup>3</sup>o się zgodziać, że samotnik z Formentery by<sup>3</sup> prawowitym autorem notatek. Inna sprawa, sk<sup>1</sup>d się wzi<sup>13</sup> na samotnej wyspie. Bę<sup>3</sup>dzie to mó<sup>3</sup>g wyjaœnienia osobiœcie.

Wraz z nim przyby<sup>3</sup>y do Gor<sup>1</sup>cego L<sup>1</sup>du nietylko drzwi, tablica, ale i wszystkie notatki. Przeglądanie ich w czasie snu w<sup>3</sup>œciciela nie bę<sup>3</sup>dzie chyba niedyskrecj<sup>1</sup>.

Na to się zgodzono i przyst<sup>1</sup>piono do rewizji dokumentów. Charakter pisma i cyfry by<sup>3</sup>y te same, co na znalezionych i znanych ju<sup>3</sup> dokumentach. Drzwi pokryte jeszcze pisanymi kred<sup>1</sup> znakami algebraicznymi przechowywano pieczo<sup>3</sup>owicie. Papiery sk<sup>3</sup>ada<sup>3</sup>y się przewa<sup>3</sup>nie z lu<sup>3</sup>nych kartek, pokreœlonych figurami geometrycznymi. Krzy<sup>3</sup>owa<sup>3</sup>y się tam krzywe otwarte, jak hyperbole, o nieskończenie d<sup>3</sup>ugich, stale oddalaj<sup>1</sup>cych się ramionach, równie<sup>3</sup> biegn<sup>1</sup>ce w nieskończonoœæ parabole i zamkniête krzywe eliptyczne.

Porucznik Prokop zauwa<sup>3</sup>ł wówczas, że wszystkie te krzywe ilustrowa<sup>3</sup>y orbity przeró<sup>3</sup>nych komet. Wzd<sup>3</sup>u<sup>3</sup> orbit parabolicznych i hyperbolicznych porusza<sup>3</sup>y się komety, wzd<sup>3</sup>u<sup>3</sup> eliptycznych te cia<sup>3</sup>a kosmiczne, które ukazywa<sup>3</sup>y się periodycznie, w mniejszych lub wiêkszych odstêpach czasu, na horyzoncie ziemskim.

Pobie<sup>3</sup>ne przejrzanie papierów i tablicy (drzwi) wskazywa<sup>3</sup>o wyra<sup>3</sup>nie, że profesor pracowa<sup>3</sup> nad ujêciem w formê matematyczn<sup>1</sup> elementów komet; nie mo<sup>3</sup>na by<sup>3</sup>o jednak przesadzać znaczenia skreœlonych krzywych, gdy<sup>3</sup> przy pocz<sup>1</sup>tkowych obliczeniach pierwszym impulsem ka<sup>3</sup>dego astronoma jest nadanie komecie drogi parabolicznej.

Ze wszystkiego wynika<sup>3</sup>o, że w czasie pobytu swego na Formenterze Palmyrin Rosette oblicza<sup>3</sup> elementy jakiejœ nowej, nieumieszczonej w katalogu, komety.

Czy obliczenia swoje rozpoczął przed czy po kataklizmie 1-go stycznia, mógł tylko sam wyjaśnić.

Czekajmy zatem – orzekł hrabia Timaszew.

Czekam, ale się niecierpliwi! – odparł kapitan Servadac. – Choć za każdą godzinę snu profesora oddałbym miesiąc życia!

Nie wiem, czy zrobiłby pan na tem dobry interes – zauważył porucznik Prokop.

Jakto? Aby się dowiedzieć, co jest s'ądzone naszej asteroidzie?...

Nie chcę panu odbierać żużdeń, kapitanie – odparł porucznik Prokop – ale z tego, co profesor wie o komecie Galji, nie wynika aby mógł dać wyczerpujące informacje o tym fragmencie ziemi, który nas interesuje. Czy istnieje wogóle jakas ściność pomiędzy ukazaniem się na horyzoncie ziemskim komety i wyrzuceniem w przestrzeń naszej sferoidy!

Ale, oczywiście! – zawołał kapitan Servadac. – Ściność jest widoczna! Przecież to jasne jak dzień, że...

...? – podchwycił hrabia Timaszew, z widoczną niecierpliwością oczekujący dalszych wniosków.

... Ziemię traciła jakas kometa, czemu zawdzięczamy nasz podróż w zaciemności.

Po tej enuncjacji kapitana Servadac'a hrabia Timaszew i porucznik Prokop przyglądali się sobie przez chwilę w milczeniu. Jakkolwiek nieprawdopodobne wydawało się spotkanie Ziemi z kometą, nie było ono jednak wykluczone. Tego rodzaju zdarzenie mogło nareszcie wyjaśnić niepojęte dotąd zjawisko, mogło być niedocieczoną przyczyną wszystkich niezwykłych wydarzeń.

Może pan ma i rację, kapitanie – odparł po dłuższej chwili namysłu porucznik Prokop. – Zderzenie takie zdaje mi się możliwe. Jeżeli tak było istotnie, olbrzymia tarcza, którą widzieliśmy w nocy po katastrofie, nie była prawdopodobnie niczym innym, jak ową mknącą z szaloną szybkością kometą, wytrąconą chwilowo ze swej orbity.

Ta hipoteza mogłaby jedynie wytłumaczyć obecność nieznanej gwiazdy – odparł kapitan Servadac.

Oto – wtrącił hrabia – pierwsza hipoteza, która trafia mi do przekonania. Uzgadnia ona nasze obserwacje z danymi profesora Rosette'a. Nazwa Galji przypada zapewne owej gwiazdzie b'rdziej, która nas wyrzuciła w przestrzeń. Prawdopodobnie tak, ale jest jeszcze jedno zagadnienie, którego nie pojmuję...

Jakie, mianowicie?

... uczyony zajmował się bardziej kometą, niż bryłą, na której sam się znajdował.

Ach, hrabio, wszak wiadomo jakimi orygina<sup>3</sup>ami s<sup>1</sup> ci fanatycy wiedzy. A to jest dziwak pierwszej klasy! – odpar<sup>3</sup> kapitan Servadac.

Poza tem możliwe również – zauważy<sup>3</sup> porucznik Prokop – że obliczenia elementów Galji datuj<sup>1</sup> się jeszcze z przed katastrofy. Profesor mógł<sup>3</sup> wiedzieć o zbliżaniu się komety i obserwował<sup>1</sup> przed kataklizmem.

Uwaga porucznika nie pozbawiona by<sup>3</sup>a s<sup>3</sup>usznocci. Zatem w zasadzie przyjęta zosta<sup>3</sup>a hipoteza kapitana Servadac'a. Wszystko sprowadza<sup>3</sup>o się do tego, że w nocy z 31-go grudnia na 1-y stycznia jak<sup>3</sup>o kometa przeci<sup>3</sup>a ekliptykê i zderzy<sup>3</sup>a się z Ziemi<sup>1</sup>, powoduj<sup>1</sup>c oderwanie olbrzymiego od<sup>3</sup>amu globu ziemskiego, który dot<sup>1</sup>d wędruje w przestworzach międzyplanetarnych.

Jeżeli cz<sup>3</sup>onkowie galijskiej Akademji Umiej<sup>3</sup>tnocci nie dotarli, by<sup>3</sup>o może, jeszcze do j<sup>1</sup>dra sprawy, byli w ka<sup>3</sup>dym razie już blisko prawdy.

Jedynie Palmyrin Rosette mógł<sup>3</sup> zagadkê wyja<sup>3</sup>enia wszechstronnie!

## Rozdzia<sup>3</sup> II,

*którego ostatnie s<sup>3</sup>owo wyja<sup>3</sup>enia czytelnikowi to, czego się zapewne sam już domy<sup>3</sup>eli<sup>3</sup>.*

W ten sposób zakończy<sup>3</sup> się dzień 19-ty kwietnia. Ogó<sup>3</sup> kolonistów wróci<sup>3</sup> do zaję<sup>3</sup> codziennych, bo nie wszystkich w tym samym stopniu zaję<sup>3</sup>o zjawienie się profesora Rosette'a. Beztroscy Hiszpanie i Rosjanie, ufaj<sup>1</sup>cy swym prze<sup>3</sup>ożonym, ma<sup>3</sup>o się zajmowali przyczynami i skutkami zjawisk kosmicznych. Nie pilno im by<sup>3</sup>o dowiedzieć się, czy asteroida powróci któregoś dnia na Ziemi<sup>1</sup>, czy też trzeba b<sup>3</sup>dzie żyć i umierać na Galji. Nawet w nocy cechowa<sup>3</sup>a ich zupeł<sup>3</sup>na beztroška, nie tracili czasu snu na próżne rozpami<sup>3</sup>tywania.

Ben-Zouf, przedzierzgni<sup>3</sup>ty w piel<sup>3</sup>gniarza, nie odst<sup>3</sup>epowa<sup>3</sup> óżka chorego. Wchodzi<sup>3</sup> tu w gr<sup>3</sup>e jego honor, zobowi<sup>1</sup>za<sup>3</sup> się bowiem postawi<sup>3</sup> profesora na nogi. Czuwa<sup>3</sup> też bez przerwy, gotów na ka<sup>3</sup>d<sup>3</sup>e skinienie. Liczy<sup>3</sup> wszystkie jego westchnienia! Chwyta<sup>3</sup> w lot s<sup>3</sup>owa, które chory szepta<sup>3</sup> niekiedy. Zaznacza<sup>3</sup> trzeba, że najcz<sup>3</sup>ęściej przez sen wymawiane by<sup>3</sup>o s<sup>3</sup>owo Galja, w intonacjach przechodz<sup>1</sup>cych od zwyk<sup>3</sup>ego zniecierpliwienia do nieopanowanej z<sup>3</sup>occi. Może profesor ceni<sup>3</sup>, że chciano mu ukra<sup>3</sup> kometê, że kwestjonowano odkrycie Galji, lub pierwszeństwo jego obliczeń i obserwacji – może... ale wszystko to by<sup>3</sup>y zagadki. Palmyrin Rosette nale<sup>3</sup>a do ludzi, którzy szaleli nawet we cenie.

Mimo skupienia ca<sup>3</sup>ej uwagi, piel<sup>3</sup>gniarz nie mógł<sup>3</sup> z tych s<sup>3</sup>ów bez zwi<sup>1</sup>zku wyci<sup>1</sup>gn<sup>1</sup>æ żadnych dalej id<sup>1</sup>cych wniosków. W ka<sup>3</sup>nym b<sup>1</sup>d<sup>3</sup>Y razie profesor spa<sup>3</sup> ca<sup>3</sup> noc i s<sup>3</sup>abe pocz<sup>1</sup>tkowo westchnienia zmieni<sup>3</sup>y się wkrótce w dono<sup>3</sup>ne chrapanie.

Gdy s<sup>3</sup>ońce wzesz<sup>3</sup>o na wschodnim horyzoncie Galji, profesor spa<sup>3</sup> wci<sup>1</sup>ł jeszcze i Ben-Zouf uzna<sup>3</sup> za stosowne sen jego szanowaæ. Zreszt<sup>1</sup> w tym czasie uwaga jego skierowa<sup>3</sup>a siê gdzie indziej.

Od strony wielkich drzwi galerji rozleg<sup>3</sup>o siê kilka uderzeñ. Drzwi te s<sup>3</sup>uży<sup>3</sup>y nietylko do obrony przed niepoż<sup>1</sup>danymi goœciami, ile przed dotkliwym zimnem zewnêtrznem.

Ben-Zouf już zamierza<sup>3</sup> opuœciæ na chwilê <sup>3</sup>ółko chorego i wyrzeæ, ale zastanowi<sup>3</sup> siê i doszed<sup>3</sup> do wniosku, że pewno siê przes<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>. Zreszt<sup>1</sup> nie by<sup>3</sup> przecież stróżem i móg<sup>3</sup> go wyrêczyæ kto inny, mniej odpowiedzialnem od niego obarczony zajêciem. W rezultacie nie ruszy<sup>3</sup> siê z miejsca.

Wszyscy pogr<sup>1</sup>żeni byli jeszcze w g<sup>3</sup>êbokim œnie. Ha<sup>3</sup>as siê powtórzy<sup>3</sup>.

U licha, tego już za wiele! – zakl<sup>13</sup> Ben-Zouf. – Co to może byæ?

Skierowa<sup>3</sup> siê ku drzwiom g<sup>3</sup>ównej galerji.

Kto tam? – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> donocenie, bez cienia uprzejmoœci.

To ja – brzmi<sup>3</sup>a s<sup>3</sup>odka odpowiedŸ.

Ja, to znaczy kto?

Izaak Hakhabut.

I czegoł ty tu chcesz w<sup>3</sup>œciwie?

– eby mnie pan wpuœci<sup>3</sup> do œrodka, panie Ben-Zoufie.

A czegoł tu chcesz? Sprzedawaæ swoje towary?

Wie pan dobrze, że nikt nie chce ich kupiaæ.

A wiêc, idŸ do djab<sup>3</sup>a!

Panie Ben-Zoufie! – podj<sup>13</sup> na nowo Izaak z pokorn<sup>1</sup> proœb<sup>1</sup> w g<sup>3</sup>osie – chcia<sup>3</sup>bym pomówiaæ z Jego Ekscelencj<sup>1</sup> panem gubernatorem generalnym.

œpi jeszcze.

Poczekam, ał siê obudzi.



A, czekaj sobie za drzwiami!

Ben-Zouf, uznawszy rozmowę za skończoną<sup>1</sup>, chciał w<sup>3</sup>acenie wracać do <sup>3</sup>oła chorego, gdy nadszed<sup>3</sup>, zwiabiony ha<sup>3</sup>asem, kapitan Servadac.

Co się sta<sup>3</sup>o, Ben-Zoufie!

Nic, a raczej prawie nic. To zwierzę Hakhabut dobija się, bo pragnie mówić z panem kapitanem.

A więc otwórz mu – rozkaza<sup>3</sup> Hektor Servadac. – Musimy się dowiedzieć, co go sprowadza.

Wyobrażam sobie jego interesy!

Otwieraj, powtarzam!

Ben-Zouf us<sup>3</sup>ucha<sup>3</sup>. W tej samej chwili Hakhabut, zawinięty w sw<sup>1</sup> star<sup>1</sup> opończę, wszed<sup>3</sup> do oerodka. Kapitan Servadac cofn<sup>13</sup> się do sali centralnej, a za nim szed<sup>3</sup> Izaak, nie szczędz<sup>1</sup>c kapitanowi s<sup>3</sup>ów powitania, pe<sup>3</sup>nych pokory i uniżoności.

Czegoś pan chce? – zapyta<sup>3</sup> Hector Servadac, patrz<sup>1</sup>c prosto w twarz Hakhabutowi.

Ach, panie gubernatorze, tu coś zasz<sup>3</sup>o w ci<sup>1</sup>gu ostatnich paru dni?

Więc pan przychodzi tu po nowiny?

Tak jest, panie gubernatorze, i mam nadzieję, że pan mi ich nie odmówi.

Nic panu nie powiem, bo sam nic nie wiem.

A jednak nowe jakieś indywiduum ukaza<sup>3</sup>o się wczoraj na Gor<sup>1</sup>cym L<sup>1</sup>dzie.

Więc pan już wie o tem!

Tak jest, panie gubernatorze. Z mego biednego stateczku widzia<sup>3</sup>em sanie udaj<sup>1</sup>ce się w dalsz<sup>1</sup> poddróż, widzia<sup>3</sup>em też następnie jak wraca<sup>3</sup>y. I zdawa<sup>3</sup>o mi się, że wynoszono z nich z wszelkimi ostrożnościami...

No dobrze i co dalej?

Czy nie sprowadzono tu cudzoziemca?

Którego pan zna?

Tego nie mówię, panie gubernatorze, ale w<sup>3</sup>acenie chcia<sup>3</sup>em... pragn<sup>13</sup>był...

Czego?

Pomówiæ z tym cudzoziemcem, bo mo¿e pochodzi on...

Sk¹d?

Z pó³nocnych wybrze¿y morza Ceródziemnego i przynosi...

Co przynosi?

Jakieœ wiadomoœci z Europy! – dokoñczy³ Izaak, obrzucaj¹c kapitana Servadac'a chciwym spojrzeniem.

Wci¹¿ jeszcze uparcie myœla³ o tem samym, pomimo trzy i pó³ miesiêcznego pobytu na Galji. Oczywiœcie, ¿e trudniej mu by³o ni¿ komukolwiek oderwaæ siê duchowo od spraw ziemskich, od których materialnie jak¿e daleko zmuszony by³ odejœæ. Wyobra¿a³ sobie, i¿ wszystkie z ¿alem zaobserwowane zjawiska anormalne, jak skrócony do po³owy czas trwania dnia i nocy, przeniesienie zachodu na wschód i wschodu na zachód, odbywa³y siê na Ziemi! Otaczaj¹ce go morze by³o stale morzem Ceródziemnym. Jeœli jakaœ czêœæ Afryki zniknê³a istotnie wskutek niezrozumia³ych kataklizmów, Europa pozosta³a nietkniêta, kwit³a i rozwija³a siê w odleg³oœci kilkuset mil na pó³noc. Wszyscy jej mieszkañcy ¿yj¹, jak dawniej, i on sam, Izaak Hakhabut, bêdzie mó³ jeszcze handlowaæ, kupowaæ, sprzedawaæ, jednym s³owem byæ sob¹. *Hanza* objedzie jeszcze wszystkie brzegi i on, da Bóg, nie straci nic na zasz³ych zmianach. Oto dlaczego przybieg³ niezw³ocznie do grotty po wiadomoœci z Europy, gdy dojrza³ nowego cz³owieka. Nikt nie zamierza³ przekonywaæ Izaaka, ani prze³amywaæ jego uporu, bo wszyscy wiedzieli, ¿e by³oby to bezcelowe. Kapitan Servadac nie próbowa³ nawet t³umaczyæ mu sytuacji. Nie zale¿a³o mu zreszt¹ na nawi¹zaniu stosunków z tym budz¹cym wstrêt sk¹pcem, wys³uchawszy tedy interesu, wzruszy³ tylko ramionami. Z wiêkszym jeszcze lekcewa¿eniem potraktowa³ go Ben-Zouf, wdaj¹c siê jednak z ydem w d³u¿sz¹ rozmowê.

A wiêc nie omyli³em siê – zacz¹³ rozpromieniony kupiec – wczoraj przyby³ jakieœ cudzoziemiec...

Tak jest – odpar³ Ben-Zouf.

ywy?

No, chyba!

A czy mó³bym wiedzieæ proszê pana, z jakich stron przybywa!

Z wysp Balearskich.

Wyspy Balearskie! – zawo³a³ Izaak. – Najlepszy punkt handlowy morza Ceródziemnego! Kiedyœ robi³em tam œwietne interesy. *Hanza* by³a dobrze znana na tym archipelagu! Mo¿e zanadto znana! Ale wyspy te oddalone s¹ o niespe³na dwadzieœcia piêæ mil od brzegów hiszpañskich, wiêc niemo¿liwe, aby ten czcigodny podró¿nik nie otrzyma³ i nie przywióz³ wiadomoœci z Europy.

Oczywiœcie, i udzieli takich, które ci sprawi¹ przyjemnoœæ!

Pan mówi prawdę, panie Ben-Zouf?

Zupełna prawdę.

Wcale nie myślę o zarobkach... wcale... chociaż jestem biednym człowiekiem... chciałbym tylko porozmawiać z nim...

Zarobisz nawet na tej rozmowie!

Tak?.. Ach, dałbym wiele, gdyby rozmowa mogła mieć miejsce natychmiast.

Ho, ho! – odparł Ben-Zouf. – Niestety, nasz podróżnik jest bardzo zmęczony i śpi.

Ale można go obudzić...

Hakhabut! – odezwał się. wówczas kapitan Servadac – jeżeli odważy się obudzić tu kogokolwiek, każe wyrzucić cię za drzwi.

Panie gubernatorze – boga Izaak uniołym gościem – chciałbym przecież wiedzieć...

I będziesz wiedział – przerwał kapitan Servadac. – Samemu zależy mi na tym, abyś był obecny, gdy nowy nasz towarzysz będzie nas informował o Europie.

I ja także będę dbał o to – dodał Ben-Zouf – aby zobaczyć twój rozradowany minę. Izaak Hakhabut czeka niedługo, gdy w tej samej chwili rozległo się niecierpliwe wołanie Rosette'a.

Na to wezwanie wszyscy, jak jeden mąż, ruszyli ku niemu: kapitan Servadac, hrabia Timaszew, porucznik Prokop i Ben-Zouf, który musiał nadstawić ramienia, aby podtrzymał profesora w pozycji siedzącej. Uczony był tylko na wpół rozbudzony i, widocznie pod wpływem jakiegoś niepokojącego snu, wołał:

Józefie, niech diabli porwają to zwierzę! Czy przyjdiesz wreszcie, Józefie?

Józef był zapewne śniętym, który jednakże nie mógł się zjawić, gdyż najwidoczniej pozostał na Ziemi. Zderzenie z Galilej spowodowało prawdopodobnie wieczny rozstanie pana i śni.

Tymczasem profesor wołał coraz głośniej:

Józefie, ofiaro jedna, gdzie są moje drzwi?

Jestem – odezwał się wówczas Ben-Zouf – a drzwi pańskie są dobrze zabezpieczone.

Palmyrin Rosette szeroko otworzył oczy, a potem marszczył brwi, bacznie przyglądał się ordynansowi.

To ty jesteś Józefem? – zapytał.

Do us<sup>3</sup>ug, panie profesorze – odpar<sup>3</sup> œmia<sup>3</sup>o Ben-Zouf.

A wiêc dobrze. Prêdko Józefie, moj<sup>1</sup> kawê.

Już siê robi – brzmia<sup>3</sup>a odpowiedÿ i ordynans pobieg<sup>3</sup> do kuchni.

W tym czasie kapitan Servadac, pomóg<sup>3</sup>szy profesorowi unieœæ siê na <sup>3</sup>ó¿ku, zapyta<sup>3</sup>:

Czy kochany profesor poznaje dawnego swego ucznia z Charlemagne?

Tak jest, Servadac'u – odpar<sup>3</sup> Palmyrin Rosette – mam nadzieję, że poprawi<sup>3</sup>œæ siê w ci<sup>1</sup>gu tych lat dwunastu?

I to znacznie! – odpowiedzia<sup>3</sup>, œmiej<sup>1</sup>c siê, kapitan Servadac.

To dobrze. To bardzo dobrze – chwali<sup>3</sup> profesor. – Ale gdzie¿ moja kawa? Bez kawy nie mam jasnego umys<sup>3</sup>u. A w obecnych okolicznoœciach to bardzo potrzebne.

Na szczêœcie powraca<sup>3</sup> ju¿ Ben-Zouf, nios<sup>1</sup>c ogromn<sup>1</sup> fili¿ankê gor<sup>1</sup>cej czarnej kawy.

Opró¿niwszy fili¿ankê, uczony wsta<sup>3</sup> z <sup>3</sup>ó¿ka, wszed<sup>3</sup> do ogólnej sali i, ogarn<sup>1</sup>wszy j<sup>1</sup> roztargnionem spojrzeniem, siad<sup>3</sup> wygodnie w fotelu, przeniesionym tu z *Dobryny*.

Sprawia<sup>3</sup> jeszcze przykre wra¿enie, ale zadowolony wzrok przypomnia<sup>3</sup> ju¿ autora notatek, w rodzaju: „all right”, „va bene”, „nil desperandum”. Odrazu przyst<sup>1</sup>pi<sup>3</sup> do sprawy.

I có¿ panowie myœlicie o Galji? – zagadn<sup>13</sup>.

Kapitan Servadac nie zd<sup>1</sup>¿y<sup>3</sup> zapytaæ, co profesor nazywa Galj<sup>1</sup>, gdy uprzedzi<sup>3</sup> go Izaak Hakhabut.

Na widok Izaaka brwi profesora œci<sup>1</sup>gnê<sup>3</sup>y siê surowo i, odsuwaj<sup>1</sup>c <sup>¯</sup>yda rêk<sup>1</sup>, tonem cz<sup>3</sup>owieka, któremu nie oddaj<sup>1</sup> nale¿nych honorów, zapyta<sup>3</sup>:

Có¿ to jest takiego?

Nie nale¿y zwracaæ na niego uwagi – odpar<sup>3</sup> Ben-Zouf.

Ale nie <sup>3</sup>atwo by<sup>3</sup>o powstrzymaæ Izaaka, ani jego chêci mówienia. Nic sobie nie robi<sup>1</sup>c z otoczenia, powróci<sup>3</sup> do ataku.

Panie – rzek<sup>3</sup> – zaklinam ciê w imiê Abrahama, Izaaka i Jakóba, opowiedz co siê dzieje w Europie.

Palmyrin Rosette zerwa<sup>3</sup> siê z fotelu, jakgdyby go coœe podrzuci<sup>3</sup>o.

Co siê dzieje w Europie! – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>. – Jemu siê zachciewa wiadomoœci z Europy!

Tak... tak... – potwierdzi<sup>3</sup> Izaak i zbliży<sup>3</sup> się do fotelu profesora, chc<sup>1</sup>c się w ten sposób obroniæ przed szturchańcami Ben-Zoufa.

A pocó¿ ci one – bada<sup>3</sup> uczony.

Aby tam powróciæ.

Tam powróciæ! Którego¿ mamy dzisiaj? – zapyta<sup>3</sup> profesor, zwracaj<sup>1</sup>c się do swego dawnego ucznia.

Dwudziestego kwietnia – odpar<sup>3</sup> kapitan Servadac.

A zatem dzisiaj to znaczy dnia 20-go kwietnia – odpowiedzia<sup>3</sup> rozpromieniony Palmyrin Rosette – jesteśmy oddaleni od Europy o sto dwadzieæcia trzy miliony mil.

Izaak Hakhabut zatoczy<sup>3</sup> się jak cz<sup>3</sup>owiek, któremu odebrano resztkê nadziei.

A wiêc tu nic niewiadomo? – dziwi<sup>3</sup> się profesor.

Zaraz wszystko wyjaœniê – odpar<sup>3</sup> Hektor Servadac. I w kilku s<sup>3</sup>owach zaznajomi<sup>3</sup> profesora z biegiem wypadków, pocz<sup>1</sup>wszy od owej pamiêtnej nocy 31-go grudnia. Opowiedzia<sup>3</sup> o wyprawie *Dobryny*, o odkryciu nielicznych szcz<sup>1</sup>tków dawnego kontynentu, jako to kilku fragmentów Tunisu, Sardyjni, Gibraltaru i wreszcie Formentery, wyjaœni<sup>3</sup> w jaki sposób trzy razy notatki profesora wpada<sup>3</sup>y w rêce podró¿ników, jak i dlaczego przeniesiono się z wysepki Ostoi na Gor<sup>1</sup>cy L<sup>1</sup>d. Palmyrin Rosette wys<sup>3</sup>ucha<sup>3</sup> ca<sup>3</sup>ego tego opowiadania, nie szczêdz<sup>1</sup>c mówi<sup>1</sup>cemu oznak zniecierpliwienia. Gdy wreszcie kapitan Servadac skończy<sup>3</sup>, zapyta<sup>3</sup>:

Gdzie wed<sup>3</sup>ug was znajdujecie się w tej chwili, panowie?

Na nowej asteroidzie, która kr<sup>1</sup>¿y w uk<sup>3</sup>adzie s<sup>3</sup>onecznym – odpar<sup>3</sup> kapitan Servadac.

A t<sup>1</sup> now<sup>1</sup> asteroid<sup>1</sup> jest?

Olbrzymi, oderwany od macierzy, fragment kuli ziemskiej.

Fragment kuli ziemskiej! Oderwany! Istotnie..., a w jaki¿ sposób oderwany?

Na skutek zderzenia z komet<sup>1</sup>, któr<sup>1</sup> pan nazwa<sup>3</sup> Galj<sup>1</sup>.

A wiêc nie, panowie – mówi<sup>3</sup>, unosz<sup>1</sup>c się z fotelu Palmyrin Rosette. – Sta<sup>3</sup>o się lepiej, ni¿ przypuszczacie.

Lepiej? – podj<sup>13</sup> z zainteresowaniem porucznik Prokop.

Tak jest – zapewni<sup>3</sup> profesor – lepiej! Istotnie, nieznaną jakæ kometa uderzy<sup>3</sup>a w Ziemiê, w nocy z 31-go grudnia na 1-y stycznia o godzinie drugiej minut czterdzieæci siedem, trzydzieæci piêæ i szeææ dziesi<sup>1</sup>tych sekundy nad ranem, ale kometa ta, ¿e się tak wyraziê, zaledwie musnê<sup>3</sup>a Ziemiê,

zabieraj<sup>1</sup>c jej tylko tych kilka cz<sup>1</sup>steczek, które panowie odnale<sup>1</sup>li w czasie swej rozpoznawczej podró<sup>1</sup>ży.

A zatem, gdzie<sup>1</sup> my jesteśmy? – niecierpliwi<sup>3</sup> się kapitan Servadac.

Na gwie<sup>1</sup>ździe, któr<sup>1</sup> nazwa<sup>3</sup>em Galj<sup>1</sup> – obwie<sup>3</sup>ści z triumfem profesor Rosette. – Jeste<sup>3</sup>cie na mojej komicie!

## Rozdzia<sup>3</sup> III,

*który wyja<sup>3</sup>nia zagadk<sup>3</sup>e, dlaczego Palmyrin Rosette jest tak zachwycony swym losem.*

Przesz<sup>3</sup>o<sup>3</sup>e wszystkim by<sup>3</sup>a znana. Tera<sup>1</sup>niejszo<sup>3</sup>e prze<sup>1</sup>zywano. Ale wszystkich dr<sup>3</sup>czy<sup>3</sup>o pytanie, co stanie się w przysz<sup>3</sup>o<sup>3</sup>ci? Czy przewidywa<sup>3</sup> ja ten dziwak-uczony? Nikt nie mia<sup>3</sup> odwagi zapyta<sup>3</sup> go o to.

Udrapowany w powag<sup>3</sup>e profesorsk<sup>1</sup> Palmyrin Rosette zdawa<sup>3</sup> się oczekiwa<sup>3</sup> na prezentacj<sup>3</sup>e ca<sup>3</sup>ej kolonji.

Hrabia Timaszew – rzek<sup>3</sup> kapitan, przedstawiaj<sup>1</sup>c współtowarzysza.

Bardzo mi<sup>3</sup>o mi pozna<sup>3</sup>e hrabiego – odpar<sup>3</sup> Palmyrin Rosette tonem gospodarza domu.

Coprawda, nie z w<sup>3</sup>asnej woli znalaz<sup>3</sup>em się na pa<sup>1</sup>ńskiej planecie, profesorze – rzuci<sup>3</sup> hrabia Timaszew – niemniej przeto dzi<sup>3</sup>ekuj<sup>3</sup>e serdecznie za tak go<sup>3</sup>ecinne przyj<sup>3</sup>cie.

Hector Servadac, wyczuwaj<sup>1</sup>c ironj<sup>3</sup>e odpowiedzi, u<sup>3</sup>emiechn<sup>13</sup> się zlekka i mówi<sup>3</sup> dalej:

Porucznik Prokop, komendant jachtu *Dobryna*, na którym dokonali<sup>3</sup>emy objazdu ca<sup>3</sup>ej Galji.

Objazdu? – <sup>1</sup>achn<sup>13</sup> się profesor.

Tak jest, objazdu – obstawa<sup>3</sup> przy swem powiedzeniu kapitan Servadac. Poczem ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> dalej:

Ben-Zouf, mój ordyn...

Adjutant generalnego gubernatora Galji – z po<sup>3</sup>eciechem wtr<sup>1</sup>ci<sup>3</sup> Ben-Zouf w obawie, aby nie pomini<sup>3</sup>to <sup>1</sup>adnego z tytu<sup>3</sup>ów jemu i kapitanowi nale<sup>1</sup>żnych.

Zkolei przedstawiono marynarzy rosyjskich, Hiszpanów, m<sup>3</sup>odego Pablo i ma<sup>31</sup> Ninê, którym profesor przygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> się z pode<sup>3</sup>ba.

Izaak Hakhabut zbli<sup>1</sup>ży<sup>3</sup> się do uczonego i zapyta<sup>3</sup>:

Panie astronomie, jedno ma<sup>3</sup>e pytanie, pytanie, do którego przywi<sup>1</sup>zuj<sup>3</sup>e jednak<sup>3</sup>e olbrzymi<sup>1</sup>, wag<sup>3</sup>e... kiedy mo<sup>1</sup>żemy się spodziewa<sup>3</sup> powrotu?

Ach, któŕyby myœla<sup>3</sup> o powrocie – brzmi<sup>3</sup>a odpowiedŕ – przecieŕ dopiero co wyruszyliœmy!

Po skoŕczonej prezentacji Hector Servadac poprosi<sup>3</sup> profesora o opowiedzenie swojej historii.

Historjê tê moŕna streœciæ w kilku wierszach. Pragn<sup>1</sup>c dok<sup>3</sup>adnie okreœliæ i wymierzyæ po<sup>3</sup>udnik, przechodz<sup>1</sup>cy przez Paryŕ, rz<sup>1</sup>d francuski mianowa<sup>3</sup> specjaln<sup>1</sup> komisjê naukow<sup>1</sup>, do której jednakŕe ze wzglêdu na przykry, nietowarzyski charakter nie wszed<sup>3</sup> Palmyrin Rosette. Rozwœcieczony i dotkniêty do ŕywego profesor postanowi<sup>3</sup> pracowaæ na w<sup>3</sup>asn<sup>1</sup> rêkê. Podejrzewaj<sup>1</sup>c nieœcis<sup>3</sup>oœæ prac geodezyjnych, zapagn<sup>13</sup> sprawdziæ pomiary, przeprowadzone pomiêdzy Formenter<sup>1</sup> i wybrzeŕem hiszpaŕnskimi, przy pomocy trójk<sup>1</sup>ta o boku d<sup>3</sup>ugoœci czterdziestu mil. By<sup>3</sup>a to praca, której dokonali przed nim z niezwyk<sup>31</sup> œcis<sup>3</sup>oœci<sup>1</sup> Biot i Arago.

Palmyrin Rosette opuœci<sup>3</sup> Paryŕ i uda<sup>3</sup> siê na wyspy Balearskie. Na najwyŕszym punkcie Formentery urz<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup> obserwatorium i, zainstalowawszy siê obok wraz ze s<sup>3</sup>uŕcym Józefem, rozpocz<sup>13</sup> swój pustelniczy ŕywot. Równoczeœnie jeden z dawnych asystentów uczonego umieœci<sup>3</sup> na brzegu hiszpaŕnskimi lunetê, skierowan<sup>1</sup> wprost na lunetê Formentery. Poza kilku ksi<sup>1</sup>ŕkami, instrumentami pomocniczymi i zaopatrzeniem w ŕywnoœæ na dwa miesi<sup>1</sup>ce, profesor posiada<sup>3</sup> jeszcze, tworzc<sup>1</sup> nieod<sup>31</sup>czn<sup>1</sup> z nim ca<sup>3</sup>oœæ, lunetê astronomiczn<sup>1</sup>. Mia<sup>3</sup> bowiem manjê przeszukiwania przestworów niebieskich i niep<sup>3</sup>onn<sup>1</sup> nadziejê uwiecznienia swego skromnego nazwiska wiekopomnymi odkryciami. Prace Palmyrin Rosette'a wymaga<sup>3</sup>y przede wszystkim niewyczerpanej wprost cierpliwoœci. Co noc musia<sup>3</sup> czatowaæ na sygna<sup>3</sup> œwietlny z Hiszpanji, celem ustalenia wierzcho<sup>3</sup>ka swego trójk<sup>1</sup>ta. Niestety, niezwykle gêsta mg<sup>3</sup>a spowi<sup>3</sup>a nietylko tê czêœæ Europy, ale ca<sup>3</sup>y prawie œwiat.

Wyj<sup>1</sup>tkowo w tej czêœci wysp Balearskich powstawa<sup>3</sup>y jednakŕe czêsto luki w gêstej masie mgie<sup>3</sup>. Naleŕa<sup>3</sup>o wiêc czuwaæ, co jednakŕe nie przeszkadza<sup>3</sup>o profesorowi interesowaæ siê niebem i uk<sup>3</sup>adem cia<sup>3</sup> niebieskich. W tym czasie zajmowa<sup>3</sup>y go badania czêœci firmamentu, na której rysowa<sup>3</sup>a siê Konstelacja Bliŕni<sup>1</sup>t.

Konstelacja ta, obserwowana go<sup>3</sup>em okiem, przedstawia siê jako grupa szeœciu gwiazd, czu<sup>3</sup>y jednak teleskop podnosi ich liczbê do szeœciu tysiêcy. Palmyrin Rosette, nie posiadaj<sup>1</sup>c teleskopu, musia<sup>3</sup> siê zadowoliaæ sw<sup>1</sup> nieod<sup>31</sup>czn<sup>1</sup> lunet<sup>1</sup> astronomiczn<sup>1</sup>.

Któregoœ wieczora, w czasie zwyk<sup>3</sup>ych badaŕ, zauwaŕy<sup>3</sup> w obserwowanym gwiazdozbiore jakieœ punkt œwieci<sup>1</sup>cy, nienotowany na ŕadnej mapie. By<sup>3</sup>a to najwidoczniej jakaœ nowa gwiazda. Obserwuj<sup>1</sup>c gwiazdê uwaŕnie w ci<sup>1</sup>gu kilku kolejnych nocy, profesor zauwaŕy<sup>3</sup>, ŕe zmienia ona szybko swe po<sup>3</sup>oŕenie w stosunku do innych gwiazd sta<sup>3</sup>ych. Czyŕ nieba zsy<sup>3</sup>a<sup>3</sup>y mu now<sup>1</sup> jak<sup>1</sup>œ planetê? Moŕe ziszcz<sup>1</sup> siê wreszcie marzenia wiekopomnego odkrycia? Palmyrin Rosette zdwoi<sup>3</sup> uwagê i skonstatowa<sup>3</sup> wreszcie, ŕe badana gwiazda by<sup>3</sup>a komet<sup>1</sup>. Wkrótce zreszt<sup>1</sup>, sta<sup>3</sup>a siê juŕ widoczna okalaj<sup>1</sup>ca j<sup>1</sup> mg<sup>3</sup>a i promienisty ogon. Naleŕy stwierdziæ, ŕe pomiary od tej chwili zosta<sup>3</sup>y zupe<sup>3</sup>nie zaniedbane. Asystent dawa<sup>3</sup> sygna<sup>3</sup>y z brzegu hiszpaŕnskimi, ale Palmyrin Rosette nie patrzy<sup>3</sup> juŕ w tam<sup>1</sup> stronê. Ca<sup>3</sup>y zapa<sup>3</sup> skierowa<sup>3</sup> na now<sup>1</sup>, ogoniast<sup>1</sup> gwiazdê, któr<sup>1</sup> pragn<sup>13</sup> poznaæ dok<sup>3</sup>adnie i ochrzciæ. Nie istnia<sup>3</sup>o dla niego nic poza skrawkiem nieba, obejmuj<sup>1</sup>ym gwiazdozbiór Bliŕni<sup>1</sup>t.

Palmyrin Rosette opar<sup>3</sup> swe obliczenia na hipotezie krzywej parabolicznej i nie omyli<sup>3</sup> siê w danym przypadku.

Podobnie jak dla nakreślenia koła potrzebne są trzy punkty jego okręgu, tak i dla określenia elementów komety konieczna jest znajomość spośród trzech jej kolejnych położeń. Można wtedy wyznaczyć drogę komety w przestrzeniach i ustalić t. zw. elementy.

Palmyrin Rosette nie zadowolony się trzema punktami. Korzystając z przewlekającego się rozproszenia mgieł, zanotował trzydzieści kolejnych położeń, zbliżając się z zastraszającą szybkością, komety i na tej podstawie ustalił pięć jej elementów:

1° Nachylenie orbity komety do ekliptyki, to znaczy do płaszczyzny, zawierającej krzywą obiegu Ziemi dookoła słońca. Rozmiary tego kąta decydują o możliwości spotkania. Naogół kąt między tymi płaszczyznami jest znaczny i dlatego rzadkie są zetknięcia Ziemi z kometami. W danym jednakże przypadku obie płaszczyzny niemal przylegają do siebie.

2° Punkt, w którym drógowa gwiazda przecina orbitę ziemską.

3° Kierunek wielkiej osi orbity. Określa się go na mocy obliczenia długości geograficznej perihelium komety. Tak też postąpił Palmyrin Rosette i w ten sposób określił definitywnie położenie krzywej parabolicznej na płaszczyźnie.

4° Odległość punktu przystankowego komety, to znaczy najmniejsza odległość jej od słońca. Rachunek ten daje w rezultacie możliwość dokładnego określenia kształtu paraboli, albowiem wiadomo, że w ognisku jej stale znajduje się słońce.

5° Kierunek ruchu komety, który okazał się wsteczny w stosunku do ruchu planet, gdyż poruszała się ona ze wschodu na zachód.

Ustaliwszy tych pięć elementów, Palmyrin Rosette obliczył datę przejścia komety przez perihelium. Poczem upewniwszy się, ku największej radości, że jest to kometa nieznaną, nazwał ją Galj i przystąpił do pisania raportu.

Mimowoli nasuwa się pytanie, czy profesor zdawał sobie sprawę z możliwości spotkania Ziemi z Galj? Oczywiście mówił, nie z możliwości, ale konieczności spotkania. Powiedział, że cieszył go ta perspektywa, to za mało. Był poprostu zachwycony i oszołomiony. Tak jest! W nocy z 31-go grudnia na 1-y stycznia Ziemia dozna silnego wstrząsu, tem groźniejszego, że obie gwiazdy poruszają się w kierunkach przeciwnych.

Kto inny na jego miejscu pod groźbą strachu opuściłby natychmiast Formenterę, on wytrwał na posterunku. Nietylko nie opuścił wyspy, ale nawet przemilczał odkrycie. Dzienniki donoszą, że gęste mgły uniemożliwiają wszelkie badania astronomiczne. Dotąd żadne obserwatorium nie sygnalizowało pojawienia się komety, Palmyrin Rosette uznał się więc za jedyne odkrywcę Galji. Tak też było w istocie i ta okoliczność oszczędziła mieszkańcom całej prawie Ziemi paniki i obawy końca świata.

Profesor przebywał uparcie na Formenterze, zwłaszcza, że według jego obliczeń kometa miała uderzyć w Ziemię od strony południowego Algieru. Chciał więc być w pobliżu, gdyż zjawisko zapowiadało się nader ciekawie.



Zderzeniu towarzyszy<sup>3</sup>y wszystkie przewidziane a znane nam już efekty. Sta<sup>3</sup>o się jednak, że Palmyrin Rosette straci<sup>3</sup> z oczu s<sup>3</sup>uż<sup>1</sup>cego Józefa. I gdy zbudzi<sup>3</sup> się z doœæ d<sup>3</sup>ugiego omdlenia, by<sup>3</sup> sam jeden na wyspie. Jedyne Formentera zosta<sup>3</sup>a z ca<sup>3</sup>ego archipelagu wysp Balearskich.

Taka by<sup>3</sup>a, wys<sup>3</sup>uchana w skupieniu przez audytorjum, historia profesora. Zakończy<sup>3</sup> s<sup>3</sup>owami:

Zasz<sup>3</sup>y powaŹne bardzo zdarzenia – zmiana stron œwiata, zmniejszenie si<sup>3</sup>y ciêŹkoœci. Ale nie wyprowadzam st<sup>3</sup>d b<sup>3</sup>êdnych wniosków, panowie, jakobyœmy znajdowali się nadal na kuli ziemskiej! Nie! Ziemia w towarzystwie swego satelity ksiêŹyca kr<sup>1</sup>Źy w dalszym ci<sup>1</sup>gu w przestworzach, nie wytr<sup>1</sup>cona ze swej orbity. Zosta<sup>3</sup>a ona wszak zaledwie muœniêta przez kometê i utraci<sup>3</sup>a tych kilka cz<sup>1</sup>steczek, które panowie odnaleŹli. Wszystko skończy<sup>3</sup>o się jak najlepiej i nie mamy powodu narzekaæ. Moglicemy wszak zostaæ zmiaŹdŹeni przez kometê, mog<sup>3</sup>a teŹ kometa na sta<sup>3</sup>e zespoliæ się z Ziemi<sup>1</sup> i wtedy bylibyœmy pozbawieni rozkoszy podróŹy w przestworzach!

Palmyrin Rosette obwieszcza<sup>3</sup> to wszystko z tak niek<sup>3</sup>aman<sup>1</sup> radoœci<sup>1</sup>, iŹ nikt nie mia<sup>3</sup> odwagi mu przeczyæ. Jedyne gruboskóry nieco Ben-Zouf zaryzykowa<sup>3</sup> twierdzenie, że gdyby kometa, miast pewnych okolic Afryki, uderzy<sup>3</sup>a w Montmartre, wzgórze to opar<sup>3</sup>oby się niew<sup>1</sup>tpliwie wstrz<sup>1</sup>sowi, a wówczas...

Montmartre! – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> Palmyrin Rosette. – AleŹ to nêdzne wzgórze w prochby się rozsypa<sup>3</sup>o, jak kretowisko.

Kretowisko! – oburzy<sup>3</sup> się dotkniêty do Źywego Ben-Zouf. – Moje wzgórze schwyci<sup>3</sup>oby w locie ten pana okruch komety, wdziwaj<sup>1</sup>c go jak kepi!

Hector Servadac, pragn<sup>1</sup>c przeci<sup>1</sup>æ tê niefortun<sup>1</sup> dyskusjê, nakaza<sup>3</sup> Ben-Zoufowi milczenie. Incydent zosta<sup>3</sup> zatem zlikwidowany, ale Ben-Zouf zachowa<sup>3</sup> wieczyst<sup>1</sup> urazê do profesora za zlekcewaŹenie rodzinnego zak<sup>1</sup>tka.

Narazie interesowa<sup>3</sup>o wszystkich, czy Palmyrin Rosette po doznany wstrz<sup>1</sup>sie by<sup>3</sup> w stanie kontynuowaæ swe studia astronomiczne i jak<sup>1</sup> przys<sup>3</sup>oœæ rokowa<sup>3</sup> komecie?

Porucznik Prokop umiejêtnie i ostroŹnie, ze wzglêdu na wybuchowy charakter profesora, formu<sup>3</sup>owa<sup>3</sup> swe pytania, informuj<sup>1</sup>c się o drogê jak<sup>1</sup> przebywa Galja i d<sup>3</sup>ugoœæ jej obrotu doko<sup>3</sup>a s<sup>3</sup>oñca.

Okreœli<sup>3</sup>em drogê mej komety jeszcze przed wstrz<sup>1</sup>sem – brzmi<sup>3</sup>a odpowiedŹ – ale teraz musia<sup>3</sup>em obliczenia rozpocz<sup>1</sup>æ na nowo.

A czemuŹ to, profesorze? – zapyta<sup>3</sup> zdziwiony t<sup>1</sup> odpowiedzi<sup>1</sup> porucznik Prokop.

Dlatego, że na skutek wstrz<sup>1</sup>su orbita Galji mog<sup>3</sup>a ulec zmianie.

Przypuszcza pan zatem, iŹ tak się sta<sup>3</sup>o?

Jestem tego pewien – odpar<sup>3</sup> Palmyrin Rosette – zw<sup>3</sup>aszcz<sup>3</sup>a, że obserwacje moje z okresu po kataklizmie odznaczaj<sup>1</sup> się bezwzglêdn<sup>1</sup> dok<sup>3</sup>adnoœci<sup>1</sup>.

I pozna<sup>3</sup> pan elementy nowej orbity? – interesowa<sup>3</sup> się szczerze porucznik Prokop.

Tak jest – bez wahania odpowiedzia<sup>3</sup> uczony.

Ależ w takim razie pan wie...

Zaraz pana wtajemniczê w to, co wiem. Otóż Galja potr<sup>1</sup>ci<sup>3</sup>a Ziemiê w nocy z 31-go grudnia na 1-y stycznia, o godzinie drugiej minut czterdzieści siedem, sekund trzydzieści pięć i sześćdziesiąt, 10-go stycznia przeciê<sup>3</sup>a orbitê Wenus, 15-go przesz<sup>3</sup>a swe periheljum, powtórnie przeciê<sup>3</sup>a drogê Wenus, 1-go lutego przekroczy<sup>3</sup>a punkt najwyższy, 13-go lutego przeciê<sup>3</sup>a drogê Marsa, 10-go marca wkroczy<sup>3</sup>a w sferê planet teleskopowych, bior<sup>1</sup>c sobie za satelitê Nerinê.

Okoliczności te s<sup>1</sup> nam wszystkim znane, profesorze – wtr<sup>1</sup>ci<sup>3</sup> Hector Servadac – gdyż mieliemy szczęście odnalezienia pańskich komunikatów. Tylko daremnie szukaliemy w nich podpisu i adresu.

Czyż można by<sup>3</sup>o przypuścić choć na chwilê, że pochodzi<sup>1</sup> od kogo innego, jak ode mnie, od Palmyrin Rosette'a? – odrzek<sup>3</sup> z dum<sup>1</sup> profesor.

Istotnie, nie można by<sup>3</sup>o – rzuci<sup>3</sup> z powag<sup>1</sup> hrabia Timaszew.

Tymczasem nie dowiedziano się nic o przyszłości Galji. Zdawa<sup>3</sup>o się nawet, że astronom unika tego tematu. Porucznik Prokop pragn<sup>13</sup> ponowiæ pytanie i to w formie bardziej kategorycznej, lecz Hector Servadac uważa<sup>3</sup>, że lepiej nie nudziæ orygina<sup>3</sup>a i zapyta<sup>3</sup> tylko:

Jakże się sta<sup>3</sup>o, profesorze, że ucierpieliemy tak ma<sup>3</sup>o przy tem strasznym zderzeniu?

To jest zupełnie jasne.

I przypuszcza pan, że poza oderwaniem tego drobnego fragmentu Ziemia nie ucierpia<sup>3</sup>a, że o jej obrotu nie uleg<sup>3</sup>a skrzywieniu?

Tak s<sup>1</sup>adzê, kapitanie – odpar<sup>3</sup> Palmyrin Rosette – i zaraz to umotywuje. Ziemia porusza<sup>3</sup>a się wówczas z szybkości<sup>1</sup> dwudziestu ośmiu tysięcy stu mil na godzinê, szybkość zaê Galji wynosi<sup>3</sup>a pięćdziesiąt siedem tysięcy mil. By<sup>3</sup>o to tak, jakgdyby poci<sup>1</sup>g przebiegaj<sup>1</sup>cy osiemdziesiąt sześć tysięcy mil na godzinê, wpad<sup>3</sup> na przeszkodê. Możecie panowie z tego s<sup>1</sup>dziać o sile zderzenia. Kometa sprawi<sup>3</sup>a to samo, co kula wystrzelona z bliska w szklan<sup>1</sup> szybê, przesz<sup>3</sup>a Ziemiê, nie niszc<sup>1</sup>c nic po drodze.

Istotnie – odpar<sup>3</sup> Hector Servadac – taki mógł<sup>3</sup> być przebieg.

Taki by<sup>3</sup> – poprawi<sup>3</sup>, zawsze pewny siebie profesor. – Gdyby jednakże Galja miast musn<sup>1</sup>æ, porz<sup>1</sup>dnie stuknê<sup>3</sup>a Ziemiê, skutki mog<sup>3</sup>y być najfatalniejsze, nie unikn<sup>13</sup>by ich nawet Montmartre, gdyby znalaz<sup>3</sup> się na jej drodze!

Panie!... – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>, wyraŹnie zaatakowany Ben-Zouf.

Milcz! – rozkaza<sup>3</sup> kapitan Servadac.

W tym momencie Izaak Hakhabut zbliży<sup>3</sup> się do uczonego i zniecierpliwionym do najwyższego stopnia g<sup>3</sup>osem zapyta<sup>3</sup>:

Panie profesorze, możebym się wreszcie dowiedzia<sup>3</sup>, czy i kiedy wrócimy na Ziemiê?

Czy panu bardzo pilno? – odwróci<sup>3</sup> pytanie Palmyrin Rosette.

Chcia<sup>3</sup>bym to samo pytanie sformu<sup>3</sup>owaæ bardziej naukowo – wtr<sup>1</sup>ci<sup>3</sup> wówczas porucznik Prokop.

Proszê.

Twierdzi pan, że dawna orbita Galji uleg<sup>3</sup>a zmianie?

Bezspornie.

Czy nowa droga komety jest hiperbol<sup>1</sup>, to znaczy, czy unosi nas w nieskończonoœæ, bez nadziei powrotu?

Nie! – brzmi<sup>3</sup>a krótka odpowiedŸ profesora.

By<sup>3</sup>ażby zatem elipsa?

Tak, jest elips<sup>1</sup>.

I p<sup>3</sup>aszczyzna jej zbiega się w dalszym ci<sup>1</sup>gu z p<sup>3</sup>aszczyzn<sup>1</sup> obiegu Ziemi?

Niew<sup>1</sup>tpliwie.

Galja należy więc do rzêdu komet perjodycznych?

I to krótko-perjodycznych, gdyż ca<sup>3</sup>kowity obrót jej dooko<sup>3</sup>a s<sup>3</sup>oñca, uwzglêdniaj<sup>1</sup>c już zak<sup>3</sup>ócenie ruchu wywo<sup>3</sup>ane przez Jowisza i Marsa, wynosi równo dwa lata.

Ależ w takim razie – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> uradowany porucznik Prokop – s<sup>1</sup> wszelkie dane, że po up<sup>3</sup>ywie dwóch lat od chwili kataklizmu, spotka Ziemiê w tym samym punkcie, w którym już raz nast<sup>1</sup>pi<sup>3</sup>o zderzenie.

Istotnie, należy się tego obawiaæ!

Obawiaæ?

Tak jest, panie – odpar<sup>3</sup>, tupi<sup>1</sup>c ze z<sup>3</sup>oœci nog<sup>1</sup> Palmyrin Rosette. – Jesteœmy tam, gdzie jesteœmy, i koniec na tem. Gdyby to zależa<sup>3</sup>o ode mnie, Galja nie powróci<sup>3</sup>aby nigdy na Ziemiê!

## Rozdział IV,

*w którym Palmyrin Rosette znęca się nad dawnym swym uczniem Servadac'em.*

W ten sposób mieszkańcom Gor'cego L'du, twórcom najfantastyczniejszych hipotez, wszystko wyjaśniło się w jednej chwili. S' uniesieni przez kometę i b' dz' we wszechwiecie. Oddalaj'c' się w gęstej pow'oce chmur planet', któr' kapitan Servadac obserwowa' po katastrofie, by'a w'acenie Ziemia. Nic innego tylko kula ziemską wywo'a'a te potężne i jedyne w swoim rodzaju przyp'ywy i odp'ywy, którym uleg'o morze Galijskie.

Ale ostatecznie kometa ta mia'a powrócić na Ziemię, tak przynajmniej zapewnia' profesor. Czy aby obliczenia jego by'y doceæ dok'adne, czy sprawdz' się z matematyczn' æcis'oeci'? Nie mo'na się dziwić, że Galijczykom nasuwa'o się wiele w'tpliwoæci w tym względzie. Szereg najbliższych dni poświęcono zainstalowaniu nowoprzyby'ego. By' to, na szczęæcie, cz'owiek ma'o wymagaj'cy od życia, umiej'cy się zastosowaæ do ka'kich warunków. B' dz'c stale w ob'okach, pomiędzy gwiazdami, nie przejmowa' się zbyt sprawami pomieszczenia i pokarmu. 'da' dla siebie jedynie dobrze przyrz'dzonej czarnej kawy. Zdawa' się nawet nie zauwa'æ pomys'owoæci z jak' koloniæci urz'dzili się w grocie.

Kapitan Servadac pragn' by'emu profesorowi, oddaæ najlepszy pokój. Palmyrin Rosette jednakże odmówi' poprostu, gdyż nie zale'a'o mu bynajmniej na towarzystwie. Potrzebny mu by' jedynie rodzaj ca'kowicie odosobnionego, dobrze po'ozonego obserwatorium, w którym mógłby spokojnie prowadzić swe studia astronomiczne.

Hector Servadac i porucznik Prokop zajęli się więc odszukaniem w'aceniowego pomieszczenia. Szczęæcie sprzyja'o im najwidoczniej. Na wysokoæci jakichæ stu kroków ponad grot' centraln' znale'li na zboczu wulkanu niewielk' szczelinę, w której da'ooby się pomieæciæ obserwatorium i potrzebne uczoneму przyrz'dy. Znalaz'o się tam nawet miejsce na 'ó'ko, niektóre meble, jak stó', fotel, szafa, nie mówi'c już o znakomitej lunecie. Przep'ywaj'cy obok w'ski, oddzielony od g'ównego 'o'yska, strumyk lawy dostatecznie ogrzewa' obserwatorium.

Ulokowany w ten sposób profesor jada' w æciæle oznaczonych godzinach to, co mu przyniesiono, spa' ma'o, we dnie liczy', w nocy obserwowa' i mo'liwie ma'o udziela' się towarzystwu. Nie przeszkadzano mu te'z, uznawszy jednog'oænie, że najlepiej zostawiaæ orygina'a w spokoju.

Zapanowa³y silne mrozy, termometr spad³ do trzydziestu stopni poni¿ej zera i wci¹¿ jeszcze wykazywa³ tendencje zni¿kowe. Stan ten mia³ trwaæ do chwili osi¹gniêcia najni¿szej, granicznej temperatury. Ciepiej mia³o byæ dopiero w okresie zbli¿ania siê Galji do s³oñca.

Najl¿ejszy powiew wiatru nie zak³óca³ ciszy powietrza. Kolonieci znaleŸli siê w szczególnych warunkach atmosferycznych. Najdrobniejsza molekula powietrza nie zmienia³a swego po³o¿enia. Zdawa³o siê, jakgdyby wszystko, co by³o na komicie p³ynne, lub lotne, zamarz³o. Ani œladu burzy, deszczu, choæby najdelikatniejszego oparu. – adnej mg³y suchej, ani wilgotnej, zalegaj¹cej polarne obszary kuli ziemskiej. Niebo nasycone we dnie równie zimnemi, jak gwiazdne, promieniami s³onecznemi, zachowywa³o niezmienn¹ surowoœæ.

Nale¿y tu stwierdziæ, ¿e te nadmiernie niskie temperatury nie by³y zbyt przykre i nie parali¿owa³y ¿ycia kolonji. W istocie nie mrozy bowiem czyni¹ mieszkañców okolic arktycznych niezdolnymi do pe³nienia wszelkiego rodzaju funkcj ¿yciowych, nie mrozy wycieñczaj¹ ich p³uca, lecz niszczi¹ je ci¹g³e skoki temperatury, ostre wiatry, mg³y niezdrowe i okrutne œnie¿ne zawieje. One te¿ zabijaj¹ podró¿ników polarnych. W bezwietrznych okresach ciszy potrafi¹ ludzie stawiaæ czo³o mrozom i nie pozwol¹ im siê pokonaæ ani na wyspach Melville, czy Parry, ani nawet powy¿ej osiemdziesi¹tego pierwszego stopnia, osi¹gniêtego przez Kane’a, ani poza granicami, w których zatknêli swój sztandar zwyciêski póŸniejsi ryzykanci. Gdy s¹ dobrze ubrani i od¿ywieni, wytrzymuj¹ temperaturê nawet minus szeœædziesiêciu stopni. Ale jedno zastrze¿enie – bez wiatru!

Kolonieci Gor¹cego L¹du mieli wiêc warunki wyraŸnie sprzyjaj¹ce w okresie mrozów. Nie brakowa³o im futer, ani skór. Zdrowego po¿ywienia by³o poddostatkiem. Spokój powietrza pozwala³ na bezkarne spacerowanie na œwie¿em powietrzu. Poza tem, trzeba to przyznaæ, generalny gubernator Galji baczy³ pilnie, aby wszyscy kolonieci ubierali siê ciep³o i jedli poddostatkiem. Zaprowadzono przepisowe æwiczenia gimnastyczne i przestrzegano udzia³u w nich wszystkich rozbitków. Nawet m³ody Pablo i ma³a Nina musieli poddaæ siê rygorowi.

Opatuleni w futra, sprawiali wra¿enie Eskimosów, podczas uprawianej wspólnie œlizgawki u brzegów Gor¹cego L¹du. Pablo nie opuszcza³ prawie swej towarzyski. Dzieli³ jej dzieciêce uciechy i zabawy, pomaga³, gdy czu³a siê zmêczona.

A có¿ – spytacie – dzia³o siê z Hakhabutem? Po niefortunnej prezentacji Palmyrin Rosette’owi, wróci³ jak niepyszny na pok³ad swego statku. W pogl¹dach jego nast¹pi³ ca³kowity przewrót. Po wyjaœnieniach danych przez profesora, nie mó³ ju¿ d³u¿ej w¹tpiaæ. Nie w¹tpi³ te¿! Uwierzy³, ¿e porwa³a go b³¹dzi¹ca w przestworzach kometa i unios³a go o miliony mil od kuli ziemskiej, na której

ongie robi<sup>3</sup> tyle dobrych interesów.

Zdawa<sup>3</sup>oby siê, że nowa sytuacja zmieni jego pogl<sup>1</sup>dy i ugnie charakter, że ożywi<sup>1</sup> go jakieś lepsze uczucia w stosunku do tych nielicznych bli<sup>Ź</sup>nich, z którymi dane mu by<sup>3</sup>o odt<sup>1</sup>d przebywaæ, że przestanie ich traktowaæ jedynie z punktu widzenia u<sup>1</sup>ytecznoœci i zysku.

Nic siê jednak nie zmieni<sup>3</sup>o. Izaak Hakhabut nie by<sup>3</sup>by skończonym typem sobka i egoisty, gdyby nie myœla<sup>3</sup> zawsze wy<sup>3</sup>cznie o sobie. Przeciwnie, zaci<sup>13</sup> siê jeszcze bardziej i kombinowa<sup>3</sup> ci<sup>1</sup>gle, jakby najkorzystniej wyzyskaæ sytuacjê. Pozna<sup>3</sup> dostatecznie kapitana Servadac'a, aby czua<sup>3</sup> siê bezpiecznym i wiedziaæ, że żadna krzywda mu siê nie stanie. By<sup>3</sup> pod opiek<sup>1</sup> francuskiego oficera, co wyklucza<sup>3</sup>o przedsiêwziêcie przeciwko niemu jakichkolwiek wrogich kroków przez kolonistów. Nieszczêœcie sprowadziæ mog<sup>3</sup>a tylko jakaœ si<sup>3</sup>a wy<sup>1</sup>sza, ale taka nie zdawa<sup>3</sup>a siê zagra<sup>1</sup>aa. I oto jak Izaak Hakhabut zamierza<sup>3</sup> wyzyskaæ sytuacjê.

Z jednej strony, nie nale<sup>1</sup>a<sup>3</sup>o lekcewa<sup>1</sup>yaæ ma<sup>3</sup>o prawdopodobnych, ale mo<sup>1</sup>liwych szans powrotu na Ziemiê, z drugiej zaœ, w ma<sup>3</sup>ej kolonijce nie brak<sup>3</sup>o z<sup>3</sup>ota, ani pieniêdzy, które jednak<sup>1</sup>e nabior<sup>1</sup> wartoœci dopiero na Ziemi. Nale<sup>1</sup>a<sup>3</sup>o przede wszystkim skoncentrowaæ w jednych rêkach ca<sup>3</sup>e bogactwo Galji. W interesie Izaaka Hakhabuta le<sup>1</sup>a<sup>3</sup>a sprzeda<sup>1</sup> towarów przed powrotem, gdy<sup>1</sup> przez fakt, że by<sup>3</sup> to towar jedyny, nabiera<sup>3</sup> on wiêkszej wartoœci na Galji, ni<sup>1</sup> na Ziemi.

Oto nad czym rozmyœla<sup>3</sup> Izaak Hakhabut w swej malutkiej kajucie na *Hanzie*. Koloniœci nie brali mu bynajmniej za z<sup>3</sup>e, że pozbawi<sup>3</sup> ich swego przykrego towarzystwa.

W kwietniu droga przebyta przez Galjê wzros<sup>3</sup>a do trzydziestu dziewiêciu milionów mil, a odleg<sup>3</sup>oœæ od s<sup>3</sup>oñca wynios<sup>3</sup>a pod koniec miesi<sup>1</sup>ca sto dziesiêæ milionów mil. Profesor odrysowa<sup>3</sup> z niezwyk<sup>31</sup> dok<sup>3</sup>adnoœci<sup>1</sup> eliptyczn<sup>1</sup> drogê komety. Podzieli<sup>3</sup> j<sup>1</sup> na dwadzieœcia cztery nierówne odcinki, odpowiadaj<sup>1</sup>ce dwudziestu czterem miesi<sup>1</sup>com galijskim. Podzia<sup>3</sup> ten wskazywa<sup>3</sup> przebieg ka<sup>1</sup>domiesiêczny. Pierwsze dwanaœcie odcinków, odznaczonych na krzywej, kurczy<sup>3</sup>y siê stopniowo, zgodnie z prawem Keplera, g<sup>3</sup>osz<sup>1</sup>cem, że kometa zmierzaj<sup>1</sup>ca ku swemu apheljum porusza siê coraz wolniej i dopiero, przekroczywszy je, zwiêksza tempo, a<sup>1</sup> dobrnie do periheljum.

Któregoœ dnia, a by<sup>3</sup>o to 12-go maja, profesor wtajemniczy<sup>3</sup> w swe prace kapitana Servadac'a, hrabiego Timaszewa i porucznika Prokopa. Przed oczami zaciekawionych s<sup>3</sup>uchaczów rozwinê<sup>3</sup>a siê, biegn<sup>1</sup>ca nieopodal drogi Jowisza, orbita Galji. Drogi ka<sup>1</sup>domiesiêcznego obiegu i odleg<sup>3</sup>oœci od s<sup>3</sup>oñca ujête zosta<sup>3</sup>y w cyfry. Wszystko przedstawia<sup>3</sup>o siê bardzo jasno. W myœel obliczeñ Rosette'a, Galja dokona swego obiegu w ci<sup>1</sup>gu dwóch lat i spotka Ziemiê w tym samym punkcie, w którym nast<sup>1</sup>pi<sup>3</sup>o pierwsze zetkniêcie, gdy<sup>1</sup> w tym samym okresie czasu dokonane zostan<sup>1</sup> dwa obroty ziemskie. Ale jakie bêd<sup>1</sup> konsekwencje nowego zderzenia! Strach bra<sup>3</sup> myœleæ o tem.

W ka<sup>1</sup>dym razie, jeœli nawet teoria profesora Rosette'a budzi<sup>3</sup>a pewne w<sup>1</sup>tpliwoœci, nie mo<sup>1</sup>na by<sup>3</sup>o siê z tem zdradzaæ.

A wiêc – odezwa<sup>3</sup> siê Hector Servadac – Galja w czasie maja przebêdzie trzydzieœci milionów czterysta tysiêcy mil, a odleg<sup>3</sup>oœæ jej od s<sup>3</sup>oñca wyniesie sto trzydzieœci dziewiêæ milionów mil?

Zupe<sup>3</sup>nie s<sup>3</sup>usznie – odpar<sup>3</sup> profesor.

Opuściliemy już strefę planet teleskopowych? – doda<sup>3</sup> hrabia Timaszew.

Proszę, niech pan to sam os<sup>1</sup>dzi – brzmi<sup>3</sup>a odpowiedź profesora – ja wykreśli<sup>3</sup>em strefę tych planet!

Planeta przejdzie swe apheljum równo w rok po przebyciu periheljum? – pyta<sup>3</sup> Hector Servadac. – 15-go stycznia, najbliższego roku!

Oczywiście, 15-go stycznia... Ależ nie! – żachn<sup>13</sup> się profesor. – Dlaczego pan wspomina o tej dacie, kapienie?

Ponieważ od 15-go stycznia do 15-go stycznia według moich obliczeń up<sup>3</sup>ynie rok, inaczej mówi<sup>1</sup>c dwanaście miesięcy!...

Dwanaście miesięcy ziemskich, z tem się zgodzę! – odpar<sup>3</sup> profesor. – Ale nie galijskich.

W tem miejscu porucznik Prokop nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

Pan się śmieje? – zaprotestowa<sup>3</sup> gor<sup>1</sup>co Palmyrin Rosette. – Aż czegoż to, jeżeli wolno zapytać?

Z tego poprostu, panie profesorze, że pan próbuje reformować ziemski kalendarz.

Nie robię nic, co nie jest logiczne!

A zatem bądźmy logiczni, profesorze, logiczni za wszelk<sup>1</sup> cenę! – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> kapitan Servadac.

Czy przyjęte zostało – spyta<sup>3</sup> osch<sup>3</sup>ym tonem Palmyrin Rosette – że Galja w dwa lata po przebyciu swego periheljum wróci doń na nowo?

Przyjęte.

Czy ten dwuletni okres, którego wymaga całkowity obrót dooko<sup>3</sup>a s<sup>3</sup>ońca, odpowiada rokowi galijskiemu?

Tak jest.

Czy rok ten możemy, podobnie jak inne, podzielić na dwanaście miesięcy?

Jeżeli pan sobie tego życzy, profesorze.

To niema nic wspólnego z mojem życzeniem...

A zatem dobrze, możemy – odpar<sup>3</sup> Hector Servadac.

A z ilu dni każdy taki miesiąc będzie się składa<sup>3</sup>!

Z sześćdziesięciu, ponieważ długość trwania dnia zmniejszy<sup>3</sup>a się o po<sup>3</sup>owę.

Kapitanie Servadac – gromi<sup>3</sup> surowo profesor – proszê siê zastanowiæ nad tem, co pan mówi.

Mam wraŹenie, Źe rozumujê w<sup>3</sup>acenie w myœl teorji pana profesora...

Bynajmniej.

Nie rozumiem w takim razie...

AleŹ niema nic prostszego – perorowa<sup>3</sup>, wzruszaj<sup>1</sup>c pogardliwie ramionami, Palmyrin Rosette. –  
Czy kaŹdy miesi<sup>1</sup>c galijski sk<sup>3</sup>ada siê z dwóch miesiêcy ziemskich czy nie?

Najwidoczniej, skoro rok galijski trwaæ ma dwa lata.

A czy szeœædziesi<sup>1</sup>t dni stanowi dwa miesi<sup>1</sup>ce ziemskie?

Tak jest.

Ale cŹ z tego?... – zapyta<sup>3</sup> hrabia Timaszew, zwracaj<sup>1</sup>c siê do profesora.

Co z tego! AleŹ jeœli dwa miesi<sup>1</sup>ce mieszcz<sup>1</sup> w sobie szeœædziesi<sup>1</sup>t dni ziemskich, w takim razie sk<sup>3</sup>adaj<sup>1</sup> siê ze stu dwudziestu o po<sup>3</sup>owê krŹtszych dni galijskich. Czy to wreszcie jest zrozumia<sup>3</sup>e?

Bardzo zrozumia<sup>3</sup>e, panie profesorze – odpar<sup>3</sup> hrabia Timaszew – ale czy nie przypuszcza pan, Źe ten nowy kalendarz bêdzie nieco mêtny...

Mêtny! – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> profesor. – AleŹ ja od pierwszego stycznia nim tylko siê pos<sup>3</sup>ugujê.

W ten sposób – zapyta<sup>3</sup> Hector Servadac – nasz miesi<sup>1</sup>c obecny sk<sup>3</sup>ada siê minimum ze stu dwudziestu dni?

CŹ pan w tem widzi z<sup>3</sup>ego?

Nic, absolutnie, drogi profesorze. Tylko, Źe dzieœ zamiast maja mamy dopiero marzec?

Tak jest, mamy marzec i przeŹywamy dwieœcie szeœædziesi<sup>1</sup>ty szŹsty dzieñ roku galijskiego, co odpowiada sto trzydziestemu trzeciemu ziemskiemu. Dzieœ mamy dwunasty marca galijskiego, a po<sup>3</sup>ywie szeœædziesiêciu dni.

PrzeŹyjemy datê 72-go marca! – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> Hector Servadac. – Brawo! Niech Źyje logika!

Palmyrin Rosette zastanowi<sup>3</sup> siê w<sup>3</sup>acenie, czy czasem dawny uczeñ nie pokpiwa sobie trochê z niego; szczêœliwie rozwaŹania te przerwa<sup>3</sup>o wyjŹecie goœci.

Profesor ustanowi<sup>3</sup> zatem kalendarz galijski. Nie zbija<sup>3</sup>o go wcale z tropu, Źe s<sup>3</sup>uŹy<sup>3</sup> on – to znaczy kalendarz – do jego wy<sup>3</sup>icznego uŹytku, Źe nikt go nie rozumia<sup>3</sup>, skoro mówi<sup>3</sup> o 47-ym kwietnia, lub 118-ym maja. Tymczasem nadchodzi<sup>3</sup>, mówi<sup>1</sup>c zgodnie z dawnym kalendarzem,



czerwiec, w czasie którego Galja miała przebiec przestrzeń dwudziestu siedmiu milionów pięciuset tysięcy mil, a odlegość jej od słońca miała wzrosnąć do stu pięćdziesięciu pięciu milionów mil. Temperatura opadała stale, ale powietrze pozostawało czyste i tak spokojne, jak dawniej. Wszystkie przejawy życia na Galji powtarzały się z niezmienną regularnością, rzecz można z monotonią. Dla zakocenia tej monotonii wystarczała nerwowa, kapryśna, hałaśliwa i kótliwa osoba profesora Palmyrin Rosette'a. Gdy tylko raczy opuścić obserwatorium i zejść do sali ogólnej, stale wizyta jego wywoływała jakieś zajęcie. Dyskusja urywała się stale w chwili, w której Hector Servadac i jego towarzysze wyrażali, mimo gorczych i nieobliczalnych niebezpieczeństw ponownego zetknięcia Galji z Ziemią, radość z tego powodu. Gniewało to profesora, który nie chciał słyszeć o powrocie i pracował spokojnie na Galji, jakgdyby miał tu zamieszkać na stałe.

Któregoś dnia, było to 27-go czerwca, Palmyrin Rosette wpadł jak bomba do sali ogólnej. Zastał w niej kapitana, porucznika, hrabiego Timaszewa i Ben-Zoufa.

Poruczniku – zawołał – proszę odpowiedzieć bez ogródek i fałszywych wykrętów na pytanie, które panu zadam.

Ależ nie mam bynajmniej zwyczaju... – protestował porucznik Prokop.

To bardzo dobrze – odparł Palmyrin Rosette, przemawiając stale z wysokości katedry. – Proszę odpowiedzieć wyraźnie, czy objechał pan Galję po linii jej równika, inaczej mówiąc po okręgu najdłuższego równika?

Tak jest – odrzekł porucznik, zachęcony do tej odpowiedzi gestami hrabiego Timaszewa.

Dobrze. A czy w czasie tej podróży nie notował pan drogi przebytej przez *Dobrynę*?

Owszem, w przybliżeniu. Obliczenie jednak wysokości gwiazd i słońca było niemożliwością.

I cóż pan znalazł?

– Obwód Galji wynosi około dwa tysiące trzysta kilometrów, czyli, że średnica jej mierzy siedemset czterdzieści kilometrów.

Tak... zastanowił się Palmyrin Rosette – średnica ta jest więc szesnastokrotnie mniejsza od wynoszącej dwanaście tysięcy siedemset dziewięćdziesiąt dwa kilometry średnicy ziemskiej.

Kapitan Servadac i dwaj jego towarzysze przyglądali się profesorowi, nie rozumiejąc o co właściwie mu chodzi.

Do skompletowania mych wiadomości o Galji – zaczął Palmyrin Rosette – potrzebna mi jeszcze jej powierzchnia, objętość, masa, ciężar gatunkowy i natężenie siły ciężkości.

Znajdź średnicę Galji, nic łatwiejszego jak znaleźć jej powierzchnię i objętość – odparł porucznik Prokop.

Nie mówię, że to jest trudne – burknął profesor – takie wyliczenia robię w pieluszkach.

Ho, ho – podziwia<sup>3</sup> Ben-Zouf, który szuka<sup>3</sup> tylko okazji dokuczenia profesorowi za jego lekceważenie Montmartre’u.

Uczniu Servadac – zacz<sup>13</sup> Palmyrin Rosette, popatrzywszy wymownie na Ben-Zoufa – proszê wziã pióro do rêki. Maj<sup>1c</sup> okr<sup>1g</sup> największego przeciêcia Galji, proszê mi znaleŹã jej powierzchnię.

W tej chwili, profesorze – odpar<sup>3</sup> Hector Servadac z uk<sup>3</sup>adnoœci<sup>1</sup> dobrego ucznia. – Musimy przemnoŹyã dwa tysi<sup>1ce</sup> trzysta dwadzieœcia trzy kilometrów, czyli obwód Galji, przez jej œrednicê, to znaczy siedemset czterdzieœci kilometrów.

Dobrze, ale proszê siê œpieszyã – pogania<sup>3</sup> uczony – to juŹ powinno byã zrobione! Wiêc, s<sup>3</sup>ucham?

Otrzyma<sup>3em</sup> w rezultacie milion siedemset dziewiętnaœcie tysiêcy dwadzieœcia kilometrów kwadratowych.

Czyli powierzchnia dwieœcie dziewięãdziesi<sup>1t</sup> siedem razy mniejsza od powierzchni Ziemi, która, jak wiadomo, wynosi piêãset dziesiêã milionów kilometrów kwadratowych.

Bagatela! – wyd<sup>13</sup> wargi Ben-Zouf, w bezdennej pogardzie dla komety profesora. Zmia<sup>3</sup>dz<sup>3o</sup> go piorunuj<sup>1ce</sup> spojrzenie Palmyrin Rosette’a.

I cóŹ dalej – zapala<sup>3</sup> siê profesor – jaka<sup>3</sup> jest objêtoœã Galji?

Objêtoœã?... – wahanie drga<sup>3o</sup> w g<sup>3</sup>osie kapitana.

Uczniu Servadac, czyŹ nie potrafi pan juŹ obliczyã objêtoœci kuli, której powierzchnia jest znana?

Owszem, owszem, profesorze... Ale nie daje mi pan nawet chwili wytchnienia!

Matematyka nie zna wytchnienia, mój panie, tak jest, nie zna!

Trzeba by<sup>3o</sup> wyj<sup>1tkowego</sup> opanowania ze strony s<sup>3</sup>uchaczów Palmyrin Rosette’a, aby nie wybuchn<sup>1ã</sup> œmiechem.

Czy skończymy wreszcie – nagli<sup>3</sup> profesor.

Objêtoœã kuli równa siê iloczynowi powierzchni – recytowa<sup>3</sup> niepewnie Hector Servadac – przez...

Przez trzeci<sup>1</sup> czêœã promienia, mój panie – irytowa<sup>3</sup> siê juŹ nie na Źarty Palmyrin Rosette – przez trzeci<sup>1</sup> czêœã. Czy bêdzie wreszcie koniec?

Za chwilê! Trzecia czêœã promienia Galji wynosi sto dwadzieœcia trzy, trzy, trzy...

Trzy, trzy, trzy, trzy... – œpiewa<sup>3</sup> ca<sup>3</sup>a gam<sup>1</sup> Ben-Zouf.

Milczeæ! – rykn<sup>13</sup> profesor. – Proszê siê zadowolniaæ dwoma pierwszymi znakami dziesiêtnymi i resztê odrzuciæ.

Odrzuci<sup>3</sup>em – odpar<sup>3</sup> Hector Servadac.

A zatem?

Rezultat mnożenia siedmuset dziewiętnastu tysięcy dwudziestu przez sto dwadzieścia trzy i trzydzieści trzy setne kilometra jest dwieście jedenastym milionów czterysta trzydzieści dziewięć tysięcy czterysta sześćdziesiąt kilometrów sześciennych.

Oto objętość mej komety! – cieszy<sup>3</sup> się profesor. – To jest coś, proszę państwa!

Oczywiście – zgodzi<sup>3</sup> się porucznik Prokop – ale objętość Ziemi przewyższa j<sup>1</sup> pięć tysięcy sto sześćdziesiąt sześć razy, gdyż wynosi w okr<sup>1</sup>g<sup>3</sup>ych cyfrach...

Tryljon osiemdziesiąt dwa miliardy osiemset czterdzieści jeden milionów kilometrów sześciennych. Wiem o tem, proszę pana – dokończy<sup>3</sup> Palmyrin Rosette.

A zatem – ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> porucznik Prokop – objętość Galji jest jeszcze dużo mniejsza od objętości księżycy, która wynosi czterdziest<sup>1</sup> dziewięć<sup>1</sup> czêść objętości Ziemi.

Któż to panu powiedzia<sup>3</sup>? – stara<sup>3</sup> się odparowaæ cios, dotknięty do żywego, profesor.

Tak jest stanowczo – ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> bezlitośnie porucznik Prokop – i Galja, obserwowana z Ziemi, musia<sup>3</sup>aby być zaliczona do niewidzialnych go<sup>3</sup>em okiem gwiazd œredniej wielkości.

W imię Ojca i Syna! – żegna<sup>3</sup> się Ben-Zouf. – To ci dopiero kometa! I na takiej odrobinie umieściliœmy się?

Milczeæ! – wrzasn<sup>13</sup>, nieposiadaj<sup>1</sup>cy się ze z<sup>3</sup>ości Palmyrin Rosette.

Orzeszek, nêdzny groszek, ziarnko gorczycy! – przedrzeŹnia<sup>3</sup> niewzruszony ordynans.

Uspokój się, Ben-Zoufie – skarci<sup>3</sup> go kapitan Servadac.

Łeppek od szpilki! Zupe<sup>3</sup>ne zero!

Uspokoisz się, durniu?!

Ben-Zouf zrozumia<sup>3</sup>, że miarka się przebra<sup>3</sup>a i opuœci<sup>3</sup> salê, wybuchaj<sup>1</sup>c jednakże homeryckim œmiechem.

Ben-Zouf wyszed<sup>3</sup> w sam<sup>1</sup> porê, gdyż Palmyrin Rosette straci<sup>3</sup> już panowanie nad sob<sup>1</sup> i trzeba by<sup>3</sup>o dobrej chwili, aby wróci<sup>3</sup> do równowagi. By<sup>3</sup> conajmniej tak wrażliwy na punkcie swej komety,

jak Ben-Zouf na punkcie Montmartre'u. Obaj bronili swej w<sup>3</sup>asnoœci z równ<sup>1</sup> zaciek<sup>3</sup>oœci<sup>1</sup>.

Wreszcie profesor odzyska<sup>3</sup> mowê i zwróci<sup>3</sup> siê do swych s<sup>3</sup>uchaczów:

Panowie, znamy teraz œrednicê, obwód, powierzchnię i objêtoœæ Galji. Jest to ju¿ wiele, ale jeszcze nie wszystko. Pragnê znaleŹæ drog<sup>1</sup> pomiarow<sup>1</sup> jej masê, ciê¿ar gatunkowy i si<sup>3</sup>ê przyci<sup>1</sup>gania na powierzchni komety.

To bêdzie trudne – odrzek<sup>3</sup> hrabia Timaszew.

Nie lêkam siê trudnoœci. Pragnê znaæ masê mej komety i poznam j<sup>1</sup> niew<sup>1</sup>tpliwie.

Zagadnienie utrudnia fakt, ¿e nie znamy substancji z jakiej zbudowana jest Galja – zauwa¿y<sup>3</sup> porucznik Prokop.

Czy¿by? Nie znacie panowie tej substancji? – pyta<sup>3</sup> profesor.

Nie znamy – odpar<sup>3</sup> hrabia Timaszew – i jeceli pan móg<sup>3</sup>by nas oœwieciæ w tym wzglêdzie...

Mniejsza o to – uci<sup>13</sup> krótko Palmyrin Rosette – i bez tego rozwi<sup>1</sup>¿ê zagadnienie.

Jesteœmy na pañskie us<sup>3</sup>ugi, profesorze – wtr<sup>1</sup>ci<sup>3</sup> Hector Servadac.

Moje obliczenia i obserwacje wymagaj<sup>1</sup> jeszcze miesi<sup>1</sup>ca czasu – odpar<sup>3</sup> oschle astronom – zechc<sup>1</sup> zapewne panowie poczekaæ, a¿ skoñczê!

Oczywiœcie, poczekamy jak d<sup>3</sup>ugo pan zechce! – uprzejmie zakoñczy<sup>3</sup> hrabia Timaszew.

A nawet jeszcze d<sup>3</sup>u¿ej! – dorzuci<sup>3</sup> z humorem Hector Servadac, nie mog<sup>1</sup>c siê powstrzymaæ od tej z<sup>3</sup>oœliwej uwagi.

A zatem spotkamy siê za miesi<sup>1</sup>c, 62-go kwietnia.

Rozmowa ta mia<sup>3</sup>a miejsce, wed<sup>3</sup>ug kalendarza ziemskiego, dnia 31-go lipca.

## Rozdzia<sup>3</sup> V,

*w którym Palmyrin Rosette uznaje urz<sup>1</sup>dzenia kolonji za niedostateczne.*

Przypadkowych mieszkañców Galji niepokoi<sup>3</sup>y wci<sup>1</sup>¿ te same myœli: czy pewny jest powrót na Ziemiê? Czy astronom nie pomyli<sup>3</sup> siê w swych obliczeniach? Czy dobrze okreœli<sup>3</sup> drogê komety i czas jej obiegu doko<sup>3</sup>a s<sup>3</sup>oñca.

Palmyrin Rosette by<sup>3</sup> tak opryskliwy, ¿e nie sposób by<sup>3</sup>o go prosiæ o rewizjê obliczeñ.

Nic dziwnego, że w tym stanie rzeczy Hectora Servadac'a, hrabiego Timaszewa i porucznika Prokopa trapił ciłgły niepokój. Pozostali koloniłeci nie tracili nigdy ducha. Nic ich nie obchodziły losy Galji. Umiarkowana praca i obfitość pożywienia czyniły ich szczęliwymi.

Najszczęliwszł jednak parł kolonistów byli niewłtpliwił – młody Pablo i mała Nina! Jakże wesoł biegali po długich galerjach groty i drapali sił na przybrzeżne skały! Jednego dnia wypuszczali sił na łyłwach ał hen, poza linił horyzontu, innego znów zabawiali sił połowem ryb w jedynem małem jeziorzku, które ognista kaskada utrzymywała w stanie płynnym. Zabawy te nie przeszkadzały bynajmniej lekcjom, których udzielał im Hector Servadac.

Ktoregoł dnia Pablo zapytał:

Czy rodzice twoi łyjł, Nino?

Nie – brzmiła odpowiedź – jestem zupłnie sama na łwiecie, a ty Pablo?

Ja równieł jestem sierotł. Jakie miałacł zajłcie?

Pasłam moje kozy.

A ja zajłty byłem przy koniach.

Zato teraz nie jestełemy juł samotni, prawda Pablo?

O nie, teraz wszystko sił zmieniło.

Pan gubernator jest naszym ojcem, a hrabia i porucznik to wujaszkwie.

A Ben-Zouf jest naszym towarzyszem – dorzucił Pablo.

I wogółe wszyscy sł bardzo mili – ciłgnłł mała Nina – psujł nas! Ale nie powinniłemy na to pozwoliłacł, Pablo! Powinni byłacł z nas stale zadowoleni!

Jesteł tak rozsłdnł, Nino, że przebywajłc z tobł mimowoli stajł sił lepszy.

Jestem twojł siostrł, a ty moim braciszkiem – zakonkludowała powałnie Nina.

Naturalnie – odparł Pablo.

Wdziłk i uprzejmość tej młodej pary zjednał im serca wszystkich. Nie szczłdzono im słów serdecznych, ani pieszczot. Kapitan Servadac i hrabia Timaszew otaczali ich łłcie ojcowskł troskliwołcił i opiekł. Czył mieli powody łalowałacł rozpalonych piasków Andaluzji lub jałowych skał Sardinji? Dobrze im było, jak było, i nie pamiłłali, że kiedykolwiek było inaczej.

Nadszed<sup>3</sup> lipiec. W tym okresie i w ci<sup>1</sup>gu tego miesi<sup>1</sup>ca Galja mia<sup>3</sup>a do przebycia drog<sup>ê</sup> dwudziestu dwóch milionów mil, a odleg<sup>3</sup>oœæ jej od s<sup>3</sup>oñca wynosi<sup>3</sup>a sto siedemdziesi<sup>1</sup>t dwa miliony. Mimo szybkoœci równej prawie szybkoœci Ziemi, odleg<sup>3</sup>oœæ Galji by<sup>3</sup>a cztery i pó<sup>3</sup> razy wiêksza, ni¿ odleg<sup>3</sup>oœæ Ziemi od s<sup>3</sup>oñca. Êrednia szybkoœæ obiegu Ziemi po ekliptyce wynosi bowiem oko<sup>3</sup>o dwudziestu jeden milionów mil miesiêcznie, co stanowi osiemset mil na godzinê.

Dnia 62-go kwietnia, wed<sup>3</sup>ug kalendarza galijskiego, kapitan Servadac odebra<sup>3</sup> króciutki bilecik od profesora Palmyrin Rosette'a z informacj<sup>1</sup>, ¿e zamierza dnia tego przyst<sup>1</sup>piæ do obliczenia masy i ciê¿aru gatunkowego swej komety oraz si<sup>3</sup>y ci<sup>1</sup>¿enia na jej powierzchni.

Hector Servadac, hrabia Timaszew i porucznik Prokop nie omieszkali skorzystaæ z naznaczonego spotkania, jakkolwiek zapowiedziane doœwiadczenia nie mog<sup>3</sup>y interesowaæ ich w tym stopniu, co profesora. Najchêtniej uwierzyliby mu na s<sup>3</sup>owo.

Z samego rana Palmyrin Rosette odszuka<sup>3</sup> ich w sali ogólnej. Zdawa<sup>3</sup> siê byæ w humorze nienajgorszym, ale dzieñ budzi<sup>3</sup> siê zaledwie do ¿ycia, wiêc i humor profesora móg<sup>3</sup> siê jeszcze zmieniaæ.

Wszyscy wiemy, co nale¿y rozumieæ przez okreœlenie „si<sup>3</sup>y ci<sup>1</sup>¿enia”. Jest to si<sup>3</sup>a, któr<sup>1</sup> wywiera dana planeta na jednostkê masy. Pamiêtamy te¿, w jakim stopniu si<sup>3</sup>a ta os<sup>3</sup>ab<sup>3</sup>a na Galji.

Masa uzale¿niona jest od iloœci substancji danego cia<sup>3</sup>a i wyra¿a siê jego wag<sup>1</sup>. Ciê¿ar gatunkowy zaœ jest cech<sup>1</sup> swoist<sup>1</sup> danej substancji.

Pierwsz<sup>1</sup> wo<sup>3</sup>aj<sup>1</sup>c<sup>1</sup> o rozstrzygniêcie spraw<sup>1</sup> by<sup>3</sup>o zagadnienie si<sup>3</sup>y przyci<sup>1</sup>gania na powierzchni Galji.

Drug<sup>1</sup> kwestj<sup>1</sup> by<sup>3</sup>o ustalenie masy i ciê¿aru Galji. Trzeciem zagadnieniem by<sup>3</sup>a iloœæ substancji sk<sup>3</sup>adaj<sup>1</sup>cej Galjê, co, maj<sup>1</sup>c dan<sup>1</sup> objêtoœæ, pozwoli obliczyæ ciê¿ar gatunkowy.

Panowie – rozpocz<sup>13</sup> profesor – nadszed<sup>3</sup> wreszcie dzieñ, w którym poznamy wszystkie elementy naszej komety. Znaj<sup>1</sup>c si<sup>3</sup>ê ci<sup>1</sup>¿enia, masê i ciê¿ar gatunkowy, bêdziemy wiedzieli ju¿ wszystko. Przystêpujemy zatem do zwa¿enia Galji!

Ben-Zouf, który wchodzi<sup>3</sup> w<sup>3</sup>acenie na salê, pochwyci<sup>3</sup> ostatnie s<sup>3</sup>owa profesora. Cofn<sup>13</sup> siê natychmiast i wracaj<sup>1</sup>c po chwili, rzek<sup>3</sup> z min<sup>1</sup> filutern<sup>1</sup>:

Przejrza<sup>3</sup>em ca<sup>3</sup>y magazyn i nigdzie nie mog<sup>3</sup>em znaleŹæ wagi. Doprawdy nie wiem, gdzie siê mog<sup>3</sup>a zapodziazæ!

Mówi<sup>1</sup>c to ordynans wygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> przez otwór w ska<sup>3</sup>ach, jakgdyby szuka<sup>3</sup> w niebiosach rozwi<sup>1</sup>zania zagadki.

Przeszywaj<sup>1</sup>ce spojrzenie profesora i wymowny gest Hectora Servadac'a po<sup>3</sup>o¿y<sup>3</sup>y kres dalszym ¿artom.

Przedewszystkiem musimy ustaliaæ – ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> Palmyrin Rosette – wiele wa¿y na Galji ziemski

kilogram. Na skutek mniejszej masy Galji, mniejsza też jest siła przyciągania, i, co zatem idzie, wszystkie przedmioty na jej powierzchni ważą mniej, niż na powierzchni Ziemi. Potrzebny nam jest stosunek tych wag.

Słusznie – zauważył porucznik Prokop – ale zwykła waga, gdybyśmy nawet tak znaleźli, nicby nam tu nie pomogła, gdyż obie jej szalki, jednakowo podległe galijskim siłom ciążenia, nie dałyby miary stosunku ciężaru ciała na Galji do jego ciężaru na kuli ziemskiej.

Istotnie – zgodził się hrabia Timaszew – kilogram bowiem, którym posiłkowalibyśmy się jako odważnikiem, straciłby tyle na swej wadze, ile przedmiot ważony, czyli...

Panowie – przerwał niecierpliwie astronom – jeżeli mówicie to wszystko celem pouczenia mnie osobiście, tracicie czas niepotrzebnie. Proszę więc, pozwólcie mi dojść do głosu!

I rozpoczął się wykład ex cathedra.

Czy posiadacie wagę i odważnik jednego kilograma? – zapytał. – Te dwie rzeczy jedynie są mi niezbędnymi. Waga zaopatrzona w stalową blaszkę, lub sprężynę, wskaże mi natychmiast pod działaniem siły przyciągania ciężar. Siły przyciągania nie mają tu nic do rzeczy. W istocie, jeżeli na wadze takiej zawieszę ciężar jednego kilograma ziemskiego, strzałka wskaże mi dokładnie wagę tego ziemskiego kilograma na powierzchni Galji. W ten sposób poznam zależność między siłą przyciągania ziemskiego i galijskiego. Powtarzam zatem pytanie: czy macie wagę?

Słuchacze Palmyrin Rosette'a spojrzeli po sobie. Później Hector Servadac zwrócił się do Ben-Zoufa, kustosa i szafarza bogactw kolonii.

Nie posiadamy ani wagi, ani odważnika kilogramowego – informował ordynans.

Profesor dał wyraz swemu niezadowoleniu silnie tupnąwszy nogą.

Ale zdaje mi się – ciągnął Ben-Zouf – że mógłbym wskazać miejsce, w którym znajduje się zarówno waga, jak i odważnik.

Gdzie?

Na statku Hakhabuta.

Trzeba było tak mówić odrazu, durniu jeden! – zwrócił się profesor, wzruszając ramionami.

A co ważniejsze, przedmioty te trzeba czym prędzej sprowadzić – dodał kapitan Servadac.

Już idę! – zgodził się Ben-Zouf.

Będzie ci towarzyszył – oświadczył kapitan – gdyż obawiam się trudności ze strony tego skłopa, Hakhabuta.

Chodźmy wszyscy razem – zaproponował hrabia Timaszew – zobaczymy, jak Izaak urządzi się

na swej *Hanzie*.

Gdy kierowano się ku wyjściu, profesor zagadn<sup>13</sup> hrabiego:

Czy któryś z pańskich ludzi nie mógłby wyciosać z kawałka skały bloku o wymiarach sześciennego decymetra?

Mój mechanik wykonałby to z łatwością, gdyby mu tylko dostarczył miary metrycznej.

Czy i tego nawet nie posiadacie? – denerwował się Palmyrin Rosette.

W głównym magazynie żadnej miary nie było. Ben-Zouf musiał to wyznaczyć ze skrucza.

Ale – dodał – bardzo możliwe, że i to znajdziemy na *Hanzie*.

Chodźmy więc prędzej – dyrgolą profesor i szybkim krokiem ruszył w głąb galerji. Całe towarzystwo podążało za nim. W kilka chwil później Hector Servadac, hrabia, porucznik i Ben-Zouf znaleźli się już u wylotu groty. Spuścili się nadół, kierując kroki ku wsłskiej, zamrażającej zatoce, gdzie wśród lodów uwięzione były *Dobryna* i *Hanza*. Mimo mrozu, sięgającego trzydziestu pięciu stopni, kapitan i jego towarzysze dobrze ubrani, opatuleni w skóry i futra, czuli się dobrze. Tylko brody ich, brwi i rzęsy pokryły się momentalnie kryształkami lodu. Komiczny był widok ich twarzy najeżonych białymi, cienkimi, jak zjeżona sierść owinki morskiej, igłkami. Bardziej karykaturalna od innych była, przypominająca niedźwiadka, postać profesora.

Była godzina ósma nad ranem. Słońce zbliżało się szybko ku zenitowi. Błada jego tarcza sprawiała z odległości wrażenie księżycy w pełni. Promienie nie grzały i blask ich był bardzo niki. Wszystkie skały u stóp wulkanu i samo zbocze pokryte były nieskazitelnie białym powłokiem. Wszędzie, aż po szczyt dymiącego stołka leżał puszysty, nieskażony najmniejszy plamek dywan. Wzdłuż północnego zbocza góry kaskadami spływała lawa. Tu cienie ustąpiły miejsca ognistym potokom, wijącym się w wąskich splotach aż ku wylotowi wielkiej groty, skąd już prostopadle spadały do morza.

W górze, mniej więcej sto pięćdziesiąt stóp ponad pieczarą, rysowała się czarna plama. Z tej czołoci sterczała luneta astronomiczna, było to bowiem obserwatorium Palmyrin Rosette'a.

Cieniste wybrzeże sięgało w nierozdzielnie całości z zamrażającą powierzchnią wód. Ani ciału jakiegł linji demarkacyjnej. Od bezmiernej białej powierzchni odcinał się tylko blady błękit nieba. Na wybrzeżu widoczne były ciałdy nóg kolonistów, którzy przybywali tu na wyrłb lodu, lub dla zaliczenia rozkoszy ciałzgawki. Krzywe, zakreślonel yłwami na zlodowacającej skorupie, mijały się i przecinały jak koliste drogi morskich łyltek roztaczające się na powierzchni wód. Ciałdy stóp ludzkich widniały i w kierunku *Hanzy*. Pozostawił je po sobie Izaak Hakhabut, gdy wychodził przed ostatnią cieniełyc. Pod wpływem zimna nabrały one trwałości brązu. Pół kilometra oddzielało podnóże góry od zatoczki, w której zimowała statki.

Porucznik Prokop zauważył, że *Hanza* i jacht wznosiły się teraz przynajmniej na dwadzieścia stóp ponad poziom morza.



Ciekawe zjawisko! – rzek<sup>3</sup> kapitan Servadac.

Ciekawe i niepokoj<sup>1</sup>ce – doda<sup>3</sup> porucznik. – Najwidoczniej pod kad<sup>3</sup>ubami statków odbywa się w dalszym ci<sup>1</sup>gu proces zamarzania. Tê<sup>1</sup>cej<sup>1</sup>ca stopniowo skorupa uniesie w pewnej chwili statki z nieobliczalną wprost si<sup>31</sup> w górê.

Ale i ta robota musi wszak mieæ swoje granice! – wtr<sup>1</sup>ci<sup>3</sup> hrabia Timaszew.

Trudno to przes<sup>1</sup>dzaæ – brzmi<sup>3</sup>a odpowied<sup>Ÿ</sup> porucznika Prokopa – albowiem mróz nie osi<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> jeszcze punktu kulminacyjnego.

Zastanawiam się – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> profesor – czy poto oddalilibyśmy się o dwieście milionów mil od s<sup>3</sup>oñca, aby osi<sup>1</sup>gn<sup>1æ</sup>zaledwie temperaturê ziemskich biegunów!!

Pañskie rozczarowanie jest dla nas przykre, profesorze – podj<sup>13</sup> porucznik Prokop – na szczêcie jednak temperatura atmosfery nie przekracza 60-70 stopni, co ostatecznie moŹna przetrzymaæ.

Ba! Rzecz prosta – zgodzi<sup>3</sup> się Hector Servadac – zimno bez wiatru jest zimnem bez kataru i, da Bóg, przetrzymamy ca<sup>31</sup> zimê, nie kichn<sup>1</sup>wszy nawet.

Tymczasem porucznik Prokop dzieli<sup>3</sup> się z ksiêciem obawami, jakie mu nasuwa<sup>3</sup>o po<sup>3</sup>oŹenie *Dobryny*. Nagromadzenie zlodowacia<sup>3</sup>ych warstw grozi<sup>3</sup>o wzniesieniem jachtu na znacz<sup>1</sup> wysokoœæ. W tych warunkach w okresie odwil<sup>1</sup>Źy naleŹa<sup>3</sup>o się obawiaæ katastrofy w rodzaju tych, które niszc<sup>1</sup> na morzach arktycznych statki przeznaczone do po<sup>3</sup>owu wielorybów. Nie by<sup>3</sup>o jednak sposobu z<sup>3</sup>emu zaradziæ.

ZbliŹano się do zamkniêtej w lodowych okowach *Hanzy*. Cewie<sup>1</sup>o przez Izaaka Hakhabuta wyr<sup>1</sup>bane w lodzie stopnie umoŹliwia<sup>3</sup>y wstêp na pok<sup>3</sup>ad.

S<sup>3</sup>abiutki niebieski p<sup>3</sup>omyczek wymyka<sup>3</sup> się z widocznej z pod zasp œnieŹnych miedzianej rury. Sk<sup>1</sup>piec oszczêdza<sup>3</sup> najwidoczniej paliwa, albo zimno nie dawa<sup>3</sup>o mu się zbyt dotkliwie we znaki. Istotnie, okalaj<sup>1</sup>ce statek warstwy lodu, jako z<sup>3</sup>e przewodniki ciep<sup>3</sup>a, utrzymywa<sup>3</sup>y we wnêtrzu znoen<sup>1</sup> temperaturê.

Hej tam, stary! Szykuj-no szampana! – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> Ben-Zouf.

## ROZDZIA“ VI,

w którym Izaak Hakhabut znajduje wspania<sup>31</sup> okazjê wypoŹyczenia swych pieniêdzy na niepomiernie wysoki procent.

Na wezwanie Ben-Zoufa drzwi tylnej kajuty uchyli<sup>3</sup>y się i Hakhabut wysun<sup>13</sup> z nich rozczochran<sup>1</sup> g<sup>3</sup>owê.

Kto tam? – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>. – Czego chcecie ode mnie! Niema tu nikogo. Nie sprzedajê

nic, ani teź nic nie poźyczam.

Bardzo to piêknie z pañskiej strony – odpar<sup>3</sup> wynioœcie kapitan Servadac. – Ale proszê nas nie traktowaæ jak z<sup>3</sup>odziei!

Ach! to pan, panie gubernatorze generalny, – zdziwi<sup>3</sup> siê Izaak, nie opuszczaj<sup>1</sup>c jednak kabiny.

On we w<sup>3</sup>asnej osobie – wrzasn<sup>13</sup> Ben-Zouf, który usadowi<sup>3</sup> siê w miêdzyczasie na pok<sup>3</sup>adzie. – Powinieneœ siê czuæ zaszczycony t<sup>1</sup> wizyt<sup>1</sup>! Dalej! Wy<sup>3</sup>aÿ z nory!

Izaak Hakhabut stan<sup>13</sup> w ca<sup>3</sup>ej okaza<sup>3</sup>oœci w p<sup>3</sup>o<sup>3</sup>-uchylonych drzwiach kajuty. Ani na chwilê nie wypuszcza<sup>3</sup> jednak z r<sup>1</sup>k klamki, gotowy kaźdej chwili, w razie groź<sup>1</sup>cego niebezpieczeñstwa, zamkn<sup>1</sup>æ siê na wszystkie spusty.

Czego sobie Ÿyczycie! – zapyta<sup>3</sup>.

Porozmawiaæ z panem przez chwilê – odpar<sup>3</sup> kapitan – i mam nadziejê, Ÿe ze wzglêdu na srogi mr<sup>3</sup>z, zaprosi nas pan na kwadransik do wnêtrza.

Jakto? Chcecie wejœæ na statek? – z<sup>3</sup>oœci<sup>3</sup> siê Izaak, nie staraj<sup>1</sup>c siê nawet ukryæ, jak dalece wizyta ta wyda<sup>3</sup>a mu siê podejrzana.

Tak jest – odpar<sup>3</sup> Hector Servadac, wstêpuj<sup>1</sup>c juź wraz z towarzyszami na stopnie.

Nie mogê was niczem ugoœciæ – skarźy<sup>3</sup> siê sk<sup>1</sup>piec znêkanym g<sup>3</sup>osem – jestem biednym cz<sup>3</sup>owikiem!

Juź zaczynasz skomlaæ – uci<sup>13</sup> kr<sup>3</sup>otko Ben-Zouf. – Dalej z drogi! – I chwyci<sup>3</sup> bezceremonjalnie Izaaka za ko<sup>3</sup>nierz, usuwaj<sup>1</sup>c go nabok. Poczem otworzy<sup>3</sup> naoœcieŸ drzwi kajuty.

Wiedz, Hakhabucie – zabra<sup>3</sup> zkolei g<sup>3</sup>os kapitan Servadac – Ÿe nie przychodzimy w tej chwili wyw<sup>3</sup>aszczyæ ciê z twego mienia. Mimo to, zaznaczam raz jeszcze, Ÿe, gdy interes publiczny bêdzie tego wymaga<sup>3</sup>, nie zawaham siê zasekwestrowaæ twego <sup>3</sup>adunku... p<sup>3</sup>ac<sup>1</sup>c ci za towary wed<sup>3</sup>ug europejskich cen rynkowych.

Bieź<sup>1</sup>ce ceny rynków europejskich – mamrota<sup>3</sup> pod nosem Hakhabut – o nie, mój panie! Bieź<sup>1</sup>ce ceny galijskie i to takie, jakie sam podam!

Tymczasem Hector Servadac i jego towarzysze znaleÿli siê w kajucie *Hanzy*. By<sup>3</sup> to k<sup>1</sup>cik bardzo szczup<sup>3</sup>y, gdyŸ ca<sup>3</sup>y statek wype<sup>3</sup>niony by<sup>3</sup> towarem. Nawprost

hamaku, s<sup>3</sup>u<sup>1</sup>cego za <sup>3</sup>ó<sup>1</sup>ko, sta<sup>3</sup> ma<sup>3</sup>y piecyk, na którym <sup>1</sup>arzy<sup>3</sup>y siê dwa kawa<sup>3</sup>ki wêgla. W g<sup>3</sup>êbi czerni<sup>3</sup>a siê starannie na klucz zamkniêta szafa. Kilka sto<sup>3</sup>ków, sosnowy stó<sup>3</sup> w<sup>1</sup>tpliwej czystoœci, najniezbêdniejsze naczynia kuchenne, to by<sup>3</sup>o wszystko! Urz<sup>1</sup>dzenie zatem by<sup>3</sup>o ma<sup>3</sup>o komfortowe, ale godne w<sup>3</sup>aœciciela *Hanzy*.

Pierwszym czynem Ben-Zoufa by<sup>3</sup>o rozniecenie wiêkszego ognia w piecyku. Wywo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>o to jêki i narzekania Hakhabuta, nikt jednak na skargi jego nie reagowa<sup>3</sup>. Ben-Zouf pozosta<sup>3</sup> na stra<sup>1</sup>zy pieca, który udoskonali<sup>3</sup> sprytnie pomyœlan<sup>1</sup> wentylacj<sup>1</sup>. Reszta goœci, usadowiwszy siê jak i gdzie kto móg<sup>3</sup>, powierzy<sup>3</sup>a kapitanowi misjê wy<sup>3</sup>o<sup>1</sup>zenia celu odwiedzin.

Izaak Hakhabut, skurczony w k<sup>1</sup>cie kabiny z boleœnie na piersiach splecionymi rêkami, robi<sup>3</sup> wra<sup>1</sup>zenie skazañca, czekaj<sup>1</sup>cego na odczytanie wyroku.

Przyszlicemy tutaj, panie Izaaku – odezwa<sup>3</sup> siê wreszcie kapitan Servadac – aby prosiaê pana o drobn<sup>1</sup> przys<sup>3</sup>ugê.

Przys<sup>3</sup>ugê?

Tak jest. We wspólnym naszym interesie.

Ale<sup>1</sup> ja nie mam <sup>1</sup>adnych wspólnych interesów!...

Nie opieraj siê, Hakhabucie, bo tu nie chodzi o obdarcie ciê ze skóry!

Prosiaê o przys<sup>3</sup>ugê mnie, biednego cz<sup>3</sup>owieka!?... – lamentowa<sup>3</sup> p<sup>3</sup>aczliwie <sup>1</sup>yd.

Zaraz ci wyjaœniê o co chodzi – ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> kapitan Servadac, udaj<sup>1</sup>c, <sup>1</sup>e nie s<sup>3</sup>yszy skarg i narzekañ. Uroczysty ten wstêp dreszczem strachu przej<sup>13</sup> sk<sup>1</sup>pca.

Jednem s<sup>3</sup>owem – mówi<sup>3</sup> kapitan – potrzeba nam sprê<sup>1</sup>ynowej wagi. Czy móg<sup>3</sup>byœ nam takiej u<sup>1</sup>czyaê?

Wagi? – przerazi<sup>3</sup> siê Izaak, jakgdyby proszono go o po<sup>1</sup>yczkê kilku tysiêcy franków. – Panowie chcecie wagi!

Tak, tak! Chcemy wagi do wa<sup>1</sup>zenia! – powtórzy<sup>3</sup> Palmyrin Rosette, wyprowadzony ju<sup>1</sup> tym d<sup>3</sup>ugim wstêpem z równowagi.

Czy<sup>1</sup>by pan nie mia<sup>3</sup> wagi! – zapyta<sup>3</sup> porucznik Prokop.

Owszem ma, sam j<sup>1</sup> widzia<sup>3</sup>em – wtr<sup>1</sup>ci<sup>3</sup> Ben-Zouf.

Istotnie. Tak... zdaje mi siê... – mamrota<sup>3</sup> Izaak.

A zatem, czy zechcia<sup>3</sup>by pan użyczyæ nam tej wagi?

Użyczyæ!! – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> lichwiarz. – Panie gubernatorze, pan Ź<sup>1</sup>da ode mnie pożyczki!...

Na jeden jedyny dzieñ – niecierpliwi<sup>3</sup> siê profesor. – Potem zwrócimy ci twoj<sup>1</sup> wagê! Możesz spaæ spokojnie...

Ale to jest przyrz<sup>1</sup>d bardzo delikatny, panie profesorze, sprêżyna może pęk<sup>1</sup>æ od mrozu...

O! zwierzę! – rykn<sup>13</sup> Palmyrin Rosette.

A w dodatku może chodzi o wążenie rzeczy bardzo ciężkich?

–

Czy przypuszczasz idjoto, że bédziemy ważyli góry! – zapyta<sup>3</sup> Ben-Zouf.

Wiêcej jak góry – rzek<sup>3</sup> z powag<sup>1</sup> Palmyrin Rosette – zważymy ca<sup>3</sup>a Galjê!

O nieba, litoœci! – krzycza<sup>3</sup> Izaak, przewiduj<sup>1</sup>cy już sw<sup>1</sup> ruinê.

Ponownie zabra<sup>3</sup> g<sup>3</sup>os kapitan Servadac:

Bédziemy ważyli ciężar jednego tylko kilograma.

Ca<sup>3</sup>y kilogram, Boże b<sup>1</sup>dŸ mi<sup>3</sup>oœciw!

A kilogram na Galji, jak panu wiadomo, jest dużo lżejszy, niż na Ziemi. Może pan zatem byæ spokojny o swój<sup>1</sup> wagê!

Œwiête s<sup>3</sup>owa... racja... panie gubernatorze – odpar<sup>3</sup> Izaak – ale jednakże... pożyczczyæ... pożyczczyæ!...

Skoro pan siê wzdraga pożyczczyæ – wtr<sup>1</sup>ci<sup>3</sup> hrabia Timaszew – może pan sprzeda?

Sprzedaæ? moj<sup>1</sup> wagê? o wielkie nieba! – krzycza<sup>3</sup> Hakhabut. – A na czymże bédê waży<sup>3</sup> towary? Mam tylko ten jeden marny przyrz<sup>1</sup>dzik i tego chc<sup>1</sup> mnie pozbawiæ!

Ben-Zouf potêpia<sup>3</sup> cierpliwocæ z jak<sup>1</sup> kapitan pertraktowa<sup>3</sup> ze sk<sup>1</sup>pcem. Palce mu już drga<sup>3</sup>y, aby chwyciæ chciwca za gard<sup>3</sup>o i zdusiæ bez mi<sup>3</sup>osierdzia. Hectora Servadac'a jednakże najwidoczniej bawi<sup>3</sup>a sytuacja i pragn<sup>13</sup> wyzyskaæ wszelkie możliwe sposoby perswazji.

Cóż, ojcie Izaaku – zagadn<sup>13</sup> spokojnie – widzê, że nie zgodzicie siê na pożyczkê?

Czyż mogê siê zgodziæ, panie gubernatorze? Proszê wejœæ w moje po<sup>3</sup>ożenie.

Ani na sprzedaż?

Na sprzedaż! Nigdy!

A więc może pan wagę wynajmie?

Oczy Hakhabuta rozb<sup>3</sup>ys<sup>3</sup>y.

Pan gubernator odpowiada za wszelkie uszkodzenia? – spyta<sup>3</sup> pośpiesznie.

Tak, odpowiadam.

Pan z<sup>3</sup>oży kaucję, która w razie jakiegoc<sup>3</sup> wypadku stanie się moj<sup>1</sup> w<sup>3</sup>asności<sup>1</sup>?

Z<sup>3</sup>ożę.

Jak<sup>1</sup>?

Sto franków, za przyrz<sup>1</sup>d, który wart jest dwadzieścia. To wystarczy?

Niebardzo... panie gubernatorze... niebardzo, jest to bowiem jedyna waga na naszej planecie. Ale ostatecznie... te sto franków, rzecz prosta, wyp<sup>3</sup>acone b<sup>1</sup>ęd<sup>1</sup> w z<sup>3</sup>ocie?

W z<sup>3</sup>ocie.

I państwo chcecie mnie pozbawić wagi, tak koniecznie wci<sup>1</sup>ż potrzebnej, na przeci<sup>1</sup>g ca<sup>3</sup>ego dnia?

Na przeci<sup>1</sup>g dnia.

A koszta wynajmu?

Dwadzieścia franków – odpar<sup>3</sup> hrabia Timaszew – to panu wystarczy?

Cóż robię!?! – st<sup>1</sup>kn<sup>13</sup> Hakhabut. – Trzeba kontentować się ma<sup>3</sup>em.

W ten sposób, ku najwyższemu zadowoleniu sk<sup>1</sup>pca, dobito targu.

Dwadzieścia franków pewnego zarobku, sto franków kaucji, i to wszystko w dobrym z<sup>3</sup>ocie francuskim, lub rosyjskim. Izaak Hakhabut nie pozwoli wodzić się za nos!

Rozejrzawszy się nieufnie doko<sup>3</sup>a, poszed<sup>3</sup> szukać wagi.

Cóż to za cz<sup>3</sup>owiek! – rzek<sup>3</sup> hrabia Timaszew.

Jako typ jest doskona<sup>3</sup>y! – odpar<sup>3</sup> Hektor Servadac.

W tej samej prawie chwili powróci<sup>3</sup> Hakhabut, nios<sup>1</sup>c istotnie w obu rękach wagę.

By<sup>3</sup>a to waga spr<sup>1</sup>żynowa, zaopatrzona w haczyk, na którym wieszano przedmiot ważony. Na

tarczy z podziak<sup>1</sup> porusza<sup>3</sup>a siê strza<sup>3</sup>ka wskazuj<sup>1</sup>ca iloœæ jednostek. W ten sposób, jak to s<sup>3</sup>uszenie zauwa<sup>3</sup>y<sup>3</sup> Palmyrin Rosette, wskazania tego przyrz<sup>1</sup>du by<sup>3</sup>y niezależne od si<sup>3</sup>y przyci<sup>1</sup>gania ziemskiego. Na Ziemi igie<sup>3</sup>ka zatrzymywa<sup>3</sup>a siê na wskaŹniku jednego kilograma dla ka<sup>3</sup>dego przedmiotu wa<sup>3</sup>cego kilogram. Gdzie zatrzyma siê dla tych samych przedmiotów na Galji, najbli<sup>3</sup>sza przysz<sup>3</sup>oœæ poka<sup>3</sup>e.

Izaak chciwie œciska<sup>3</sup> w garœci odliczone mu sto dwadzieœcia franków. Wag<sup>1</sup> zaj<sup>13</sup> siê Ben-Zouf i goœcie zamierzali ju<sup>3</sup> opuœciæ kabinê, gdy profesor przypomina<sup>3</sup> sobie, Źe do pomiarów brak jeszcze jednego niezbêdnego przedmiotu. Waga by<sup>3</sup>a mu niepotrzebna, gdy nie mia<sup>3</sup> odwa<sup>3</sup>znika i miary metrycznej.

Ach, to jeszcze nie wszystko – rzek<sup>3</sup>, zatrzymuj<sup>1</sup>c siê Palmyrin Rosette. – Musicie nam jeszcze wypo<sup>3</sup>czyœæ...

Izaak Hakhabut zadr<sup>3</sup>a<sup>3</sup>.

Potrzeba nam jeszcze miary metrycznej i odwa<sup>3</sup>znika jednego kilograma.

O, to jest wykluczone, mój panie! Ą<sup>3</sup>ujê bardzo, chocia<sup>3</sup>bym panom dogodziæ, ale tego nie posiadam. Tym razem Izaak Hakhabut mówi<sup>3</sup> prawdê. Nie posiada<sup>3</sup> istotnie metra, ani odwa<sup>3</sup>znika. Dogodziæ zaœ goœciom pragn<sup>13</sup>, bo œwietne z nimi robi<sup>3</sup> interesy. Palmyrin Rosette b<sup>3</sup>êdnym wzrokiem wodzi<sup>3</sup> po zebranych, jakgdyby czyni<sup>3</sup> ich za to odpowiedzialnymi. By<sup>3</sup> zupe<sup>3</sup>nie zdezorientowany, gdy<sup>3</sup> nie wiedzia<sup>3</sup>, jak bez tych przedmiotów przeprowadziæ pomiary.

Trzeba bêdzie jednak<sup>3</sup>e poradziæ sobie i bez tego – mruca<sup>3</sup>.

Reszta towarzystwa pod<sup>1</sup>3y<sup>3</sup>a za nim. Nie dotarli jeszcze do mostku, gdy uszu ich doszed<sup>3</sup> brzêk pieniêdzy.

To Izaak Hakhabut chowa<sup>3</sup> poœpiesznie z<sup>3</sup>oto do szuflady.

Na nieoczekiwany ten odg<sup>3</sup>os profesor odwróci<sup>3</sup> siê nagle i ku zdumieniu wszystkich poœpieszy<sup>3</sup> ponownie po schodach na górê.

Pan przechowuje pieni<sup>1</sup>dze – krzykn<sup>13</sup>, chwytaj<sup>1</sup>c Hakhabuta za rêkaw starej opoñczy.

Sk<sup>1</sup>d<sup>3</sup>e... ja... do pieniêdzy – j<sup>1</sup>ka<sup>3</sup> siê Izaak, przychwycony na gor<sup>1</sup>cym uczynku.

A jednak... tu s<sup>1</sup> monety – upiera<sup>3</sup> siê profesor – czy to pieni<sup>1</sup>dze francuskie?... Mo<sup>3</sup>e srebrne piêciofrankówki?

Tak... nie... – miesza<sup>3</sup> siê Ą<sup>3</sup>yd w zeznaniach.

Ale profesor ju<sup>3</sup> nachyli<sup>3</sup> siê nad szuflad<sup>1</sup>, któr<sup>1</sup> nadaremnie usi<sup>3</sup>owa<sup>3</sup> zamkn<sup>1</sup>æ Hakhabut.

Kapitan Servadac, hrabia Timaszew i porucznik Prokop przygl<sup>1</sup>dali siê w milczeniu tej niezrozumia<sup>3</sup>ej dla nich scenie, gotowi ka<sup>3</sup>dej chwili pomóc profesorowi.

Potrzebne mi s<sup>1</sup> te monety francuskie! – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> Palmyrin Rosette.

Nie oddam ich za żadne skarby – wrzeszcza<sup>3</sup> kupiec, jakgdyby go obdzierano ze skóry.

Potrzebne mi s<sup>1</sup>, powtarzam, i bêtê je mia<sup>3</sup>!

Po moim trupie chyba – broni<sup>3</sup> siê lichwiarz.

W tem miejscu zainterwenjowa<sup>3</sup> kapitan Servadac.

Może pozwoli pan, profesorze – rozpoczą<sup>13</sup> z ucemiechem – że ja têt sprawê za<sup>3</sup>atwiê.

O, panie gubernatorze – skamla<sup>3</sup> zrozpaczony Hakhabut – ratuj mnie, ratuj!

Przedewszystkiem spokojnie, panie Izaaku – odpar<sup>3</sup> Hector Servadac.

Poczem zwracaj<sup>1</sup>c siê do profesora, zapyta<sup>3</sup>:

Panu potrzeba do doœwiadczeñ kilku piêciofrankówek, wszak prawda!

Tak jest – odpar<sup>3</sup> uczoney – na pocz<sup>1</sup>tek wystarczy czterdzieœci sztuk!

Dwieœcie franków... – jêkn<sup>13</sup> sk<sup>1</sup>piec.

A prócz tego – ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> profesor – dziesiêœ monet dwufrankowych i dwadzieœcia po piêædziesi<sup>1</sup>t centymów.

Trzydzieœci franków! – lamentowa<sup>3</sup> p<sup>3</sup>aczliwy g<sup>3</sup>os.

W sumie dwieœcie trzydzieœci franków? – bada<sup>3</sup> kapitan.

Tak jest, dwieœcie trzydzieœci franków – brzmia<sup>3</sup>a odpowiedŹ astronoma.

Dobrze – odpar<sup>3</sup> Hector Servadac. I zwracaj<sup>1</sup>c siê do hrabiego Timaszewa, zapyta<sup>3</sup>:

Hrabio, czy znalaz<sup>3</sup>by siê jeszcze jakieœ zastaw pod poŹyczkê, do której chcê zmusiæ Hakhabuta?

Ca<sup>3</sup>a moja kasa jest do pañskiej dyspozycji, kapitanie – odpar<sup>3</sup> hrabia;– ale rozporz<sup>1</sup>dzam tylko papierowemi rublami...

Nie chcê papierków! Biorê tylko z<sup>3</sup>oto! Papierki nie maja żadnej wartoœci na Galji! – wo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> Hakhabut.

CzyŹby bilon mia<sup>3</sup> wiêsz<sup>1</sup>? – spyta<sup>3</sup> hrabia z odcieniem ironii.

Panie Izaaku – uci<sup>13</sup> krótko kapitan – dot<sup>1</sup>d cierpliwie znosi<sup>3</sup>em pañskie jeremjady, ale proszê nie naduŹywaæ mego dobrego humoru. Dobrowolnie lub pod przymusem dostarczy nam pan tych dwieœcie trzydzieœci franków!

O, z³odzieje! – zawo³a³ Hakhabut. Nie dokoñczy³, bo silna d³oñ Ben-Zoufa, jak kleszczami, œcisnê³a mu gard³o.

Puceæ go, Ben-Zoufie – rozkaza³ kapitan – puceæ go! On da pieni¹dze dobrowolnie.

O, nie, nigdy!... Przenigdy!...

Jakiej rekompensaty pan ¿¹da za po¿yczenie nam tych dwustu trzydziestu franków?

Po¿yczyæ!... Ach, tylko po¿yczyæ... – promienia³ Izaak Hakhabut.

Tak, mowa jest o zwyk³ej po¿yczce. Jakiego procentu pan ¿¹da?

O, panie gubernatorze! – odpar³ s³odkim, jak miód, g³osem, lichwiarz. – Trudno jest bardzo zarobiaæ pieni¹dze, zw³aszcza w obecnych warunkach, na Galji, s¹ one rzadkoœci¹ nielada...

Uwagi te s¹ zbyt czne... Wiele pan ¿¹da? – powtórzy³ pytanie Hektor Servadac.

A wiêc, panie gubernatorze... – odpar³ Izaak – zdaje mi siê, ¿e dziesiêæ franków procentu...

Dziennie?

Tak, oczywiêcie, ¿e dziennie!...

Nie zd¹¿y³ dokoñczyæ zdania, gdy hrabia Timaszew rzuci³ na stó³ kilka rubli. ¯yd zacz¹³ je liczyæ z zapa³em. Chocia¿ by³y to papierki, gwarancja taka zadowolni³a widocznie najchciwszego z lichwiarzy.

Profesor z prawdziw¹ satysfakcj¹³adowa³ do kieszeni z trudem zdobyte monety francuskie.

Hakhabut za¿¹da³ procentu przewy¿szaj¹cego osiemnaœcie razy kapita³. Gdyby takie interesy zdarza³y mu siê czêœciej, dorobi³by siê na Galji w b³yskawicznym tempie fortuny. O tak œwietnych transakcjach na Ziemi nawet nie marzy³.

W kilka chwil póŹniej kapitan Servadac z towarzyszami opuœcili statek i uradowany profesor zawo³a³:

Panowie, z tych dwustu trzydziestu franków spreparujê odwa¿nik jednego kilograma i miarê jednego metra szeœciennego.

## Rozdzia³ VII,

*w którym profesor i jego uczniowie ¿ongluj¹ sekstyljonami, kwintyljonami i innemi wielokrotnoœciami miliardów.*

Kkwadrans póŹniej ca³e towarzystwo zebra³o siê w ogólnej sali celem wys³uchania wyjaœnieñ, dotycz¹cych ostatnich s³ów profesora. Ben-Zouf uprz¹tn¹³



stó<sup>3</sup>, poczem roz<sup>3</sup>o<sup>3</sup>ono na nim rulony zdobytych monet, pocz<sup>1</sup>wszy od pięciofrankowych, a kończ<sup>1</sup>c na pó<sup>3</sup>frankowych.

Panowie – zacz<sup>13</sup> zadowolony z siebie Palmyrin Rosette – ponieważ nie pomyślelicie w chwili katastrofy o zaopatrzeniu się w miarę metryczn<sup>1</sup> i odważnik, zmuszony by<sup>3</sup>em obecnie znaleźć sposób zdobycia tych przedmiotów, niezbędnych do obliczenia si<sup>3</sup>y przyci<sup>1</sup>gania, masy i ciężaru gatunkowego mojej komety.

Nikt z obecnych nie próbowa<sup>3</sup> nawet odeprzeć stawianego im zarzutu. Wszyscy przywykli już do bezceremonialności profesora, znali jego sposób mówienia i postępowania.

Panowie – podj<sup>13</sup> na nowo profesor – upewni<sup>3</sup>em się przedewszystkiem, że wszystkie nasze monety s<sup>1</sup> prawie nowe, ma<sup>3</sup>o zużyte i nie uszkodzone przez tego chciwca. Mogę przeto z najwięsz<sup>1</sup> dok<sup>3</sup>adnośc<sup>1</sup> przeprowadzić badania. Pragnę przedewszystkiem uzyskać miarę jednego metra ziemskiego.

Hector Servadac i jego towarzysze pojęli już intencje profesora. Wyjaśnień s<sup>3</sup>uchali tylko przez grzeczność. Zato Ben-Zouf patrzy<sup>3</sup> na uczonego, jak na popisuj<sup>1</sup>cych się w jarmarcznych budach magików.

Oto na czym profesor opar<sup>3</sup> pierwszy swój pomys<sup>3</sup>, zrodzony w chwili, gdy us<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup> dźwięk monet w szufladzie Hakhabuta.

Wiadomo, iż system monetarny francuski jest dziesiętny, co wyraża się w ten sposób, że frank jest jednostk<sup>1</sup>, ponad nim istnieją wszelkie jego wielokrotności, a pod nim różne jego u<sup>3</sup>amki dziesiętne.

Monety te – i na to profesor Rosette k<sup>3</sup>ad<sup>3</sup> nacisk największy – s<sup>1</sup> dok<sup>3</sup>adnie skalkulowane i mają<sup>1</sup>, prawem przepisane<sup>1</sup>, stale jednakow<sup>1</sup> średnicę. W ten sposób pewne jest, iż każda srebrna pięciofrankówka ma średnicę długości trzydziestu siedmiu milimetrów, zaś średnica pięćdziesięciu centymów – osiemnaście milimetrów.

Czyż nie jest więc <sup>3</sup>atwo otrzymanie, przez zgromadzenie pewnej ilości tych monet różnej wartości, dok<sup>3</sup>adnej miary, odpowiadaj<sup>1</sup>cej powiedzmy tysiącowi milimetrów, sk<sup>3</sup>adaj<sup>1</sup>cych się na miarę jednego metra!

By<sup>3</sup>a to rzecz możliwa. Profesor wiedział o tem dobrze i zaraz przyst<sup>1</sup>pi<sup>3</sup> do wydzielenia z worka przyniesionych monet dziesięcio-, pięcio- i tylko dwufrankowych, oraz dwudziestu sztuk pó<sup>3</sup>frankówek.

Zrobiwszy poeepiesznie wyliczenie na karteczce, przedstawi<sup>3</sup> j<sup>1</sup> audytorjum.

10 sztuk po 5 franków, œrednicy 0,037 m. kaŹda = 0,370 m.

10 sztuk po 2 franki, œrednicy 0,027 m. kaŹda = 0,270 m.

20 sztuk po 50 centym., œrednicy 0,018 m. kaŹda = 0,360 m.

Razem 1,000 m.

Cudownie, drogi profesorze – rzek<sup>3</sup> Hector Servadac. – Pozostaje nam jeszcze u<sup>3</sup>oŹyæ obok siebie tych czterdzieœci monet, w ten sposób, aby linja ich œrodków leŹa<sup>3</sup>a na jednej prostej, a otrzymamy dok<sup>3</sup>adn<sup>1</sup> d<sup>3</sup>ugoœæ ziemskiego metra.

– U licha! – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> Ben-Zouf. – Dobrze jest jednak byæ uczonym.

On to nazywa uczonoœci<sup>1</sup> – wzruszy<sup>3</sup> pogardliwie ramionami Palmyrin Rosette.

Roz<sup>3</sup>oŹono na stole dok<sup>3</sup>adnie obok siebie dziesiêæ piêciofrankówek, bacz<sup>1</sup>c aby œrodki ich <sup>31</sup>czy<sup>3</sup>a jedna prosta, w dalszym ci<sup>1</sup>gu przy<sup>31</sup>czono do szeregu dziesiêæ dwufrankówek i dwadzieœcia monet po piêædziesi<sup>1</sup>t centymów. Poczem naznaczono œelady na krañcach utworzonej w ten sposób linji.

Panowie – odezwa<sup>3</sup> siê profesor – oto dok<sup>3</sup>adna d<sup>3</sup>ugoœæ metra ziemskiego.

Ca<sup>3</sup>ej operacji dokonano z niezwyk<sup>31</sup> dok<sup>3</sup>adnoœci<sup>1</sup>. Zkolei podzielono metr na dziesiêæ równych czêœci, otrzymuj<sup>1</sup>c w ten sposób decymetry. Jedn<sup>1</sup> tak<sup>1</sup> cz<sup>1</sup>stkê, odznaczon<sup>1</sup> na sznurku, wrêczono mechanikowi *Dobryny*.

By<sup>3</sup> to rzemieœlnik bardzo zrêczny, który przy pomocy otrzymanej miarki sfabrykowa<sup>3</sup> z nieznannej substancji galijskiej bry<sup>3</sup>ê objêtoœci jednego decymetra szeœciennego. Na to tylko czeka<sup>3</sup> profesor. D<sup>3</sup>ugoœæ metra uda<sup>3</sup>o mu siê juŹ okreœliæ. NaleŹa<sup>3</sup>o stworzyæ jeszcze masê jednego kilograma.

I ta sprawa nie przedstawia<sup>3</sup>a Źadnych trudnoœci. Monety francuskie s<sup>1</sup> bowiem nietylko dok<sup>3</sup>adnie skalkulowane, ale posiadaj<sup>1</sup> ponadto idealnie dok<sup>3</sup>adn<sup>1</sup> wagê.

Tak np. piêciofrankówka waŹy œciœle dwadzieœcia piêæ gramów, co równa siê wadze piêciu pojedynczych franków, waŹ<sup>1</sup>cych po piêæ gramów kaŹdy. Wystarczy<sup>3</sup>o wiêc zgromadziæ czterdzieœci srebrnych monet piêciofrankowych, by otrzymaæ ciêŹar jednego kilograma.

Tego w<sup>3</sup>acenie domyœlili siê od pierwszej chwili kapitan Servadac i jego towarzysze.

Patrzcie no, pañstwo – podziwia<sup>3</sup> Ben-Zouf – widzê, Źe do tych spraw nie wystarczy byæ

m<sup>1</sup>drym, trzeba jeszcze...

Co jeszcze trzeba? – zapyta<sup>3</sup> Hector Servadac.

Trzeba jeszcze być bogatym.

Wszystkich ubawi<sup>3</sup>a ta uwaga poczciwego ordynansa.

Po up<sup>3</sup>ywie kilku godzin mechanik wręczy<sup>3</sup> profesorowi wykut<sup>1</sup> bry<sup>3</sup>ę rozmiarów decymetra sześciennego.

Posiadaj<sup>1</sup>c już ciężar jednego kilograma, objętość decymetra sześciennego i wagę sprężynow<sup>1</sup>, można by<sup>3</sup>o natychmiast przyst<sup>1</sup>ąpić do obliczenia masy, gęstości i si<sup>3</sup>y przyci<sup>1</sup>gania komety.

Przypomn<sup>ê</sup> tu panom – mówi<sup>3</sup> profesor – jedno z praw Newtona, według którego si<sup>3</sup>a przyci<sup>1</sup>gania jest w stosunku prostym do masy i w stosunku odwrotnym do kwadratu odleg<sup>3</sup>ości. Prosz<sup>ê</sup> bardzo zanotować to sobie dobrze w pamięci.

Oto w woreczku tym – ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> – umieści<sup>3</sup>em czterdzieści pięciofrankówek. Na Ziemi stanowi<sup>3</sup>y one wagę jednego kilograma. Czyli innemi s<sup>3</sup>owy, gdybym b<sup>ê</sup>d<sup>1</sup>c na Ziemi zawiesi<sup>3</sup> woreczek ten na haczyku wagi, strza<sup>3</sup>ka wskazywa<sup>3</sup>aby wagę jednego kilograma. Czy to zrozumia<sup>3</sup>e?

Mówi<sup>1</sup>c to profesor nie spuszcza<sup>3</sup> z oka Ben-Zoufa. Mia<sup>3</sup> zwyczaj podczas wyk<sup>3</sup>adów obserwować s<sup>3</sup>uchaczów najmniej inteligentnych, gdy bowiem oni poj<sup>ê</sup>li jego ide<sup>ê</sup>, by<sup>3</sup> pewny, że wyk<sup>3</sup>ad by<sup>3</sup> jasny.

Ordynans kapitana Servadac'a mia<sup>3</sup> wprowadzić swój rozum, by<sup>3</sup> jednak nieukiem, a to w danym wypadku wychodzi<sup>3</sup>o na jedno.

Ponieważ twarz Ben-Zoufa nie wyraża<sup>3</sup>a żadnych w<sup>1</sup>tpliwości, profesor ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> dalej:

A zatem, proszę panów, ten woreczek pięciofrankówek wieszam na haczyku wagi, a ponieważ działam na Galji, dowiemy się jaka jest jego waga na tej w<sup>3</sup>ażenie komecie.

Woreczek zawieszono, igie<sup>3</sup>ka zadrga<sup>3</sup>a i wskaza<sup>3</sup>a na tarczy ciężar stu trzydziestu trzech gramów.

A zatem – podj<sup>13</sup> profesor – ziemski kilogram waży tu zaledwie sto trzydzieści trzy gramy, czyli oko<sup>3</sup>o siedm razy mniej. Czy to jest zrozumia<sup>3</sup>e?

Ben-Zouf skin<sup>13</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup> i wyk<sup>3</sup>ad trwa<sup>3</sup> dalej.

Teraz staje się jasne, dlaczego waga o dwóch szalkach nie zda<sup>3</sup>aby się tu na nic, gdyż odważnik i cia<sup>3</sup>o ważone trac<sup>1</sup> to samo na ciężarze. Czy wszyscy to rozumiej<sup>1</sup>?

Nawet ja nie mam w<sup>1</sup>tpliwości – odpar<sup>3</sup> Ben-Zouf.

Skoro ciêłar cia<sup>3</sup> na Galji jest siedem razy mniejszy, aniłeli na Ziemi – dowodzi<sup>3</sup> profesor. – naleły przypuœciæ, łe i si<sup>3</sup>a ci<sup>1</sup>łenia stanowi tu siódm<sup>1</sup> czêœæ si<sup>3</sup>y ziemskiego przyci<sup>1</sup>gania.

S<sup>3</sup>uszne! – zaopinjowa<sup>3</sup> kapitan Servadac. – Wszyscy jesteœmy zgodni co do tego punktu, ale przejdŸmy teraz, drogi profesorze, do masy.

Nie, najpierw obliczymy gêstoœæ – odpar<sup>3</sup> Palmyrin Rosette.

Oczywiœcie – wtr<sup>1</sup>ci<sup>3</sup> porucznik Prokop – masê obliczymy bez trudnoœci, gdy znajdziemy objêtoœæ i ciêłar gatunkowy Galji.

Rozumowanie porucznika by<sup>3</sup>o s<sup>3</sup>uszne, naleł<sup>3</sup>a<sup>3</sup>o nie trac<sup>1</sup>c czasu przyst<sup>1</sup>piæ do obliczenia gêstoœci. Tak teł uczyni<sup>3</sup> profesor. Wzi<sup>13</sup> w rêkê blok objêtoœci szeœciennego decymetra i tak ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> dalej:

Ten blok, proszê panów, zrobiony jest z nieznanego nam materia<sup>3</sup>u, który pokrywa ca<sup>3</sup>e terytorjum Galji. Wasza ignorancja w dziedzinie geologii nie pozwoli<sup>3</sup>a wam bliłej okreœliæ, ani nazwaæ tego minera<sup>3</sup>u.

Tak jest, a jednak pragnêlibyœmy bardzo wiedzieæ, jaki jest sk<sup>3</sup>ad tej substancji – powiedzia<sup>3</sup> Hector Servadac.

Zdaje siê, ił mam prawo rozumowaæ w ten sposób – kontynuowa<sup>3</sup> Palmyrin Rosette – jakgdyby Galja ca<sup>3</sup>kowicie i do samej g<sup>3</sup>êbi by<sup>3</sup>a z tej oto materji, której decymetr szeœcienny trzymam w rêku. Ile wały<sup>3</sup>by, on na Ziemi? Wały<sup>3</sup>by dok<sup>3</sup>adnie siedem razy wiêcej, aniłeli na Galji, albowiem, jak juł zaznacza<sup>3</sup>em, si<sup>3</sup>a przyci<sup>1</sup>gania komety jest siedem razy s<sup>3</sup>absza, aniłeli Ziemi. Czy to nie jest jasne? Czemu wytrzeszczasz tak na mnie swe okr<sup>1</sup>g<sup>3</sup>e oczy?

Pytanie to skierowane by<sup>3</sup>o do Ben-Zoufa.

Bo nic nie rozumiem – odpar<sup>3</sup> ordynans.

Niemniej przoto nie bêdê traci<sup>3</sup> cennego czasu na udostêpnienie tych prostych rzeczy twojej mózgownicy... Ci panowie zrozumieli i to mi wystarcza.

Przełyjê ten cios – mrukn<sup>13</sup> Ben-Zouf.

Zwałmy wiêc ten blok – mówi<sup>3</sup> profesor – bêdzie to zupe<sup>3</sup>nie to samo, jakgdybym na haczyku wagi zawiesi<sup>3</sup> kometê.

Igie<sup>3</sup>ka wska<sup>3</sup>a wagê kilograma i trzystu trzydziestu gramów.

Kilogram trzysta trzydzieœci gramów, pomnołony przez siedem – wo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> profesor – daje w przybliłeniu dziesiêæ kilogramów. A zatem ciêłar w<sup>3</sup>œeciwy Galji jest prawie dwa razy wiêkszy od gêstoœci Ziemi. Gdyby nie to, wszystkie przedmioty wały<sup>3</sup>yby tu nie siedem, lecz piêtnaœcie razy mniej nił na Ziemi!

Wymawiaj<sup>1</sup>c te s<sup>3</sup>owa, profesor czu<sup>3</sup>, że ma uzasadnion<sup>1</sup> rację do dumy. Ziemia mia<sup>3</sup>a wprawdzie większa od Galji objętość, ale zato jego kometa przewyższa<sup>3</sup>a Ziemię gęstości<sup>1</sup> i naprawdę nie wymieni<sup>3</sup>by jednej na drug<sup>1</sup>. Oto już średnica, obwód, powierzchnia, objętość, gęstość i si<sup>3</sup>a przyciągania Galji byłyby wiadome. Pozostawa<sup>3</sup>o obliczyć masę komety, inaczej mówić, jej ciężar. By<sup>3</sup>a to operacja krótka i nieskomplikowana. Istotnie, skoro decymetr sześcienny substancji galijskiej waży<sup>3</sup> według miar ziemskich dziesięć kilogramów, waga całej Galji musiała być tyle razy większa, ile razy objętość jej przewyższa<sup>3</sup>a jeden decymetr sześcienny. Objętość ta, wyrażająca się liczbą 211,433.460 kilometrów sześciennych, zawiera w sobie ilość decymetrów wyrażająca się liczbą o dwudziestu i jednej cyfrze, a mianowicie: dwieście jedenastę kwintylionów czterysta trzydzieści trzy kwadryljony czterysta sześćdziesiąt tryljonów. Ta sama liczba wskazywała wagę Galji w kilogramach. By<sup>3</sup>a ona o cztery sekstyljony siedemset osiemdziesiąt osiem kwintylionów pięćset sześćdziesiąt sześć kwadryljonów pięćset czterdzieści tryljonów kilogramów lżejsza od Ziemi.

A ile waży w rzeczywistości Ziemia? – zapytał

Ben-Zouf, zupełnie oszołomiony temi miliardami milionów.

Czy ty w ogóle wiesz, co to jest miliard – wtrącił kapitan Servadac.

Niebardzo – brzmiała odpowiedź.

A zatem wiedz, że od urodzenia Jezusa Chrystusa nie upłynęło jeszcze miliard minut i że gdybyś, mając dług miliardowy, od owej chwili co minutę wypłacał franka, to jeszczebyś go nie spłacił.

Co minutę franka – zawołał istotnie przerażony Ben-Zouf. – Ależ byłbym zrujnowany w przeciwieństwie do kwadransa! Jakaż więc ostatecznie jest waga Ziemi?

Pięć tysięcy osiemset siedemdziesiąt pięć sekstyljonów kilogramów – odparł porucznik Prokop – liczba wyrażająca się dwudziestu pięciu cyframi.

A ile waży księżyc?

Siedemdziesiąt dwa sekstyljony kilogramów.

Tylko!? – zdziwił się Ben-Zouf. – A słońce?

Dwa nonyljony – rzekł profesor – liczba trzydziesto i jedno cyfrowa.

Dwa nonyljony – powtarzał Ben-Zouf – i może jeszcze z małą dodatką?

Palmyrin Rosette poczuł już na ordynansa spoglądanie wyraźnie nienawistnie.

A zatem – przerwał te dysertacje kapitan Servadac – na powierzchni Galji wszystko waży siedem razy mniej, aniżeli na Ziemi.

Tak jest – odpar<sup>3</sup> profesor – i dlatego si<sup>3</sup>a naszych miêceni wzros<sup>3</sup>a tu siedmiokrotnie. Si<sup>3</sup>acz dŷwigaj<sup>1</sup>cy na Ziemi sto kilogramów, tu móg<sup>3</sup>by ich unieœæ siedemset.

Oto i powód, dla którego skaczemy tu siedem razy wyżej – wtr<sup>1</sup>ci<sup>3</sup> Ben-Zouf.

Masz racjê, Ben-Zoufie – zgodzi<sup>3</sup> siê porucznik Prokop – a gdyby masa Galji by<sup>3</sup>a mniejsza, skaka<sup>3</sup>byœ jeszcze wyżej.

Nawet ponad wierzcho<sup>3</sup>ek Montmartre’u – doda<sup>3</sup> profesor, mrugaj<sup>1</sup>c jednym okiem, czem wyprowadza<sup>3</sup> ordynansa z równowagi.

A jakiej jest natêżenie si<sup>3</sup>y ciêżkoœci na innych gwiazdach? – spyta<sup>3</sup> Hector Servadac.

Pan tego nie pamiêta? – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> z oburzeniem Rosette. – By<sup>3</sup> pan coprawda zawsze bardziej niê miernym uczniem!

Przyznajê to ze wstydem – odpar<sup>3</sup> kapitan.

A zatem, skoro przyjmujemy przyci<sup>1</sup>ganie Ziemi za jednostkê, si<sup>3</sup>a ta na ksiêżycu bêdzie wynosi<sup>3</sup>a 0,16, na Jowiszu 2,45, na Marsie 0,50, na Merkurym 1,15, na Wenus 0,92, prawie tak samo jak na Ziemi, na s<sup>3</sup>oñcu wreszcie 2,45. Tam kilogram ziemski waży dwadzieœcia osiem razy wiêcej.

Cz<sup>3</sup>owiek naszej konstrukcji mia<sup>3</sup>by wiele trudnoœci z podŷwigniêciem siê, skoroby upad<sup>3</sup> na s<sup>3</sup>oñcu – zauważy<sup>3</sup> porucznik Prokop – a nocnoœæ wystrzelonej tam kuli armatniej nie przekroczy<sup>3</sup>aby kilkudziesiêciu metrów.

Œwietne pole bitwy dla tchórzów – wtr<sup>1</sup>ci<sup>3</sup> Ben-Zouf.

Wcale nie – zaprzeczy<sup>3</sup> Hector Servadac – byliby bowiem zbyt ciêżcy, aby mogli w porê uciec.

Skoro to przysporzy<sup>3</sup>oby nam si<sup>3</sup> i lekkoœci, i<sup>3</sup>a<sup>3</sup>ujê, iê Galja nie jest jeszcze duŷo mniejsza – zakonkludowa<sup>3</sup> Ben-Zouf.

Uwaga ta zrani<sup>3</sup>a profesora, uwaŷaj<sup>1</sup>cego siê za prawego w<sup>3</sup>aœciciela Galji. Ofukn<sup>13</sup> teŷ ordynansa.

Myœla<sup>3</sup>by kto – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> – iê g<sup>3</sup>owa tego nieuka nie jest jeszcze dostatecznie lekka! Uwaŷaj gamoni, aby ci jej lada podmuch wiatru nie porwa<sup>3</sup> któregoœ dnia.

Dobrze – odpar<sup>3</sup> Ben-Zouf – bêdê j<sup>1</sup> trzyma<sup>3</sup> obu rêkoma!

Palmyrin Rosette chcia<sup>3</sup> siê juŷ usun<sup>1</sup>æ, gdy kapitan Servadac zatrzyma<sup>3</sup> go gestem:

Przepraszam, drogi profesorze – rzek<sup>3</sup> – jedno jeszcze pytanie. Czy pan nie wie nic o substancji, z której zbudowana jest Galja?

Byæ moŷe wiem – odpar<sup>3</sup> Palmyrin Rosette – istota tej substancji... przy gêstoœci dziesiêæ...

Cemia<sup>3</sup>bym twierdziæ... ach, gdyby to okaza<sup>3</sup>o siê prawd<sup>1</sup>, da<sup>3</sup>bym j<sup>1</sup> Ben-Zoufowi, który œmie moj<sup>1</sup> kometê porównywaæ z Montmartre<sup>3</sup>m.

Wiêc pan twierdzi, jeœli wolno wiedzieæ... – nalega<sup>3</sup> kapitan Servadac.

– e ta substancja jest niczem innym – mówi<sup>3</sup> profesor, skanduj<sup>1</sup>c wyrazy – jak tellurkiem...

Bah! tellurek... – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> Ben-Zouf.

Jak tellurkiem z<sup>3</sup>ota! – koñczy<sup>3</sup> profesor. – Jest to cia<sup>3</sup>o z<sup>3</sup>o¿one, spotykane czêsto na Ziemi. Sk<sup>3</sup>ada siê ono w danym przypadku z siedemdziesiêciu procent telluru i z trzydziestu procent z<sup>3</sup>ota.

Trzydzieœci procent z<sup>3</sup>ota! – podziwia<sup>3</sup> Hector Servadac.

Po dodaniu ciê¿arów w<sup>3</sup>œeciowych obu tych cia<sup>3</sup>, otrzymamy w sumie dziesiêæ, czyli dok<sup>3</sup>adnie cyfrê okreœlaj<sup>1</sup>c<sup>1</sup> gêstoœæ Galji.

Z<sup>3</sup>otodajna kometa! – zdumiewa<sup>3</sup> siê Hector Servadac.

S<sup>3</sup>awny Maupertuis przewidywa<sup>3</sup> takie mo¿liwoœci. Galja stwierdza, ¿e mia<sup>3</sup> s<sup>3</sup>uszoœæ.

W takim razie, skoro Galja spadnie na Ziemiê – zabra<sup>3</sup> g<sup>3</sup>os hrabia Timaszew – zmieni tam ca<sup>3</sup>kowicie warunki ekonomiczne.

S<sup>3</sup>uszna uwaga – zgodzi<sup>3</sup> siê uczoney – a poniewa¿ ten blok tellurku z<sup>3</sup>ota, który nas unosi w przestworzach, wa¿y pod<sup>3</sup>ug miar ziemskich dwieœcie jedenœcie kwintyljonów czterysta trzydzieœci trzy kwadryljony czterysta szeœædziesiêt tryljonów kilogramów, wiêc iloœæ z<sup>3</sup>ota, w jak<sup>1</sup> zaopatrzy Ziemiê, bêdzie wynosi<sup>3</sup>a oko<sup>3</sup>o szeœædziesiêciu jeden kwintyljonów z<sup>3</sup>ota.

Licz<sup>1</sup>c po trzy tysi<sup>1</sup>ce piêæset franków kilogram, otrzymamy sumê dwustu czterdziestu szeœciu sekstyljonów franków, co wyra¿a siê dwudziestoczyterocyfrow<sup>1</sup> liczb<sup>1</sup>.

Dnia tego – odpar<sup>3</sup> Hector Servadac – wartoœæ z<sup>3</sup>ota spadnie do minimum i stanie siê ono najpodlejszym metalem œwiata.

Profesor nie s<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup> ju¿ tej uwagi. Po ostatnich wyjaœnieniach opuœci<sup>3</sup> bowiem salê zebrañ i majestatycznym krokiem uda<sup>3</sup> siê w stronê obserwatorium.

Na co w<sup>3</sup>œeciowie zdadz<sup>1</sup> siê wszystkie obliczenia wykonywane przez tego swarliwego kuglarza? – spyta<sup>3</sup> Ben-Zouf.

Na nic – odpar<sup>3</sup> kapitan Servadac – i na tem polega ca<sup>3</sup>y ich wdziêk.

Istotnie Palmyrin Rosette uprawia<sup>3</sup> tylko sztukê dla sztuki. Zna<sup>3</sup> elementy komety, jej drogê miêdzyplanetarn<sup>1</sup> i czas obiegu wokó<sup>3</sup> s<sup>3</sup>oñca. Reszta, jak masa, gêstoœæ, si<sup>3</sup>a przyci<sup>1</sup>gania, a nawet wartoœæ metaliczna Galji poza nim nie interesowa<sup>3</sup>a nikogo. Wszyscy zajêci byli tylko myœl<sup>1</sup> powrotu na Ziemiê. Nikt nie dzieli<sup>3</sup> z profesorem trosk ani radoœci teoretycznych jego rozwa¿añ.

Nazajutrz by<sup>3</sup> dzień 1-y sierpnia, albo posi<sup>3</sup>kuj<sup>1</sup>c siê s<sup>3</sup>ownikiem Rosette'a, 63-i kwietnia galijskiego. W ci<sup>1</sup>gu tego miesi<sup>1</sup>ca komet<sup>1</sup> przeby<sup>3</sup>a szesnaóecie milionów piêæset tysiêcy mil, oddalaj<sup>1</sup>c siê o sto dziewiêædziesi<sup>1</sup>t siedem milionów mil od s<sup>3</sup>oñca. A¿eby w po<sup>3</sup>owie stycznia osi<sup>1</sup>gn<sup>1</sup>æ apheljum, powinna siê jeszcze posun<sup>1</sup>æ wzd<sup>3</sup>u¿ orbity o osiemdziesi<sup>1</sup>t jeden milionów mil. Przebywszy ten punkt zwrotny, zacznie siê ponownie zbli¿aæ do s<sup>3</sup>oñca.

Ale w takim razie Galja zmierza<sup>3</sup>aby do jakichœ cudownych œwiatów, których jeszcze nigdy uzbrojone w lunetê oko ludzkie nie ogl<sup>1</sup>da<sup>3</sup>o.

Tak, profesor wiedzia<sup>3</sup>, co robi, nie opuszczaj<sup>1</sup>c wcale obserwatorium. Āadnemu astronomowi nie dane by<sup>3</sup>o jeszcze dokonaæ tylu cudownych obserwacyj. Jak¿e pe<sup>3</sup>ne uroku by<sup>3</sup>y te noce galijskie! Najlêjszy powiew wiatru nie m<sup>1</sup>ci<sup>3</sup> ich pogody i ciszy! Firmament niebieski ods<sup>3</sup>ania<sup>3</sup> siê w ca<sup>3</sup>ej swej nagoœci i krasie i zdawa<sup>3</sup> siê nie skrywaæ ju¿ ¿adnych tajemnic.

œwiatem cudownym, ku któremu zmierza<sup>3</sup>a Galja, by<sup>3</sup> Jowisz, najwspanialsza z planet, podlegaj<sup>1</sup>cych w<sup>3</sup>adztwu s<sup>3</sup>oñca. W ci<sup>1</sup>gu siedmiu miesiêcy, które up<sup>3</sup>ynê<sup>3</sup>y od chwili zetkniêcia Ziemi z komet<sup>1</sup>, kometa ta wytrwale œciga<sup>3</sup>a wyprzedzaj<sup>1</sup>c<sup>1</sup> j<sup>1</sup> jednak wci<sup>1</sup>¿ wspania<sup>31</sup> planetê. Dnia 1-go sierpnia obie gwiazdy rozdziela<sup>3</sup>a ju¿ tylko przestrzeñ szeœædziesiêciu jeden milionów mil, która do dnia 1-go listopada regularnie mia<sup>3</sup>a siê zmniejszaæ.

Czy nie grozi<sup>3</sup>o z tej strony ¿adne niebezpieczeñstwo? Czy Galja nie nara¿a<sup>3</sup>a siê zbyt, cyrkuluj<sup>1</sup>c tak blisko Jowisza? Czy si<sup>3</sup>a przyci<sup>1</sup>gania Jowisza nie mog<sup>3</sup>a okazaæ siê groŸna w swych skutkach? Oczywióecie profesor, obliczaj<sup>1</sup>c czas obiegu Galji, wzi<sup>13</sup> pod uwagê magnetyczne zak<sup>3</sup>ócenia wywo<sup>3</sup>ane nietylko przez Jowisza, ale równie¿ przez Saturna i Marsa. Ale jeœli siê pomyli<sup>3</sup> w rachubach?

W ten sposób up<sup>3</sup>yn<sup>13</sup> miesi<sup>1</sup>c wœród ci<sup>1</sup>g<sup>3</sup>ych obrad Galijszczyków i najlepszych nadziei Palmyrin Rosette'a. Dnia 1-go wrzeœnia odleg<sup>3</sup>oœæ Galji od Jowisza wynosi<sup>3</sup>a ju¿ tylko trzydzieœci osiem milionów mil, akurat tyle, ile wynosi odleg<sup>3</sup>oœæ Ziemi od s<sup>3</sup>oñca. 15-go odleg<sup>3</sup>oœæ ta zmala<sup>3</sup>a do dwudziestu szeœciu milionów mil. Planeta Jowisza stawa<sup>3</sup>a siê wci<sup>1</sup>¿ bli¿sza i wyraŸniejsza, a Galja pêdzi<sup>3</sup>a ku niej, jakby poci<sup>1</sup>gana jak<sup>1</sup>œ si<sup>31</sup> niewidzialn<sup>1</sup>.

Dnia 15-go paŸdziernika obie gwiazdy znalaz<sup>3</sup>y siê w odleg<sup>3</sup>oœci trzynastu milionów mil. Teraz istnia<sup>3</sup>y dwie alternatywy, albo Galja da siê porwaæ sile przyci<sup>1</sup>gaj<sup>1</sup>cej Jowisza, albo nie da siê wytr<sup>1</sup>ciæ z orbity i nie dozna ¿adnych wstrz<sup>1</sup>sów.

Nazajutrz Galja minê<sup>3</sup>a Jowisza bez katastrofy. Mo¿na to by<sup>3</sup>o stwierdziæ, obserwuj<sup>1</sup>c wyj<sup>1</sup>tkowo z<sup>3</sup>y humor Palmyrin Rosette'a. Zwyciê¿y<sup>3</sup> jako kalkulator, ale pobity zosta<sup>3</sup> jako poszukiwacz awantur i przygód. Zamiast byæ najdumniejszym astronomem, czu<sup>3</sup> siê najnieszczêeliwszym miêdzy Galijszczykami.

Galja, poruszaj<sup>1</sup>c siê niezmiennie po swej orbicie, kr<sup>1</sup>¿y<sup>3</sup>a w dalszym ci<sup>1</sup>gu wokó<sup>3</sup> s<sup>3</sup>oñca, i co za tem idzie zbli¿a<sup>3</sup>a siê do Ziemi.

## Rozdzia<sup>3</sup> VIII,



*w którym okaże się jasno, że lepiej aniżeli na Galji, handlować by<sup>3</sup>o na Ziemi.*

Chwaliać Boga! Mam wrażenie, że unikniemy wielkiego niebezpieczeństwa! – odetchn<sup>13</sup> z ulg<sup>1</sup> kapitan Servadac, patrz<sup>1</sup>c na pe<sup>3</sup>n<sup>1</sup> rozczarowania minę profesora.

Poczem zwróci<sup>3</sup> się do towarzyszków, równie jak on rozradowanych:

W gruncie rzeczy nic wielkiego się nie dzieje! Odbywamy zwyk<sup>31</sup> podróż międzyplanetarn<sup>1</sup>, podróż trwaj<sup>1</sup>c<sup>1</sup> dwa lata! Ależ na samej Ziemi odbywa się d<sup>3</sup>użej trwaj<sup>1</sup>ce wędrówki. Jak dot<sup>1</sup>d nie mamy powodu uskarżać się na los i, jeżeli tak pójdzie dalej, w niespe<sup>3</sup>na piętnaście miesięcy ocucimy się na rodzimej planecie.

I raz jeszcze ujrzymy Montmartre – doda<sup>3</sup> weso<sup>3</sup>o Ben-Zouf.

Istotnie, mogli mówić o szczęściu Galijczycy, że asteroida ich opar<sup>3</sup>a się wp<sup>3</sup>ywom Jowisza, gdyż jednogodzinne tylko opóŹnienie poci<sup>1</sup>gn<sup>1</sup>æ mog<sup>3</sup>o za sob<sup>1</sup> nieobliczalne wprost następstwa, a przede wszystkim przesunięcie Ziemi o blisko sto tysięcy mil od przewidzianego punktu zetknięcia. Ileż lat trzeba by czekać na powtórzenie się tych samych warunków! Czyż nie up<sup>3</sup>ynę<sup>3</sup>yby wieki, a może i tysi<sup>1</sup>clecia, zanim nast<sup>1</sup>pi<sup>3</sup>oby ponowne zetknięcie? Poza tem gdyby Jowisz zm<sup>1</sup>ci<sup>3</sup> bieg, lub kształt orbity Galji, byæ może musia<sup>3</sup>aby ona już stale b<sup>31</sup>dziać w przestworzach wśród planet i gwiazd.

Dnia 1-go listopada odleg<sup>3</sup>oææ s<sup>3</sup>ońca od Galji wyraża<sup>3</sup>a się liczb<sup>1</sup> siedemnastu milionów mil. Za dwa i pó<sup>3</sup> miesi<sup>1</sup>ca kometa minie swoje apheljum i od tej pory zacznie się już zbliżać do s<sup>3</sup>ońca.

Narazie na Galji by<sup>3</sup>o coraz mniej ciep<sup>3</sup>a i świat<sup>3</sup>a. Panowa<sup>3</sup> stale pó<sup>3</sup>mrok. Si<sup>3</sup>a ciep<sup>3</sup>a i świat<sup>3</sup>a by<sup>3</sup>a dwadzieścia piêæ razy mniejsza, aniżeli na Ziemi. Wci<sup>1</sup>ż jednak jeszcze wschodzi<sup>3</sup>o s<sup>3</sup>ońce i Galja bez przerwy podlega<sup>3</sup>a jego działaniu. Trzeba by<sup>3</sup>o się krzepiać nadzieją, że wkrótce najgorsze minie. Ta nadzieja dodawa<sup>3</sup>a Galijczykom otuchy, podtrzymywa<sup>3</sup>a ich moralnie i fizycznie!

A Izaak Hakhabut?... Czy nie przeżywa<sup>3</sup> tych samych niepokojów, które w ci<sup>1</sup>gu ostatnich dwóch miesięcy nurtowa<sup>3</sup>y kapitana Servadac'a i jego towarzyszków?

Bynajmniej. Nie opuszcza<sup>3</sup> on pok<sup>3</sup>adu *Hanzy* od chwili zawarcia tak korzystnej dla niego transakcji z Galijczykami. Nazajutrz, po ukończeniu prac profesora, Ben-Zouf odniós<sup>3</sup> lichwiarzowi wagę i srebrne monety. Zarówno kapita<sup>3</sup> jak i procenty znajdowa<sup>3</sup>y się już w jego ręk<sup>1</sup>. Jedynie niezwrócone dot<sup>1</sup>d a otrzymane w zastaw papierowe ruble <sup>31</sup>czy<sup>3</sup>y go jeszcze z mieszkańcami groty.

Ben-Zouf pouczy<sup>3</sup> go przy okazji, że Galja jest jedn<sup>1</sup> wielk<sup>1</sup> kopalni<sup>1</sup> z<sup>3</sup>ota, które jednakże, z powodu nadmiernej ilości, po powrocie na Ziemię straci ca<sup>31</sup> sw<sup>1</sup> wartość.

Izaak Hakhabut przypuszcza<sup>3</sup>, że ordynans kpi sobie z niego. Nie wierzy<sup>3</sup> jego opowieściom i z większ<sup>1</sup> niż dot<sup>1</sup>d chciwości<sup>1</sup> myśla<sup>3</sup> o wymuszeniu maksimum brzęcz<sup>1</sup>cej monety od mieszkańców Galji.

Mimo to ani razu nie zaszczyci<sup>3</sup> groty swój<sup>1</sup> wizyt<sup>1</sup>.

To jest zdumiewaj<sup>1</sup>ce – wyraża<sup>3</sup> niejednokrotnie zdziwienie Ben-Zouf – jak <sup>3</sup>atwo się przyzwyczaię do jego nieobecności!

Tymczasem mieszkaniec *Hanzy* przemyśliwa<sup>3</sup> nad nawi<sup>1</sup>zaniem stosunków z Galijczykami. We w<sup>3</sup>asnym, rzecz prosta, interesie. Niektóre z jego towarów zaczyna<sup>3</sup>y się już psuć, pragn<sup>13</sup> je więc spienięż<sup>1</sup>ać, zanim znajd<sup>1</sup> się na Ziemi, gdzie wartość ich spad<sup>3</sup>aby wielokrotnie. Na rynku galijskim – gdzie by<sup>3</sup> bez konkurencji – mógł<sup>3</sup> ceny dowolnie *erubować*. Moment by<sup>3</sup> odpowiedni, gdyż zapasy kolonji Galijskiej zaczę<sup>3</sup>y się już wyczerpywać. W spiżarni zabrak<sup>3</sup>o oliwy, kawy, cukru, tytoniu i t. p. Kapitan Servadac postanowi<sup>3</sup> w<sup>3</sup>aczenie wybrać<sup>1</sup> się po zakupy na *Hanzę*.

Ta zgodność myśli kupuj<sup>1</sup>cego i sprzedawcy musia<sup>3</sup>a zbliż<sup>1</sup>ać Hakhabuta do mieszkańców Gor<sup>1</sup>cego L<sup>1</sup>du. Obiecywa<sup>3</sup> też sobie zyski nielada. Wyci<sup>1</sup>gnie ca<sup>3</sup>e z<sup>3</sup>oto, wszystkie pieni<sup>1</sup>dze z portfelów Galijczyków.

Tylko że – przychodzi<sup>3</sup>a refleksja – mój <sup>3</sup>adunek więcej jest wart niż oni s<sup>1</sup> w stanie zap<sup>3</sup>acię, W jaki więc sposób pozbêdę się towaru bez straty?

Ta myśl nie przestawa<sup>3</sup>a go dręczyć. Przypomnia<sup>3</sup> sobie jednak w porę, że na Ziemi by<sup>3</sup> nie tylko kupcem ale i lichwiarzem. Czemuż na Galji mia<sup>3</sup>by się wyrzec tak intratnego zawodu? Istotnie, pierwsza transakcja wypad<sup>3</sup>a wszak nad wyraz pomyślnie. A zatem rozumuj<sup>1</sup>c logicznie, będzie pożycz<sup>3</sup>ać pieni<sup>1</sup>dze na procent, tym, rzecz prosta, których podpisy uzna za dobre. S<sup>1</sup> między Galijczykami ludzie godni zaufania, taki kapitan Servadac np., a zw<sup>3</sup>aszcza hrabia Timaszew. Rewersy podpisane na Galji nie trac<sup>1</sup> wszak wartości na Ziemi i w razie niewyp<sup>3</sup>acalności pójd<sup>1</sup> do protestu... Bóg nie zabrania ludziom cenię wysoko swe dobro. Przeciwnie.

Snuj<sup>1</sup>c takie marzenia Izaak Hakhabut wybiera<sup>3</sup> się z wizyt<sup>1</sup> do kapitana Servadac<sup>3</sup>a, który ze swej strony zamierza<sup>3</sup> odwiedzię w<sup>3</sup>aciciela statku.

Spotkanie doszło do skutku dnia 15-go listopada na pok<sup>3</sup>adzie *Hanzy*. Sprytny kupiec nie narzuca<sup>3</sup> się, czeka<sup>3</sup> aż go poszukaj<sup>1</sup>.

Ojciec Izaaku – rzek<sup>3</sup> kapitan Servadac, przystępuj<sup>1</sup>c odrazu do sprawy – potrzeba nam kawy, tytoniu, oliwy i innych artyku<sup>3</sup>ów, w które zaopatrzona jest *Hanza*. Jutro przyjd<sup>1</sup> tu wraz z Ben-Zoufem kupić czego nam potrzeba.

Litoœci! – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> Hakhabut, który wykrzyknik ten mia<sup>3</sup> stale na końcu j<sup>1</sup>ęzyka.

Powiedzia<sup>3</sup>em – podj<sup>13</sup> kapitan Servadac – ¿e przyjdziemy „kupia<sup>3</sup>”, rozumie pan? Kupia<sup>3</sup>, to znaczy zabrac<sup>1</sup> towar za umówion<sup>1</sup> cen<sup>1</sup>. Prosz<sup>1</sup> wi<sup>1</sup>ec powstrzyma<sup>1</sup> swe ¿ale.

O, panie gubernatorze – odpar<sup>3</sup> dr¿<sup>1</sup>cym g<sup>3</sup>osem Izaak – rozumiem dobrze! Wiem doskonale, ¿e pan nie wyzyska biednego kupca, którego ca<sup>3</sup>y maj<sup>1</sup>tek jest nara¿ony!

Nie jest bynajmniej nara¿ony! Powtarzam panu, ¿e za wszystko zap<sup>3</sup>acimy.

Gotówka?

Gotówk<sup>1</sup>.

Bo rozumie pan, ¿e udzielanie kredytu w tych warunkach...

Kapitan Servadac, zgodnie ze swym zwyczajem poznawania ludzi wszelkich typów, da<sup>3</sup> mu się wypowiedzie<sup>1</sup> do końca. Hakhabut ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> dalej:

Mam wra¿enie... tak sobie myœl<sup>1</sup>¿, ¿e na Gor<sup>1</sup>cym L<sup>1</sup>dzie przebywaj<sup>1</sup> bardzo czcigodne osoby... pan hrabia Timaszew, sam pan gubernator...

Hector Servadac mia<sup>3</sup> nieprzepart<sup>1</sup> ch<sup>1</sup>¿ kopn<sup>1</sup>¿ to indywiduum, pohamowa<sup>3</sup> się jednak.

Rozumie pan – <sup>3</sup>ga<sup>3</sup> jak z nut sk<sup>1</sup>piec – ¿e udzielaj<sup>1</sup>c kredytu, nie móg<sup>3</sup>bym odmówia<sup>1</sup> innym. To wywo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>oby przykre sceny, których pragn<sup>13</sup>bym unikn<sup>1</sup>¿. I dlatego... zdaje mi się... lepiej nie kredytowa<sup>1</sup> nikomu.

Zgadza<sup>1</sup> się w zupe<sup>3</sup>noœci – odpar<sup>3</sup> Hector Servadac.

Ach, jak¿e się cieszy, ¿e pan gubernator podziela moje zdanie. To jest jedynie w<sup>3</sup>œciwe pojmowanie handlu! Czy wolno mi zapyta<sup>1</sup>, w jakiej monecie otrzymam zap<sup>3</sup>at<sup>1</sup>!

W z³ocie, srebrze, miedzi, zaœe po wyczerpaniu tych œerodków, w papierkach.

W papierkach? – krzykn¹³ ze zgroz¹ Hakhabut. – Oto czego siê obawia³em!

Czy¿by pan nie ufa³ bankom Francji, Angli i Rosji?

Ach, panie gubernatorze, niema to jak z³oto i tylko w wartoœæ tego szlachetnego kruszcu wierzê!

To te¿ powiedzia³em – t³umaczy³ uprzejmie kapitan Servadac – ¿e narazie otrzyma pan z³oto, gdy¿ mamy go poddostatkiem na Galji.

O, kochane z³oto! – cieszy³ siê i dziêkowa³ Izaak.

Kapitan Servadac zabiera³ siê do odwrotu.

A zatem do jutra.

Hakhabuta drêczy³a jedna jeszcze niepewnoœæ.

Panie gubernatorze!...

Proszê?

Czy bêdê mia³ prawo naznaczyæ ceny, jakie uznam za stosowne?

Panie Hakhabut – odci¹³ spokojnie oficer francuski – mia³bym prawo naznaczyæ ceny maksymalne, ale z prawa tego nie skorzystam. Naznaczy pan ceny przyjête na rynkach europejskich. Nie inne.

Litoœci! Panie gubernatorze!... Pozbawia mnie pan nale¿nego zarobku!... To jest przeciwne zasadom zdrowego handlu... Mam prawo œerubowaæ ceny z chwil¹, gdy jestem jedynym sprzedawc¹! Pan musi to zrozumieæ w imiê sprawiedliwoœci... W przeciwnym razie by³oby to w³aœciwie wyw³aszczenie mnie...

Ceny europejskie! – brzmia³a spokojna odpowiedŸ kapitana Servadac'a.

Jakto, gdy nadarza siê okazja do wyzyskania...

Na to w³aœnie nie mogê pozwoliæ!

Taka okazja mo¿e siê nie powtórzyæ...

Okazja obdarcia bliŹnich ze skóry. Doprawdy wstydŹ siê za pana. I prosŹ pamiêtaæ, Źe w imiê dobra ogó³u przys³uguje mi prawo sekwestru.

Sekwestru tego, co naleŹy mi siê w obliczu Boga!

Tak jest – odpar³ kapitan Servadac – nie bêdê jednak traci³ czasu na wyjaœnianie spraw tak jasnych i znanych! Przywo³ujê pana do porz¹dku i radŹ siê cieszyæ, Źe kupujemy to, co moglibyœmy braæ.

– yd zacz¹³ lamentowaæ, ale kapitan juŹ odchodzi³, rzucaj¹c tylko krótkie:

Ceny europejskie, panie Hakhabut!

W tej rozpaczy pociesza³a jednak sk¹pca myœl, Źe mimo cen europejskich zarobi jeszcze wiêcej, niŹ mó³by siê spodziewaæ na Ziemi.

Nazajutrz, skoro œwit, kapitan Servadac, który pragn¹³ osobiœcie dopilnowaæ transakcji, uda³ siê w towarzystwie Ben-Zoufa i dwóch marynarzy rosyjskich na pok³ad *Hanzy*.

No, cóŹ tam s³ychaæ, stary? – zawo³a³ Ben-Zouf.

Dziêkujê za troskliwoœæ – odpar³ Izaak.

Chcesz nam podobno wyœwiadczyæ przys³ugê?

Tak... przys³ugê... ale za gotówkê...

Wed³ug cen europejskich – dorzuci³ kapitan Servadac.

Dobrze... dobrze... – ci¹gn¹³ Ben-Zouf. – Nie bêdziesz d³ugo czeka³ na regulacjê rachunku.

Czego panom potrzeba? – pyta³ kupiec.

Narazie po dziesiêæ kilo kawy, tytoniu i cukru, bo... porachujê ci koœci. Jestem kapralem i znam siê na towarze.

A ja myœla³em, Źe pan jest adjutantem pana gubernatora – dziwi³ siê Hakhabut.

Jestem nim w czasie wielkich uroczystoœci, ale na codzieñ przedzierzgam siê w kapra³a i chodzê na targ. No dalej, nie traæmy czasu.

A zatem kawa, tytoñ i cukier – powtarza³ – yd, udaj¹c siê do sk³adu. Po chwili wróci³ nios¹c dziesiêæ kilogramowych paczek tytoniu, w pe³nem opakowaniu i banderolach.

Oto tytoñ – rzek³ – po dwanaœcie franków kilogram, to czyni razem sto dwadzieœcia franków!

Ordynans chcia<sup>3</sup> już p<sup>3</sup>aciæ, gdy powstrzyma<sup>3</sup> go kapitan Servadac.

Jeszcze chwilê, Ben-Zoufie. Trzeba sprawdziæ, czy waga jest dok<sup>3</sup>adna.

S<sup>3</sup>ucham, kapitanie!

Pocó¿ to? – pyta<sup>3</sup> Izaak. – Opakowanie jest nienaruszone, a waga wypisana na banderoli.

Nie szkodzi – odpar<sup>3</sup> kapitan Servadac, tonem nieznosz<sup>1</sup>cym sprzeciwu.

Dalej, stary, przynieœ wagê! – nagli<sup>3</sup> Ben-Zouf.

Po chwili Izaak umocowa<sup>3</sup> na haczyku wagi kilogramow<sup>1</sup> paczkê tytoniu.

Mein Gott! – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> nagle. Okrzyk ten istotnie by<sup>3</sup> usprawiedliwiony. Na skutek innych praw ci<sup>1</sup>¿enia na Galji, strza<sup>3</sup>ka wagi wskazywa<sup>3</sup>a tylko sto trzydzieœci trzy gramy.

Widzi pan – odezwa<sup>3</sup> siê z ca<sup>31</sup> powag<sup>1</sup> kapitan Servadac – mia<sup>3</sup>em s<sup>3</sup>usznocæ, ¿<sup>1</sup>daj<sup>1</sup>c sprawdzenia!

Ale¿ panie gubernatorze...

Proszê do<sup>3</sup>o¿yæ do wagi jednego kilograma.

Ale¿ na mi<sup>3</sup>ocæ Bosk<sup>1</sup>...

Dalej, dok<sup>3</sup>adaj – pogania<sup>3</sup> Ben-Zouf.

Ale¿, panie Ben-Zoufie...

I nieszczêeliwy Izaak krêci<sup>3</sup> siê, jak mysz w ukropie! Ba, gdyby posiada<sup>3</sup> zwyk<sup>31</sup> wagê z odwa¿nikami, nic podobnego nie mog<sup>3</sup>oby siê przytrafiæ, jak to już wyjaœniono na innym miejscu.

Stara<sup>3</sup> siê jeszcze persadowaæ, chcia<sup>3</sup> udobruchaæ kapitana. Ale ten by<sup>3</sup> niewzruszony. <sup>1</sup>da<sup>3</sup>, aby wskazówka sta<sup>3</sup>a na kilogramie, gdy za kilogram mia<sup>3</sup> p<sup>3</sup>aciæ.

Izaak musia<sup>3</sup> dok<sup>3</sup>adaæ, nie szczêdz<sup>1</sup>c z<sup>3</sup>orzeczeñ, którym wtórowa<sup>3</sup> œmiech Ben-Zoufa i marynarzy rosyjskich. W rezultacie za kilogram tytoniu musia<sup>3</sup> daæ siedem. To samo by<sup>3</sup>o z cukrem i kaw<sup>1</sup>.

Jeszcze ci Ýle, sk<sup>1</sup>pcze – naigrawa<sup>3</sup> siê Ben-Zouf – mo¿e wolisz nam daæ darmo?

Odwa¿anie skoñczy<sup>3</sup>o siê wreszcie. Kupiec wyda<sup>3</sup> po siedemdziesi<sup>1</sup>t kilogramów tytoniu, cukru i kawy, otrzymuj<sup>1</sup>c za ka¿dy z tych produktów cenê, odpowiadaj<sup>1</sup>c<sup>1</sup> wartocci dziesiêciu kilogramów.

Wszystko to wina Galji – dra¿ni<sup>3</sup> sk<sup>1</sup>pca Ben-Zouf – pocó¿ by<sup>3</sup>o zje¿d¿æ z towarami na Galjê?

Kapitan Servadac, który chcia<sup>3</sup> tylko nastraszyæ <sup>1</sup>yda i ubawiæ siê jego osob<sup>1</sup>, ustali<sup>3</sup> teraz

istotn<sup>1</sup> zależnoœæ pomiêdzy cen<sup>1</sup> i wag<sup>1</sup> i zap<sup>3</sup>aci<sup>3</sup> ca<sup>3</sup>kowit<sup>1</sup> nale¿noœæ za siedemdziesi<sup>1</sup>t kilogramów ka¿dego z nabytych produktów.

Wspania<sup>3</sup>omyelny gest kapitana uspokoï<sup>3</sup> lamenty sknery.

## Rozdzia<sup>3</sup> IX,

*w którym oœwieceni Galijczycy wybiegaj<sup>1</sup> myœl<sup>1</sup> w nieskoñczonoœæ.*

Up<sup>3</sup>yn<sup>13</sup> miesi<sup>1</sup>c. Galja b<sup>31</sup>dzi<sup>3</sup>a w przestworzach. Mieszkañcy jej czuli siê jak podró¿ni w czasie d<sup>3</sup>ugiej wêdrówki; urz<sup>1</sup>dzili siê mo¿liwie najwygodniej, ale nie instalowali siê na dobre. Wierzyli œwiêcie, ¿e powróc<sup>1</sup> na Ziemiê.

Hrabia Timaszew, kapitan Servadac i porucznik Prokop cieszyli siê ju¿ myœl<sup>1</sup> spotkania z bliskimi i nie troszczyli siê zbytnio o przysz<sup>3</sup>oœæ na Galji, nie gromadzili zapasów, nie hodowali zwierz<sup>1</sup>t i ptactwa, nie starali siê u¿y<sup>3</sup>niaæ gruntu pod przysz<sup>3</sup>e zasiewy.

Czasem jednak i ich ogarnia<sup>3</sup>o zw<sup>1</sup>tpienie i wówczas zastanawiali siê, co zrobi<sup>1</sup>, gdy nie uda siê wróciæ na Ziemiê. W jaki sposób urz<sup>1</sup>dz<sup>1</sup> sobie ¿ycie na Galji? Jak zapewni<sup>1</sup> egzystencjê grupce ludzi wycieñczonych dwudziestu miesi<sup>1</sup>cami zimy?

¿ycie w grotach Gor<sup>1</sup>cego L<sup>1</sup>du na d<sup>3</sup>u¿szy przeci<sup>1</sup>g czasu nie przedstawia<sup>3</sup>o siê zbyt ponêtnie. Jedyne orygina<sup>3</sup> w rodzaju Palmyrin Rosette'a móg<sup>3</sup> nie odczuwaæ niewygód i pragn<sup>1</sup>æ przed<sup>3</sup>u¿enia fantastycznej sytuacji w nieskoñczonoœæ.

Jedna zw<sup>3</sup>aszczã mo¿liwoœæ przejmowa<sup>3</sup>a zgroz<sup>1</sup> mieszkañców Groty. Co bêdzie, gdy wulkan wygaœnie? Wewnêtrzny ogieñ Galji mo¿e siê przecie¿ wyczerpaæ. Co wówczas stanie siê z ludŸmi? Jakiem paliwem ogrzej<sup>1</sup> galerjê, aby stworzyæ temperaturê znoœn<sup>1</sup> do przetrzymania 50-stopniowych mrozów?

Na szczêœcie jednak brak<sup>3</sup>o oznak wskazuj<sup>1</sup>cych na mo¿liwoœæ wygaœniêcia wulkanu. Lawa p<sup>3</sup>ynê<sup>3</sup>a z niezmienn<sup>1</sup> regularnoœci<sup>1</sup> i spokojem. Nie by<sup>3</sup>o ¿adnych powodów do obaw. Taka przynajmniej by<sup>3</sup>a opinja wiecznie pogodnego kapitana.

Dnia 15-go grudnia Galja znajdowa<sup>3</sup>a siê w odleg<sup>3</sup>oœci dwustu szesnastu milionów mil od s<sup>3</sup>oñca, blisko krañca wielkiej osi orbity. Porusza<sup>3</sup>a siê z szybkoœci<sup>1</sup> jedenastu do dwunastu milionów mil miesiêcznie. Nowe œwiaty rysowa<sup>3</sup>y siê teraz przed oczami Galijczyków, a zw<sup>3</sup>aszczã przed uzbrojonemi w lunetê oczami Palmyrin Rosette'a. Po obserwacji Jowisza, z odleg<sup>3</sup>oœci, z jakiej ¿adnemu œmiertelnikowi nie by<sup>3</sup>o dot<sup>1</sup>d danem go ogl<sup>1</sup>daæ, profesor zag<sup>3</sup>êbi<sup>3</sup> siê w studjach nad Saturnem. Dzieli<sup>3</sup>a go od niego odleg<sup>3</sup>oœæ stu siedemdziesiêciu trzech milionów mil, odleg<sup>3</sup>oœæ zgodna z

poprzednimi wyliczeniami uczonego.

Wrażeniami swojemi Palmyrin Rosette nie dzieli<sup>3</sup> się z nikim; nie opuszcza<sup>3</sup> obserwatorium i nie odrywa<sup>3</sup> oczu od szkie<sup>3</sup> lunety.

Ciekawi i u<sup>1</sup> dni wiedzy Galijczycy musieli radzić sobie sami, posi<sup>3</sup>kuj<sup>1</sup>c się znalezionymi w bibliotece *Dobryny* podręcznikami kosmografji.

Z ksi<sup>1</sup>żek dowiedziano się, że jeden obrót Saturna oko<sup>3</sup>o S<sup>3</sup>ońca trwa dwadzieścia dziewięć lat i sto sześćdziesiąt siedem dni, chociaż szybkość ruchu wynosi osiem tysięcy osiemset pięćdziesiąt osiem mil na godzinę. Obwód tej planety wynosi na równiku dziewięćdziesiąt tysięcy trzysta osiemdziesiąt mil. Powierzchnia jego wyraża się liczbą czterdziestu miliardów kilometrów kwadratowych, objętość zaś równa się sześciuset sześćdziesięciu sześciu miliardom kilometrów sześciennych. W rezultacie Saturn, choć mniejszy od Jowisza, jest siedemset trzydzieści pięć razy większy od Ziemi. Masa jego natomiast przewyższa tylko sto razy masę Ziemi, co wskazuje na gęstość mniejszą od gęstości wody. Obrót dookoła osi trwa dziesięć godzin dwadzieścia dziewięć minut, co daje w rezultacie liczbę dwudziestu czterech tysięcy sześciuset trzydziestu dni rocznie (czytaj przeszło dwadzieścia dziewięć lat ziemskich). Każda z czterech pór roku trwa tam zgó<sup>1</sup> 7 lat ziemskich.

Najciekawszą jednak osobliwością Saturna jest osiem satelitów, które stale towarzyszą planecie. Jakież piękne muszą być, w tak wspaniałym blasku, nocą na Saturnie.

Jeszcze więcej uroku dodaje im niewątpliwie potrójny pierścień, otaczający planetę. Jest to obejmujący ją w przestrzeni pas świetlny, składający się z trzech kół koncentrycznych, każde o swoim nasileniu i barwie światła. Pierścień ten jest według wszelkiego prawdopodobieństwa pozostałością mgławicy, z której powstał Saturn.

Galijczycy nie byli w stanie gołym okiem dojrzeć wszystkie te cuda. Odległość była zbyt wielka. Nie uskarżali się na to, bo w tych warunkach mniej zagrażała nikłej upince, na której się znajdowali. Bardziej jeszcze odległy Uran również nie mógł być dokładnie zbadany, jakkolwiek w pewnych chwilach widziany był bez szkie<sup>3</sup>, bez towarzyszących mu jednak satelitów.

Ostatniej planety układu słonecznego, ostatniej aż do chwili odkrycia nowej, Galijczycy nie widzieli już wcale. Obserwował ją zapewne profesor Palmyrin Rosette, ale o tym było g<sup>3</sup>ucho. Inni Galijczycy musieli się zadowolnić księżkową znajomością z Neptunem.

Średnia odległość tej planety od słońca wynosi miliard sto czterdzieści milionów mil, a całkowity obrót dookoła słońca trwa sto sześćdziesiąt pięć lat. Neptun przebiega swymi olbrzymimi, mierzwi siedem miliardów siedemdziesiąt milionów mil, orbitę z szybkością dwudziestu tysięcy kilometrów na godzinę. Planeta ta o kształcie kuli, sto pięć razy większej od kuli ziemskiej, ma jednego tylko satelitę w odległości stu tysięcy mil. Krzywa, po której porusza się Neptun, zdaje się



byæ granic<sup>1</sup> uk<sup>3</sup>adu s<sup>3</sup>onecznego. S<sup>3</sup>oñce w wielkiej mg<sup>3</sup>awicy drogi mlecznej zajmuje skromne miejsce gwiazdy czwartego rzêdu.

Có¿ stanie siê z Galj<sup>1</sup>, jeœli wytr<sup>1</sup>cona zostanie z pod wp<sup>3</sup>ywów s<sup>3</sup>oñca? Do jakiego uk<sup>3</sup>adu bêdzie w<sup>3</sup>czona? Mo¿e do najbli¿szej z gwiazd drogi mlecznej. Jest ni<sup>1</sup> Alpha z konstelacji Centaura. Odleg<sup>3</sup>oœæ jej od S<sup>3</sup>oñca wynosi, przyjmuj<sup>1</sup>c miliard za jednostkê, osiem tysiêcy miliardów mil. Czy¿ znamy olbrzymie odleg<sup>3</sup>oœci pomiêdzy gwiazdami? Kilka z nich zaledwie zosta<sup>3</sup>o zbadanych.

Bior<sup>1</sup>c za podstawê szybkoœæ rozchodzenia siê œwiat<sup>3</sup>a, postaramy siê daæ s<sup>3</sup>abe pojêcie o tych bezmiernych przestrzeniach.

WyobraŹmy sobie cz<sup>3</sup>owieka, o nieograniczonej sile wzroku, i umieœamy go w konstelacji Kozy. Patrz<sup>1</sup>c na Ziemiê, dojrzy on rzeczy, które dzia<sup>3</sup>y siê tam siedemdziesi<sup>1</sup>t dwa lata temu. Jeœli przeniesiemy go na gwiazdê dziesiêæ razy bardziej odleg<sup>3</sup><sup>1</sup>, bêdzie œwiadkiem spraw, rozgrywaj<sup>1</sup>cych siê przed siedmiuset dwudziestu laty. Jeszcze dalej, z odleg<sup>3</sup>oœci, któr<sup>1</sup> œwiat<sup>3</sup>o przebywa w czasie dziewiêtnastu wieków, bêdzie œwiadkiem ukrzy¿owania Jezusa Chrystusa. Z oddali, dla której przebycia promieñ œwietlny wymaga szeœciu tysiêcy lat, prze¿yje wraz z Ziemi<sup>1</sup> dzieje biblijnego potopu. Jeszcze dalej, skoro przestrzeñ jest nieskoñczon<sup>1</sup>, ujrzy, zgodnie z tradycj<sup>1</sup> biblijn<sup>1</sup>, Stwórcê, wyczarowuj<sup>1</sup>cego œwiaty. W ten sposób wszystkie zdarzenia s<sup>1</sup> utrwalone w bezmiarach przestrzeni i czas nie zaciera nic z ich wyrazistoœci.

Mo¿e i s<sup>3</sup>usznœæ mia<sup>3</sup> Palmyrin Rosette, gdy pragn<sup>13</sup> wiecznie b<sup>3</sup>dziaæ w przestworzach! Bo có¿ bardziej poci<sup>1</sup>gaj<sup>1</sup>cego nad cuda krain miêdzyplanetarnych? Gdyby jego asteroida wpada<sup>3</sup>a w obrêb dzia<sup>3</sup>ania coraz to innej gwiazdy, ile¿ rozmaitych konstelacyj by<sup>3</sup>by móg<sup>3</sup> zbadaæ. Oczy jego olœni<sup>3</sup>yby cuda, o których system s<sup>3</sup>oneczny nie daje najs<sup>3</sup>abszego nawet pojêcia! Bardziej odleg<sup>3</sup>e grupy planetarne nie przez jedno zasilane s<sup>1</sup> s<sup>3</sup>oñce. System monarchiczny nie ma snaæ powodzenia w sferach niebieskich. Jedno s<sup>3</sup>oñce, dwa s<sup>3</sup>oñca, szeœæ s<sup>3</sup>oñc, grawituj<sup>1</sup> we wzajemnej zale¿noœci. S<sup>1</sup> to gwiazdy przeró¿nych barw: czerwone, ¿ó<sup>3</sup>te, zielone, pomarañczowe. Jakê bajecz<sup>1</sup> musi byæ gra œwiate<sup>3</sup> na ich planetach! Có¿ czeka Galjê, jeœli w swej podró¿y miêdzyplanetarnej trafi do ró¿nych uk<sup>3</sup>adów? Jakê bajecznie kolorowe bêd<sup>1</sup> jej wschody s<sup>3</sup>oneczne?

Nie by<sup>3</sup>o jej jednak s<sup>1</sup>dzone dostaæ siê pod w<sup>3</sup>adzê innego s<sup>3</sup>oñca, ani odbiec zbyt daleko od Ziemi.

Nie! Galja nie mia<sup>3</sup>a nigdy opuœciaæ uk<sup>3</sup>adu s<sup>3</sup>onecznego. Mia<sup>3</sup>a tylko w bezmiarach przestrzeni odbyæ drobn<sup>1</sup>, nic nieznaczc<sup>1</sup> podró¿, wyrazaj<sup>1</sup>c siê liczb<sup>1</sup> szeœciuset trzydziestu milionów mil!

## Rozdzia<sup>3</sup> X,

*Jak œwiêtowano na Galji dzieñ 1-y stycznia i co siê zdarzy<sup>3</sup>o pod koniec uroczystoœci.*

Mrozy na Galji stawa<sup>3</sup>y siê coraz dotkliwsze. Temperatura mierzona termometrem spirytusowym, albowiem rtêciowy odmawia<sup>3</sup> pos<sup>3</sup>uszeñstwa ju¿ przy 42 stopniach mrozu, spad<sup>3</sup>a do 53 stopni poni¿ej zera.

Jednoczenie w zatoce, w której zimowa<sup>3</sup>y *Hanza* i *Dobryna*, pow<sup>3</sup>oka lodowa wypiętrza<sup>3</sup>a się zwolna pod kilami okrętów, wznosz<sup>1</sup>c je coraz to wyżej. *Hanza* górowa<sup>3</sup>a już na pięćdziesiąt stóp nad poziom morza, jacht zać, jako lżejszy, uniós<sup>3</sup> się jeszcze wyżej. Żadna si<sup>3</sup>a ludzka nie by<sup>3</sup>aby w stanie tej pracy powstrzymać.

Porucznik Prokop, zaniepokojony losami jachtu, kaza<sup>3</sup> zeń uprz<sup>1</sup>tn<sup>1</sup>æ wszystko, co się da<sup>3</sup>o. Pozosta<sup>3</sup> tylko motor, kad<sup>3</sup>ub i maszty. Co jednak będzie, gdy kad<sup>3</sup>ub ten, mog<sup>1</sup>cy w pewnych okolicznościach stać się jedynym schroniskiem kolonistów, zostanie strzaskany w czasie odwilży? Co zast<sup>1</sup>pi *Dobrynę*, gdy trzeba będzie opuścić Gor<sup>1</sup>cy L<sup>1</sup>d i przenieść się ponownie na wyspę! *Hanza*, narażona na te same co i *Dobryna* niebezpieczeństwa, lecz o wiele mniej od niej wytrzyma<sup>3</sup>a, już teraz pochyla<sup>3</sup>a się w sposób zatrważaj<sup>1</sup>cy i katastrofa grozi<sup>3</sup>a jej każdej chwili. Izaak Hakhabut zaniepokojony swym losem tkwi<sup>3</sup> jednak dzień i noc na straży <sup>3</sup>adunku.

W tych okolicznościach kapitan Servadac powzi<sup>13</sup> decyzję, której sk<sup>1</sup>piec musia<sup>3</sup> się poddać bez szemrania. O ile bowiem jego osoba nie by<sup>3</sup>a nikomu do szczęścia potrzebna, o tyle <sup>3</sup>adunek *Hanzy* mia<sup>3</sup> dla wszystkich wartość bezcenn<sup>1</sup>. Trzeba go więc by<sup>3</sup>o ratować bez zw<sup>3</sup>oki. Kapitan Servadac stara<sup>3</sup> się najpierw wzbudzić obawę u Hakhabuta. Nie uda<sup>3</sup>o mu się to jednak. Izaak nie chciał nawet s<sup>3</sup>yszeć o przeprowadzce.

Może pan dowolnie rozporz<sup>1</sup>dzać swój<sup>1</sup> osob<sup>1</sup> – odpar<sup>3</sup> wówczas oficer francuski – ale <sup>3</sup>adunek statku przeniesiony zostanie do magazynów Gor<sup>1</sup>cego L<sup>1</sup>du.

Lamenty sk<sup>1</sup>pca nie wzrusza<sup>3</sup>y nikogo i dnia 20-go grudnia przyst<sup>1</sup>piono do przeprowadzki.

W gruncie rzeczy Hakhabut winien by<sup>3</sup> wdzięczność gubernatorowi, którego zarz<sup>1</sup>dzenie broni<sup>3</sup>o jego interesów i zabezpiecza<sup>3</sup>o mu mienie.

Marynarze rosyjscy i Hiszpanie pracowali kilka dni bez przerwy. Ciep<sup>3</sup>o ubrani, mogli bezkarnie chodzić po mrozie. Unikali tylko dotykania przedmiotów metalowych, aby nie zostawić na nich naskórka. Ca<sup>3</sup>a robota dokonana zosta<sup>3</sup>a szczęśliwie i <sup>3</sup>adunek *Hanzy* umieszczono w przestronnych galerjach Groty.

Izaak Hakhabut pod<sup>1</sup>ł<sup>3</sup>y<sup>3</sup>, rzecz prosta, w celad za towarami. Przyznać trzeba, że nie narzuca<sup>3</sup> się swój<sup>1</sup> osob<sup>1</sup>. Widziano go bardzo rzadko. Sypia<sup>3</sup> obok swego <sup>3</sup>adunku, żywi<sup>3</sup> się swymi zapasami. Bardziej niż skromne potrawy przyrz<sup>1</sup>dza<sup>3</sup> sam na maszynie spirytusowej. Galijczycy odwiedzali go tylko w sprawach zakupu i stopniowo ca<sup>3</sup>y zapas z<sup>3</sup>ota i srebra ma<sup>3</sup>ej kolonji zd<sup>1</sup>ł<sup>3</sup>a<sup>3</sup> do ma<sup>3</sup>ej szufladki, której kluczyk Hakhabut

nia<sup>3</sup> stale przy sobie.

Zbliża<sup>3</sup> się pierwszy dzień stycznia według kalendarza ziemskiego. Pierwszy stycznia, to znaczy rocznica spotkania kuli ziemskiej z komet<sup>1</sup>, rocznica kataklizmu, który wyrzuci<sup>3</sup> w przestworza trzydzieści sześć istnień ludzkich. Jak dot<sup>1</sup>d wszyscy byli zdrowi i cali. Nowe warunki klimatyczne nie zaszkodziły ich zdrowiu. Stały, równomierny spadek temperatury, bez nagłych zmian i skoków nie wywoła<sup>3</sup> nawet kataru. Trudno o bardziej zdrowe warunki klimatyczne od panujących na Galji. Wszystko wskazywa<sup>3</sup>o na to, że w razie powrotu komety na Ziemię, Galijczycy wróc<sup>1</sup> tam w komplecie. Chociaż dzień pierwszy stycznia nie był początkiem roku galijskiego i rozpoczyna<sup>3</sup> jedynie drugi obrót wokół słońca, kapitan Servadac postanowi<sup>3</sup>, nie bez uszności, dzień ten obchodzić uroczysto.

Nie należy – mówi<sup>3</sup> do hrabiego i porucznika – odzwyczajać naszych towarzyszy od spraw ziemskich, najprawdopodobniej bowiem jeszcze do nich wrócimy. A gdyby się to nawet nie sta<sup>3</sup>o, powinniśmy wszyscy zachować Ziemię we wdzięcznej pamięci. Wszyscy nasi bracia na Ziemi obchodzą dziś dzień Nowego Roku, obchodzimy także! Taka solidarność uczuciowa jest bardzo wskazana. Z rozmaitych punktów Ziemi obserwuj<sup>1</sup> zapewne Galję, jeżeli nie gołym okiem, to w każdym razie przez lunetę. Pewien rodzaj więzów naukowych łączy nas z kulą ziemską, nie przestaliśmy też dotąd należeć do układu słonecznego.

Zgadza się z panem, kapitanie – odparł hrabia Timaszew. – Jestem najbardziej przeświadczony, że liczne obserwacje zajmują się naszą kometą. Z pewnością lunety z Paryża, Petersburga, Greenwich, Cambridge i Melbourne niejednokrotnie nastawiane są w naszą stronę.

Musimy być bardzo modni na Ziemi – podjął kapitan – i nie wątpię, że prasa informuje dokładnie o tem, co się z nami dzieje. Pamiętajmy więc o tych, którzy myślą o nas, i obchodzimy wraz z nimi dzień Nowego Roku.

Zgadza się z panami – wtrącił wówczas porucznik Prokop – że sprawa komety budzi zainteresowanie na Ziemi, ale przypuszczam, że poza stroną naukową i zdawkową ciekawością inne jeszcze motywy grają rolę dominującą. Obserwacje, którym poświęcił się nasz uczeń, przeprowadzone były z pewnością i z niemiejszą dokładnością na Ziemi. I tam znane już są elementy Galji. Wiadomo też, gdzie i kiedy nastąpi ponowne zetknięcie z Ziemią. Otóż twierdzę, że najbardziej rozpala umysł owa pewność spotkania. Posunę się nawet jeszcze dalej i powiem, że przedsięwzięto wszelkie środki ostrożności, o ile środki takie istnieją, dla uniknięcia katastrofalnych skutków zderzenia.

Rozumowanie porucznika by<sup>3</sup>o najzupe<sup>3</sup>niej logiczne. Przypuszczalnie na Ziemi bardziej obawiano siê, ni<sup>3</sup> têskniono za Galj<sup>1</sup>.

Mimo wszystko postanowiono œwiêciæ dzieñ 1-y stycznia. Nawet Rosjanie przy<sup>31</sup>czyli siê do Francuzów i Hiszpanów, chocia<sup>3</sup> wed<sup>3</sup>ug ich kalendarza Nowy Rok wypada o kilkanaœcie dni pó<sup>3</sup>niej.

Nadesz<sup>3</sup>a Gwiazdka. Narodziny Chrystusa obchodzono uroczyœcie. Jedynie Izaak skry<sup>3</sup> siê dnia tego jeszcze g<sup>3</sup>êbiej w swej ponurej jaskini.

W ostatnim tygodniu starego roku zawrza<sup>3</sup>a gor<sup>1</sup>czkowa praca. Ben-Zouf uk<sup>3</sup>ada<sup>3</sup> program zabawy. Rozrywki na Galji nie mog<sup>3</sup>y byæ zbyt urozmaicone. Postanowiono, <sup>3</sup>e wielki dzieñ rozpocznie wspólna uczta, a zakoñczy spacer po lodzie przy œwietle pochodni.

Obiad musi byæ smakowity, a spacer weso<sup>3</sup>y – cieszy<sup>3</sup> siê Ben-Zouf. – I czegó<sup>3</sup> nam trzeba wiêcej?

U<sup>3</sup>o<sup>3</sup>enie menu by<sup>3</sup>o trudnoœci<sup>1</sup> nielada. Stad czêste konferencje ordynansa z kucharzem z *Dobryny*. W rezultacie wypad<sup>3</sup>a wcale szczêeliwa kombinacja kuchni francuskiej z rosyjsk<sup>1</sup>.

31-go grudnia wieczorem wszystko by<sup>3</sup>o gotowe. Zimne dania, konserwy miêsne, galarety i kompoty, zakupione za drogie pieni<sup>1</sup>dze u Hakhabuta, zdobi<sup>3</sup>y ju<sup>3</sup> sto<sup>3</sup>y wielkiej sali. Dania gor<sup>1</sup>ce mia<sup>3</sup>y byæ przygotowane nastêpnego dnia rano.

Wieczorem roztr<sup>1</sup>sano sprawê udzia<sup>3</sup>u w zabawie Palmyrin Rosette'a. Wypada<sup>3</sup>o go zaprosiæ, ale czy przyjmie zaproszenie, by<sup>3</sup>o wiêcej ni<sup>3</sup> w<sup>1</sup>tpliwe.

Z uwagi na niechêæ profesora do wszelkich odwiedzin, pos<sup>3</sup>ano przez m<sup>3</sup>odego Pablo zaproszenie picemienne. Lakoniczna odpowied<sup>3</sup> brzmi<sup>3</sup>a:

„Dziœ mamy 135-ty czerwca, a jutro bêdzie 1-y lipca na Galji, pos<sup>3</sup>ugiwaæ siê trzeba kalendarzem galijskim”.

By<sup>3</sup>a to odmowa naukowo uzasadniona, ale w ka<sup>3</sup>dy razie odmowa.

1-go stycznia, w godzinê po wschodzie s<sup>3</sup>oñca, Francuzi, Hiszpanie, Rosjanie i ma<sup>3</sup>a Nina, jako przedstawicielka W<sup>3</sup>ochów, zebrali siê przy stole w du<sup>3</sup>ej sali Wielkiej Groty. Ben-Zouf i kucharz *Dobryny* przeszli samych siebie. Wina by<sup>3</sup>y wspania<sup>3</sup>e, nie brakowa<sup>3</sup>o nawet wódki.

By<sup>3</sup>o, jak to powiedzia<sup>3</sup> Ben-Zouf, i smacznie i weso<sup>3</sup>o.

G<sup>3</sup>oœne okrzyki przy toastach nie oszczêdzi<sup>3</sup>y nawet uszu zag<sup>3</sup>êbionego w pracy Palmyrin

Rosette'a.

Po skończonym obiedzie pozostawały jeszcze trzy godziny dnia. Ubrano się ciepło i wyruszone na spacer, który miał się przeciągnąć do nocy. Straszliwy mróz nie dokuczał nikomu, gdyż zupełnie cisza panowała w powietrzu. Na lodzie nałożono żywy i wyruszone w świat w pojedynkę lub grupami. Hrabia Timaszew, kapitan Servadac i porucznik Prokop, jak zwykle, trzymali się razem. Hiszpanie z niezwykłą gracją i szybkością mknęli hen, aż po linię horyzontu.

Marynarze z *Dobryny*, zgodnie ze zwyczajami swego kraju, ustawili się rzędem i ujęwszy pod prawe ramiona grubą linę, pędzili długi wężem, jak pociąg na szynach. Pablo i matka Nina, trzymając się za ręce i pokrzykując wesoło, jak ptaki wypuszczone na wolność, to zbliżali się do grupy kapitana, to znów od niej uciekali. Te dwie młode istoty uosabiały całą radość, a może i całą nadzieję kolonii galijskiej.

Nie należało zapominać Ben-Zoufa, który ze szczerym, niefrasobliwym humorem, przenosił się od grupy do grupy. Żywiarze posuwali się szybko i wkrótce zniknęli za linią horyzontu Gor'cego L'du. Kilkakrotnie zatrzymywano się dla nabrania tchu, ale na chwilę tylko, z obawy przed przeziębieniem. Potem ruszono w dalszą drogę w kierunku Ostoii. Dotarcie do wysepki było niemożliwe, gdyż zapadła noc kazała myśleć o powrocie. Słońce chyliło się już ku zachodowi, a raczej ku wschodowi, w każdym razie zbliżało się szybko ku linii horyzontu. Na niebie nie było najliczniejszego obłoczka, żadnego z tysiąca blasków i cieni towarzyszących na Ziemi zachodowi słońca.

Oko, celując się po zmarzniętej tafli morskiej, nie napotykało nawet ostatniego zielonego promienia, niktłego w głębinie wód. Na Galji nieznane były czarowne efekty zachodu. Tarcza słoneczna, rozszerzona wskutek zamętu, miała wyraźnie zarysowane kontury, zanikała nagle, jak gdyby wpadała w grubą tafli lodowej, i momentalnie następowała noc. Przed schyłkiem dnia kapitan Servadac zgromadził całą towarzysztwo i rozkazał wszystkim trzymać się razem, aby nie zbłądzić i cało wrócić do domu. Zapadła głęboka ciemność, gwiazdy migotały sennie i blade.

Drogę pędzącym żywiarzom oświetlały jedynie pochodnie. Ich długie, ogniste języki pędziły zygziem za uciekającymi, jak rozwinięte na wietrze sztandary.

W godzinę później ukazało się na horyzoncie czarne wybrzeże Gor'cego L'du. Płonące strumienie lawy opadały z hukiem na zamrzniętą taflę wód.

Taki stan rzeczy trwało blisko pół godziny. Zbliżano się szybko do l'du, gdy wtem krzyk jakiegoś zamknięcia ciszy nocnej.

Krzyk ten wyrwał się z piersi Ben-Zoufa. Wszyscy przyćpieszyli biegu, tnieć lód stalowymi żyłkami. Wówczas przy świetle, bliskich już zagaśnięciu pochodni, dostrzeżono wyciągnięty w stronę l'du rękę Ben-Zoufa.

Powszechny okrzyk zgrozy odpowiedział na głos ordynansa...

Wulkan nagle zgasł. Lawa, ciekająca ze szczytu, przestała płynąć. Zdawało się, że jakiegoś

huragan przeszedł nad kraterem.

Wszyscy zrozumieli, że Źródło ognia zamarło. Nie będzie już sposobu zwalczania okrutnej zimy galijskiej... Czyżby groziła im już śmierć, śmierć lodowa?

Naprzód! – zawołał silnym głosem kapitan Servadac.

Pochodnie zgasły. Posuwano się naprzód wśród zupełnych ciemności. Lód był niedaleko... Poomacku wspinano się na zlodowaciałe góry... pociemku trafiono do galerji i wielkiej wspólnej sali.

Panowały tu głębokie ciemności i zimno dotkliwe. Światła zasłona nie zamykała już wielkiego otworu i, wychylając się nazwewnątrz, porucznik Prokop dostrzegł, że płynne dotychczas, bo zasilane potokami lawy, jezioro przymorskie zamarło całkowicie. W ten sposób zakończył się na Galji tak wesoło rozpoczęty dzień Nowego Roku.

## Rozdział XI,

*w którym kapitan Servadac i jego towarzysze tak sobie radzą, jak tego wymagają, okoliczności.*

Cała noc aż do białego dnia Galijszycy spędzili w nieszybanym podnieceniu. Palmyrin Rosette, zmrożony do szpiku kości, zmuszony był opuścić obserwatorium i szukać schronienia w galerjach Wielkiej Groty. Była to może jedyna okazja zapytania go, czy istnieje możliwość podróży międzyplanetarnej na swej niezamieszkałej komicie, odpowiedziałyby mimo wszystko prawdopodobnie twierdząc. Nikt jednak nie miał ochoty narażać się na wymysły, które towarzyszyłyby bez wątpienia temu dialogowi.

Hector Servadac i jego towarzysze skryli się również w najgłębszych galerjach i pieczarach. W wielkiej, szerokim otworem patrzącej na świat, sali, temperatura była nie do zniesienia. Wilgoć jej ścian zmieniała się już w kryształki i gdyby nawet udało się zatkać olbrzymi otwór, który niegdyś przesłaniały strumienie lawy, mróz byłby nie do wytrzymania.

W samej głębi ciemnej galerji utrzymywała się jeszcze jakaś ciepota. Ale niewielka to była pociecha. Czuło się wyraźnie, że ciepło uciekało. Cała góra sprawiała wrażenie człowieka w agonji, któremu najpierw stygnęły kończyny i tylko serce opiera się najdłużej mroźnemu podmuchowi śmierci.

A więc – zawołał kapitan Servadac – musimy zamieszkać w samym sercu wulkanu!

Nazajutrz zebra<sup>3</sup> wszystkich towarzyszy<sup>3</sup> niedoli i przemówi<sup>3</sup> do nich w te s<sup>3</sup>owa:

Przyjaciele, có<sup>3</sup> nam w<sup>3</sup>acéciwie zagra<sup>3</sup>a? Mróz, ale tylko mróz. Zapasów mamy obfito<sup>3</sup>æ, konserw równie<sup>3</sup>. Do przetrzymania tych kilku zimowych miesięcy potrzeba nam tylko trochę<sup>3</sup> ciep<sup>3</sup>a, którem doniedawna tak hojnie szafowa<sup>3</sup>a natura. Otó<sup>3</sup> ciep<sup>3</sup>o to istnieje najpewniej we wnętrzu Galji i tam musimy go szuka<sup>3</sup>æ.

Te pe<sup>3</sup>ne ufno<sup>3</sup>eci s<sup>3</sup>owa doda<sup>3</sup>y otuchy strapionym Galijczykom. Hrabia Timaszew, porucznik Prokop i Ben-Zouf ocisnêli serdecznie d<sup>3</sup>oñ kapitana.

Malutka Nino – zwróci<sup>3</sup> siê Hector Servadac do dziewczynki – czy nie ba<sup>3</sup>aby<sup>3</sup>æ siê zej<sup>3</sup>æ w g<sup>3</sup>1b wulkanu!

Nie, kapitanie – odpar<sup>3</sup>a rezolutnie dziewczynka – zw<sup>3</sup>aszcza je<sup>3</sup>eli Pablo bêdzie nam towarzyszy<sup>3</sup>...

Pablo pójdzie z nami! On jest odwa<sup>3</sup>ny, nie boi siê niczego! Prawda, Pablo?

Pójdê wszêdzie za panem, panie gubernatorze – odpar<sup>3</sup> ch<sup>3</sup>opiec.

Nale<sup>3</sup>a<sup>3</sup>o bezzw<sup>3</sup>ocznie przyst<sup>1</sup>piæ do dzie<sup>3</sup>a.

Nie by<sup>3</sup>o mowy o posuwaniu siê wzd<sup>3</sup>u<sup>3</sup> krateru zewnêtrznego. Nogi ælizga<sup>3</sup>yby siê po skorupie lodowej, nie znajduj<sup>1</sup>c <sup>3</sup>adnego punktu oparcia. Konieczno<sup>3</sup>æ nakazywa<sup>3</sup>a zej<sup>3</sup>æcie wdó<sup>3</sup> po stopniach wykutych w skale. Im prêdziej tem lepiej, gdy<sup>3</sup> mróz przenika<sup>3</sup> do najzaciszszych zak<sup>1</sup>tków groty.

Porucznik Prokop zbada<sup>3</sup> dok<sup>3</sup>adnie rozk<sup>3</sup>ad i kierunek wewnêtrzných tunelów i wskaza<sup>3</sup> te, które jego zdaniem prowadzi<sup>3</sup>y do centrum wulkanu. W<sup>1</sup>skie te korytarze istotnie by<sup>3</sup>y nieco cieplejsze, zapewne substancja mineralna ich ocian by<sup>3</sup>a dobrym przewodnikiem ciep<sup>3</sup>a. £<sup>1</sup>czy<sup>3</sup>y siê one z dawnem <sup>3</sup>o<sup>3</sup>yskiem, które znów niew<sup>1</sup>tpliwie za punkt wyj<sup>3</sup>æcia mia<sup>3</sup>y Ÿród<sup>3</sup>o wybuchu lawy, czyli krater centralny.

Z wykonaniem planu nie zwlekano ani chwili. Marynarze rosyjscy, kierowani œwiat<sup>3</sup>1 rad<sup>1</sup> porucznika, wykazywali wiele dobrej woli i zrêczno<sup>3</sup>eci. Oskardy i motyki nie wystarcza<sup>3</sup>y do przebicia drogi. Trzeba by<sup>3</sup>o stosowa<sup>3</sup>æ miny i rozsada<sup>3</sup>æ ska<sup>3</sup>y przy pomocy prochu. Praca postêpowa<sup>3</sup>a szybko i ju<sup>3</sup> po up<sup>3</sup>ywie dwóch dni doprowadzi<sup>3</sup>a do pomy<sup>3</sup>elnych rezultatów. Ca<sup>3</sup>a kolonja tymczasem dygota<sup>3</sup>a z zimna.

Je<sup>3</sup>eli siê nie dostaniemy do g<sup>3</sup>êbin wulkanu, jeste<sup>3</sup>emy straceni – wypowiedzia<sup>3</sup> swe obawy hrabia Timaszew.

Czyż pan nie ufa Wszeczmog<sup>1</sup>cemu? – zagadn<sup>13</sup> kapitan Servadac.

Owszem, ale wyroki Jego s<sup>1</sup> niezbadane. I nie nam s<sup>1</sup>dział Jego zarz<sup>1</sup>dzenia. Szczodra wczoraj rêka, zdaje się dzie sk<sup>1</sup>pię swych darów...

Niezupe<sup>3</sup>nie – odpar<sup>3</sup> kapitan – jest to raczej próba naszej odwagi. Jakież g<sup>3</sup>os wewnêtrzny mówi mi, że ca<sup>3</sup>kowite wygaeniêcie wulkanu jest niemożliwe. Ognisko wewnêtrzne p<sup>3</sup>onie z pewnoœci<sup>1</sup> i powstrzymanie potoku lawy jest tylko chwilowe.

Porucznik Prokop popar<sup>3</sup> wywody kapitana. Prawdopodobnie utworzy<sup>3</sup> się nowy krater i potoki lawy skierowa<sup>3</sup>y się w inn<sup>1</sup> stronê, ale nie wygas<sup>3</sup>y.

Palmyrin Rosette nie bra<sup>3</sup> udziału w dyskusjach, ani w pracy. Jak potêpieniec wa<sup>3</sup>êsa<sup>3</sup> się z k<sup>1</sup>ta w k<sup>1</sup>t. Ulokowa<sup>3</sup> lunetê w wielkiej sali i chociaŹ marz<sup>3</sup> do szpiku koœci, coraz wymyka<sup>3</sup> się na obserwacje. Wraca<sup>3</sup> z<sup>3</sup>y, z<sup>3</sup>orzecz<sup>1</sup>cy i zapewnia<sup>3</sup>, że Formentera by<sup>3</sup>a duŹo lepsz<sup>1</sup> siedzib<sup>1</sup>.

Zbawcze uderzenie kilofa mia<sup>3</sup>o miejsce dnia 4-go czerwca. Wielkie kamienie posypa<sup>3</sup>y się z hukiem do otwartego komina. Porucznik Prokop zaobserwowa<sup>3</sup>, że nie spada<sup>3</sup>y prostopadle i rad by<sup>3</sup> z tej obserwacji. Tunel nie by<sup>3</sup> zbyt stromy, <sup>3</sup>atwiejsze zatem bêdzie zejœcie nadó<sup>3</sup>.

Gdy przebito juŹ doœæ duŹy otwór, pierwsi do piekie<sup>3</sup> zst<sup>1</sup>pili kapitan z porucznikiem, w towarzystwie nios<sup>1</sup>cego pochodniê Ben-Zoufa. Droga by<sup>3</sup>a krêta o <sup>3</sup>agodnym spadku. Schodzi<sup>3</sup>o się wygodnie nie ryzykuj<sup>1</sup>c ca<sup>3</sup>oœci łeber i nóg. Nadto œciany pe<sup>3</sup>ne by<sup>3</sup>y wy<sup>3</sup>obieñ, grot, wystêpów skalnych i pod przykrywaj<sup>1</sup>cym je popio<sup>3</sup>em wyczuwa<sup>3</sup>o się solidne oparcie. Wulkan musia<sup>3</sup> byæ niezbyt dawnego pochodzenia i powsta<sup>3</sup> najwidoczniej podczas kataklizmu zderzenia komety z Ziemi<sup>1</sup>. Dlatego œciany komina nie by<sup>3</sup>y jeszcze prze<sup>3</sup>arte przez lawê.

Wszystko w porz<sup>1</sup>dku – cieszy<sup>3</sup> się Ben-Zouf – œwietne schody!

W istocie, z trudem posuwano się wdó<sup>3</sup>, albowiem w schodach – pos<sup>3</sup>uguj<sup>1</sup>c się jêzykiem ordynansa – brakowa<sup>3</sup>o wielu stopni. Po up<sup>3</sup>ywie pó<sup>3</sup> godziny osi<sup>1</sup>gniêto g<sup>3</sup>êbokoœæ piêciuset stóp w kierunku po<sup>3</sup>udniowym. Po drodze napotymano rozmaite g<sup>3</sup>êbokie pieczary i grot, ale ani œladu galerji. Ben-Zouf przy pomocy pochodni œwietla<sup>3</sup> je w mgnieniu oka. By<sup>3</sup>y to g<sup>3</sup>êbokie dziury, lecz bez rozga<sup>3</sup>êzieñ, które cechowa<sup>3</sup>y górne piêtro.

Galijczycy nie mieli jednak wyboru. Musieli się chwytaæ kaŹdej deski ratunku.

Nadzieje kapitana Servadac'a nie by<sup>3</sup>y p<sup>3</sup>onne. Im g<sup>3</sup>êbiej, tem by<sup>3</sup>o cieplej. Nie by<sup>3</sup> to zwyk<sup>3</sup>y wzrost temperatury, jaki odczuwany w kopalniach ziemskich. Przyrost ciep<sup>3</sup>a by<sup>3</sup> tu o wiele szybszy i



większy. Na dnie niewygasłego, jak to słusznie przypuszczano, wulkanu musiała wrzeć lava. Rtcíowy termometr obserwowany przez porucznika i barometr w rękach kapitana wskazywały jednocześnie wzrost temperatury i głębokości.

Na głębokości sześciuset stóp termometr wskazywał sześć stopni poniżej zera.

Sześć stopni to za mało na przeciw kilku miesięcy – rzekł kapitan Servadac. – Musimy zejść głębiej, zwłaszcza, że wentylacja tu jest jeszcze zupełnie dobra.

Istotnie, przez wielki otwór szczytowy wdzierają się z zewnątrz powietrze, można więc być spokojnie jeszcze dalej.

Posunięto się jeszcze na czterysta stóp w głąb. Była to głębokość dwustu pięćdziesięciu metrów pod poziomem Galijskiego morza. Rtcé w termometrze wzniósł się prawie do zera. Ta temperatura, zważywszy na jej stałość, mogła już być znośna.

Zostańmy tu – zaproponował Ben-Zouf. – Zmarzluchy mogą zejść głębiej, ale ja już tu czuję się zupełnie dobrze.

Należy jednak zbadać, czy w miejscu tym będzie można się jako tako urządzić.

Hector Servadac i jego towarzysze przysiedli na skale i przy świetle pochodni badali zakłtek, w którym się zatrzymali.

Mówiąc prawdę, trudno było o coś mniej wygodnego. Była to duża i głęboka grota, mogąca pomieścić cała kolonia galijska, wyzyskanie jej jednak sprawiało trudność nielada. Ze wszystkich stron rysowały się różne wgłębienia, mogące pomieścić prowianty, ale o oddzielnych pokojach dla hrabiego i kapitana nie mogło nawet być mowy. Znalazłby się jedynie mały zakłtek dla Niny. Trzebaby się więc zgodzić na życie wspólne w całym tego słowa znaczeniu. Duża grota byłaby jednocześnie jadalnią, salonem i sypialnią. Trzebaby się zaszyć pod ziemię jak krety, bez możliwości przespania zimy, jak one to czyni.

Z oświetleniem poszłoby łatwo, można było użyć lampy i latarki, gdy oliwy i spirytusu było pod dostatkiem.

Kontakt ze światem zewnętrznym zupełnie zostanie zerwany, gdy Galijczycy na zmianę będą robili wycieczki do Wielkiej Groty, lub skał przybrzeżnych, chociażby dla przyniesienia lodu, który topniejąc da wodę do mycia i innych potrzeb życiowych.

Po krótkiej naradzie postanowiono się tu przeprowadzić. Będzie się żyło w ciasnej gromadzie, ale w rezultacie nie gorzej, niż żyją mieszkańcy krajów arktycznych. A takich przecież jest wielu.

Wyjaci to w kilku słowach porucznik Prokop, obeznany ze zwyczajami okolic podbiegunowych, i towarzysze jego postanowili przezimować w grocie, skoro nie można było inaczej.

Zatem niezwłocznie przystąpiono do przeprowadzki. Nie było chwili do stracenia, gdyż zimno

coraz groŹniej dawa<sup>3</sup>o siê we znaki w górnych galerjach i nigdy Źadna przewodniczka nie odby<sup>3</sup>a siê chyba tak prêdki. Zabrano tylko rzeczy najpotrzebniejsze, <sup>3</sup>óŹka i zapasy Źywnoœci.

Palmyrin Rosette przeniós<sup>3</sup> siê ze wszystkimi, ale nie pozwoli<sup>3</sup> na przeniesienie lunety. Nie by<sup>3</sup>a ona coprawda stworzona dla tej ciemnej nory i zosta<sup>3</sup>a na swym trójnogu w wielkiej sali na górze.

Zbyteczne by<sup>3</sup>oby wspominaæ o lamentach Izaaka Hakhabuta. Tyradom i Źalom nie by<sup>3</sup>o koñca. UwaŹa<sup>3</sup> siê za najnieszczêœliwszego kupca na œwiecie. Mimo wszystko jednak pilnowa<sup>3</sup> przewodniczki i nie spuszcza<sup>3</sup> z oka swych towarów. Umieszczono je w oddzielnej wnêce, któr<sup>1</sup> mia<sup>3</sup> zamieszkiwaæ lichwiarz.

Po up<sup>3</sup>ywie kilku dni zainstalowano siê zupe<sup>3</sup>nie. Porozmieszczane gdzie niegdzie latarki œwietla<sup>3</sup>y drogê do Wielkiej Groty. By<sup>3</sup>o to bardzo tajemnicze i w bajce z tysi<sup>1</sup>ca i jednej nocy by<sup>3</sup>oby pe<sup>3</sup>ne uroku. Wspólna grota œwietlona by<sup>3</sup>a lampami *Dobryny*.

Dnia 10-go stycznia wszyscy byli juŹ ulokowani i jako tako zabezpieczeni przed temperatur<sup>1</sup> zewnêtrzn<sup>1</sup>, która spad<sup>3</sup>a juŹ do szeœædziesiêciu stopni.

Wszystko w porz<sup>1</sup>dku – wo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> stale pogodny Ben-Zouf. – Z pierwszego piêtra przenieœlicemy siê do suteryn, ot i wszystko!

Tymczasem kapitan Servadac, hrabia Timaszew i porucznik, chociaŹ nie dawali nic poznaæ po sobie, niepokoili siê o przysz<sup>3</sup>oœæ. Jeœli wulkan wygaœnie a wyliczenia zawiod<sup>1</sup> i trzeba bêdzie jeszcze raz zimowaæ na Galji, sk<sup>1</sup>d weŹmie siê paliwa, którego brak<sup>3</sup>o dotychczas?

Przyjaciele – rzek<sup>3</sup> kapitan Servadac – czekajmy cierpliwie. Mamy duŹo czasu do namys<sup>3</sup>u i dysputy! Czemu przypuszczaæ najgorsze?

S<sup>3</sup>usznie – zgodzi<sup>3</sup> siê hrabia. – Potrzeba jest matk<sup>1</sup> wynalazku, a póki nie przys<sup>3</sup>a ostatnia chwila, nie myœlmy o tem. Ta zima, s<sup>1</sup>dzê, przejdzie spokojnie.

I ja tak s<sup>1</sup>dzê – rzek<sup>3</sup> porucznik Prokop. – Wci<sup>1</sup>Ź s<sup>3</sup>ychaæ wrzenie lawy, wylew zdaje siê byæ sta<sup>3</sup>y i regularny.

Zgadzam siê z tob<sup>1</sup>, Prokopie, i nie bojê siê wygaœniêcia wulkanu – odpar<sup>3</sup> hrabia – gnêbi mnie inna moŹliwoœæ.

JakaŹ? – zaciekaw<sup>3</sup> siê kapitan Servadac.

Co bêdzie, jeœli lawa zniœniacka potoczy siê dawnem korytem? Wówczas jesteœmy zgubieni.

Na mi<sup>3</sup>oœæ Bosk<sup>1</sup>! – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> kapitan. – O tem nie myœla<sup>3</sup>em!

Mamy siê na bacznoœci – uspokaja<sup>3</sup> porucznik – i nie damy siê zaskoczyæ.

W piêæ dni póŹniej Galja w drodze miêdzyplanetarnej minê<sup>3</sup>a swe apheljum i znajdowa<sup>3</sup>a siê wówczas w odleg<sup>3</sup>oœci dwustu dwudziestu milionów mil od s<sup>3</sup>oñca.

## Rozdział XII,

*który stwierdza, że ludzie nie są stworzeni do grawitowania w odległości dwustu dwudziestu milionów mil od słońca.*

Począwszy od tego dnia Galja ze wzrastającą szybkością pędziła wzdłuż krzywej eliptycznej. Wszystkie życie na jej powierzchni stworzenia, z wyjątkiem trzynastu Anglików na Gibraltarze, skryły się w głąb góry wulkanicznej.

Jak Anglicy przetrzymali tę pierwszą zimę na wyspie? Opinia ogólna głosząca, że przypuszczalnie lepiej od mieszkańców Gorącego Lądu. Mieli duże zapasy żywności i paliwa i nie musieli ciepła pochłaniać od wulkanu. Solidne ociany koszar, które zajmowali, zabezpieczyły ich dostatecznie od najsilniejszego nawet mrozu. Dobrze odziani, dobrze odżywieni nie czuli napewno zimna, ani głodu. Żyli sobie wygodnie i dostatnio, a w przyszłości czekała ich najwyższa pochwała Anglii za wierne wytrwanie na posterunku.

Kapitan Servadac i jego towarzysze mogliby – rzecz prosta – też zimować na Gibraltarze. Myślał o tym już dawno przychodziła im do głowy. Zostaliby napewno przyjęci gościnnie, chociaż pierwsza wizyta w swoim czasie pozostawiała wiele do życzenia. Anglicy nie opuściliby bliźnich w potrzebie bez udzielenia pomocy. To też w razie bezwzględnej konieczności mieszkańcy Gorącego Lądu zdecydowani byli wyemigrować do Gibraltaru. Wymagało to jednak długiej podróży przez pola lodowe, bez schronienia, bez ognia, i kto wie, czy wszyscy by ją przetrzymali. Dlatego też projekt ten odsuwano w przyszłość, postanawiając wykonać go tylko w razie ostateczności.

Jak wyżej powiedziano, wszyscy mieszkańcy Gorącego Lądu znaleźli przytułek w grotach centralnego krateru. Należało pomyśleć nie tylko o ludziach, ale i o zwierzętach, które w galerjach Wielkiej Groty znalazłyby ciemną niechybną. Z wielkim trudem przeprowadzono w głąb góry umieszczone konie kapitana i ordynansa. Kapitanowi bowiem specjalnie zależało na tym, aby je żywe sprowadzić na Ziemię. Kocha te biedne stworzenia, nieprzystosowane do nowych warunków klimatycznych. Ulokowano je w głębokim wyrobieniu, które zamieniono w stajnię. Paszy na szczęście było pod dostatkiem.

Inne zwierzęta trzeba było człowiekiem poświęcić. Chcąc im oszczędzić strasznych męczarni powolnego zamarzania, pozabijano je i zostawiono w galerjach, gdzie wskutek niskiej temperatury przechowywały się doskonale. Ptaki, żywiły się tylko okruszynami pokarmu ludzkiego, same szukały schronienia w jamie wulkanu. Liczba ich była jednakże tak wielka, a obecność tak dokuczliwa, że większość została zgładzona ze świata.

Wszystko to działo się pod koniec stycznia. Gdy skończono prace, związane z przeprowadzką,

rozpoczęły się dla Galijczyków dni ciękiej, beznadziejnej monotonii. Wszyscy popadli w stan odrętwienia i zupełnego moralnego bezwładu. Kapitan Servadac usiłował wszystkich rozruszać i zainteresować wspólnymi lekturami i rozmowami. Na razie udawało mu się to niezgorzej. Całe towarzystwo zasiadało wokół wspólnego stołu, syczało i kształciło się.

Cóż w tym czasie robił Izaak Hakhabut? Czy przychylił się do ogóru? Bynajmniej. Drugie godziny przesiadywał nad rachunkami, liczył i sprawdzał, dawno już przeliczone i sprawdzone wykazy. Zebrał już w swych rękach sumę stu pięćdziesięciu tysięcy franków, nie udało mu się jednak jeszcze nic pociągnąć na procent. I to go najwięcej trapiło.

Największą ruchliwość wykazywał Palmyrin Rosette, stwarzając sobie natychmiast nowe absorbujące zajęcie. W towarzystwie swoich cyfr i obliczeń nie nudził się nigdy i znakomicie mu one teraz skracały dzień.

Znał już wszystkie elementy Galji i teraz zajmował ją go sprawa jej satelity, Neriny. Byle miała wagę i spokojny zakątek do obserwacji. W tej sprawie w końcu zwrócił się do Hectora Servadac'a.

Kochany profesor prosi o gabinet do pracy? – zapytał.

Tak jest, kapitanie, ale cichy i odludny.

Pomyślał o tym, znalazł panu kącik oddzielny i spokojny, tylko za komfort nie rękę – odparł oficer.

Wcale o to nie proszę.

A zatem rzecz załatwiona.

Korzystając z rzadkiego humoru uczonego, kapitan zaryzykował pytanie.

Profesorze, wyliczenia pańskie, dotyczą obrotu Galji dookoła słońca, są niewłaściwie ociszone. Ale o ile się nie myli półminutowe spóźnienie, lub przyepieszenie, mogłoby zaważyć na losach spotkania z Ziemią...

A więc?

A więc, drogi profesorze, czy nie byłoby wskazane sprawdzenie tych obliczeń?

To jest zbyteczne.

Porucznik Prokop byłby do pańskiej dyspozycji...

Nikt mi nie jest potrzebny! – odparł Palmyrin Rosette, dręczeniwy w najczulszą strunę.

Jednakże...

Nie mylił się nigdy, kapitanie Servadac, i pańskie nalegania są conajmniej nie na miejscu.

U licha, nie jest pan uprzejmy dla swych towarzyszów, profesorze! – i kapitan Servadac ugryz³ siê w jêzyk, nie chc¹c wywo³ywaæ awantur.

Nie rozpoczñe na nowo moich obliczeñ – podj¹³ sucho Palmyrin Rosette – gdy¿ s¹ one bez zarzutu. Ale powiem panu, ¿e to, co zrobi³em dla Galji, chcê uczyniaæ i dla Neriny, jej satelity.

Oto celowa robota – odci¹³ kapitan Servadac – a ja s¹dzi³em, ¿e elementy Neriny, jako nale¿¹cej do strefy planet teleskopowych, ju¿ dawno astronomom ziemskim s¹ znane.

Profesor wœciek³y, groŸnym spojrzeniem zmierzy³ kapitana i rzek³ w najwy¿szym podnieceniu.

W³aczenie w tem sêk, ¿e astronomowie ziemscy obliczyli j¹ jako planetê teleskopow¹. Tymczasem Nerina, stajac siê satelit¹ Galji, wysz³a ze strefy planet teleskopowych. I w tej nowej sytuacji chcê poznaæ jej elementy. Nie wiem, czemu Galijczycy nie mieliby wiedziaæ o swoim ksiê¿ycu tego, co mieszkańcy Ziemi wiedz¹ o swoim.

Trzeba by³o widziaæ z jakim lekcewa¿¹cem wydêciem warg i z jak¹ pogard¹ Palmyrin Rosette mówi³ o sprawach ziemskich.

Kapitanie, koñczê tê rozmowê proeb¹, od której zacz¹³em – uci¹³ krótko – potrzeba mi k¹ta.

Zajmê siê tem niezw³ocznie, profesorze.

O, niema gwa³tu – dorzuci³ astronom – wystarczy, gdy bêdê go mia³ za godzinê.

Minê³a nie godzina, lecz ca³e trzy, a¿ wreszcie zainstalowano profesora w g³êbokiej wnêce, w której jego stó³ i fotel znalaz³y wygodne pomieszczenie. W ci¹gu nastêpnych dni astronom, mimo zatrwa¿aj¹cych mrozów, zachodzi³ niejednokrotnie do górnej sali, aby sprawdzaæ rozmaite pozycje Neriny. Poczem ukrywa³ siê w swoim gabinecie i nie widziano go wiêcej.

Niezwyk³ej zaiste trzeba by³o tê¿yżny ducha, aby przetrzymac tê egzystencjê na g³êbokoœci oœmiuset stóp ni¿ej poziomu. Wszyscy prawie Galijczycy popadli w niepokoj¹cy stan odrêtwienia. Nikomu nie pilno by³o nazewn¹trz i gdyby nie potrzeba s³odkiej wody, czyli przymusowe ekspedycje po lód, nie opuszczanoby wcale wnêtra wulkanu.

Organizowano natomiast wycieczki do najni¿ej po³o¿onych czêœci centralnego krateru. Dobrze siê sta³o, gdy¿ w ten sposób przekonano siê, ¿e ogieñ centralny nie wygas³, tylko na powierzchni Galji musia³y siê utworzyæ nowe kratery i lawa p³ynê³a nowem korytem.

W ten sposób przeszed³ luty, marzec, kwiecieñ i maj. Ludzi opad³a sennoœæ i zgnucenie. Wspólna, bud¹ca pocz¹tkowo zainteresowanie, lektura nie gromadzi³a ju¿ s³uchaczów przy wspólnym stole. Urwa³y siê o¿ywione dysputy. Rozprawiano po k¹tach prawie szeptem, bez zapa³u. Hiszpanie zw³aszcz¹ byli do niczego, nie opuszczali swoich pos³añ i z trudem przyjmowali po¿ywienie. Rosjanie zachowywali siê o wiele dzielniej. Brak ruchu dawa³ siê wszystkim we znaki. Kapitan Servadac, hrabia Timaszew i porucznik zdawali sobie doskonale sprawê z pogarszaj¹cego siê ci¹gle stanu rzeczy, ale byli bezradni. Sami stopniowo poddawali siê ogólnemu przygnêbieniu i nie mieli ju¿ si³ do oporu. Chodzili w pó³œnie, odczuwaj¹c dziwny, niczem niewyt³umaczony wstrêt

do wszelkiego rodzaju pokarmów. Jedyne ma³a Nina czu³a siê dobrze i nie traci³a humoru. Pogodna i weso³a wszystkim dodawa³a otuchy. Jej wdziêczny g³osik rozlega³ siê jak œpiew s³owika. Zachêca³a do jedzenia i picia. By³a dusz¹ ca³ego tego podziemnego œwiata i obecnoœæ jej by³a zbawienna dla wszystkich.

Tymczasem mija³y miesi¹ce. W jaki sposób? Kapitan Servadac i jego towarzysze nie potrafiliby tego okreœliæ. Z pocz¹tkiem czerwca Galijczycy poczêli siê budziæ z odrêtwienia. Czy¿by to by³ wp³yw s³oñca, do którego kometa zbli¿a³a siê powoli? Byæ mo¿e, choæ s³oñce by³o jeszcze bardzo daleko, w odleg³oœci stu dziesiêdziesiêciu milionów mil! Szybkoœæ Galji, zgodnie z prawami Keplera, wzrasta³a regularnie w ten sposób, ¿e po czterech miesi¹cach powinna by ona wejœæ w strefê planet teleskopowych i znaleŹæ siê w odleg³oœci ju¿ tylko stu dwudziestu piêciu milionów mil od s³oñca.

W tym czasie, t. j. w drugiej po³owie czerwca, kapitan Servadac i jego towarzysze odzyskali ca³kowicie sprawnoœæ fizyczn¹ i hart ducha. Ben-Zouf, jak cz³owiek, który spa³ zbyt wiele, przeci¹ga³ siê leniwie.

Poczêto czêœciej odwiedzaæ opustosza³e sale Wielkiej Groty. Kapitan, hrabia i porucznik Prokop zapuszczali siê a¿ na wybrze¿e. Odczuwa³o siê jeszcze zimno dotkliwie, ale zupe³na cisza panowa³a w powietrzu. Najlêjszy wietrzyk nie zak³óca³ spokoju, najmniejsza chmurka nie przes³ania³a horyzontu. Jeden tylko szczeg³³ zmienil³ siê w krajobrazie, a mianowicie skalisty cypel góruj¹cy nad zatok¹. Warstwy lodowe nie przestawa³y narastaæ w dalszym ci¹gu. Wznios³y siê ju¿ do wysokoœci stu piêdziesiêciu stóp nad poziom morza. Hen w g³rze zawis³y jacht i *Hanza*. W razie odwil¿y grozi³o im niechybne rozbicie.

Na szczêœcie Izaak Hakhabut, który nie opuszcza³ zupe³nie swego sklepiku w podziemiach, nie towarzyszy³ kapitanowi w tej przechadzce na wybrze¿e. Oszala³by z rozpaczy!

Dwa dalsze miesi¹ce, lipiec i sierpieñ zbli¿y³y Galjê na odleg³oœæ stu szeœdziesiêciu czterech milionów mil od s³oñca. Podczas kr³tkich nocy mróz dawa³ siê jeszcze we znaki, ale we dnie s³oñce podnosi³o temperaturê o jakieœ 20 stopni. Ciep³o by³o zw³aszcza na równiku, który przecina³ Gor¹cy L¹d.

Galijczycy rozprostowywali codziennie skostnia³e cz³onki w o¿ywczym promieniach s³oñca i powoli nadzieja wstêpowa³a w ich serca. Podczas dnia tarcza s³oneczna na horyzoncie wydawa³a siê wiêksza. Noc¹ Ziemia zdawa³a siê rosn¹æ w powodzi gwiazd. W oddali majaczy³ cel – bardzo odleg³y jeszcze, ale w ka¿dym razie widoczny. Narazie by³ to punkcik w przestrzeni. Punkcik ten nasuwa³ Ben-Zoufowi refleksje, z których zwierzyl³ siê któregoœ dnia kapitanowi i hrabiemu.

Naprawdê nie mogê uwierzyæ, aby mieœci³ siê tam Montmartre!

A jednak tak jest – odpar³ kapitan Servadac – mam nawet nadziejê, ¿e go wkrótce odwiedzimy.

Da³by Bóg, panie kapitanie! Oby tylko kometa nasza wróci³a na Ziemiê. Czy niema ¿adnego sposobu pokierowania ni¹?

Nie, przyjacielu – zabra<sup>3</sup> g<sup>3</sup>os hrabia Timaszew – żadna si<sup>3</sup>a ludzka nie zmieni uk<sup>3</sup>adu cia<sup>3</sup> niebieskich we wszech<sup>3</sup>owiecie. Pomyśl, co to by<sup>3</sup>by za nieporz<sup>1</sup>dek, gdyby tak ka<sup>3</sup>dy dowolnie mógł zmienia<sup>æ</sup> bieg swej planety! Ale Bóg zarz<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup> inaczej i zdaje mi si<sup>ê</sup>, że zarz<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup> m<sup>1</sup>drze.

## Rozdzia<sup>3</sup> XIII,

*w którym mowa jest o jedynej w swoim rodzaju scenie mi<sup>ê</sup>dy Palmyrin Rosette'm a Izaakiem Hakhabutem.*

Nadszed<sup>3</sup> wrzesie<sup>3</sup>ń. Nie by<sup>3</sup>o jeszcze mowy o opuszczeniu ponurej, lecz ciep<sup>3</sup>ej kryj<sup>3</sup>ówki i przeniesieniu si<sup>ê</sup> do Wielkiej Groty. Ludzie zmarzliby niew<sup>1</sup>tpliwie na oemier<sup>æ</sup> w dawnej siedzibie.

Na szcz<sup>ê</sup>œcie, czy te<sup>3</sup> nieszcz<sup>ê</sup>œcie, wygas<sup>3</sup>y krater nie grozi<sup>3</sup> ponownym wybuchem.

Na szcz<sup>ê</sup>œcie, gdy<sup>3</sup> strumienie lawy, p<sup>3</sup>yn<sup>1</sup>ce dawnem korytem, mog<sup>3</sup>yby zaskoczy<sup>æ</sup> i zgubi<sup>æ</sup> Galijczyków. Na nieszcz<sup>ê</sup>œcie, gdy<sup>3</sup> w obecnym stanie rzeczy, nie mo<sup>3</sup>na by<sup>3</sup>o marzy<sup>æ</sup> o powrocie do wzgl<sup>ê</sup>dnie <sup>3</sup>atwych i wygodnych warunków <sup>3</sup>ycia w Wielkiej Grocie.

Siedem paskudnych miesi<sup>ê</sup>cy prze<sup>3</sup>ylie<sup>3</sup>my w tych norach – rzek<sup>3</sup> k<sup>3</sup>óregoœ dnia Ben-Zouf. – Czy pan kapitan obserwowa<sup>3</sup> przez ten czas ma<sup>31</sup> Nin<sup>ê</sup>.

Obserwowa<sup>3</sup>em, Ben-Zoufie – odpar<sup>3</sup> kapitan – jest to zupe<sup>3</sup>nie nadzwyczajna istotka! Mo<sup>3</sup>naby powiedzie<sup>æ</sup>, że ca<sup>3</sup>e <sup>3</sup>ycie galijskie skoncentrowa<sup>3</sup>o si<sup>ê</sup> w jej sercu!

Tak jest, kapitanie. A co b<sup>ê</sup>dzie p<sup>3</sup>Ńniej?

P<sup>3</sup>Ńniej?

No tak, p<sup>3</sup>Ńniej, gdy wrócimy na Ziemi<sup>ê</sup>? Nie mo<sup>3</sup>emy przecie<sup>3</sup> opuœci<sup>æ</sup> tego drogiego dziewcz<sup>1</sup>tka!

Sk<sup>1</sup>d<sup>3</sup>ę znowu, Ben-Zoufie! Przyjmiemy j<sup>1</sup> do rodziny.

Brawo, kapitanie! Pan b<sup>ê</sup>dzie jej ojcem, a ja... ja... chyba b<sup>ê</sup>d<sup>ê</sup> jej matk<sup>1</sup>!

A zatem b<sup>ê</sup>dziemy ma<sup>3</sup>ł<sup>3</sup>e<sup>3</sup>ństwem, Ben-Zoufie!

Czy<sup>3</sup> nie jesteœmy niem oddawna, kapitanie – odpar<sup>3</sup> dzielny <sup>3</sup>o<sup>3</sup>nierz.

Od pierwszych dni pa<sup>3</sup>Ńdzielnika temperatura sta<sup>3</sup>a si<sup>ê</sup> znoc<sup>æ</sup>na nawet w ci<sup>1</sup>gu nocy

i wynosi³a œrednio 30–35 stopni poni¿ej zera. Coraz czêstsze stawa³y siê wizyty w Wielkiej Grocie, a nawet spacery na wybrze¿e. Od¿y³a œlizgawka. Z jak¹¿ satysfakcj¹ wiêŸniowie opuszczali mury wiêzienia! Hrabia Timaszew, kapitan i porucznik zbierali siê codziennie, aby badaæ sytuacjê i omawiaæ sprawê powrotu na Ziemiê. Chodzi³o o mo¿liwe unikniêcie z³ych nastêpstw zderzenia.

Najczêstszym goœciem dawnego schroniska by³ profesor Palmyrin Rosette, który spêdza³ znów d³ugie godziny przy zainstalowanej w dawnym obserwatorjum lunecie.

Nikt nie œmia³ pytaæ o rezultat badañ z tej prostej przyczyny, ¿e nie otrzyma³by prawdopodobnie odpowiedzi. Stwierdzono tylko, ¿e profesor mia³ minê strapion¹ i wygl¹d cz³owieka niezadowolonego z siebie. Krêci³ siê jak mucha w ukropie, mamrota³ i z³orzeczy³. By³ bardziej nieprzystêpny, ni¿ kiedykolwiek. W samopoczuciu w³asnym stawa³ siê najnieszczêliwszym z astronomów. Najwidoczniej wyliczenia nie zgadza³y siê z obserwacj¹ i to go nurtowa³o bez przerwy. W rezultacie za ka¿dym razem, gdy wraca³ przemarzniêty z obserwatorjum do podziemnego gabinetu pracy, dostawa³ prawie ataków furji.

Gdyby ktœremuœ z Galijczyków uda³o siê pods³uchaæ, us³ysza³by, jak mamrota³ pe³en rozpaczy:

Nieszczêœcie! C¿ to ma znaczyæ? Co ona tam robi? Moje wyliczenia wyznaczy³y jej miejsce gdzieindziej! Nêdznica! SpóŸnia siê! Jedno z dwojga, albo Newton jest warjatem, albo ona zwarzjowa³a. Wszystko to sprzeciwia siê prawom kosmicznej grawitacji! C¿ u licha! Nie mog³em siê przecie¿ pomyliæ! Moje obserwacje s¹ dobre, moje rachunki œcis³e! A! szelma, djablica jedna!

I Palmyrin Rosette chwyta³ siê za g³owê, wrywaj¹c z³ysej czaszki resztki w³osów. I stale, stale ten sam rezultat, niezgodnoœæ wyliczeñ z obserwacj¹.

Czy¿by siê coœ popsu³o w pañstwie niebieskiem? – mówi³ do siebie. – Nie, to jest niemo¿liwe! To ja musia³em siê omyliæ! A jednak... jednak...

Profesor trapi³ siê i niew¹tpliwie schud³by ze zmartwienia, gdyby to by³o jeszcze mo¿liwe.

Rozczarowanie uczonego niepokoi³o wszystkich, lecz to by³o mu najzupe³niej obojêtne.

Jednak¿e taki stan rzeczy nie móg³ trwaæ wiecznie. Dnia 12-go paŸdziernika krêc¹cy siê w wielkiej sali Ben-Zouf us³ysza³ przeraŸliwy krzyk profesora. Podbieg³ ku niemu i zapyta³:

Sta³o siê coœ panu profesorowi?

Eureka1



, mówiê ci, durniu, eureka! – wo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> profesor, skacz<sup>1</sup>c jak opêtany.

Twarz jego wyraża<sup>3</sup>a wielkie zadowolenie.

Eureka? – powtórzy<sup>3</sup> Ben-Zouf.

Tak jest, eureka! Czy wiesz, co to znaczy?

Nie wiem.

A zatem, idŸ do djab<sup>3</sup>a!

Ordynans poszed<sup>3</sup>, nie do djab<sup>3</sup>a wprawdzie, lecz do kapitana Servadac'a.

Kapitanie – powiedzia<sup>3</sup> – mam nowiny.

Jakie<sup>3</sup> to!

Uczony... jakby to powiedzieæ... ma... Eureka.

Znalaz<sup>3</sup>? – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> kapitan Servadac. – Ale có<sup>3</sup> znalaz<sup>3</sup>!

Tego w<sup>3</sup>acenie nie wiem.

Ale to jest przecie<sup>3</sup> najwa<sup>3</sup>niejsze!

I kapitan Servadac zaniepokoi<sup>3</sup> siê nie na <sup>3</sup>arty. Palmyrin Rosette tymczasem powróci<sup>3</sup> do gabinetu pracy i mruca<sup>3</sup> pod nosem.

\_\_ Tak, to to, napewno... wszystko inne jest wykluczone. A, <sup>3</sup>ajdak!... Ale zap<sup>3</sup>aci mi drogo! Czy tylko siê przyzna? Nie, przenigdy... Trzeba go bêdzie przydusiæ... Przechytrzy<sup>3</sup>..., ale i ja bêde chytry... Zmierzymy siê...

Trudno by<sup>3</sup>o cokolwiek zrozumieæ z tych urywanych s<sup>3</sup>ów. Jedno tylko by<sup>3</sup>o pewne, <sup>3</sup>e od dnia tego Palmyrin Rosette zmieni<sup>3</sup> zasadniczo swój stosunek do Izaaka Hakhabuta. Dotychczas unika<sup>3</sup> go, jak zarazy, a teraz szuka<sup>3</sup> jego towarzystwa. Dziwi<sup>3</sup>o to najbardziej samego lichwiarza, nieprzyzwyczajonego do takiej sympatji. Profesor czêsto zachodzi<sup>3</sup> do ponurego sklepiku, interesowa<sup>3</sup> siê kupcem i jego sprawami.

Izaak Hakhabut, szczwany stary lis, mia<sup>3</sup> siê na bacznoœci. Nag<sup>3</sup>a zmiana nastrojów profesora nasuwa<sup>3</sup>a mu ró<sup>3</sup>ne podejrzenia. A nu<sup>3</sup> pragnie zaci<sup>1</sup>gn<sup>1</sup>æ po<sup>3</sup>yczkê?

Ale Izaak nie w ciemiê by<sup>3</sup> bity, nie zawierzy takiemu golcowi. Poza tem pieni<sup>1</sup>dze i jemu samemu przydadz<sup>1</sup> siê tak<sup>3</sup>e. Sprzeda<sup>3</sup> np. nieoglêdnie ca<sup>3</sup>y zapas kawy i teraz bêdzie musia<sup>3</sup> nabywaæ od Galijczyków niewielkie iloœci na w<sup>3</sup>asny u<sup>3</sup>ytek. Oburza<sup>3</sup>o go to jednak do <sup>3</sup>ywego. Wreszcie doszed<sup>3</sup> do przekonania, <sup>3</sup>e i on nale<sup>3</sup>zy do kolonji galijskiej, <sup>3</sup>e produkty w magazynach s<sup>1</sup> w<sup>3</sup>asnoœci<sup>1</sup> ogó<sup>3</sup>u i <sup>3</sup>e ma do nich takie same prawa jak inni. W tem przeœwiadczeniu wyruszy<sup>3</sup> na

poszukiwania Ben-Zoufa.

Panie Ben-Zouf – odezwa<sup>3</sup> siê jak najuprzejmiej – mam ma<sup>31</sup> proœbê do pana.

Mów, gawronie – odpar<sup>3</sup> ordynans.

Potrzeba mi funta kawy na u¿ytek osobisty.

Funt kawy? Jaktó? Ty prosisz o kawê?

Tak, panie Ben-Zouf.

Ho, ho, to bêdzie trudna sprawa.

Czemu, czy¿by wyczerpa<sup>3</sup> siê ju¿ ca<sup>3</sup>y zapas?

Có¿ znowu? Mamy jeszcze sto kilo?

A wiêc?

A wiêc, stary – rzek<sup>3</sup> ordynans, przechylaj<sup>1</sup>c g<sup>3</sup>owê w sposób niepokoj<sup>1</sup>cy – nie wiem czy mogê przychyliæ siê do twojej proœby.

Niech pan mi zrobi tê <sup>3</sup>askê – wprasza<sup>3</sup> siê sk<sup>1</sup>piec.

Bynajmniej, nie pragnê œwiadczyæ ci grzecznoœci.

Jednak¿e komu innemu nie odmówi<sup>3</sup>by pan.

Otó¿ to w<sup>3</sup>acenie, komu innemu...

Jak wiêc bêdzie, panie Ben-Zouf.

Zreferujê tê sprawê panu gubernatorowi generalnemu.

O, nie w<sup>1</sup>tpiê, ¿e sprawiedliwa rêka pana gubernatora...

A ja obawia<sup>3</sup>bym siê dla ciebie tej rêki, w<sup>3</sup>acenie dlatego, ¿e jest sprawiedliwa.

Co mówi<sup>1</sup>c ordynans odwróci<sup>3</sup> siê na piêcie i odszed<sup>3</sup>, pozostawiaj<sup>1</sup>c Hakhabuta pe<sup>3</sup>nego niepokoju i trwogi. W tej chwili zjawi<sup>3</sup> siê, stoj<sup>1</sup>cy opodal na czatach, profesor Palmyrin Rosette. Nadarza<sup>3</sup>a siê œwietna okazja wywo<sup>3</sup>ania po¿<sup>1</sup>danej przezeñ rozmowy, przyst<sup>1</sup>pi<sup>3</sup> wiêc natychmiast do rzeczy.

Có¿ to, panie Izaaku – zapyta<sup>3</sup> – potrzeba panu kawy?

Tak jest, panie profesorze – odpar<sup>3</sup> kupiec.

Czyżby pan wszystko sprzeda<sup>3</sup>?

Niestety, pope<sup>3</sup>ni<sup>3</sup>em ten b<sup>3</sup>d.

To dopiero... a kawa istotnie jest niezbêdna... pobudza trawienie... dodaje energii Źyciowej...

Oczywiœcie... zw<sup>3</sup>aszczu w tej ponurej norze nie potrafiê obejœæ siê bez niej.

A zatem dostanie pan iloœæ, wystarczaj<sup>1</sup>c<sup>1</sup> na w<sup>3</sup>asny uŹytek.

Czy naprawdê, panie profesorze?... ChociaŹ kawê tê sprzeda<sup>3</sup>em, mam chyba prawo korzystaæ z niej narówni z innymi!?

Bezw<sup>1</sup>tpienia, panie Izaaku, oczywiœcie. A jaka iloœæ jest panu potrzebna?

Jeden funcik tylko!... Ja gospodarujê tak oszczêdnie, to mi wystarczy na d<sup>3</sup>ugo!

A jakŹe zwaŹymy tê kawê? – spyta<sup>3</sup> Palmyrin Rosette, akcentuj<sup>1</sup>c mimowoli zlekka to zdanie.

Na mojej wadze... – wyj<sup>1</sup>ka<sup>3</sup> yd.

Profesorowi zdawa<sup>3</sup>o siê, Źe ciêŹkie westchnienie wyrwa<sup>3</sup>o siê z piersi lichwiarza.

Tak jest... – odpar<sup>3</sup> – na pañskiej wadze... wszak jest to jedyna, jak<sup>1</sup> posiadamy?

Tak, jest tylko ta jedna – brzmia<sup>3</sup>a odpowiedŹ.

AleŹ pan zyska na tej transakcji, panie Izaaku, zamiast funta kawy dostanie pan siedem!

Tak jest, zupe<sup>3</sup>nie s<sup>3</sup>usznie... siedem...

Wzrok profesora przebija<sup>3</sup> Hakhabuta na wylot.

Chcia<sup>3</sup> o coœ zapytaæ, ale siê powstrzyma<sup>3</sup> w obawie, Źe t<sup>1</sup> drog<sup>1</sup> nie dowie siê prawdy, na ktorej mu tak bardzo zaleŹa<sup>3</sup>o.

W miêdzy czasie powróci<sup>3</sup> Ben-Zouf.

No i cóŹ? – Źywo zapyta<sup>3</sup> Hakhabut.

Gubernator siê nie zgadza – odpar<sup>3</sup> Ben-Zouf.

Nie chce mi daæ kawy? – oburzy<sup>3</sup> siê Izaak.

Nie. Natomiast chce ci j<sup>1</sup> sprzedaæ.

Sprzedaæ? Mein Gott!!

Zupe<sup>3</sup>nie s<sup>3</sup>usznie, skoro zgromadzi<sup>3</sup>eœe ju¿ u siebie pieni<sup>1</sup>dze ca<sup>3</sup>ej kolonji. Dalej, wyci<sup>1</sup>gaj srebrniki!

Zmuszaæ mnie do kupna, gdy inni...

Ju¿ ci mówi<sup>3</sup>em, ¿e ty a inni to wielka ró¿nica! Kupujesz, czy nie?

O, ja nieszczęsny!

Odpowiadaj, bo zamykam sklepik.

Izaak orjentowa<sup>3</sup> siê doskonale, ¿e z Ben-Zoufem niema ¿artów.

Có¿ robiæ... kupiê – odpar<sup>3</sup>.

Dobrze.

Ale po jakiej cenie?

Po tej samej, po której sprzedawa<sup>3</sup>eœe. Nikt ciê tu nie oszwabi. Gra nie warta œwieczki.

Sk<sup>1</sup>piec zag<sup>3</sup>êbi<sup>3</sup> siê w czeluœciach kieszeni i zadzwoni<sup>3</sup> monetami.

Profesor zamieni<sup>3</sup> siê ca<sup>3</sup>y w s<sup>3</sup>uch i wzrok i poprostu w lot chwyta<sup>3</sup> ka¿de s<sup>3</sup>owo Hakhabuta.

Wiele wiêc ¿<sup>1</sup>dacie za funt kawy? – zapyta<sup>3</sup> sk<sup>1</sup>piec.

Dziesiêæ franków – odpar<sup>3</sup> Ben-Zouf. – Taka cena rynkowa, ale to przecie¿ nie gra najmniejszej roli, bo i tak po powrocie na Ziemiê z<sup>3</sup>oto nie bêdzie mia<sup>3</sup>o wartoœci.

Z<sup>3</sup>oto nie bêdzie mia<sup>3</sup>o wartoœci!?! To wykluczone!

Przekonasz siê wkrótce.

Bo¿e, nie opuszczaj mnie! Dziesiêæ franków za funt kawy!

Dziesiêæ franków! Czy skończy<sup>3</sup>eœe?

Izaak wyci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> wreszcie z<sup>3</sup>ot<sup>1</sup> monetê, obejrza<sup>3</sup> j<sup>1</sup> przy œwietle lampy, prawie ¿e dotkn<sup>13</sup> jej wargami.

Bêdzie pan wa¿y<sup>3</sup> na mojej wadze? – zagadn<sup>13</sup> tonem tak ¿a<sup>3</sup>osnym, ¿e a¿ budz<sup>1</sup>cym podejrzenie.

A na czym mam wa¿yæ! – odpar<sup>3</sup> ordynans. Poczem bior<sup>1</sup>c wagê, powiesi<sup>3</sup> na haczyku szalkê i sypa<sup>3</sup> póty kawê, póki strza<sup>3</sup>ka nie wskaza<sup>3</sup>a ciê¿aru jednego funta, to znaczy siedmiu funtów ziemskich.

Izaak Hakhabut œledzi<sup>3</sup> pilnie ka¿de jego poruszenie.

Gotowe! – rzek³ Ben-Zouf.

Czy strza³ka wskazuje dok³adnie? – pyta³ kupiec, pochylaj¹c siê nad tabliczk¹ z podzia³k¹.

No, przecie¿, stary niedowiarku.

Niech pan j¹ pchnie trochê palcem.

A to poco?

Poniewa¿... gdy¿... – mamrota³ – yd – moja waga nie jest, byæ mo¿e... zupe³nie... dok³adna...

Zaledwie s³owa te zosta³y wypowiedziane, Palmyrin Rosette przyskoczy³ do gard³a Hakhabuta. Wpi³ siê weñ pazurami i pocz¹³ go dusiaæ.

Kanaljo! – wrzeszcza³.

Ratunku! Na pomoc! – wo³a³ Izaak.

Zawrza³a walka. Ben-Zouf nietylko zachowa³ siê neutralnie, ale raczej podjudza³ zapaceni³ków, wybuchaj¹c przytem œmiechem. Dla niego, istotnie, wart by³ jeden drugiego.

Na odg³os walki zjawili siê jednak¿e w komplecie hrabia, kapitan i porucznik.

Rozdzielono walcz¹cych.

Có¿ to siê w³œciwie sta³o? – pyta³ kapitan Servadac.

Co siê sta³o? Ten nicpoñ da³ nam fa³szyw¹ wagê. Wagê, która wskazuje ciê¿ar wy¿szy od istotnego – skar¿y³ siê profesor.

Czy to prawda, Izaaku?

Panie gubernatorze... tak... nie... – pl¹ta³ siê winowajca.

Mniejsza ju¿, ¿e otr ten oszukiwa³ przy sprzeda¿y – podj¹³ profesor z wzrastaj¹c¹ wci¹¿ wœciek³oœci¹ – ale gdy wa¿y³em kometê na jego wadze, otrzyma³em ciê¿ar wiêkszy od istotnego.

Czy¿by tak by³o naprawdê?

S³owo honoru! Mc nie wiem... – mamrota³ Hakhabut. \*

Przyj¹³em tê fa³szyw¹ wagê za podstawê dalszych obliczeñ i st¹d niezgodnoœæ z obserwacj¹... Ona wci¹¿ by³a nie na swoim miejscu.

Kto ona? Galja?

Ale¿ nie, sk¹d¿e znowu! Nerina, nasz ksiê¿yc!

Galja?

Galja, jak zawsze, jest na swoim miejscu – odpar<sup>3</sup> Palmyrin Rosette – zmierza prosto ku Ziemi. Wraz z nami i z tym przeklętym oszustem!

## Rozdzia<sup>3</sup> XIV,

*w którym kapitan Servadac i Ben-Zouf wyruszają<sup>1</sup> w podróż i wracają<sup>1</sup>, z niej jak niepyszni.*

Profesor miał<sup>3</sup> rację. Izaak Hakhabut oszukiwał<sup>3</sup> na wadze. Tego dnia Izaak, gdy ze sprzedawcy przedzierzgn<sup>13</sup> się w kupuj<sup>1</sup>cego, pobi<sup>3</sup> się w<sup>3</sup>asn<sup>1</sup> broni<sup>1</sup>. Ustalono, że waga wskazywała<sup>3</sup> piêæ czwartych istotnego ciężaru i na tej podstawie profesor sprawdzi<sup>3</sup> i uporz<sup>1</sup>dkowa<sup>3</sup> elementy Neriny.

Izaak sta<sup>3</sup> się ofiar<sup>1</sup> powszechnego szyderstwa. Przeceladowa<sup>3</sup> go zw<sup>3</sup>aszczą Ben-Zouf, groż<sup>1</sup>c oddaniem w ręce policji.

Gdzie i kiedy? – pyta<sup>3</sup> Hakhabut.

Na Ziemi, po naszym powrocie, stary oszućcie! – odpowiada<sup>3</sup> uprzejmie ordynans.

Lichwiarz zmuszony by<sup>3</sup> skryæ się do ciemnej swej nory i pokazywaa<sup>æ</sup> możliwie najrzadziej.

Dwa i pó<sup>3</sup> miesi<sup>1</sup>ca dzieli<sup>3</sup>y jeszcze Galijczyków od dnia, w którym spodziewali się zetkn<sup>1</sup>æ z Ziemi<sup>1</sup>. Z dniem 1-yim paŃdziernika kometa wkroczy<sup>3</sup>a w strefê planet teleskopowych, tê sam<sup>1</sup>, na której zdoby<sup>3</sup>a sobie, jako satelitê, Nerinê.

W ci<sup>1</sup>gu listopada Galja przeby<sup>3</sup>a wzd<sup>3</sup>uż orbity <sup>3</sup>uk d<sup>3</sup>ugoœci czterdziestu milionów mil, zbliżaj<sup>1</sup>c się w ten sposób do s<sup>3</sup>oñca na odleg<sup>3</sup>oœæ siedemdziesiêciu oœmiu milionów mil.

Temperatura podnios<sup>3</sup>a się znacznie i wynosi<sup>3</sup>a już tylko dziesiêæ do dwunastu stopni mrozu. Nie by<sup>3</sup>o jednak jeszcze żadnych zwiastunów odwilży. Morze by<sup>3</sup>o pokryte lodem w ca<sup>3</sup>ej swej rozci<sup>1</sup>g<sup>3</sup>oœci i na wysokim fundamencie lodowym stercza<sup>3</sup>y ku górze dwa okrêty. W tym czasie odł<sup>1</sup>y<sup>3</sup>a na Galji pamięæ osiad<sup>3</sup>ych na Gibraltarze Anglików. Nie w<sup>1</sup>tpiono ani na chwilê, że przetrzymali w zdrowiu surow<sup>1</sup> zimê.

Kapitan Servadac, wspania<sup>3</sup>omyœlny jak zawsze, twierdzi<sup>3</sup>, że mimo z<sup>3</sup>ego

przyjêcia, jakiego niegdyœ dozna³a *Dobryna*, trzebaby siê skomunikowaæ z nimi i poinformowaæ o sprawach, które najpewniej by³y im dalekie i obce. Powrót na Ziemiê, który w rezultacie bêdzie tylko ponownym zderzeniem, nasuwa³ mo¿liwoœæ katastrofalnych skutków. Trzeba o tem uprzecziæ Anglików i nawet zaproponowaæ wspólne stawienie czo³a niebezpieczeñstwu.

Hrabia Timaszew i porucznik Prokop podzielali opinjê kapitana.

Ale w jaki sposób dobrn¹æ w tym czasie do Gibraltaru? Rzecz prosta morzem, to znaczy po lodzie. Odleg³oœæ by³a pokaŹna, oko³o stu mil morskich. Któz odwa¿y siê j¹ przebyæ!

Któzby, jak nie kapitan Servadac. Obliczy³, ¿e przebywaj¹c dwadzieœcia piêæ do trzydziestu mil na dobê, w ci¹gu oœmiu dni bêdzie ju¿ zpowrotem. Za¹da³ tylko busoli, nieco konserw miêsnych i maszynki spirytusowej do grzania kawy.

Hrabia i porucznik chcieli mu towarzyszyæ, ale kapitan opar³ siê stanowczo ich proœbie. W razie nieszczêœcia potrzebni bêd¹ ludnoœci Gor¹cego L¹du; có¿ poczn¹ biedacy bez nich, w razie powrotu na Ziemiê?

Hector Servadac zgodzi³ siê tylko na towarzystwo swego ordynansa Ben-Zoufa, który z nieopisan¹ radoœci¹ przyj¹³ propozycjê kapitana.

Odjazd naznaczono na 2-go listopada. Chêæ pomocy Anglikom, obowi¹zek wobec bliŹnich, by³y, rzecz prosta, pierwszym impulsem kapitana, ale w mózgu jego, przyznaæ to trzeba, i inna jeszcze myœl kie³kowa³a. Nie podzieli³ siê ni¹ jeszcze z nikim, nie chcia³ bowiem przed czasem zdradziæ siê przed hrabi¹.

W ka¿dym razie Ben-Zouf coœ przeczuwa³, gdy w przeddzieñ wyjazdu kapitan zapyta³:

Czy nie znalaz³byœ w magazynach materia³u do uszycia trójkolorowego sztandaru!

Owszem, kapitanie – odpar³ ordynans.

A zatem uszyj go pokryjomu, wsadŹ do worka i zabierz z sob¹.

Ben-Zouf spe³ni³ rozkaz, o nic wiêcej nie pytaj¹c. Jaki¿ to by³ projekt kapitana Servadac’a i czemu skrywa³ go tak uparcie?

Projekt istotnie by³ fantastyczny, nic te¿ dziwnego, ¿e narodzi³ siê w mózgu

awanturniczego oficera. Chodzi<sup>3</sup>o to, aby zaw<sup>3</sup>adn<sup>1</sup>æ w imieniu Francji malutk<sup>1</sup>, po<sup>3</sup>o<sup>1</sup>on<sup>1</sup> nawprost Gibraltaru, wysep<sup>k</sup> Ceut<sup>1</sup> i zatkn<sup>1</sup>æ na niej trójkolorowy sztandar.

Kto wie – powtarza<sup>3</sup> sobie – czy po powrocie na Ziemiê Ceuta nie stanie siê powa<sup>1</sup>żnym portem œródziemnomorskim? Wówczas zatkn<sup>1</sup>æty dzie sztandar trójkolorowy nielada przys<sup>3</sup>ugê odda Francji.

Oto dodatkowe przyczyny, które sk<sup>3</sup>oni<sup>3</sup>y kapitana Servadac'a i jego ordynansa do tajemniczej wyprawy.

Dla Ben-Zouf a by<sup>3</sup>a to gratka nielada! Zdobyæ po<sup>3</sup>aæ ziemi dla Francji. Sp<sup>3</sup>ataæ psikusa Anglikom! To by<sup>3</sup>o coæ!

Kapitan Servadac i Ben-Zouf ciep<sup>3</sup>o odziani, zaopatrzeni w plecaki z artyku<sup>3</sup>ami <sup>1</sup>żywnoœci, pomknêli jak strza<sup>3</sup>y po lodzie i szybko stracili z oczu wynios<sup>3</sup>oææ Gor<sup>1</sup>cego L<sup>1</sup>du.

Podrój oby<sup>3</sup>a siê bez przygód. Temperatura by<sup>3</sup>a znocena nawet noc<sup>1</sup>. Po up<sup>3</sup>ywie trzech dni, to znaczy dnia 5-go listopada podrójnicy znale<sup>1</sup>li siê w odleg<sup>3</sup>oœci kilku kilometrów od Ceuty.

Ben-Zouf by<sup>3</sup> podniecony, gotów do ataku i obrony.

Obu poszukiwaczom przygód spieszno by<sup>3</sup>o stan<sup>1</sup>æ pewna stopa na skalistej wysepce.

Wtem Ben-Zouf, obdarzony przez naturê wzrokiem sokolim, zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>:

Czy pan kapitan widzi?

Co takiego!

Coæ rusza siê na wyspie.

Nie traæmy czasu – odpar<sup>3</sup> kapitan.

Dwa kilometry przebyto w ci<sup>1</sup>gu kilku minut, poczem zatrzymano siê ponownie.

Kapitanie!

Co powiesz, Ben-Zoufie?

Tak to wygl<sup>1</sup>da, jakby ktoæ szerokim gestem wita<sup>3</sup> nas na Ceucie, albo siê przeci<sup>1</sup>ga<sup>3</sup> po d<sup>3</sup>ugim œnie.



Có¿ u licha! Czy¿bycemy przybyli zapóŸno? – zawo³a³ kapitan Servadac.

Podjechali jeszcze nieco bli¿ej i Ben-Zouf odezwa³ siê znowu:

Ale¿, kapitanie, to s¹ ramiona s³upa telegraficznego.

Istotnie, ale skoro jest telegraf, ktoœ musia³ go zainstalowaæ.

Chyba – ¿artowa³ Ben-Zouf – ¿e na urodzajnej glebie Galji telegrafy same, nieposiane i niepodlewane, wyrastaj¹ z pod ziemi.

Zbity z tropu kapitan wytê¿y³ wzrok w kierunku pó³nocy. Tam na krañcach horyzontu widnia³y ska³y Gibraltaru, a na nich wznosi³ siê drugi s³up sygnalizacyjny, odpowiadaj¹cy na wezwania pierwszego.<sup>2</sup>

Zajêli Ceutê! – wo³a³ kapitan Servadac. – A teraz sygnalizuj¹ nasze przybycie.

A wiêc, kapitanie?...

A wiêc, Ben-Zoufie, trzeba po¿egnaæ nasz wspania³y projekt i... pogodziæ siê z losem.

A mo¿e... gdyby tak Ceuty broni³o nie wiêcej jak piêciu, szeœciu Anglików.

Nie, Ben-Zoufie – odpar³ kapitan Servadac – Anglicy nas ubieгли i, gdy moje argumenty nie pomog¹, nie mamy tu nic do roboty.

Podeszli do stóp góry. W tej samej chwili, jak za dotkniêciem czarodziejskiej ró¿d¿ki, wyrós³ z pod ziemi wartownik.

Kto tam?

Przyjaciêl, Francja!

Anglja!

Takie by³y pierwsze wymienione s³owa. Poczem czterej ludzie ukazali siê nad przybyszami na zboczach góry.

Czem mo¿emy s³u¿yæ! – zapyta³ jeden z tych ludzi, nale¿¹cych najwidoczniej do za³ogi Gibraltaru.

Pragnê mówiæ z waszym dowódc¹ – odpar³ kapitan Servadac.

Z komendantem Ceuty?

Z komendantem Ceuty, skoro jest taki.

W tej chwili zameldujê – salutowa³ ¿o³nierz angielski.

W kilka chwil później zjawił się komendant w pełnym rynsztunku. Był to major Oliphant we własnej osobie. Nie ulegało już żadnej wątpliwości, że Hector Servadac się spóźnił, plan jego wykonali Anglicy. Przenieśli tu ciężar załogi najwidoczniej jeszcze przed zamrożeniem morza. Ślady dymu widoczne ponad skałami wskazywały, że nie brak tu było oparów w czasie uciążliwej zimy. I z pewnością musiało być nie najgorzej, bo żołnierze angielscy wyglądali czysto i zdrowo, zaś major Oliphant nawet wyraźnie przytył.

Poza tym Anglicy z Ceuty nie byli zbyt osamotnieni, gdyż tylko cztery mile dzieliły ich od Gibraltaru, z którym pozostawali w stałym porozumieniu.

Trzeba też dodać, że brygadjer Murphy i major Oliphant rozgrywali w dalszym ciągu swą wieczną partię szachów. Dobrze obmyślane poczynienia komunikowali sobie telegraficznie.

W tej chwili sztywny i wyniosły major oczekiwał wyjaśnień przybyłych.

Major Oliphant, o ile się nie mylił – rozpoczął kapitan Servadac.

Major Oliphant, gubernator Ceuty – brzmiała zimna odpowiedź. – Z kim mam zaszczyt mówić!

Z kapitanem Servadac, generalnym gubernatorem Górnego Lądu.

Bardzo mi przyjemnie!

Pozwoli pan, że wyrażę swoje zdziwienie z powodu objęcia przez pana komendantury, wiecznej placówki hiszpańskiej.

Proszę bardzo, nie przeszkadzam.

Oczem się zapytałem, jakim prawem?

Prawem pierwszej przybywającego.

Rozumiem, majorze. Ale czy nie przypuszcza pan, że Hiszpanie, którzy są chwilowo gośćmi Górnego Lądu, będą reklamowali!

Nie sądzę, kapitanie.

A to dlaczego?

Ponieważ Hiszpanie ci ustąpili Anglii Ceutę z całym dobrodziejstwem inwentarza.

Zawarli umowę?

Umowę szczegółową i najzupełniej prawną.

Ach tak, naprawdę?

Zap³acono im nawet za to brzêcz¹c¹ monet¹ angielsk¹.

Oto, sk¹d ta banda mia³a tyle pieniêdzy przy sobie! – zawo³a³ Ben-Zouf.

Istotnie, rzeczy mia³y siê tak, jak je przedstawi³ major Oliphant. Dwaj oficerowie, jak to ju¿ wspomniano wy¿ej, z³o¿yli w tajemnicy wizytê na Ceucie i z ³atwoœci¹ dobili targu z go³ymi, jak œwiêci tureccy, Hiszpanami.

A zatem argumentacja, na któr¹ liczy³ potrosze kapitan Servadac, upada³a sama przez siê. Widz¹c pora¿kê na ca³ej linii, postanowi³ nie zdradzaæ wcale swych zawiedzionych nadziei.

Czy móg³bym wiedzieæ – zapyta³ major Oliphant – czemu mamy przypisaæ zaszczyt pañskich odwiedzin?

Pragn¹³em oddaæ przys³ugê panu i pañskim towarzyszom.

Ach! – pad³ okrzyk zdumienia z ust majora Oliphanta, jakgdyby chocia³ powiedzieæ, ¿e nigdy nie wzywa³ niczyjej pomocy.

Byæ mo¿e nie orjentujecie siê panowie w sytuacji i nie wiecie, ¿e wyspy Gibraltar i Ceuta obiegaj¹ wszechœwiat, wyrwane z ³ona Ziemi przez kometê!

Kometê! – powtórzy³ z uœmiechem niedowierzania i pob³a¿ania major Oliphant.

W kilku s³owach kapitan Servadac opowiedzia³ o rezultatach zetkniêcia Ziemi z Galj¹, o widokach ponownego spotkania i o koniecznoœci wspólnego, silnego frontu dla obrony przed gro¿¹cemi przy zderzeniu niebezpieczeñstwami. Oficer angielski nawet nie drgn¹³.

A zatem, panie majorze, gdyby pañska ma³a za³oga wraz z za³og¹ Gibraltaru, chocia³y wyemigrowaæ do Gor¹cego L¹du...

Jestem niezmiernie obowi¹zany – odpar³ ch³odno major Oliphant – ale nie mo¿emy opuœciæ naszych posterunków.

Czemu¿ to?

Nie otrzymaliœmy odnoœnego rozkazu rz¹du, a raport, wys³any do naszego admira³a, wci¹¿ jeszcze pozostaje bez odpowiedzi.

Ale¿, powtarzam panu, ¿e nie jesteœmy na Ziemi i dopiero za dwa miesi¹ce spotkamy siê z ni¹ zapewne!

Wcale mnie to nie dziwi, kapitanie, gdy¿ Anglja musia³a uczyniaæ wszystko, co by³o w jej mocy, aby kometê sprowadziaæ na Ziemiê.

Widoczne by³o, ¿e major wcale nie wierzy opowieœciom kapitana.

Jak pan uważa. Obstaje pan zatem przy utrzymaniu posterunków na Gibraltarze i Ceucie?

Rzecz prosta, gdyż broni<sup>1</sup> one dostępu do morza Śródziemnego.

Nie jest wcale wykluczone, że morze Śródziemne zniknie z powierzchni Ziemi!

Zawsze istnieć będzie jakieś morze Śródziemne, gdy tego Anglja zapragnie. Ale wybaczy pan, kapitanie, brygadjer Murphy sygnalizuje mi w<sup>3</sup>acenie groźne posunięcie na szachownicy. Pozwoli pan...

Przygryzaj<sup>1</sup>c w<sup>1</sup>sa, kapitan Servadac odda<sup>3</sup> sztywny uk<sup>3</sup>on majorowi. T<sup>3</sup>o<sup>3</sup>nierze angielscy wrócili do koszar i dwaj podróżni zostali sami u stóp ska<sup>3</sup>.

Cóż ty na to, Ben-Zoufie?

Spud<sup>3</sup>owaliliśmy, kapitanie.

Wracajmy, Ben-Zoufie!

Wracajmy, kapitanie – smętnym g<sup>3</sup>osem odpar<sup>3</sup> ordynans.

I wrócili, jak niepyszni, z ukrytym w worku sztandarem.

Trafili na atak z<sup>3</sup>oeci Palmyrin Rosette'a. Profesor w<sup>3</sup>ecieka<sup>3</sup> się prosto i przyznać trzeba, że mia<sup>3</sup> czego. Ukończy<sup>3</sup> w<sup>3</sup>acenie obliczanie elementów Neriny. Ale Nerina, która powinna by<sup>3</sup>a ukazać się w przeddzień, nie pojawi<sup>3</sup>a się wcale na galijskim niebie. Przyci<sup>1</sup>gnięta snać przez potężn<sup>1</sup> asteroidę, uciek<sup>3</sup>a prosto, wychodz<sup>1</sup>c ze strefy planet teleskopowych.

## Rozdział<sup>3</sup> XV,

*w którym omawiana jest sprawa powrotu na Ziemię i o<sup>3</sup>emia<sup>3</sup>a propozycja porucznika Prokopa.*

Po powrocie kapitan Servadac powiadomi<sup>3</sup> hrabiego Timaszewa o przebiegu wizyty. Opowiedzia<sup>3</sup> też o bezprawnej sprzedaży Ceuty Anglikom, skry<sup>3</sup> tylko swe nieuda<sup>3</sup>e plany osobiste.

Spe<sup>3</sup>niwszy obowi<sup>1</sup>zek, postanowiono nie k<sup>3</sup>opotać się więcej losem Anglików. Niech sobie radz<sup>1</sup>, jak potrafi<sup>1</sup>. Tymczasem zbliż<sup>3</sup>a się moment ponownego zetknięcia komety z kul<sup>1</sup> ziemsk<sup>1</sup>. Należ<sup>3</sup>a<sup>3</sup>o stawiać mu czo<sup>3</sup>o. Oby się tylko oby<sup>3</sup>o bez ofiar.

Dzia<sup>3</sup>o się to dnia 10-go listopada. Hrabia, kapitan i porucznik zebrali się w największej grocie, w t. zw. sali ogólnej. Ben-Zouf, rzecz prosta, dopuszczony by<sup>3</sup> do obrad. Palmyrin Rosette, jakkolwiek zaproszony, odmówi<sup>3</sup> swego udziału. Sprawa

powrotu na Ziemię by³a mu najzupe³niej obojêtna. Od czasu znikniêcia ukochanej Neriny profesor nie móg³ sobie znaleŹæ miejsca. Obawiaj¹c siê utraty Galji, podobnie jak straci³ jej satelitê, unika³ ludzi, szukaj¹c samotnoœci i ciszy.

Pierwszy zabra³ g³os kapitan Servadac.

Panowie – mówi³ – dzie³amy dzieñ 10-y listopada. Jeœli obliczenia mego profesora s¹ œcis³e, za 51 dni kometa nasza zetknie siê z Ziemi¹. Czy w przewidywaniu tego spotkania powinniœmy przedsiêwzi¹æ jakieœ œrodki ostro¿noœci?

Oczywiêcie, o ile le¿y to w naszej mocy. Obawiam siê jednak, ¿e jesteœmy zupe³nie bezsilni w rêkach Opatrznoœci.

Nie zaszkodzi jednak próbowaæ.

Czy pan ma jakieœ pomys³y, kapitanie

– adnych absolutnie.

Jak¿e to, panowie – wtr¹ci³ wówczas Ben-Zouf – tacy uczeni nie umiej¹ sobie poradziæ z g³upi¹ komet¹?

Przedewszystkiem nie jesteœmy uczonymi – odpar³ kapitan – i gdybyœmy nawet nimi byli, nicby to nie pomog³o, czego najlepszym dowodem profesor Palmyrin Rosette.

Nacó¿ w takim razie zda siê ca³a wiedza?

Panowie – zabra³ g³os porucznik Prokop – rzecz jasna, ¿e nowe to zderzenie zagra¿a nam ty³¹cem niebezpieczeñstw. Jeœli panowie pozwol¹, wyszczególniê je i omówiê. Wówczas przekonamy siê, czy bêdziemy w stanie je zwalczyæ, lub conajmniej os³abiæ.

S³uchamy – odpar³ hrabia Timaszew.

Wszyscy roztr¹sali te sprawy tak spokojnie, jakgdyby to chodzi³o nie o nich.

Panowie – ci¹gn¹³ porucznik Prokop – przedewszystkiem musimy siê zastanowiæ nad mo¿liwymi rodzajami zderzeñ. To nam wska¿e, czego nale¿y siê obawiaæ, lub spodziewaæ w ka¿dym poszczególnym przypadku.

S³uszenie – zgodzi³ siê kapitan Servadac – nie zapominajmy przytem, ¿e obie gwiazdy zmierzaj¹ ku sobie i ¿e zderz¹ siê przy szybkoœci dziewiêædziesiêciu tysiêcy mil na godzinê.

Ekspresy! – pozwoli³ sobie wtr¹ciæ Ben-Zouf.

Zderzenie mo¿e byæ czêœciowe lub te¿ ca³kowite, normalne. W pierwszym przypadku Galja mo¿e ledwie musn¹æ Ziemiê, porywaj¹c ze sob¹ nowe jej czêœci w dalsz¹ miêdzyplanetarn¹ podró¿. Orbita mo¿e przytem ulec powa¿nym zmianom i my, o ile notabene do¿yjemy tej chwili, bêdziemy

mieli bardzo ma³e szanse powrotu kiedykolwiek na Ziemiê.

Co przypada³oby do gustu profesorowi, ale nie nam – zauwa¿y³ Ben-Zouf.

Porzuæmy tê hipotezê – przerwa³ hrabia – i rozpatrzmy przypadek, gdy Galja zderzywszy siê z Ziemi¹, po³¹czy siê z ni¹ ca³kowicie.

Jak brodawka z twarz¹ – uzupe³ni³ ordynans.

Nie przeszkadzaj – zgromi³ go kapitan.

Rozkaz, kapitanie.

Rozpatrzmy zatem niebezpieczeñstwa ca³kowitego zderzenia – ci¹gn¹³ porucznik. – Ziemia, jako du¿o wiêksza i ciê¿sza, porwie Galjê ze sob¹. Niezale¿nie od miejsca, w którym nast¹pi zetkniêcie, nie mamy widoków ocalenia.

Mo¿e pan to wyt³umaczy jaœniej – prosi³ kapitan Servadac.

Jeœli w chwili spotkania znajdziemy siê na p³aszczyŹnie zetkniêcia na równiku, bêdziemy zmiæd¿eni.

To siê rozumie samo przez siê – rzek³ Ben-Zouf.

Jeœli znajdziemy siê na antypodach tej czêœci komety, prócz zmiæd¿enia zagra¿a nam jeszcze uduszenie. Atmosfera ziemska bowiem po³¹czy siê z atmosfer¹ Galji i na szczycie stumilowej góry, jak¹ utworzy na powierzchni Ziemi Galja, nie bêdzie czem oddychaæ.

A jeœli Galja tr¹ci Ziemiê którymœ z swych biegunów? – spyta³ hrabia Timaszew.

W tym przypadku – odpar³ porucznik – bêdziemy rzuceni w przestrzeñ i rozbici na miazgê.

Coraz lepiej! – szepn¹³ Ben-Zouf.

Dodam jeszcze, ¿e w tych i w ka¿dym innym przypadku poch³on¹ nas p³omienie.

P³omienie? – dziwi³ siê kapitan.

Tak jest, gdy¿ zahamowana gwa³townie szybkoœæ Galji zamieni siê w ciep³o, które przy temperaturze kilku tysiêcy stopni czêœciowo lub ca³kowicie spali Galjê.

Wywody porucznika wszystkim trafi³y do przekonania, by³y bowiem jasne i logiczne.

Pozwoli pan porucznik na jedno pytanie – odezwa³ siê Ben-Zouf. – Gdyby Galja wpad³a do morza?

Nawet Atlantyk, ani ocean Spokojny nic tu nie pomog¹. Ich g³êbia nie z³agodzi si³y zderzenia, nie

powstrzyma wypadków.

W ten sposób – reasumowa<sup>3</sup> kapitan Servadac – niezależnie od rodzaju i miejsca zderzenia, zagraża nam rozbicie, zmiądlenie lub spalenie.

Tak jest – odpar<sup>3</sup> bez zaj<sup>1</sup>knienia porucznik Prokop.

Skoro tak jest istotnie – rzek<sup>3</sup> Ben-Zouf – pozostaje nam tylko jedno.

Co takiego? – spyta<sup>3</sup> kapitan.

Opuścić Galjê przed zderzeniem.

Ale w jaki sposób?

O, sposób jest bardzo prosty – odpar<sup>3</sup> spokojnie Ben-Zouf – gdyż niema żadnego.

A może jednak... – zamyśli<sup>3</sup> się porucznik Prokop.

Wszyscy spojrzeli na porucznika, który ociskaj<sup>1</sup>c rękami g<sup>3</sup>owê, rozmyśla<sup>3</sup> nad jakimś oemia<sup>3</sup>ym projektem.

A jednak – powtórzy<sup>3</sup> porucznik – chociaż plan mój ma pozory fantazji trzeba go będzie wykonać.

Mów, Prokopie – niecierpliwi<sup>3</sup> się hrabia Timaszew.

Porucznik wci<sup>1</sup>ż jeszcze pogr<sup>1</sup>żony by<sup>3</sup> w myślach. Wreszcie rzek<sup>3</sup>.

Ben-Zouf wskaza<sup>3</sup> nam w<sup>3</sup>aceci<sup>1</sup> drogê, musimy opuścić Galjê przed zderzeniem.

A czy to jest możliwe? – spyta<sup>3</sup> hrabia. –

Owszem... być może... zdaje się... że tak...

W jaki sposób?

Przy pomocy balonu.

Balon! Ależ to straszny przeżytek, nie pos<sup>3</sup>uguj<sup>1</sup> się nim już nawet w powieściach.

Pos<sup>3</sup>uchajcie mnie panowie – rzek<sup>3</sup> porucznik Prokop, marszcz<sup>1</sup>c zlekka brwi. – Znaj<sup>1</sup>c dok<sup>3</sup>adnie moment zderzenia, możemy na godzinę wcześniej wzniesić się w atmosferę Galji. W chwili zetknięcia atmosfera ta po<sup>3</sup>czy się z atmosfer<sup>1</sup> Ziemi i możliwe, że balon nasz przesunie się nieznacznie z jednej atmosfery do drugiej. W ten sposób, utrzymuj<sup>1</sup>c się w ci<sup>1</sup>gu ca<sup>3</sup>ego spotkania w powietrzu, unikniemy bezpośredniego wstrz<sup>1</sup>su.

Dobrze, Prokopie – rzek<sup>3</sup> hrabia – us<sup>3</sup>uchamy cię i zrobimy to, co radzisz.

W ten sposób – ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> porucznik – na sto szans tylko dziewięćdziesiąt dziewięć zwraca się przeciwko nam.

Dziewięćdziesiąt dziewięć?

Conajmniej, gdy<sup>2</sup> wed<sup>3</sup>ug wszelkiego prawdopodobieństwa balon powinien się spalić.

I on także? – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> Ben-Zouf.

Oczywiście, tak samo, jak kometa. Chyba, że.. czy ja wiem... w każdym razie uważam, że lepiej jest opuścić kometę.

Tak... tak... oczywiście – godzi<sup>3</sup> się kapitan – nawet przy jednej stutysięcznej prawdopodobieństwa należa<sup>3</sup>oby się chwycić tej deski ratunku.

Ale nie mamy tlenu do wype<sup>3</sup>nienia balonu – zauważy<sup>3</sup> hrabia Timaszew.

Wystarczy nagrzane powietrze – odpar<sup>3</sup> porucznik Prokop – ponieważ w górze zostaniemy nie d<sup>3</sup>użej, jak godzinę.

Dobrze – zastanawia<sup>3</sup> się kapitan – balon to g<sup>3</sup>upstwo, ale z czego zrobimy pow<sup>3</sup>okę!

Uszyjemy ją z lekkich i mocnych żagli *Dobryny*.

Œwiête s<sup>3</sup>owa, Prokopie – cieszy<sup>3</sup> się hrabia – ty masz istotnie sposób na wszystko.

Hurrah! Brawo! – wo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> Ben-Zouf.

Kapitan Servadac podj<sup>13</sup> się misji zdobycia od profesora dok<sup>3</sup>adnej godziny zderzenia Galji z Ziemi<sup>1</sup>.

Pod przewodnictwem porucznika przyst<sup>1</sup>piono natychmiast do budowy balonu. Musia<sup>3</sup> on być dość duży, aby unieść ca<sup>31</sup>, z<sup>3</sup>ożon<sup>1</sup> z 23-ch osób, kolonjê galijsk<sup>1</sup>. Anglików z Gibraltaru i Ceuty nie brano już w rachubę.

Porucznik postanowi<sup>3</sup> wzmocnić szanse powodzenia przez wynalezienie sposobu d<sup>3</sup>uższego, niż godzinę, przebywania w powietrzu. Mog<sup>3</sup>o się zdarzyć np., że trzeba będzie szukać odpowiedniego miejsca do l<sup>1</sup>dowania. Wszystko należa<sup>3</sup>o przewidzieć, na wszystko być przygotowanym!

W tym celu postanowi<sup>3</sup> zabrać ze sob<sup>1</sup> – w czym zreszt<sup>1</sup> nacladowa<sup>3</sup> tylko pierwszych aeronautów – pewn<sup>1</sup> ilość paliwa, suchej trawy i s<sup>3</sup>omy, dla rozgrzania wnętrza balonu.

Nieprzemakalne żagle, przechowywane w magazynach Wielkiej Groty, postanowiono poci<sup>1</sup>gn<sup>1</sup>æ jeszcze pokostem. Wszystkie potrzebne narzędzia i części sk<sup>3</sup>adowe znaleziono wśród towarów *Hanzy*, oddanych do dyspozycji porucznika. Wszyscy, nie wy<sup>31</sup>czaj<sup>1</sup>c ma<sup>3</sup>ej Niny, wzięli się raŸno do pracy. Wszyscy, z wyj<sup>1</sup>tkiem Hakhabuta, za którym nikt nie tęskni<sup>3</sup>, i profesora, który wogóle nie chcia<sup>3</sup> nic wiedzieć o budowie balonu.



W ten sposób min<sup>13</sup> miesi<sup>1</sup>c. Kapitan Servadac nie mia<sup>3</sup> wci<sup>1</sup>ż okazji do rozmowy z profesorem, który stawa<sup>3</sup> siê coraz niedostêpniejszy.

A jednak sprawa dok<sup>3</sup>adnej znajomoœci chwili zderzenia by<sup>3</sup>a waŹna i nagl<sup>1</sup>ca. Kapitan Servadac uzbroi<sup>3</sup> siê w cierpliwoœæ i czeka<sup>3</sup>. Tymczasem Galja zbliŹa<sup>3</sup>a siê stopniowo do s<sup>3</sup>oñca. Tarcza Ziemi ros<sup>3</sup>a w oczach. W ci<sup>1</sup>gu listopada kometa przeby<sup>3</sup>a przestrzeñ piêædziesiêciu dziwiêciu milionów mil i dnia 1-go grudnia jej odleg<sup>3</sup>oœæ od s<sup>3</sup>oñca wynosi<sup>3</sup>a juŹ tylko siedemdziesi<sup>1</sup>t osiem milionów mil.

Temperatura znacznie wzros<sup>3</sup>a, powoduj<sup>1</sup>c pêkanie lodów i odwilŹ. Wspania<sup>3</sup>y by<sup>3</sup> widok morza walcz<sup>1</sup>cego z lodowymi okowami. Na zboczach wulkanu i na wybrzeŹu ukaza<sup>3</sup>y siê pierwsze kaskady i strumienie, z gór stacza<sup>3</sup>y siê œnieŹne lawiny. Na horyzoncie ukazywa<sup>3</sup>y siê gête chmury, gnane i rozpraszane przez nieznanne dot<sup>1</sup>d na Galji wiatry. Trzeba siê by<sup>3</sup>o liczyæ z moŹliwoœci<sup>1</sup> przysz<sup>3</sup>ych burz i zawiei.

Przysz<sup>3</sup>a równieŹ przewidziana katastrofa, która zniszczy<sup>3</sup>a galijsk<sup>1</sup> flotê.

W czasie pêkania lodów *Dobryna* i *Hanza* znajdowa<sup>3</sup>y siê na wysokoœci stu stóp ponad poziomem morza. Ich olbrzymi piedesta<sup>3</sup> za<sup>3</sup>amywa<sup>3</sup> siê i pêka<sup>3</sup>, aŹ wreszcie podmyty u podstaw run<sup>13</sup>. Uratowanie statków by<sup>3</sup>o wykluczone. Jedy<sup>1</sup>nym œrodkiem lokomocji sta<sup>3</sup> siê teraz balon.

Rozbicie statków nast<sup>1</sup>pi<sup>3</sup>o w nocy z 12-go na 13-ty grudnia. Wypadek ten, chociaŹ przewidywany, wywar<sup>3</sup> silne i przygnêbiaj<sup>1</sup>ce wraŹenie na kolonistów galijskich.

Rozpaczy i lamentom Hakhabuta nie by<sup>3</sup>o koñca. UwaŹa<sup>3</sup> siê za narzêdzie z<sup>3</sup>ej woli kapitana i grozi<sup>3</sup> odwo<sup>3</sup>aniem siê do wymiaru sprawiedliwoœci na Ziemi.

Dnia 14-go grudnia wykoñczono balon. Bardzo starannie uszyty i wypokostowany, by<sup>3</sup> mocny i zdatny do Źeglugi. Siatkê zrobiono z lekkich lin *Dobryny*, kosz zaœ z<sup>3</sup>oziny, któr<sup>1</sup> wy<sup>3</sup>oŹony by<sup>3</sup> spód jachtu.

W tym czasie Galja przeciê<sup>3</sup>a orbitê Marsa, który znajdowa<sup>3</sup> siê w odleg<sup>3</sup>oœci blisko piêædziesiêciu szœci<sup>1</sup> milionów mil, nie by<sup>3</sup>o siê. wiêc czego obawiaæ. Mimo to w nocy 15-go grudnia Galijszczyki mieli wraŹenie, Źe nadesz<sup>3</sup>a ich ostatnia godzina. Odczuli bowiem rodzaj trzêszczenia ziemi. Wulkan zacz<sup>13</sup> dzia<sup>3</sup>æ ze wzmoŹon<sup>1</sup> si<sup>31</sup>, jakgdyby jakieœ nieznan<sup>1</sup> i potêŹny wp<sup>3</sup>yw obudzi<sup>3</sup> ukryt<sup>1</sup> w nim potêgê. Kapitan Servadac i jego towarzysze w przeraŹeniu opuszczali podlegaj<sup>1</sup>c<sup>1</sup>, coraz to silniejszym wstrz<sup>1</sup>som górê.

W tym samym czasie rozleg<sup>3</sup>y siê krzyki w obserwatorjum i na zboczu wulkanu ukaza<sup>3</sup> siê nieszczêeliwy profesor z kawa<sup>3</sup>kiem z<sup>3</sup>amanej lunety w rêce. W nikim jednak nie wzbudzi<sup>3</sup> litoœci. Tej ponurej nocy nowy jakieœ satelita zjawi<sup>3</sup> siê na horyzoncie Galji. By<sup>3</sup>a to oderwana czêœæ samej komety.

Pod wp<sup>3</sup>ywem wewnêtrznego wstrz<sup>1</sup>su kometa rozpad<sup>3</sup>a siê na dwie czêœci, jak to juŹ ongiœ mia<sup>3</sup>o miejsce z komet<sup>1</sup> Gambarta. Olbrzymia nowa asteroida wyrzucona zosta<sup>3</sup>a w przestrzeñ, unosz<sup>1</sup>c ze sob<sup>1</sup> Anglików z Gibraltarem i Ceut<sup>1</sup>.

## Rozdział XVI,

*w którym Galijczycy przygotowują się do obserwacji swej asteroidy z balonu.*

Jakież mogły być skutki tego poważnego zderzenia z punktu widzenia losów Galji? Kapitan Servadac i jego towarzysze nie mieli jeszcze odwagi odpowiedzieć na to pytanie.

Słońce ukazało się znów na horyzoncie i to wcześniej niż normalnie, gdyż oderwanie się znacznej części Galji wywołało przede wszystkim skrócenie dnia galijskiego. W trzy godziny po ukazaniu się na horyzoncie, słońce zachodziło.

Wciż nowe dziwy! – mówił kapitan Servadac. – W ten sposób rok nasz składa się z dwóch tysięcy osmiuset dni.

Zabraknie oświętych dla tego kalendarza – odparł Ben-Zouf.

Istotnie, gdyby Palmyrin Rosette dostosował swój kalendarz do nowych warunków, znaleźlibyśmy w nim datę 238-go czerwca i 325-go grudnia.

Fragment Galji, który uniósł z sobą Anglików i Gibraltar, nie krążył koło Galji, ale oddalał się z wrastającą wciż szybkością. Czy porwał z sobą część morza i atmosfery galijskiej, czy miał pomyślnie warunki egzystencji dla ludzi, czy powróci kiedykolwiek na Ziemię, wszystko to było zagadką.

Pierwszą troską kapitana, hrabiego i porucznika było zbadanie wpływu rozpadnięcia się komety. Przede wszystkim odczuli wzrost siły mielenia i skonstatowali ponowny spadek siły ciążkości. Czy zmniejszona masa Galji nie wpłynie na zmianę szybkości i czy nie należy się obawiać jakiegos przyćpieszenia, lub opóźnienia, które udaremni spotkanie z Ziemią?

Byłoby to klęska bez żadnej nadziei ratunku. Czy szybkość Galji zmieniła się, czy nie, wyjaśnić mógł jedynie Palmyrin Rosette. Trzeba więc było zmusić go w jakiejś sposób do mówienia i wydobyć z niego jednocześnie przewidywaną godzinę zderzenia z Ziemią.

W ciągu najbliższych dni profesor był w humorze samobójczym. Kapitan Servadac postanowił wydrzeć mu tajemnicę i oto, w jaki sposób przystąpił do sprawy.

Działo się to dnia 18-go grudnia. Profesor prowadził ożywioną dyskusję z Ben-Zoufem, który go obraził, odzywając się lekceważąco o komecie.

Przypadek zrz'dzi<sup>3</sup>, że w chwili największej sprzeczki zjawi<sup>3</sup> się kapitan. Czy natchnê<sup>3</sup>a go Opatrznoœæ? Byæ moŹe, w kaŹdym razie postanowi<sup>3</sup> dzia<sup>3</sup>aæ si<sup>31</sup> i groŹb<sup>1</sup>, tam gdzie perswazj<sup>1</sup>, i dobroci<sup>1</sup> nic siê nie da<sup>3</sup>o dot<sup>1</sup>d osi<sup>1</sup>gn<sup>1</sup>æ. Stan<sup>13</sup> po stronie ordynansa. Wywo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>o to atak z<sup>3</sup>oœci i potok obelŹywych s<sup>3</sup>ów ze strony profesora.

Panie profesorze – rzek<sup>3</sup> – ma pan sposób wyrażania siê, który mi nie odpowiada i którego nie chcê d<sup>3</sup>uŹej znosiæ. Zapomina pan widocznie, że jestem generalnym gubernatorem Galji!

A ja jej w<sup>3</sup>aœcicielem! – pad<sup>3</sup>a harda odpowiedŹ.

Nic mnie to nie obchodzi. Zreszt<sup>1</sup> pañskie prawa w<sup>3</sup>asnoœci s<sup>1</sup> mocno w<sup>1</sup>tpliwe...

W<sup>1</sup>tpliwe?

I poniewaŹ nie mamy sposobu powrotu na Ziemiê, musi siê pan poddaæ prawom, obowi<sup>1</sup>zuj<sup>1</sup>cym na Galji.

A czemuŹ to nie mamy powróciæ na Ziemiê?– zapyta<sup>3</sup> profesor z odcieniem najwyŹszej pogardy w g<sup>3</sup>osie.

PoniewaŹ od chwili rozpadniêcia siê komety, masa Galji zmala<sup>3</sup>a, a zatem i szybkoœæ jej musia<sup>3</sup>a ulec zmianie.

KtôŹ to pana tak pouczy<sup>3</sup>?

Kto? – Wszyscy...

A zatem, panie kapitanie, wszyscy z panem na czele s<sup>1</sup>...

Panie profesorze, wymawiam sobie...

Nieukami, jucznymi os<sup>3</sup>ami, które nie znaj<sup>1</sup> siê zupe<sup>3</sup>nie na mechanice niebieskiej.

Proszê siê liczyæ ze s<sup>3</sup>owami!

Ani na elementarnej fizyce!

Panie!...

O, ciemny uczniu! – ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> rozwœcieczony profesor. – Nie zapomnê nigdy, że by<sup>3</sup>eœe zaka<sup>31</sup> ca<sup>3</sup>ej klasy.

Tego już zawiele...

– e by<sup>3</sup>ee hañb<sup>1</sup> ca<sup>3</sup>ego liceum...

Uspokój się pan, albo...

Nie, nie uspokoję się i pan mnie wys<sup>3</sup>ucha, mimo swej kapitańskiej rangi! Ponieważ masa Galji zmala<sup>3</sup>a, wyobrażaj<sup>1</sup> sobie, że to wp<sup>3</sup>ynê<sup>3</sup>o na szybkość! Jakgdyby nie zależa<sup>3</sup>a ona jedynie od szybkości pierwotnej i od si<sup>3</sup>y przyci<sup>1</sup>gania s<sup>3</sup>ońca! Jakgdyby zak<sup>3</sup>ócenia ruchu planety mia<sup>3</sup>y coekolwiek wspólnego z ich mas<sup>1</sup>? O, nieuki, żal mi was!

Profesor się pieni<sup>3</sup>. Ben-Zouf, bior<sup>1</sup>cy gniew kapitana poważnie, zapyta<sup>3</sup>:

Może mam go rozdwoić na podobieństwo tej nędznej komety?

Spróbuj mnie tylko dotkn<sup>1</sup>æ, ba<sup>3</sup>wanie jeden! – krzycza<sup>3</sup> profesor, prostuj<sup>1</sup>c sw<sup>1</sup> drobn<sup>1</sup>, w<sup>1</sup>t<sup>31</sup> postać.

Uprzedzam – doda<sup>3</sup> Hector Servadac – że potrafię jednak doprowadzić pana do porz<sup>1</sup>dku.

A ja postawię pana za grzyby i sposób postępowania przed najwyższym trybuna<sup>3</sup>em!

Galja nie zna takiej instancji.

Ale zna j<sup>1</sup> zato Ziemia!

Cóż z tego, Ziemia jest daleko! – odpali<sup>3</sup> kapitan Servadac.

Niezależnie od tego, jak jest daleko – krzycza<sup>3</sup> wyprowadzony już z równowagi profesor – przetniemy jednak jej orbitę w nocy z dnia 31-go grudnia na 1-y stycznia i zetkniemy się z ni<sup>1</sup> punktualnie o godzinie drugiej czterdzieści minut siedem sekund trzydzieści pięć i sześć dziesiątych nad ranem.

Kochany profesorze – rzek<sup>3</sup>, k<sup>3</sup>aniaj<sup>1</sup>c się nisko, kapitan Servadac – to mi wystarczy. O nic więcej nie pytam.

I opuści<sup>3</sup> skonsternowanego profesora, któremu Ben-Zouf z<sup>3</sup>oży<sup>3</sup> z kolei uk<sup>3</sup>on, niemniej piękny od uk<sup>3</sup>onu kapitana.

Hector Servadac i jego towarzysze wiedzieli wreszcie czego się trzymać.

Z niezrównanym zapa<sup>3</sup>em przygotowywano się do podróży. Wszystkim spieszo by<sup>3</sup>o do opuszczenia Galji. Balon porucznika Prokopa gotów by<sup>3</sup> do odlotu. W nawale zajęć i podniecenia zapomniano o tysi<sup>1</sup>cznych niebezpieczeństwach podróży, wszyscy spodziewali się chyba cudu, bo porucznik uprzedza<sup>3</sup> przecię o nieuniknionej prawie klęsce pożaru. Kapitan Servadac, jako urodzony optymista, jak zawsze by<sup>3</sup> dobrej myśli. Ben-Zouf, który oddawna już marzy<sup>3</sup> o żegludze powietrznej, zachwycony by<sup>3</sup> perspektyw<sup>1</sup> wyprawy.

Jedynie bardziej opanowani i powóceni<sup>1</sup> gliwi hrabia i porucznik uświadomili sobie jasno ogrom niebezpieczeństwa. Gotowi jednak byli na wszystko. Nadszed<sup>3</sup> dzień 25 grudnia. Wiljê Bożego Narodzenia obchodzono równie uroczyœcie, jak i w roku poprzednim, ale wszystkim przyœwieca<sup>3</sup>o teraz Ÿywsze uczucie, religijne. Nowy rok spodziewano siê juŸ spêdziæ na Ziemi.

ChociaŸ wydaæ siê to moŸe œmieszne, w miarê zbliŸania siê krytycznego momentu kapitan i hrabia mieli myœli zaprz<sup>1</sup>tniête zupe<sup>3</sup>nie czem innym. Stali siê znów rywalami. Mierzyli siê niechêtnem okiem.

Kapitan Servadac myœla<sup>3</sup> nawet o dokoñczeniu uk<sup>3</sup>adanego z takim trudem i mozo<sup>3</sup>em poematu. Galja porwa<sup>3</sup>a Ziemi „poetê” niechaj „poetê” mu zwróci. I w wolnych chwilach pocz<sup>13</sup> znów rymowaæ.

Hrabiemu i porucznikowi pilno by<sup>3</sup>o na Ziemiê, rosyjscy zaœ marynarze pragnêli towarzyszyæ im wszêdzie. Hiszpanie tak siê zaaklimatyzowali na Galji, Ÿe chêtnie spêdziliby tu resztê swego Ÿycia, jednakŸe cieszy<sup>3</sup>a ich niew<sup>1</sup>tpliwie nadzieja ogl<sup>1</sup>dania andaluzyjskich pól.

Pablo i Nina cieszyli siê z powrotu w towarzystwie nowych przyjació<sup>3</sup>, z którymi pragnêli nie rozstawaæ siê nigdy.

Pozostawa<sup>3</sup> jeden tylko wieczny malkontent – profesor Palmyrin Rosette. Profesor nie przestawa<sup>3</sup> siê z<sup>3</sup>oœciaæ i przysiêga<sup>3</sup>, Ÿe nie wsi<sup>1</sup>dzie do balonu, nie mia<sup>3</sup> bowiem najmniejszego zamiaru opuszczaæ planety. Ca<sup>3</sup>e dni i noce trawi<sup>3</sup> na obserwacjach niebieskiego firmamentu. Ach! ileŸ zmartwieñ przysparza<sup>3</sup>a mu Galja! JakŸe móg<sup>3</sup> siê czuaæ na niej dobrze, gdy by<sup>3</sup> pozbawiony ukochanej lunety.

Ostatnie dni mija<sup>3</sup>y w gor<sup>1</sup>czkowem oczekiwaniu! Porucznik Prokop dogl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> wykoñczenia szczegó<sup>3</sup>ów. Dwa maszty *Dobryny* wbite na wybrzeŸu stanowi<sup>3</sup>y przystań balonu.

Min<sup>13</sup> 26, 27, 28, 29 i 30-ty grudzieñ. Pozostawa<sup>3</sup>y jeszcze dwadzieœcia cztery godziny pobytu na Galji.

Nadszed<sup>3</sup> wreszcie ostatni dzieñ starego roku ziemskiego. Jeszcze chwila i, nape<sup>3</sup>niony gor<sup>1</sup>cem rozrzedzonym powietrzem, balon uniesie siê w atmosferê galijsk<sup>1</sup>. Zaznaczyæ tu naleŸy, Ÿe atmosfera ta by<sup>3</sup>a rzadsza od atmosfery ziemskiej, oraz podkreœliaæ fakt, Ÿe niniejsza si<sup>3</sup>a przyci<sup>1</sup>gania u<sup>3</sup>atwia<sup>3</sup>a balonowi wzniesienie siê w górê. Galja znajdowa<sup>3</sup>a siê w<sup>3</sup>acenie w odleg<sup>3</sup>oœci czterdziestu milionów mil od s<sup>3</sup>oñca, zatem w odleg<sup>3</sup>oœci niewiele wiêkszej od tej, która dzieli od niego Ziemiê. Odleg<sup>3</sup>oœæ Galji od Ziemi wyraŸa<sup>3</sup>a siê liczb<sup>1</sup> dwóch milionów mil. Przy jednoczesnym ruchu obu gwiazd, przestrzeñ ta zmniejsza<sup>3</sup>a siê na godzinê o osiemdziesi<sup>1</sup>t siedem tysiêcy mil, z czego oko<sup>3</sup>o piêædziesiêciu siedmiu tysiêcy przebywa<sup>3</sup>a Galja, resztê zaœ Ziemia.

O godzinie drugiej nad ranem Galijszczycy gotowi byli do odlotu. Spotkanie mia<sup>3</sup>o nast<sup>1</sup>piæ za czterdzieœci siedem minut i trzydzieœci piêæ sekund.

Z powodu zmiany w ruchu obrotowym Galji dooko<sup>3</sup>a w<sup>3</sup>asnej osi, by<sup>3</sup>a to pe<sup>3</sup>nia dnia. Dzieñ panowa<sup>3</sup> równieŸ w tej czêœci kuli ziemskiej, na której mia<sup>3</sup>o nast<sup>1</sup>piæ zderzenie.

Balon już od godziny był napełniony ciepłym powietrzem. Olbrzym ten, utrzymywany w równowadze przez maszty, gotów był do drogi, umocowany zaś do siatki koszyk czekał na pasażerów.

Galjê dzieliło już tylko siedemdziesiąt pięć tysięcy mil od Ziemi.

Izaak Hakhabut pierwszy zajął miejsce w ódce balonu. Ale w tej samej chwili kapitan Servadac zauważył, że był dziwnie był gruby w pasie.

Cóż to jest takiego! – zapytał.

To, panie gubernatorze – odparł kupiec – moja skromna fortuna, która zabieram ze sobą.

A ile waży ta skromna fortuna!

O, drobiazg, zaledwie trzydzieści kilo.

Trzydzieści kilo, to niemożliwe! Zostawi pan swój fortunę na Galji. Wytrzymałność naszego balonu obliczona jest tylko na nas, ludzi.

Ale, panie gubernatorze!...

Decyzji nie zmienię. Szkoda każdego słowa...

Boże miłosierny – wołając Izaak – cała moja fortuna, zrobiona z takim trudem i móżem.

Ale, mój panie! wie pan doskonale, że to za to nie będzie miało żadnej wartości na Ziemi!

Bógam, litości...

No dalej, szczywany lisie – wtrącając się do rozmowy Ben-Zouf – uwolnisz nas od swojej osoby, lub od swego zła. Wybieraj!

I biedny Izaak wśród żkań i lamentów pozostawił swój adunek na Galji.

Nieatwa również przeprawa czekała zaogę z powodu Palmyrin Rosette'a. Profesor nie chciał opuścić komety, którą uważał za swój własny. Poza tem nie ufał konstrukcji balonu, ani możliwości przesunięcia się bez katastrofy z jednej atmosfery do drugiej. Uważał, że bezpieczniej jest pozostać na Galji, wyczekując biernie wyroków Opatrzności.

W tych warunkach musiano użyć się. Skrępowanego profesora dwóch marynarzy rosyjskich wprowadziło do odzi.

Dużo przykroci dla kapitana, ordynansa i matki Niny była konieczność pozostawienia na lądzie koni i kozy. Nie można było jednak postąpić inaczej. Z pośród wszystkich zwierząt zabrano jedynie pocztowego gołębia. Mógł się przydać w razie niefortunnego wylądowania na Ziemi.

Na zaproszenie kapitana zkolei zajęli miejsca hrabia i porucznik.

Wreszcie na l'dzie pozosta<sup>3</sup> już tylko kapitan z ordynansem.

Teraz kolej na ciebie, Ben-Zoufie – rzek<sup>3</sup> Hector Servadac.

Przed panem, kapitanie?

Tak jest. Ja muszę odejść ostatni z placu, jak kapitan ton<sup>1</sup>cego statku.

Jednakże...

Zrób, jak ka<sup>1</sup>.

Rozkaz, panie kapitanie.

I Ben-Zouf znalaz<sup>3</sup> się pośród towarzyszy w balonowej <sup>3</sup>odzi. Kapitan Servadac zaj<sup>13</sup> w niej miejsce ostatni.

Więzy zosta<sup>3</sup>y przecięte i balon majestatycznie uniós<sup>3</sup> się w górę.

## Rozdzia<sup>3</sup> XVII,

*w którym pasażerowie balonu notuj<sup>1</sup> swoje uczucia i wrażenia.*

Balon osi<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> wysokość dwóch tysięcy pięciuset metrów. Porucznik Prokop postanowi<sup>3</sup> zatrzymać się w tej strefie. Między <sup>3</sup>ódk<sup>1</sup> i balonem zawieszony by<sup>3</sup>, wypę<sup>3</sup>niony such<sup>1</sup> traw<sup>1</sup>, rodzaj drucianego rusztu. Można by<sup>3</sup>o w każdej chwili jego zawartość zapalić, uzyskuj<sup>1</sup>c w ten sposób po<sup>1</sup>dziany stan rozrzedzenia powietrza wewn<sup>1</sup>trz balonu.

Pasażerowie rozgl<sup>1</sup>dali się z zaciekawieniem woko<sup>3</sup>o. Pod nimi rozci<sup>1</sup>ga<sup>3</sup>o się szerokie morze Galijskie. Odosobniony punkcik na p<sup>3</sup>oocy, to wyspa „Ostoja”; daremnie szukano na zachodzie Gibraltaru i Ceuty – znikn<sup>3</sup>ęły bez śladu.

Na p<sup>3</sup>udniu wznosi<sup>3</sup> się wulkan, góruj<sup>1</sup>c nad wybrzeżem i rozleg<sup>3</sup>em terytorjum Gor<sup>1</sup>cego L<sup>1</sup>du.

Ca<sup>31</sup> uwagę podró<sup>1</sup>żnych skupia<sup>3</sup>a teraz na sobie, rysuj<sup>1</sup>ca się w przestworzach, w ca<sup>3</sup>ej okaza<sup>3</sup>ooci Ziemia. W szybkim tempie zmierza<sup>3</sup>a ku Galji, przes<sup>3</sup>ania<sup>3</sup>a sob<sup>1</sup> znacz<sup>1</sup> część nieba. Jej wspaniale oświetlona tarcza olęnia<sup>3</sup>a wzrok. Odleg<sup>3</sup>ość by<sup>3</sup>a już stosunkowo za ma<sup>31</sup>, aby obj<sup>1</sup>æ wzrokiem oba bieguny Ziemi jednocześnie. Na powierzchni Ziemi lęni<sup>3</sup>y różne plamy, jedne bardziej b<sup>3</sup>yszcz<sup>1</sup>ce – to l<sup>1</sup>dy, nieco przyt<sup>3</sup>umione – morza i oceany. Na ich tle przesuwa<sup>3</sup>y się z wolna wielkie bia<sup>3</sup>e p<sup>3</sup>aty –

by<sup>3</sup>y to chmury, rozsnute w atmosferze ziemskiej.

Po chwili już, wobec szybkości dwudziestu dziewięciu mil na sekundę, obraz Ziemi sta<sup>3</sup> się wyrazistszy. Zaznaczy<sup>3</sup>y się wybrzeża, uwypukli<sup>3</sup>y się góry. O godzinie drugiej minut dwadzieścia siedem nad ranem kometę oddziela<sup>3</sup>o od Ziemi niespe<sup>3</sup>na trzydzieści tysięcy mil. Obie gwiazdy mknę<sup>3</sup>y ku sobie z zawrotn<sup>1</sup> szybkości<sup>1</sup>. O godzinie drugiej trzydzieści siedem minut pozostawa<sup>3</sup>o jeszcze piętnaście tysięcy mil do przebycia.

Potêżne zarysy tarczy uwydatnia<sup>3</sup>y się coraz wyraźniej i jednocześnie prawie z piersi porucznika, hrabiego i kapitana wyrwa<sup>3</sup> się okrzyk:

Europa!

Rosja!

Francja!

I nie mylono się. Ziemia zwraca<sup>3</sup>a się ku Galji t<sup>1</sup> stron<sup>1</sup>, na której leża<sup>3</sup>a Europa. Rzeźba poszczególnych krajów rysowa<sup>3</sup>a się już wyraźnie.

Pasażerowie balonu z żywym wzruszeniem przygl<sup>1</sup>dali się Ziemi, która... oby zechcia<sup>3</sup>a ich przyj<sup>1</sup>æ... Myśleli tylko o l<sup>1</sup>dowaniu, zapominaj<sup>1</sup>c o wszystkich groź<sup>1</sup>nych niebezpieczeństwach. Marzyli o wirze życia, o masie ludzi, znajomych, przyjació<sup>3</sup>.

Tak jest! Przed ich oczami rozci<sup>1</sup>ga<sup>3</sup>a się Europa! Jej kraje o granicach naturalnych i sztucznych.

Anglja, zwrócona ku wschodowi, dama w pow<sup>3</sup>óczystej, sfa<sup>3</sup>dowanej szacie i fryzie z wysp i wysepek.

Szkocja i Norwegja, wspania<sup>3</sup>y lew o gięt<sup>1</sup>kim karku, z<sup>3</sup>ożonym z <sup>3</sup>ańcuchów górskich. Rosja, olbrzymi nied<sup>1</sup>wied<sup>1</sup> polarny, z g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup> zwrócon<sup>1</sup> ku krajom azjatyckim, lew<sup>1</sup> <sup>3</sup>ap<sup>1</sup> wspieraj<sup>1</sup>c<sup>1</sup> się na Turcji, praw<sup>1</sup> na Kaukazie.

W<sup>3</sup>ochy, but elegancki i wytworny, zdaj<sup>1</sup>cy się żonglowaæ Sycylj<sup>1</sup>, Sardynj<sup>1</sup> i Korsyk<sup>1</sup>.

Francja, potêżny tors, którego sercem by<sup>3</sup> Paryż i t. d.

Wszystko to wpada<sup>3</sup>o w oczy i serca. Wzruszenie zatamowa<sup>3</sup>o wszystkim oddech. W tej chwili komiczny okrzyk przerwa<sup>3</sup> skupiony nastrój.

Montmartre! – zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> Ben-Zouf.

I nikt nie by<sup>3</sup>by w stanie mu wyt<sup>3</sup>umaczyæ, że z tej odleg<sup>3</sup>ości nie mógł dostrzec Montmartre'u.



Palmyrin Rosette, z g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup> wychylon<sup>1</sup> nazewn<sup>1</sup>trz kosza, œledzi<sup>3</sup> z uporem opuszczon<sup>1</sup> Galjê. Ziemi nie zaszczyca<sup>3</sup> ani jednym spojrzeniem.

Porucznik Prokop, z chronometrem w rêku, liczy<sup>3</sup> minuty i sekundy.

Mówiono ma<sup>3</sup>o. Kapitan Servadac i hrabia Timaszew po¿erali Ziemiê wzrokiem.

W jakim punkcie spadnie balon! Czy stanie siê to na kontynencie, czy na morzu! Czy Opatrznoœæ zœœle jakieœ statek, który uratuje ton<sup>1</sup>cych?

Godzina druga minut czterdzieœci dwie – pad<sup>3</sup> w martw<sup>1</sup> ciszê g<sup>3</sup>os porucznika Prokopa.

Zatem jeszcze piêæ minut, trzydzieœci piêæ i szeœæ dziesi<sup>1</sup>tych sekundy i Galja zetknie siê z Ziemi<sup>1</sup>.

W tej chwili oba cia<sup>3</sup>a niebieskie dzieli<sup>3</sup>a jeszcze przestrzeñ œemiu tysiêcy mil.

Jœœli nast<sup>1</sup>pi katastrofa, jœœli jej nikt z podró¿nych nie prze¿yje, w takim razie wszelki œlad ich pobytu na Galji, ich wyprawy miêdzyplanetarnej zaginie. Nie! Kapitan Servadac do tego nie dopuœci. Wyrwa<sup>3</sup> kartê z notesu i wypisa<sup>3</sup> na niej nazwê komety, czêœci oderwane od kuli ziemskiej, imiona towarzyszów i podpisa<sup>3</sup> to wszystko swoim imieniem i nazwiskiem.

Poczem poprosi<sup>3</sup> o go<sup>3</sup>êbia, którego ma<sup>3</sup>a Nina czule tuli<sup>3</sup>a do piersi.

Kapitan Servadac przywi<sup>1</sup>za<sup>3</sup> mu karteczkê do szyi i wypuœci<sup>3</sup> w powietrze. Ptak zako<sup>3</sup>owa<sup>3</sup> w powietrzu i odlecia<sup>3</sup> w kierunku Galji.

Jeszcze dwie minuty i oko<sup>3</sup>o trzech tysiêcy dwustu mil!

Zbytecznym chyba jest wyjaœnienia, ¿e pasażerowie balonu nie odczuwali nic z tej zawrotnej szybkoœci i ¿e powietrzny okrêt sprawia<sup>3</sup> wra¿enie naturalnego cia<sup>3</sup>a w atmosferze, która go unosi<sup>3</sup>a.

Godzina druga minut czterdzieœci szeœæ – powiedzia<sup>3</sup> porucznik Prokop.

Odleg<sup>3</sup>oœæ zmala<sup>3</sup>a do tysi<sup>1</sup>ca siedmiuset mil. Ziemia rysowa<sup>3</sup>a siê w kszta<sup>3</sup>cie wielkiego leja poni¿ej komety. Rzeczy mo¿na, ¿e siê otwiera, aby j<sup>1</sup> poch<sup>3</sup>on<sup>1</sup>æ!

Godzina druga minut czterdzieœci siedem – odezwa<sup>3</sup> siê raz jeszcze porucznik Prokop.

Jeszcze tylko trzydzieœci piêæ i szeœæ dziesi<sup>1</sup>tych sekundy przy szybkoœci dwustu siedemdziesiêciu mil na sekundê.

Wreszcie odczuto lekki wstrz<sup>1</sup>s, ostry œwist przesy<sup>3</sup> powietrze. Wszyscy w przera¿eniu chwycili za liny, na których wisia<sup>3</sup>a œódka. Dwie atmosfery siê <sup>31</sup>czy<sup>3</sup>y. Utworzy<sup>3</sup>a siê olbrzymia masa chmur, pasażerowie balonu nie widzieli ju¿ nic ani pod, ani nad sob<sup>1</sup>. Zdawa<sup>3</sup>o im siê, ¿e otacza ich olbrzymi p<sup>3</sup>omieñ, ¿e stracili grunt pod nogami i nagle, niewiadomo w jaki sposób znale¿li siê na Ziemi. W stanie omdlenia opuszczali Ziemiê i tak samo powracali.

Balon znik<sup>3</sup> bez oeladu!

W tym samym czasie Galja szybowa<sup>3</sup>a po stycznej i wbrew wszelkim przewidywaniom, musn<sup>1</sup>wszy zaledwie kulê ziemsk<sup>1</sup>, zniknê<sup>3</sup>a w kierunku wschodnim.

## Rozdzia<sup>3</sup> XVIII,

*który wbrew zasadam obowi<sup>1</sup>zuj<sup>1</sup>cym w powieæciach nie koñczy siê ma<sup>3</sup>¿eñstwem bohatera.*

Ach, kapitanie, Alger!

I Mostaganem, Ben-Zoufie!

Takie by<sup>3</sup>y pierwsze wykrzykniki Hectora Servadac'a i jego ordynansa po odzyskaniu przytomnoæci. Wszyscy pasażerowie balonu ocaleli. Sta<sup>3</sup> siê cud niewyt<sup>3</sup>umaczony, jak wszystkie cuda.

Mostaganem, Alger – powiedzieli. I nie mogli siê myliæ, bo znali dobrze ten kraj, w którym prze¿yli kilka lat.

Po dwuletniej podró¿y miêdzyplanetarnej wracali wiêc na to samo prawie miejsce, z którego wyruszyli. Jaki¿ cudowny zbieg okolicznoæci! Znajdowali siê w odleg<sup>3</sup>oæci dwóch kilometrów od Mostaganem. Nie up<sup>3</sup>ynê<sup>3</sup>o pó<sup>3</sup> godziny, gdy kapitan Servadac i jego towarzysze wkroczyli do miasta.

Wyda<sup>3</sup>o im siê dziwne, ¿e wszyscy na powierzchni Ziemi byli tacy spokojni. Ludnoææ Algeru nie przerwa<sup>3</sup>a nawet swych zajêæ.

By<sup>3</sup>a godzina ósma rano. S<sup>3</sup>oñce, jak dawniej, wstawa<sup>3</sup>o we wschodniej czêæci horyzontu. Zdawa<sup>3</sup>o siê, ¿e nie tylko nie zdarzy<sup>3</sup>o siê nic niezwyk<sup>3</sup>ego, ale nawet nie oczekiwano ¿adnego niezwyk<sup>3</sup>ego wypadku.

Czy¿by nie byli uprzedzeni o przybyciu komety? – dziwi<sup>3</sup> siê kapitan Servadac.

Tak nale¿y przypuszczaæ – odpar<sup>3</sup> Ben-Zouf – a ja tak liczy<sup>3</sup>em na wjazd triumfalny.

U wrót Mascara kapitan Servadac spotka<sup>3</sup> dwóch przyjació<sup>3</sup>, komendanta 2-go pu<sup>3</sup>ku strzelców i kapitana 8-go pu<sup>3</sup>ku artylerji. Pad<sup>3</sup> w ich objêcia.

To ty, Hektorze? – wo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> komendant.

Ja, we w³asnej osobie.

A sk¹d¿e wracasz nieboraku, po tak d³ugiej nieobecnoœci?

Opowiedzia³bym panu chêtnie, komendancie, ale i tak pan moim s³owom nie uwierzy.

Jednak¿e...

Przyjaciele, uœciœnijcie d³oñ kolegi i... umówmy siê, ¿e ten czas przeœni³em.

I Hector Servadac nie powiedzia³ ani s³owa wiêcej. Tylko zwracaj¹c siê do oficerów, zapyta³?

A pani de...

Komendant Strzelców, który wiedzia³ o co chodzi, nie da³ mu dokoñczyæ.

Powtórnie wysz³a zam¹¿! Có¿ chcesz, co z oczu to z myœli.

Masz racjê – odpar³ kapitan Servadac. Poczem zwracaj¹c siê do hrabiego: – Czy pan s³ysza³? Jestem naprawdê szczerze rad, ¿e niema ju¿ powodu do pojedynku miêdzy nami.

I ja, kapitanie, czujê siê szczêliwy, ¿e mogê uczciwie, serdecznie uœcisn¹æ pañsk¹ d³oñ.

Zadowolony te¿ jestem – mruca³ pod nosem Hector Servadac – ¿e nie muszê koñczyæ tego nieszczêsnego poematu.

I obaj byli rywale poprzysiêgli sobie przyjaŃñ gor¹c¹ i trwa³¹.

Wszyscy byli tak naiwnie spokojni na wybrze¿u morza Œródziemnego, ¿e lepiej by³o milczeæ.

Nazajutrz ma³a kolonja rozprószy³a siê po œwiecie. Marynarze rosyjscy z hrabi¹ i porucznikiem powrócili do Rosji, Hiszpanie zaopatrzeni sowicie przez hrabiego udali siê do swojej ojczyzny. Tegnano siê czule i serdecznie. Jeden tylko Izaak Hakhabut znikn¹³ w nieznanym kierunku, nie powiedziawszy nikomu dobrego s³owa.

Stary sknera pewno pokazuje siê za biletami jako uciekinier z innej planety – kpi³ Ben-Zouf.

Profesor Palmyrin Rosette mówi<sup>3</sup>, rozpowiada<sup>3</sup>, narzeka<sup>3</sup>, że zabrano mu kometę, której nie dostrzeg<sup>3</sup> nigdy żaden ziemski astronom. Nie by<sup>3</sup>a wcale wci<sup>1</sup>gnięta do ziemskiego katalogu. Trudno sobie wyobrazić, jak się z<sup>3</sup>oeci<sup>3</sup> i w<sup>3</sup>cieka<sup>3</sup>. Po up<sup>3</sup>ywie dwóch lat wyda<sup>3</sup> duże dzie<sup>3</sup>o, w którym poda<sup>3</sup> nietylko elementy Galji, ale również osobiste przeżycia i przygody.

Wówczas pogl<sup>1</sup>dy uczonej Europy się podzieli<sup>3</sup>y. Więszo<sup>3</sup>æ by<sup>3</sup>a przeciw profesorowi, znikoma mniejszo<sup>3</sup>æ za nim. Odpowied<sup>3</sup> na ten pamiętnik – najs<sup>3</sup>usniejsza, jak<sup>1</sup> można by<sup>3</sup>o da<sup>3</sup>æ – stawia<sup>3</sup>a pracę Palmyrin Rosette'a we w<sup>3</sup>aciwem <sup>3</sup>wietle, nazywaj<sup>1</sup>c j<sup>1</sup> „Historj<sup>1</sup> pewnej hipotezy”.

Taka impertynencja przebra<sup>3</sup>a miarę i wówczas to profesor pocz<sup>13</sup> twierdzi<sup>3</sup>, że widzia<sup>3</sup> ponownie nietylko Galję, ale i fragment komety, który uniós<sup>3</sup> ze sob<sup>1</sup> w zacewiaty trzynastu Anglików. Nigdy nie móg<sup>3</sup> od<sup>3</sup>owa<sup>3</sup>, że nie by<sup>3</sup> ich towarzyszem podróży.

Niezależnie od tego, czy fantastyczna podróż odby<sup>3</sup>a się istotnie, czy też by<sup>3</sup>a snem tylko, Hector Servadac i Ben-Zouf nadal zostali czem byli, jeden kapitanem, drugi ordynansem i przyja<sup>3</sup> ich by<sup>3</sup>a tak trwa<sup>3</sup>a, że nic rozdzieli<sup>3</sup> nie by<sup>3</sup>oby ich w stanie.

Którego<sup>3</sup> dnia spacerowali w dzielnicy Montmartre, rozmawiaj<sup>1</sup>c p<sup>3</sup>g<sup>3</sup>osem:

To jednak nie mog<sup>3</sup>o by<sup>3</sup>æ prawd<sup>1</sup>, kapitanie – mówi<sup>3</sup> Ben-Zouf.

I ja w to wreszcie uwierz<sup>3</sup> – odpar<sup>3</sup> Hector Servadac.

Ma<sup>3</sup>y Pablo i Nina, adoptowani, jedno przez hrabiego Timaszewa, drugie przez kapitana Servadac'a, wychowywali się i kształcili pod ich kierunkiem.

Którego<sup>3</sup> pięknego dnia kapitan Servadac, z siwizn<sup>1</sup> na skroniach, poprowadzi<sup>3</sup> do <sup>3</sup>lubu pięknego m<sup>3</sup>odego Hiszpana i <sup>3</sup>liczn<sup>1</sup> m<sup>3</sup>odziutk<sup>1</sup> W<sup>3</sup>oszk<sup>3</sup>. Hrabia Timaszew bogato wyposaży<sup>3</sup> swój jedynaczk<sup>3</sup> Ninę.

M<sup>3</sup>oda para mał<sup>3</sup>onków, przeznaczona sobie jeszcze w pe<sup>3</sup>nem przygód dzieciństwie na Galji, i na Ziemi czu<sup>3</sup>a się szczę<sup>3</sup>liw<sup>1</sup>.

Koniec drugiej i ostatniej cz<sup>3</sup>oci.

1 Eureka, po grecku „znalez³em” – okrzyk, który wyrwa³ siê z ust Archimedesowi podczas k¹pieli, gdy odkry³ prawo gatunkowego ciê¿aru cia³. (Przyp. t³um.).

2

Mowa tu o telegrafie optycznym, operuj¹cym sygna³ami. (Przyp. t³um.).